

Digitized by the Internet Archive
in 2025

BIBLIOTEKA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
PISMA WŁADYSŁAWA ST. REYMONTA

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

P I S M A

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE
ZE WSTĘPEM ZDZISŁAWA DĘBICKIEGO

TOM I

PIELGRZYMKA
DO JASNEJ GÓRY

2

WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

PIELGRZYMKA DO JASNEJ GÓRY

WRAŻENIA I NOTATKI

WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12.

Wszelkie prawa przedruku i przekładu zastrzeżone.

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

PRZEDMOWA.

Władysław Stanisław Reymont urodził się dn. 7 maja 1867 roku w Kobielach wielkich, ziemi piotrkowskiej.

Rodzina jego, jak to ujawniły badania, przeprowadzone na miejscu przez Adama Grzymałę-Siedleckiego, wywodzi się od niejakiego Balcera, Szweda, który pozostał w Polsce po odstąpieniu wojsk szwedzkich od oblężenia Częstochowy, i osiadł w Gidlach, gdzie był pomocnikiem gospodarskim w zarządzie dóbr klasztornych.

Nazwisko *Reymont* jest pochodzenia znacznie późniejszego. Zawdzięczał je Władysław swemu dziadowi, który, klnąc, powtarzał często: „a bodaj cię rejment (czyli regiment) djabłów!” Stąd przeważano go *Rejmentem*. W tej pisowni, jak to stwierdził J. Czempiński, znajduje się też rodowe nazwisko pisarza w jego metryce.

Przekonywa nas to dowodnie, że w nazwisku literackim Reymonta nie ma nic obcego.

Tak samo nie ma nic obcego i we krwi autora „Chłopów”, chociaż bowiem protoplasta jego

pochodził z Szwecji, to jednak w ciągu dwóch stuleci przez małżeństwa z Polkami tyle wpłynęło krwi polskiej do żył tej rodziny, że wszelki pierwiastek krwi obcej zniknął w tych żyłach na długo jeszcze przed urodzeniem Władysława. Krążyła w nim tedy bez najmniejszej wątpliwości krew czysto polska.

Gdybyśmy jednak wcale o tem nie wiedzieli, to powiedziałyby nam to samo dzieła pisarza, rozpoznawane pod kątem tkwiących w nich pierwiastków rasowych.

Analiza ich wykazuje bowiem niezbicie, że mamy do czynienia z pisarzem o tak wyjątkowo słowiańsko-polskiej strukturze ducha i umysłu, o takiej „samorodności rasowej”, jak mało który z pisarzy współczesnych o nazwiskach, które brzmieniem swoim żadnej nie budzą wątpliwości.

Reymont, jak Kasprowicz, jest przedewszystkiem „synem ziemi”. Jest tak blisko i nierozdzielnie z nią związany, tak w nią wrośnięty wszystkimi włóknami swojej duszy i wszystkimi nerwami swojego serca, że bez tego podłoża niepodobna go zrozumieć ani odczuć.

Dlatego rozumieją go i odczuwają najlepiej i najgłębiej ludzie, którzy są bliscy przyrodzie, a przez przyrodę bliscy Bogu, bo Bóg i Natura to w koncepcji Reymonta jedno.

Niezmiennie, wieczne prawa natury, to prawa ustanowione i ustalone w tej swojej niezmienności i wieczności przez Boga. Człowiek powinien im

być posłuszny, jak powinien być posłuszny woli Boskiej. Stąd wszystko, co jest przeciwne naturze, jest przeciwne Bogu, i odwrotnie, co jest przeciwne Bogu, przeciwne jest naturze.

Niema w tem żadnej inwencji filozoficznej. Jest to pogląd, swoisty milionom ludu polskiego, żyjącego od wieków zgodnie z prawami Boga i Natury, i bez buntu poddającego się tym prawom.

Owo też głębokie poczucie ładu i porządku odwiecznego na ziemi, cechujące poglądy Reymonta, doprowadza nas do wniosku, że mamy do czynienia z synem tej ziemi, który z niej przedewszystkiem czerpał soki odżywcze dla swojej twórczości.

Każdy artysta ma jakieś tajemnicze źródło sił, których dopływ krzepi go i umacnia w jego posłannictwie.

Dla jednych siły te tkwią w podobłocznej krainie ideałów, dla drugih w zupełnie realnych wartościach życia ziemskiego, w poczuciu i odczuciu rzeczywistości ludzkiej, takiej, jaką ona jest, inności słowa w *prawdzie życia*. Nie w szlachetnem kłamstwie i ułudzie, które wzbijają nas ponad życie, lecz w szczerej tego życia prawdzie.

Reymont należy do tego drugiego rodzaju artystów.

Jest urodzonym realistą.

• I to znów dowód ważki jego „rasowości psychicznej”, jego bliskiego związku z ludem polskim.

Chłop polski jest realistą. O tem nie może być dwóch zdań. O ile inteligencja polska jest,

a przynajmniej do niedawna była nawskroś idealistyczna, i to tak dalece, że w swych wzlotach idealnych zatracala w znacznej mierze poczucie rzeczywistości, o tyle lud polski w całej swojej masie obdarzony jest wprost niepospolitem poczuciem rzeczywistości, co daje mu zdumiewający nieraz *zdrowy rozum*, ów *common sense*, rozstrzygający prosto zawiłe nawet kwestje społeczne i polityczne trzeźwą oceną „interesu życiowego”.

Reymont tę właśnie „trzeźwość” wniósł z sobą do literatury.

Nie on wprowadził pierwszy wieś polską i lud polski do powieści. Były już przed nim dość liczne próby uczynienia tego, i próby bardzo szczęśliwe i na wielką nawet miarę. Wystarczy wymienić niewątpliwe arcydzieło Prusa „Placówkę” i całą, niedocenioną dotychczas, twórczość Adolfa Dygasińskiego.

Ale, jeżeli zapomnimy na chwilę o Prusie i Dygasińskim, a spojrzymy ponad temi szczytowemi punktami na całą literaturę końca XIX-go wieku, to przekonamy się, że tkwiący w niej „sentyment dla ludu” był tylko teoretyczny, zdawkowy, nawskroś ideologiczny i niewiele miał wspólnego z rzeczywistością chłopską.

Rzeczywistego chłopa nizin postawił w literaturze dopiero Reymont, podobnie jak *rzeczywistego* górala wydzwignął ponad zdawkowy sentyment mieszcuchów dla góralszczyzny dopiero Kazimierz Przerwa-Tetmajer w „Skalnym Podhalu”.

Obaj ci pisarze mają jednakową zasługę — jeden dla nizin, drugi dla gór i — mimowoli — ta ich zasługa prosi się o porównanie z wiekopomną zasługą Mickiewicza, który postawił kończącemu się światu szlacheckiemu XVIII-go wieku pomnik wiecznotrwały w „Panu Tadeuszu”.

Epoka, którą przeżywamy obecnie, a którą rozpoczęliśmy przeżywać mniej więcej w zaraniu wieku XX-go, wówczas właśnie, gdy Reymont zaczynał pisać „Chłopów”, jest pod wieloma względami bardzo podobna do epoki, którą w dzieciństwie i wczesnej młodości swojej przeżywał Mickiewicz.

Wtedy likwidowała się Polska szlachecka, stawała, uprzywilejowana, ustępując miejsca Polsce nowej, która dążyła do nowoczesnej struktury społecznej i gospodarczej.

Zapadał się jeden świat, dźwigał się przed oczami nowy.

Podobnie dzisiaj stoimy na granicy kończącego się świata „chłopskiego” a rozpoczynającego swój byt w odrodzonej Polsce, świata „ludu polskiego”, stanowiącego fundament narodu i wiecznie żywe źródło jego sił rozwojowych.

Jak Podkomorzy był „ostatnim, co tak poloneza wodził”, podobnie Boryna przejdzie przez literaturę do historii, jako „ostatni” chłop starego autoramentu.

Czas biegnie szybko i niesie z sobą zmienność form i zmienność nastrojów.

Nietrudno przewidzieć, że za lat 30, 40 czy 50 młode pokolenia „chłopów“, wychowanych w Polsce niepodległej, w nowych, odmiennych warunkach, nie będą już zupełnie podobne do „chłopów“ z epoki, w której Reymont tworzył swoje dzieło.

Ale właśnie dlatego nabiera to dzieło znaczenia pomnikowego i nie przestanie nigdy zajmować tych, których zajmuje wogóle dusza ludu polskiego, dusza nieśmiertelnej *rasy polskiej*.

Niektóre cechy tej duszy są niezmiennie, wiecznotrwałe, i te właśnie cechy, bez względu na zmianę dekoracyj zewnętrznych, na nowy tynk, który narzuci na nie czas, będą zawsze do odszukania w epopei Reymonta, wszystkie bowiem cechy charakteru chłopskiego, a co za tem idzie charakteru *narodowego*, gdyż chłop jest przedstawicielem najczystszej rasy polskiej w granicach, w jakich może być dzisiaj mowa o „czystych rasach“ — zostały tu uwydatnione i wystąpiły w posągowych kształtach.

Reymont, obdarzony niespotykanym wprost darem i umiejętnością patrzenia, postrzegania i zapamiętywania rzeczy postrzeżonych, jest niedającym się porównać z nikim *odtwórcą polskiej rzeczywistości ludowej*.

Jego lud nie jest ludem wyidealizowanym. Jego chłopci — to chłopci najprawdziwsi, ze wszystkimi swojemi wadami i zaletami, ze wszystkim swoim złem i dobrem, z całą swoją pierwotną, chciwą, zaborczą naturą i z całą jednocześnie ja-

kaś praaryjską, obrzędową „kapłańskością“ w chwilach, kiedy wchodzą w stosunek z Ziemią, kiedy ją orzą, rzucają na zagony ziarno siewne a potem dostały z tych zagonów zbierają plon.

Tak samo i jego obrazy przyrody to najwspanialsze impresjonistyczne, przesyccone wszystkimi barwami wiosny, lata, jesieni i zimy polskiej, krajobrazy wsi, osadzonej odwiecznie między borami i lasami, wrośniętej w ziemię przyciesiami swoich chałup i zespolonej z tą ziemią tysiącletniem przynajmniej, jeżeli nie daleko dawniejszem, współzyciem bliskiem, nierozzerwalnem.

Dlatego „Chłopi“, w których uwydatnia się to przedewszystkiem, są *arcydziełem*.

Dlatego Reymont na tle epoki, która żyje rozstrojem, przechodzącym w anarchję, która raczej burzy, niż tworzy, jest zjawiskiem wyjątkowem, zjawiskiem, któremu trudno znaleźć odpowiednik w literaturze powszechnej.

Taki sam jest on i w innych powieściach, a szczególnie w wielkiej trylogji historycznej „Rok 1794“ („Ostatni Sejm Rzeczypospolitej“, „Nil desperandum“, „Insurekcja“).

Utwór ten, obok „Chłopów“, daje najlepszą miarę talentu Reymonta i stawia nas oko w oko z jego genialną wyobraźnią.

W „Roku 1794“ jest mnóstwo scen o pierwszorzędnym walorach artystycznych, które walory te zawdzięczają potężnej, nieokiełznanej, unoszącej i porywającej powieściopisarza wyobraźni.

Cechą tej wyobraźni jest dążność do przesady, do wyolbrzymienia. Reymont widzi zawsze wszystko w nadnaturalnej wielkości. Zatraca też nieraz proporcję kształtu, gubi ją w dążeniu do takiego uwypuklenia charakterystycznych, uderzających go szczegółów, że zasłaniają one sobą inne szczegóły, niezbędne do precyzji realistycznego obrazu.

Dlatego realizm Reymonta jest jakimś nad-realizmem, szukającym dla siebie wyrazu przez nawskroś poetycki animizm.

Wejdźmy tylko z nim razem na chwilę do wielkiej fabryki w Łodzi („Ziemia obiecana“) i przyjrzyjmy się tam obrotowi maszyn, wsłuchajmy się w furkot transmisji, rzućmy okiem na bieganie czółenek tkackich, a przekonamy się, że wszystko tam żyje swoim samoistnem życiem, że to nie są tylko martwe mechanizmy, ale że jest w nich dusza — dusza potworna i bezlitosna, ale dusza potężna, która swoją niesamowitą siłą ujarzmia człowieka i czyni go swoim niewolnikiem.

Zarzucano nieraz „Ziemi obiecanej“, że, jako romans środowiskowy, malujący ośrodek wielkiego przemysłu, nie uwydatnia ona w sposób dostateczny niedoli robotnika, że autor, zainteresowany przede wszystkim ścieraniem się na bruku łódzkim w atmosferze handlu i wielkich interesów odmiennych rasowo typów polskich, niemieckich i żydowskich, zapomniał o głównym aktorze na tej scenie, o walczącym z wyzyskującym go kapitałem robotniku-najmicie, że nie umiał współczuć prole-

tarjatowi, nie wystąpił w jego obronie, jak Żeromski.

Otóż tak nie jest. Prawda, że „kwestja społeczna“, zarysowująca się w Łodzi tak wyraźnie, nie znalazła w Reymoncie ani swojego herolda, ani swojego apologety, nie mniej jednak również jest i pozostanie prawdą, że, nie wyprowadzając robotnika bezpośrednio na widownię swojego romansu, jako bohatera, pośrednio poświęcił mu autor „Ziemi obiecanej“ więcej uwagi, niż to się na pozór wydaje.

Obecność tego robotnika czujemy wszędzie a współczucie dla niego wynika już choćby tylko z odczucia potworności fabryki, którą zbudował geniusz ludzki nietylko na chwałę i pożytek człowieczeństwa, lecz także i na to, aby człowiek składał tam samego siebie na ofiarę Molochowi materializmu.

Przeciwnik materializmu, protestuje też Reymont niejednokrotnie przeciwko tego rodzaju ofiarom i tu wyraźnie staje po stronie pracy przeciw jarzmu maszyny. Broni wsi przed zaborczością miasta.

I nie może być inaczej, skoro pisarz ten dowiódł niejednokrotnie, że niema dla niego rzeczy na świecie większej ponad sprawiedliwość.

W imię poczucia tej sprawiedliwości Reymont stał się w powieści polskiej żarliwym obrońcą ludu — ale obrońcą nietylko jego ekonomicznych interesów, mających na widoku nasycenie jego gło-

du ziemi i chleba, lecz w daleko większym stopniu obrońcą praw jego sumienia, wolności jego przekonań, jego wiary.

Literatura polska nie posiada w tym kierunku nic równie pięknego, równie gorąco i równie z serca napisanego, jak ta niewielka książeczka Reymonta, która nosi tytuł „Z ziemi chełmskiej“.

Gdyby jej autor nie był nic innego napisał, to już przez tę jedną książeczkę stałby się wielkim dla swojego narodu pisarzem, wielkim przez skarb czującego serca, które przemawia do nas — i nie tylko do nas, ale do wszystkich, miłujących sprawiedliwość — z kart tej natchnionej, niemal ewangelicznej książki.

Jak wszędzie u Reymonta, prawda niedoli unickiej uwydatniona tu jest tak plastycznie, że wstrząsa nami do głębi.

To też książeczka ta jest obok „Chłopów“ może najtrwalszym pomnikiem, jaki postawił sobie Reymont w duszy zbiorowej narodu.

Dowiódł nią, jak Polskę kochał, jak pragnął jej służyć, jak o jej niepodległości marzył.

Drogę do tej niepodległości widział jednak nie w rewolucji społecznej, ale w obudzeniu szerokich warstw ludu polskiego do życia obywatelskiego, do życia narodowego.

W Kościuszcze widział symbol Polski naprawdę demokratycznej i naprawdę narodowej. W manifestie połanieckim — *magnam chartam* wstępującego na arenę dziejów nowoczesnych ludu polskiego.

To właśnie po napisaniu „Chłopów“ doprowadziło go do konieczności napisania trzypięciotomowej powieści historycznej, z Kościuszką, jako bohaterem-ideą i z bitwą racławicką, jako realnem tej idei wcieleniem.

Powieść ta w zamierzeniu autora miała być ideologicznem dopełnieniem „Chłopów“, miała być związaniem polskiej teraźniejszości ludowej z jej przeszłością, i wskazaniem ludowi polskiemu jedynej prostej i właściwej drogi do odzyskania niepodległości, jedynej *chorągwi*, pod którą mógł i powinien był gromadzić swoje siły.

Pomysł ten przytłoczył go, ale jednocześnie porwał go ku sobie, zachęcając do przewyciężenia wszelkich przeszkód, które powieściopisarz *par excellence* „współczesny“, przechodząc na obcy sobie grunt historyczny, musiał spostrzec przed sobą w nieladajakiem spiętrzeniu.

W szeregu potężnych obrazów, na których czoło wysuwają się: posępny i tragiczny Sejm grodzieński, dźwigający na sobie hańbę Polski upadającej, Paryż rewolucyjny z roku 1793, jako kuźnia wolności narodów, wreszcie bitwa racławicka i powstanie ludu warszawskiego pod wodzą Kilińskiego, jako przebłyski odrodzenia — dał nam Reymont możliwie dokładne i prawdziwe studjum epoki.

Trylogja historyczna Reymonta nie została dotychczas właściwie oceniona. Książkowe jej wydanie przypadło na okres wojny, na okres najmniej-

szego, jakie było kiedykolwiek, zainteresowania literaturą.

Wielkość współczesnych nam wydarzeń historycznych przyćmiła całkowicie wielkość wydarzeń dawniejszych, bynajmniej nadto nie uwieńczonych powodzeniem a pogrążających Polskę jeszcze głębiej w otchłań upadku. Wstające z wiekowego grobu nadzieje biegły więc raczej w jutro, niechętnie oglądając się za siebie.

Tem należy tłumaczyć małą stosunkowo — w porównaniu z „Chłopami“ — popularność tego wielkiego dzieła.

Nie mniej jest ono dziełem wielkiem, w którym występują na jaw wszystkie cechy talentu Reymonta.

Zatrzymaliśmy się tutaj tylko na szczytowych punktach twórczości genialnego pisarza.

Pominęliśmy cały szereg jego przepięknych nowel, jego powieści z życia teatralnego i kolejowego, które znał nawylot („Komedjantka“ „Fermenty“ „Marzyciel“), jego opowiadania amerykańskie, które miały charakter preludjów do zamierzonej wielkiej powieści o wychodźstwie polskiem w Stanach Zjednoczonych, nawet jego głęboką alegorję p. t. „Bunt“, gdzie wypowiedział tyle mądrych przestroż pod adresem oczadzonego demagogją świata powojennego.

Pominęliśmy to wszystko z żalem, ale nie mogło być inaczej, omówienie bowiem całego dorobku Reymonta przekroczyłoby znacznie ramy,

jakiemi rozporządzamy a w których obrębie jest tyle zaledwie miejsca, aby pokazać bryłę tego wielkiego talentu, pozostawiając czytelnikom zbiorowego wydania pism niezrównanego autora „Chłopów” rozłupywanie tej bryły na części i wydobywanie z niej conajprzejrzystszych kryształów.

Patrząc na tę bryłę samorodną, niepodobna oprzeć się zdumieniu i podziwowi wobec tego „daru Bożego”, z jakim Reymont przyszedł na świat. Niepodobna także, znając środowisko, z którego wyszedł, i bieg jego życia, które było od dzieciństwa walką z niedostatkiem, nie zwrócić uwagi na to, że talent jego pokonał wszystkie przeciwności losu, że dojrzewał on i rozwijał się w warunkach najmniej sprzyjających, w takich mianowicie, które raczej groziły mu zagładą, że nie rozporządzał on nigdy tem, co w normalnej rodzinie ziemiańskiej czy burżuazyjnej daje dziecku lub młodzieńcowi otoczenie, atmosfera domu, przesyconego tradycjami i jaką taką choćby kulturą literacką i artystyczną.

Reymont musiał sam zdobywać wszystko. Nigdy i w niczem nie przyszedł do gotowego. Nigdy nie zasiadł do zastawionego stołu. Mozolnie wylupywał siebie samego z zielonej łupiny. Wydobywał się z trudem, jak skałotocz cierpliwy, na światło i słońce z ciemnicy, w której pozostało na zawsze tylu rówieśnych mu, pochodzących z tego samego, co on, środowiska drobno - mieszczańskiego.

Ojciec jego był organistą. Mieszkał w Tuszy-
nie, w miasteczku, dosłownie „zabitem deskami”.
W domu była rodzina liczna, o dostatku nie było
więc mowy. Przyszły wielki pisarz nie miał tedy
nawet możliwości wkroczenia na ten utarty i szeroki
gościniec, jakim jest szkoła. Nie przeszedł ani
szkoły średniej, ani uniwersytetu, ale wprost ze
szkoły początkowej, z łada jakim wykształceniem
elementarnem, które w ówczesnym zaborze rosyj-
skim stało na niesłychanie niskim poziomie, wszedł
w życie i zanurzył się w niem.

Mógł łatwo zachłysnąć się, zejść na manowce,
zaprzepaścić się i zginać, próbował bowiem „chle-
ba z niejednego pieca”.

Niepewny drogi, którą ma wybrać, czepiał się
tego i owego. Jako 18-letni chłopiec, grywał
w trupach wędrownych, potem pukał do wrót kła-
sztoru jasnogórskiego i odbywał tam nowicjat,
marząc o białej sukni paulina i o cichem, spokoj-
nem życiu zakonnem. Jeszcze potem pracował na
życie, jako skromny urzędnik kolejowy na małej
stacyjce, wśród ludzi, którzy ani chcieli, ani mogli
go zrozumieć. W „Komedjantce”, w „Fermentach”,
w „Marzycielu” w „Krosnowej i świetle” jest bo-
gaty materiał do jego biografji z tego okresu.

Wreszcie literatura pociągnęła go ku sobie
tak silnie, że nie mógł się już temu oprzeć i po-
szedł za nią „na głód i chłód”, na potieranie dłu-
gich lat, zanim zdobył sobie w niej imię i względ-
ny dostatek.

Zwyciężył. Nie zginął, ale wywalczył sobie stanowisko nie tylko wśród własnego narodu, ale wśród całej społeczności ludzkiej.

Nazwisko jego i dzieło twórcze należą dzisiaj do całego świata. Chłubi się niemi literatura powszechna i wlicza Reymonta pomiędzy największych pisarzy kuli ziemskiej. Po udzieleniu mu nagrody Nobla — tego najwyższego odznaczenia literackiego — fala powszechnego entuzjazmu podniosła się ku niemu, a przez niego ku całej literaturze polskiej, ku całemu narodowi polskiemu.

Jeżeli się to stało, Reymont zawdzięcza to nie tylko swojemu genjuszowi, nie tylko hojnemu uposażeniu wewnętrznemu w to wszystko, co jest niezbędne do samodzielnej pracy twórczej, ale może w daleko większym jeszcze stopniu swojej postawie moralnej, swojej silnej woli, swojemu nawskroś czystemu stosunkowi do życia, co uchroniło go przed złą pokusą *użycia* a pozwoliło mu konsekwentnie i z wysiłkiem walczyć i pracować przez dziesiątki lat, aby dopiero na schyłku życia owoc tej pracy w całej pełni oglądać.

Życia jego było krótkie. Za krótkie, aby mógł wszystkiego w niem dokonać. Chociaż jednak niejeden z jego zamiarów zniweczyła śmierć przedwczesna, przecież dokonał tyle, że starczy tego, aby na kartach historii literatury polskiej imię jego świeciło po wszystkie czasy nigdy nie mierzchnącym światłem.

Światło to, zaklęte w jego dzieła, idzie teraz w pełnem zbiorowem wydaniu jego pism pomiędzy szerokie rzesze czytelnicze.

Niechże im niesie zdrowie i pożytek, pokrzepienie i moc ducha.

Zdzisław Dębicki.

Czucie i wiara silniej mówi do mnie
Niż mędrca szkiełko i oko.

Mickiewicz.

PRAGA - KOŚCIÓŁ.

5—V—1894

Idę wyekwipowany jak można najskromniej: długie buty, jakaś sędziwa okrywka, płaski kapelus i parasol nie odróżniają mnie zbyt od tłumów, zgromadzonych na placach i drogach przed kościołem. Nikt zresztą na mnie uwagi nie zwraca, wszyscy są zbyt zajęci przygotowaniami do wyruszenia w drogę i spoglądaniem na zachmurzony horyzont. Deszcz tnie drobny, ale mimo to wielkiego skłopotania nie znać na twarzach. Gwarno wszędzie jak w ulu. Przeciskam się na cmentarzu z trudnością i widzę z zadowoleniem, że niema wcale welonów, surdutów ani kapeluszy. Sam szczerzy lud. Twarze są proste, czarniawe od skwarów, rysy zgrubiałe, ubiory szare — i widzę przez oczy tego tłumu, że ma duszę napiętą jakimś niezrozumiałem dla mnie uczuciem. Mieszam się z nimi, wchłaniam setki rozmów, twarze niezliczone, i ta szarzyzna pospolitości, ten gwar jarmarczny przejmują mnie nudą i zniechęceniem. Czuję się

ogromnie obcy i osamotniony w tym tłumie. Chciałbym się nawet poddać tej fali ludzkiej, byle wy-czuć ten prąd, jaki ją musi przenikać — ale nie mogę... I gdy tak stoję, przystępuje do mnie jakiś chłop, w szarej sukmanie, z różańcem na szyi i twarzą kwadratową.

— Pan także idą? — pyta.

— Idę; idziemy razem.

— To niby z nami?

Odpowiadam mu twierdząco i chcę go wciągnąć w pogawędkę, ale chłop milknie i odchodzi. Znowu stoję i nie wiem, co z sobą zrobić. Do kościoła ani marzyć się dostać: przejście wprost zagwoźdżone ludźmi; słyszę tylko śpiewy i głos organów, a potem dochodzą mnie słowa pojedyncze kazania; spazmatyczne a krótkie fale płaczów przelatują jak wichry.

Ksiądz ma przemowę do odchodzących.

Wszyscy klęczą z odkrytymi głowami, w jakimś biernem poddaniu i ze skupieniem słuchają.

Szare niebo nie przestaje siać deszczkiem a grozić ulewą; to mnie przedewszystkiem pognębia, że już i nie słucham i z niezbyt wielką przyjemnością przypatruję się rozkwitającym bżom i czerwonawej, młodej zieleni kasztanów. Wreszcie zrobiło się zupełnie cicho, i ten tysiączny tłum zaczyna zwolna odpływać cienkimi strumieniami.

I gdyśmy tak szli, rozsypani, to na tle mostu, na tle zieleni parku, na tle miasta, rozłożonego

z drugiej strony Wisły, te szare, drobne i twarde sylwetki ludu, te profile ostre, twarze szorstkie i grube, postacie kwadratowe, pozginane nieco pod tobołami, obwieszane sznurami różańców, miały w sobie jakąś moc i namaszczenie ogromne.

Krzyż brązowy, obwiedziony wiankami róż papierowych, kołysał się na czele orszaku, w mętnej, zadeszczonej atmosferze. Gwar miasta dopływał zgiełkliwą falą, dzwonki tramwajów były raz po raz, turkot wozów brzmiał głucho, kominy fabryk rozwłóczyły nad miastem strzępy mgieł, a tam wdole szarawo-żółta toń z pluskiem biła o przyczółki mostu. Wszędzie wrzało życie pośpieszne, czynne, wysilone, życie miasta; walka o byt i o uciechę.

I gdy tak w myśli zestawiam, spostrzegłem wysuwający się z pod wiązań mostu jednokonny karawan, z niebieską trumienką na szczycie, za nim jedną, jedyną kobietę; trzyma się ręką sukna i idzie jakimś automatycznym krokiem, z głową opuszczoną na piersi... Przemknął mi wnet jej profil suchy, przegryziony bólem, a pomimo tego długo widziałem jeszcze ten surowy rysunek ust zaciśniętych, tę czerwoność opuchłych, zapłakanych źrenic, i ten cały wyraz boleści jakby skamieniałej.

Uczułem jakiś niepokój ciemny i niewytłumaczony znużenia wewnętrznego, ale patrząc na tych gapiów trotuarowych, co bandami stają i przeprowadzają nas głupio-ironicznymi spojrzeniami, na tę wstrętą tłuszcę, drwiącą z idących, poczułem sza-

loną ochotę spoliczkowania jej — ale musiałem ścierpieć. Liczyłem okna, latarnie, byłem nawet w stanie przyglądać się architekturze nowych domów warszawskich przez pięć minut, próbowałem obliczać ilość obrotów koła dorożki, byle nie widzieć tej stłoczonej, miejskiej zgrai.

Kiedym przechodził rogatki, tom posłał Warszawie tylko jedno, ale szczere słowo:

-- Nareszcie!... Chociaż na dziesięć dni...

OCHOTA.

Jest to sobie kilkanaście domków brudnych i odrapanych srodze, jakby wysilano się umyślnie, aby stworzyć rzecz brzydką aż do obrzydliwości.

Tu już gromadzą się wszyscy pątnicy i łączą w kompanje. Czekaliśmy z godzinę, nim się pościgali. Wozów idących z rzeczami i ludźmi jest 76. Mój furman, który się podjął mnie nawet zawieźć do miejsca za 10 rubli, zabiera mnóstwo tobołków. Płacą od zawiniątka po 30, a najwyżej po 50 kop. za całą drogę. Zapłaciłem frycowe, bo się teraz dowiaduję, że można jechać z rzeczami za 3 ruble. Wozy stoją wyciągniętym sznurem z boku szosy, a ludzie porozkładali się obok krzyża, gdzie kto mógł. Karczma przepełniona, ale właściciel chodzi kwaśny.

— Ruch ogromny, narodu jak śledzi w beczce! — mówię mu dla zabicia czasu.

— I! panie kochany: praska kompanja, to same chamstwo. Herbatą się szprycuje hołota!

— Wolałbyś pan warszawską?

— Czybym wolał! Panie kochany, przez godzinę 50 antalków piwa, milion wódek! — woła z uniesieniem, i tłuste policzki napływają mu krwią miłego przypomnienia.

Nie słucham więcej i wychodzę, bo pod krzyżem ma przemowę starszy brat, ten, co prowadzi pielgrzymkę i ma najwyższą, bo decydującą władzę nad wszystkimi.

Stoję tak daleko od niego, że prawie nic nie słyszę. Widzę tylko płową czuprynę, twarz szarawą i gestykulację jakąś tragiczną; musi mówić głośno, dobitnie, i trafia do serc, bo chwilami przelatuje szmer westchnień, tłum się zakołysze, jakiś jęk się zerwie, to oderwane dźwięki płyną — i znowu stoję w ciszy, zasłuchany w falowanie tego morza ludzkiego...

I stoją tak kupą wielką, w obramowaniu nędznych domostw i suchotniczej, zbrudzonej roślinności — sami nędzni, pokrzywieni ciężką pracą, zmęczoszeni niby łachman codzienną, twardą nędzą, pookrywani zaledwie. Słońce blade światło jakby przez sito rozlewa po odkrytych, konopiastych, zwichrzonych i rzadko czesanych grzywach, a zimny wiatr zawiewa z boku i szczypie ich chłodem po bosych nogach. Patrzę na nich i pytam siebie: co im każe rzucić dom, dzieci, gospodarstwo, zarobek, zawsze pewną miskę kartofli, łóżko i pierzynę i iść mil kilkadziesiąt o suchym chlebie, sypiać po drogach, znosić trudy niewypowiedziane życia koczowniczego?.. Cóżto jest za siła, która ich porywa

z gniazda i rzuca w różnorodny, taki sam tłum i wlecze i odprowadza?..

Jeszcze sobie nie odpowiedział, a tłum się już zakołysał, poruszył do odejścia i zaśpiewał donośnie: — „Kto się w opiekę odda Panu swemu!..“

No, i już idziemy, naprawdę idziemy białawym szlakiem szosy, wskroś wielkich pól, poznaczonych kominami. Wiatr targa włosami i powiewa białym woalem jakiejś „siostry“, niby sztandarem. Długi, zlewający się aż pod Raszynem w czarniawą masę, szereg topoli o czerwonawych młodych listkach, szepce gałązkami. Ptaki uciekają przed nami w pola, a wystraszone skowronki spadają niby kule w zboża zielone i milkną. Chłodno jest, niebo szare, pełne — niby góry śniegowe spiętrzonych obłoków. Spokój jest coraz większy, bo coraz dalej jesteśmy od miasta, tylko pieśń go mąci szerokim rytmem i rozbrzmiewa echami po zieleni zbóż:

Na lwa srogiego bez obawy wsiedziesz,
I na ogromnym smoku jeździć będziesz...

Śpiewają wszystkie piersi i wszystkie serca zdają się kłaść całą wiarę w te słowa i wszystkie dusze zdają się chwiać i zlewać z sobą w tej szerokiej, pełnej niezmiernie mocnych dźwięków pieśni trzystoletniej.

— To jest cementem, który ich spaja i łączy — myślę, przepatrując twarze.

Chciałbym znaleźć twarz jaką znajomą. Nie ma nikogo. Pieśń ta ogólna, razem śpiewana, koń-

czy się. Starszy brat intonuje inną, ale równocześnie zaczyna brzmieć dziesięć co najmniej śpiewów o odrębnej młodoci. Teraz widać, że to olbrzymie ciało nie ma głównego i jedyne go środka: ma ich kilkanaście; widać setki gromad, idą swojacy przy swojakach, parafjami, wsiami, ba! nawet powiatami i zawsze się ktoś wysuwa na czoło, rozkłada książkę i intonuje pieśń nową. Powstaje z tego taka kakofonja, taki galimatjas srogi, że słuchać niepodobna; lament tych głosów tworzy okropnie brzęczący wir, który bije niemiłosiernie o mój słuch, niby jakiś ostry i chrapliwy klekot. Wyprzedzam — i idę o jakie pół wiorsty naprzód, a spostrzegłszy tu „siostrę“ woalową, jak w białych ciżemkach spaceruje tęgim klusem, dopędzam ją i z kapeluszem w rękę pytam się o coś.

„Siostra“ dragonimskim głosem i ze staromiejską słodyczą prawi mi impertynencję. Kłaniam się i odchodzę, ale zaraz przystępuje do mnie jakiś „brat praski“, owinięty w drelichy, z sakwożadem przez ramię, z manierką na wódkę z jednego boku, a z garnuszkiem — z drugiego, i pyta ochrypłym od pożegnań prawdopodobnie głosem:

— Brat do Częstocho wy?

— Tak, panie.

— Pójdziemy razem.

— Idziemy przecie ż wszyscy razem — odpowiadam, z zajęciem przeglądając jego twarz, doskonale poznaconą śladami przyjacielskich rozmów.

— Brat pewno z Warszawy?

— Tak, panie, z Warszawy.

— Niech brat sobie w nos schowa to „panie!“. Tu są wszyscy bracia i siostry — mówi energicznie, a wreszcie zapytuje bez wstępu:

— Brat jakiej profesji?

Zachłysnąłem się trochę, ale jakoś udało mi się nie odpowiedzieć, a on obejrzał starannie moją okrywkę, torbę przy boku pomacał, dotknął się butów i nóg moich.

— Nie dojdzie brat. Z takimi nogami to można się kazać na Pradze przetopić i odwieźć do Warszawy, ale iść do Częstochowy!.. Paliwa dużo brat niesie?.. A fajgli?

Podąłem mu śpiesznie cygaro. Obciął zębami, zapalił, wciągnął masę dymu w płuca, wypuścił i jakoś miękko rzekł:

— Co najmniej — dychowe! Ho! ho! brat musi być nie byle profesjonal!

Przełożyłem zdenerwowanie nad możebne zniknięcie paliwa i owych fajgli, więc się łączę z kompanją. Ogromnie prędko idą. Kto śpiewa, to śpiewa, a reszta gawędzi zcicha. Słyszę najrozmaitsze szczegóły o gospodarstwie, wsiach; ceny zboża zdają się ich najwięcej interesować. Na wszystkie strony krzyżują się zapytania: Skąd brat? skąd siostra? Przeciągły, śpiewający akcent miękki — dominuje. Widzę głowy twarde, czoła niskie, profile jakby dzikie, a spojrzenia niezmiernie jasne, o dziecięcym wyrazie. Spoglądają na mnie nieufnie, i gdy chcę

się wmieszać do rozmowy — milkną i śpiewać zaczynają.

Odchodzę zły na ten głupi kostjum, który mnie wyodrębnia widocznie, i na tę kulturę, która tak mnie przypiłowała, że nie umiem znaleźć słowa ani pojęcia prostego i naturalnego, aby się niemi włamać do ich dusz. Próżno szukam twarzy i ubiorów innych; nic, tylko samodziały, od krwistych-bordo aż do piaskowych. To morze głów męskich i kobiecych w chustkach szarych, czerwonych, żółtych, ponsowych, tworzy ruchomą falę barw pierwiastkowych, zmieszanych razem. Dopiero pod Raszynem spostrzegłem zdaleka trzy postacie, odrzynające się od tła jaskrawego, trzy głowy w słomianych ogromnych kapeluszach, okręcone białymi woalami. Szły razem i co chwila mi zapadały w gąszczu głów; tylko czasami, przez przerwy, jakie się robiły w tłumie, spostrzegalem postacie wysmukłe i proste, ale wnet zalewała mi je fala ludzka.

Pragnąłem je odszukać i nie mogłem.

R A S Z Y N.

(Pierwszy odpoczynek.)

Kilka murowanych i srodze nadwerężonych domów, kościół, ogromna karczma, a z lewej strony masa drzew parku i stawy o modrych zwierciadłach stanowią wszystko. Kościół, tak ciasny przy naszej ilości, że nawet się nie staram dostać do wnętrza i obejrzeć. Trzy czwarte kompanji rozłożyły się przed karczmą i na szosie popasać. W karczmie tłok, a zaraz przy wejściu rzuca mi się w oczy taka scena:

O stół oparty, siedzi jeden z braci i zaczerwienionemi oczyma patrzy w sufit, a przed nim stoi drugi brat, chłop stary, o kędzierzawej czuprynie i rysach twarzy jakby wyciosanych siekierą. Rudawą kapotę ma ściśniętą zielonym, wełnianym pasem, nogi w skórniach, różaniec z mosiężnym krzyżem na szyi i obrazek w ręku. Odmuchuje oczy siedzącego, dotyka się ich palcami, robi jakieś pasy magnetyzerskie wzdłuż twarzy i wpoprzek oczu, ślini je i rozciera, muska obrazkiem; następnie

kładzie dwie poślinione słomki razem z obrazkiem na jakąś skorupę i zapala. Okadzając tym dymem chore oczy, szepce półgłosem zaklęcia i modlitwy o uzdrowienie, a gdy skończył ceremonjał, odsunął się nieco i z namaszczeniem a głęboką pewnością wiary, rzekł:

— Ty, bracie, wierz, że słowo Boże, słowo moje i chcenie moje — pomoże, to pomoże. Jak Pietrowi Pan Jezus powiedział: Chodzi do mnie bez morze... to on się wagował i myślał, co spłynie we wodzie — i zaraz też poszedł na dno. A Pan Jezus go wyciągnęli za włosy i rzekli: — Cobyś był, Pietrze, mi dufał, co przejdiesz — to przeszedłbyś. To, bracie, modlij się, wierz, że zdrow będziesz za łaską Tej, Najświętszej Częstochowskiej, a zdrowy będziesz. Bo co my możewa, to możewa, a resztę Bóg może. Ament!

I ta reszta, przypatrująca się w skupieniu pobożnem, uderzyła się w piersi i głośno powtarzała:

— A resztę Bóg może. Ament!

I była w twarzach taka powaga wiary i ufności w te słowa, takie poddanie się wielkie dusz pod tę moc, że mnie przeniknął dreszcz jakiś nieokreślony — i w mózgu zaczęły się kojarzyć obrazy z odległych czasów i krain — gdzie smutną, przepaloną ziemią szedł Chrystus, a na Niego czekały rzesze nędz wszelakich, a On dotykał ślepych oczu i ślepi widzieli; mówił umarłym: „Powstań!“ i zmartwychwstawali, a te zbolełe, uciśnione dusze, jak kłosa schylały Mu się do nóg i śpiewały: „Hosanna! Ho-

sanna!“ a On odchodził smutny, jak był przyszedł i, błogosławiąc, szeptał: — „Póki światłość macie, wierzcie w światłość“.

Na placyku gromadzą się już do odejścia.

Zobaczyłem pomiędzy wozami te trzy głowy, ale nim się przecisnąłem, znowu zniknęły w tłumie.

Po chwili idziemy.

Śpiewy brzmią tak samo i dźwięczą jakoś energiczniej, długa karawana wozów zamyka pochód. Idziemy gładką i dobrze utrzymaną szosą. Drzewa czernią się w dal szeregami. Obszary zieleni coraz większe. Figury i krzyże gęsto stoją, a przed każdym brat starszy zatrzymuje się -- i jest jedna głucha chwila ciszy, aż raptem wszystkie głowy się chylą, wszystkie kolana zginają i ze wszystkich piersi zrywa się pieśń hołdownicza i rozplywa nad polami.

Już zaczynałem czuć rodzaj ociężałości i zmęczenia, gdyśmy doszli do noclegu, a zresztą i słońce czerwona, rozwichrzona głowę schylało za lasy ociężałe...

Ł A Z Y.

Masa ta zalała literalnie wioskę. Nie było domu, stodoły, podwórza, gdzieby się nie tłoczyło kilkadziesiąt osób. I cały ten pobożny nastrój zniknął. Opatrywano sobie nogi, gotowano herbatę, dzielono się zapasami i rozmawiano swobodnie. Wszyscy tłoczyli się do izb i pod dach. Istny jarmark małomiasteczkowy, z całym jego rozgwarem. Na wiosce znać bliskość Warszawy. Bo choć nie mogłem już nigdzie dostać noclegu, łąziłem po chałupach. Zauważyłem czystość izb niezwykle i porządek. Prawie każdy dom ma porządną stancję, wybieloną, są wszędzie stoły nakryte obrusami, serwantki do talerzy, niezłe wizerunki Świętych na ścianach, łóżka wysoko zasłane, okryte kapami, całe sufity i belki pułapowe ozdobione kokardami i wstążeczkami z różnokolorowych papierków. Zimno jest porządnie i zaczyna mi się chcieć jeść.

Z trudem wszyłem się do jakiejś chałupy i wybrałem gorącego, nawpół z wodą mleka.

Usiadłem w piasku przydrożnym, bo trochę cieplej, i delektuję się mlekiem, a mrok się roz-

ciąga nad zielonemi polami i przygłusza się zwolna wszystko. Czarna ściana lasu, stojącego nad szosą, mętnieje i zdaje się rozplaszczać. Kontury drzew, wiosek, wzgórz odległych, zdają się rozpiezchać i zlewać w cieniach granatowych. Cisza zapada coraz głębsza, czasami tylko konie rżą i parskają przy wozach, jakiś głos pojedynczy zabrzmiał albo ostatnia zwrotka pieśni nabożnej zadźwięczy od stodół, lub skrzeczenie chóralne żab nadpłylnie z łąk.

Mgły zwolna osuwają szarością zimną i posępną przestrzenie.

Przyciszone, senne napoły szepty pacierzy snują się pomiędzy domami, jak błyski coraz bledsze, jak te ognie w chałupach coraz rzadsze, aż się wszystko rozprasza, przycisza, zatapia w nocy i odpocznieniu.

W izbie gospodarzy świeci się jeszcze. Idę tam ogrzać się trochę; na słomie kilkanaście sióstr jedna koło drugiej są tak upakowane, że przewrócić się na drugi bok jest niemożliwością. Śpią już wszystkie.

Niezmiernie gadatliwy ten podwarszawski naród: zasypuje mnie bez końca pytaniami:

— Pan z famieliją?

— Nie, sam.

— To i przez żuny?

— Bez.

— Że to kobita puściła w drogę pana samego?

— Nie mam żony.

— Ale?! — rzuca krótkie powątpiewanie gospodyni.

— Naprawdę.

— Ale pan z Warszawy?

— Tak.

— Tam to szykie panowie tak na pieskiego, jak najdłużej przez żuny.

Chwila milczenia, a potem na wyścigi opowiada mi różne kłopoty i sprawy.

Wreszcie gospodyni częstuje mnie kawą. Odmawiam, prosząc jeszcze o mleko i chleb razowy. Daje mi i mówi do starego z przekąsem:

— Widzis, stary!... Bo to, panie, mój się tak rozpuścił w ty Warszawie, że razowego chleba ani w ząb, ino mu muszę pytlowy kupować cięgiem, a na mliko nie spojrzę.

— Takie słodkości, jak mliko i razowiec, to mi już paździerzem w gardle stoją.

I gadają dalej, ale mnie senność tak rozbiera, że idę do stodoły spać.

Znalazłem parę cali wolnego miejsca, okręciłem się cały w grochowiny i sam już nie wiem, kiedy usnąłem...

Śpię w najlepsze, gdy mnie ktoś trzęsie i woła:

— Bracie, trza się powstać.

To siostra obok śpiąca mnie budzi.

Przymykam oczy i opuszczam się w sen ociężale. Boże! jakbym spał jeszcze, ale zimno mnie przenika siarczyste i dzwonki ostremi tonami dźwięczą, a przez szerokie szczeliny stodoły świt rzuca

pasy światła. Rumor powstawań i ta świadomość, że iść trzeba, nie pozwalają mi zasnąć. Wstaję, i choć się trzęsę z zimna, idę w łączkę, na drugą stronę drogi i pod wierzbami jasno-zielonemi, w ciemno-modrej sadzawce czynię ablucję. Woda zimna jak lód, pali prawie, ale orzeźwia znakomicie.

Jeszcze ciemno na świecie.

Na wschodzie zorze ledwie się pyłą różami złotawemi, a drzewa, trawy, zboża — stoją w jakiejś ciszy sennej, przepojonej rosą i jakby nabrzmiewającej życiem. Jest niezmiernie świeżo i jędrnie. Las prawie jest czarny od zieleni wilgotnej i mroków, tylko wysmuklejsze wierzchołki rysują się, jak koronkowe na perłowym tle poranku. Polami płynie szeroki powiew opalu roztopionego, fala świtu pełna czaru i siły; jakby wilgotny i wonny oddech ziemi budzącej się, a od domostw dolatują mnie pienia kogutów.

Zwolna, w tę cichość porankową, w tę perłowość świtu, wlewają się coraz nowe tony — gwarów, rzeń, turkotów wyjeżdżających wozów, głośno odmawiane pacierze.

Gromadzimy się pod krzyżem. Twarze mają senne i posiniałe od zimna, ubiory wygniecione, ale oczy błyszczą jasno. Wyniosły chłop w kapuzie mniszej, nasuniętej na głowę, o ostrych ascetycznych rysach twarzy, podnosi krzyż, ubrany już wiankiem świeżej zieleni, dzwoni i niskim głosem intonuje:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, tobie morze.

I ten tłum prosty podchwytuje pieśń sercami
i śpiewa ją z uniesieniem, przepotężnie mocnym
głosem:

Tobie śpiewa żywioł wszelki...

Płyną głosy szeroką falą ku tym zorzom zło-
cącym już pół horyzontu, rozsypują się kaskadą
nad tą ziemią szeroką, brzmia nad chatami, prze-
nikają w łany zbóż, i jakby rozpylone kołyszą się
i rozsnuwają w opalowej przestrzeni, dźwięczą
w echach leśnych, w kwiatach sadów, i jakby za-
silone głosami przyrody wznoszą się hymnem, peł-
nym mocy, i mówią o dobroci i potędze Pana,
i rozpętane ze wszystkiego, co brudne, co nędz-
ne, co przemijające — unoszą serca rzeszy nad
światy. O, potężna to pieśń, potężna pięknem,
jakiego jeszcze nie odczuwałem nigdy, i dopie-
ro na tle tych cudów wiosny, jakie są dokoła,
i przez takich śpiewana, wywiera czar niesły-
chany.

Słońce weszło i rozrozumienia wszystko i wy-
złaca.

Idziemy prędko, ale chciałoby się gdzie poło-
żyć w brózdzie, w tych żytach kłoszących się i chcia-
łoby się tylko patrzeć w błękit, słuchać pieśni
skowronkowych, szumu drzew i zatapiać się w tej
mocnej pieśni, co teraz dzwoni niby hejnał radości.
Piersi wdychają wiosnę, a oczy błędzą rozmarzone...
Mijamy lasy, aż kipiące od świegotu ptactwa, pola
jak okiem sięgnąć, przepysznie uprawne i zielone,

wioski, gdzie jabłonie w różowych pąkach całe, a grusze jak śniegiem obsypane kwiatami. Masy bzów dyszą wonią i stoją niby obłoki fioletowe. Jedenaście wiorst przechodzimy bez śladu zmęczenia i bez odpoczynku.

TARCZYN, OSADA.

Czworobok wypełniony przeważnie murowanemi domami. Czuć tu jeszcze Warszawę. Tablica na rynku powiada, że miasteczko ma 74 domy, a jakiś cicerone miejscowy objaśnia mnie, że prócz wielu instytucyj publicznych Tarczyn posiada 24 szynki, czyli, co trzeci dom — szynk. Dostateczna liczba. Kościół, w jakimś bezstylowym stylu, wznosi na szosę ciężką fasadę. Nad boczną przystawką, tworzącą rodzaj kruchty, stoi kamienny Chrystus. Kościół wewnątrz bardzo skromny. Nad wielkim ołtarzem kolorowe okrągłe okno rzuca chmurę barwnego światła. A zresztą, nic do oglądania. Odpoczynek ma być kilkugodzinny, więc wychodzę poszukać co do zjedzenia.

— Bracie — szepcze mi jakaś siostra, tak zawołowana, że nawet kawałeczka twarzy nie widzę. — Nie wiesz, bracie, czy już wszystkie wozy przyszły? bo ja swojego znaleźć nie mogę.

Pytam się o woźnicę, o konie.

— Brunet wysoki, wóz w parę koni.

Idziemy szukać i znajdujemy, ale pokazuje się, że ów chłop ani brunet, ani wysoki, ani ma parę koni.

Na rynku na długich stołach, obstawionych ławkami, pełno samowarów blaszanych i parujących garnków, poprzekładanych stertami bułek i chlebów.

— Bracia pobożne i siostry! Chodźcie na herbatę: dwa grosze bez cukru, cztery z cukrem. Chodźcie, ludzie pobożne, na barszcz świeży i kapuśniak gorący! — wołają przekupki.

Siadam obok studni do gorącego barszczu na kiełbasie z kartoflami. Pomimo, że go czuć tylko trochę starym kaloszem, smakuje mi ogromnie. Zapłaciłem 16 groszy za to śniadanie. Siostra jakaś obok piła herbatę i, wysupławszy ze szmatki szóstkę, bije nią w stół i targuje się do upadłego.

— Cztery grosze szklanka herbaty! Loboga, i za co to tyła pieniędzy! Troszkę wody, żdziebko cukru i cztery grosze. To we Warsiawie płaciłiśwa ino po piątku, ale dobro była, bo i słodziutko i jaże czarno.

— Na odpust siostra idzie, a targuje się niby na jarmarku — mówi sprzedająca.

— Odpust odpustem, a co zdzierstwo, to zdzierstwo. Hańdryczyta kiej Żydy! — woła dobitnie, ale płaci i odchodzi.

Nadchodzi cała gromada sióstr wiejskich, przeważnie młodych i brzydkich, obsiada studnię, rozkłada tobolki, wyciąga chleby, i posilają się jedne, a inne myją się, czeszą, robią rodzaj toalety. Ta

siostra woalowa, która siedzi naprzeciw mnie, czerwieni się ze złości i syczy:

— Co za chamstwo obrzydliwe, na środku rynku się rozbierają! — i pluje z obrzydzenia.

— Kiedy siostra taka pani, to czemu idzie z chamstwem? Trza było poczekać na szlachecką kompanję — mówi spokojnie jakaś starsza.

— Że my chłopcy, to każdy wi, ale co jest siostra, to ino niektóre wiedzą — dorzuca znowu któraś, ale już zgóry i ostro.

Wynoszę się, bo mi wstyd poprostu za ten woal.

Spotykam te trzy welony tajemnicze; idzie z niemi jakaś starsza kobieta o bardzo szlachetnych i smutnych linjach twarzy i chłopczyk może dziesięcioletni.

Otoczyły ich kobiety i wołają z podziwem:

— To i to dzieciątko ochfiarowało się do Częstochowy, i piechty idzie!

I błogosławią mu głośno:

— Ażebyś dziecko kochane urósł, aby ci Najświętsza Panienka wszystko najlepsze dała, kiedy do Ni idziesz, robaku kochany!

Chcę się przyjrzeć zbliska — choć przez zasłony — tym siostróm, ale mnie zatrzymuje:

— Bracie serdeczny!

— Odwracam się i spostrzegam twarz młodą, ale tak czarną i zmizerowaną, tak przegryzioną jakimś cierpieniem, że zostały tylko rysy i wyraz

opuszczenia beznadziejnego w dużych, jasnych oczach.

— Ty, bracie, z nami?.. do Częstochowy? — pyta się, a ja z rozkoszą słucham jej śpiewnego głosu i widzę, że z trudem gryzie czarny i zeschnięty chleb.

— Tak. Siostra chora? — pytam się, widząc, że się ledwie porusza.

— Toż nic. Matka Boska wyzdrowi, ja się Jej ochfiarowała i idę aż z pod Łomży. Ja cię, bracie serdeczny zatrzymała, co byś mnie poratował. Mnie na Pradze złe ludzie wzieni 15 rubli. To zły mnie tak podchodzi. Nic, nie zakłęła nawet, pomodliła się i idę — dobre ludzie pomogą, cobym doszła, brata proszę, bo chamstwu wstyd powiedzieć, człowiek do Paniienki Najświętszej może się poniewierać i giąć, ale przed chamem nie honor.

Dałem jej, co mogłem, bo byłem przekonany o jej istotnej potrzebie.

Nieźle już odróżniam szlachtę zagonową od chłopów i od tej garstki z Pragi. Chłopi idą zawsze kupą, rozkładając się na największym słońcu i bezładnie, mają rysy grubsze, ale mniej zmęczone. Szlachta skupia się koło wozów, zajmuje ławki przy stolikach, szuka cieniów, wybiera drogi lepsze, ciszej mówi; są dyskretniejsi w różnych funkcjach i mają w twarzach, przeważnie regularnych, jakąś cichość i godność, zamkniętą w sobie.

Noszą głowy wyżej i mają wygórowaną świadomość kastową.

Prascy — poszukują najpierw szynczków.

Poznaję tę twarzę zmiętą, rysy niespokojne, spojrzenia buńczuczne. Krzyczą głośno i starają się wszędzie trzymać prym. Dopiero dzisiaj spostrzegłem te ogromne różnice pomiędzy nimi i te antagonizmy ciche na każdym kroku. Chłopi, a szczególnie łyczkowie miasteczkowi, pokpiwają sobie z braci szlachty.

Ach, ci łyczkowie, wszędzie są, wszystko wiedzą, wszystkim dają rady i wszędzie węszą zarobek. Wszystkie wozy do nich należą. Pochodzą ze Stanisławowa, Radzymina i Nowo-Mińska. Przeważnie jadą dla zarobku. Są tacy, którzy po cztery razy przez lato jadą do Częstochowy i zarabiają na czysto po 30 — 50 rubli.

Kiedy te słowa notuję, siedząc na jakimś wozie, przychodzi dwóch żydków i najspokojniej ogląda mi buty. Ciekawym, co z tego będzie, aż jeden mówi:

— Wielmożny pan nie dojdzie do Częstochowy. Żelówki koniecznie trza nowe, za godzinę się zrobi i tylko rubla kosztuje -- i zaczyna mi ściągać but.

— Idźże do licha! — mówię mu słodko za jego troskliwość.

— A jaj! takie paskudne słowo. Jak pragnę sumiennie, coby wielmożny pan doszedł do Matki Boskiej, tak pan nie dojdzie; żelówki ma pan jakie!

co to jest? to jest papir, co to papir? — bybuła rozmoczona! Czy wielmożny pan myśli, co to taki spacer po Saski ogród?

Ja się tutaj nic nie odzywałem, a on kończy rozniewany:

— No! nie chce? to będzie szedł przy butach, nie w butach — i odszedł.

Słońce zaczęło tak przygrzewać, że trudno było wytrzymać. Wyszukałem sobie schronisko w jakimś szynku i poszedłem spać.

O drugiej po południu wyszliśmy do Grójca, 12 i pół wiorst. Słońce praży okropnie i taki kurz, że po kilku minutach mam go pełne usta. Zostaję trochę w końcu, aby przejrzeć wozy. Okolica, przez którą przechodzimy, pofalowana wzgórzami, grunta niezłe i wszędzie zieloność wspaniała. Wsie zaledwie się bielą ścianami przez sady i zboża rozrosłe.

Na wozach kilkanaście starych kobiet, którym sił zbrakło, i chorzy, jadący na odpust prosić o zdrowie. Siostry witają mnie słowem bożem i rade gawędzą. Jedna z nich szczególnie pociąga moją uwagę. Jest bardzo stara, zwróciła na mnie niezmiernie pomarszczoną i przejrzystą, jak воск bli-chowany, twarz i pyta:

--- Brat z nami? -- i świdruje mnie cudownie fiołkowemi oczyma.

— Tak. Cóżto, siostra iść nie może?--pytam.

— Dwadzieścia już років nie chodzę. Pan Jezus chciał, tak cóż robić! A przede śmiercią ze-

chciała zobaczyć Panienkę Najświętszą, poprosić o letkie skonanie i prędkie.

Łzy zaszkliły jej źrenice.

— Dlaczegoż o prędkie?

— Bracie, mnie już czas. Sto i dwa roki przeżyła. Na Gromniczną mi się skończyło. Zachciałeś, bracie, cobym dłużej żyła, kiedy mnie tęskno do swoich.

— Siostra sama, bez dzieci?

— Miałam, bracie, miałam. Ośmioro tego było. Chłopcy, jak wojewodzice, dziewczyny to i starościańskie ładniejsze nie były. Ot, przeszło wszystko, została sama, jak kokosz. Pisklęta moje wziął i człowiek i mór, i Pan Bóg. Dwadzieścia lat sieroténka ja. Ani mnie wnuków, ani familji żadnej, jak ten palec... Cóż mnie robić na świecie?

I patrzała po zbożach, co się roztaczały obszarem wielkim, co się kłaniały młodemi kłosami, po wiśniach przydrożnych, z których wiatr ostatki kwiecica strząsał na jej srebrne włosy, po błękicie niebios. Wsłuchiwała się w śpiewy braci, idących przed nami, w te jakby przyblakłe tony, co się lały w świat strumieniem coraz przejrzystszy. Nie śmiałem przerwać tej zadumy, bo mi się wydało, że ona widzi przed sobą tych wszystkich swoich, że rozmawia z marami i jakby błogosławi wszystkiemu zamierającym jestestwem.

— Pięknie tu u was bracie, i naród zbożny i ziemia złota... W Częstochowie nie była jeszcze... Przez pięć roków, choć kaleka, przędła i składała

grosz do grosza, cobym tylko mogła jechać do Najświętszej. Ot — i dała mi Panienka święta doczekać i tak się zapomóc, co Jej mogła jeszcze kupić koraliki. Sto złotych za sznur dała...

I mówiła tak długo, a ja milczałam, bo mnie ogarnęło rozmarzenie, bo mnie przejmowała melancholija tragiczna tego życia tak długiego i tak samotnego, i ta jej wiara, i ta jej moc niepożyta, urągająca czasom i ludziom.

— Mnie bardzo tęskno. Ludzie poszanują, pohonorują, ale ja dla nich niema, bo ja ostatnia z tego świata, co już dawno umarłam --- ostatnia. Umrzeć mnie już pora, bracie.

I znowu zapadła w zadumę sędziwą, a ta jej czcigodna głowa, okryta bujnemi włosami, zwisała na piersiach i fiołkowe oczy zwarła w drzemce.

Odszedłem, aby jej nie zbudzić, i utonąłem w gromadzie.

Upałam się jeszcze potęgował, po twarzach i karkach braci pot spływał strumieniami, a oczy zaczęły płonąć gorączką zmęczenia. Szosa podnosiła się precz w górę, aż do Głuchowa, jakiegoś bardzo ładnego folwarku. Stamtąd szła już trochę wykopem, i zaczynał się spadek. Szedłem ścieżką, biegnącą szczytem wykopu, pod osłoną olbrzymich krzaków ligustu. Wtem krzyk ogromny, krótki, przeleciał jak piorun, i cała ta różnobarwna rzesza, idąca niżej, rozpadła się literalnie na dwie połowy, a środkiem, zgóry, czarny koń, zaprzężony do długiego wozu, leciał naoślep, mały tylko chłopak,

wstrzymywał go, jak mógł, ale zwierzę rozszalałe, ze wściekłą siłą zestrachania roztrącało tłum i trawowało. Piórun ani burza nie rozwała tak drzew, jak strach rozsypał tych ludzi. Zrobił się odinęt pełen rąk wzniesionych, głów pochylonych, twarzy posiniąłych strachem nagłym i ciał padających pod konia, staczających się do rowu, biegnących w pola, i słychać było tylko jeden jęk, podobny do ryku, a nad tą masą, drgającą w skurczach, splątana — to czarne zwierzę w popłochu biegnące po rozplaszczonych ciałach. Przejmujący potęgą obraz.

Zatrzymano konia, gdy już wyminął kompanję i roztratował cztery kobiety. Szczęśliwie się skończyło, bo mogło tak samo być czterysta. Zabrano pokaleczone na wóz i odwieziono naprzód do Grójca, do doktora. Płacz się powszechny rozlegał, cień smutku omroczył wszystkie dusze i ścinał je żalością. To też, gdyśmy ruszyli dalej, pieśni nie brzmiały tak radośnie, czuć było w głosach łzy i cierpienie.

Wyprzedziłem wszystkich, bom ujrzał zdaleka grójecki kościół. Jest on bardzo mały. Kiedym wchodził po wzgórzu, na którego szczycie stoi, zobaczyłem te trzy woale, rysujące się na tle starej, drewnianej dzwonnicy; widocznie jeszcze prędziej przyszły. Na cmentarzu i przyległym skwerze pełno było ludności miejscowej, oczekującej na nas.

W kościele chłód mnie owionął dobroczynny i mrok, ale nim miałem czas przyjrzeć się czemu,

już nasi nadchodzili. Starszy brat z krzyżem szedł na czele, a za nim zbitym rzędem, krokiem i z siłą ogromną szli ci, którzy się mogli weisnąć. Szli tak przez kościół w milczeniu i z taką mocą, z takim twardym, bezwiednym wyrazem siły żywiołowej, że się usunąłem trwożnie.

Starszy brat krzyż oparł o ołtarz, i cały ten las ludzi runął z głuchym łomotem na ziemię. Pył się podniósł z podłogi, i jak złota mgła skrył się w pasach słońca i nakrył wszystkich niby obłokiem — a drugi pył, szeptanych pacierzy, wzbijał się pod stropy kościoła.

GRÓJEC.

Bardzo przyzwoite miasto powiatowe. Ma tylko bruki tak śpiczaste, że ledwie iść mogłem. Cukiernię znalazłem, ale nie było w niej herbaty.

— Może być piwo zato... — proponuje mi gospodarz.

Byłbym się zgodził na kwas siarczany, tak mi się pić szalenie chciało.

Zobaczyłem pierwszy raz gazetę od chwili wyjścia z Warszawy, ale dałem jej spokój, bo kosy w drugim pokoju tak się przeraźliwie darły, że musiałem wynieść się prędko.

Po godzinie odpoczynku wyruszamy. Mamy siedem wiorst do noclegu, a na świecie już czerwono i odleglejsze krajobrazy oblekają się w sińść. Zmęczenie czuję dzisiaj znacznie większe; zaczynają mi się plątać nogi i wrażliwość na niektóre rzeczy mam jakoś zaostrzoną. Głowa mnie boli, bo całą drogę trzeba iść z odkrytą głową, a parasol niezupełnie chroni od słońca i niewszędzie daje się używać.

B I E L S K.

Z przyjemnością słucham, że tutaj zostajemy na noc, bo mi już sił zaczyna brakować. Jakaś siostra, miłosierdziem zdjęta, mówi, że ona już ma nocleg dla mnie i dla „delikatniejszych osób“, zamówiony u kościelnego. Zgadzam się z radością, idę do kościoła. Ogromne kasztany, obsypane kwieciami, otaczają go wiankiem i trzymają jakby w ramie zielonej jego korpus wysmukły i ładny. Że nie mam sił tłoczyć się do wnętrza — nawprost drzwi kościelnych, w piasku drogi siadam, aby słuchać nabożeństwa majowego.

Widzę w oltarzu obraz Wniebowzięcia Marji Panny, a wprost zielonych listków geranji czerwone kwiaty osłaniają ramy obrazu, bukiety bzów i narcyzów mieniają się pomiędzy lichtarzami — a z poza tej wonnej osłony wynurza się jasna, pograżona w zachwycie twarz Bożej Matki: ma taką słodycz w podniesionych oczach, i taką dobrocią pełnią jej usta rozchylone, iż patrzenie na tę jasną, czystą postać sprawia mi wielką przyjemność. Organy odzywają się jakąś przyciszoną melodją

litanji, a świece złotemi punktami płoną coraz jaśniej, bo mrok opada zwolna i wlewa się w świat rozróżwiony zorzami zachodu. Lud zalega całą wolną przestrzeń, klęczy na drodze, pod płotami, w ogrodzie, nawprost kościoła, pod rozkwitłemi jabłoniami.

Słowiki, w sadach ukryte, zaczynają swoje pieśni nocy i miłości — wylewają całe kaskady skrzących i niewysłowienie miękkich tonów, a organy brzmią cichą, uroczystą psalmodją, i lud śpiewa całą piersią w ciszy nocy nadchodzącej, opromieniony aureolą fioletowych refleksów, które miedziane zorze kładą.

Nic, tylko mieć czucia tyle, aby objąć i wchłonąć to piękno wszystkiego, co się widzi i słyszy! Dusza jakby się podnosiła ze znużenia, i jakby na tych rytmach śpiewów, grania, pieśni słowiczych, woni i barw rozwijała skrzydła, potężniała, rozszerzała się w nieskończoność i piła rozkosz i zapomnienie w tem źródle piękna. Wszystkie twarze jaśnieją, a wszystkie oczy, utkwione w świętem obliczu, w tej mrocznej głębi, pełnej złotego pyłu światła, rozsiewają blaski, a wszystkie serca zgodnie śpiewają. Czuję, jakbym się zlewał i łączył z tym tłumem obok klęczącym i płynął strumieniem jednym z nimi, w tej pieśni, która się teraz na zakończenie rozlega:

Dobranoc ci, Panno święta,
Bez zmazy grzechu poczęta —
Dobranoc!

Dobranoc, wonna lilijo,
 Niepokalana Maryjo —
 Dobranoc!

Piana tej pieśni, i serdeczność dźwięków, i te odurzające wonie kwiatów, i tyle uczuć tętniących w tłumie — bije w moje serce i przenika je ekstazą. Nowy dreszcz, nowy i potężny. Klęczałbym na tym piasku, pod granatem niebios, przytękanym srebrem gwiazd, wpośród tego tłumu rozśpiewanego. Niech mi tylko nuca, coraz ciszej: „Dobranoc, wonna lilijo — Dobranoc!” — Niech mi tylko kołyszą duszę te brzmienia łagodne, te rytmy jakieś liljowe, te światła, co są dźwiękami, ta harmonja serc zjednoczonych u stóp Niepokalanej, co zda się odrywać od tła i z uśmiechem nieziemskim odpływać w przestrzenie, wiszące nad nami w ciszy.

I klęczałbym tak, bo zdaje mi się, że już zapomniałem o nędzach bytu i — rozpylony, krążę w nieskończonościach błękitnych, jak szata Tej, która odpłynęła przed chwilą, że już nic nie wiem — tylko czuję.

Musiałem się długo trzeźwić na rosie w ogrodzie jakimś, nim przyszedłem do równowagi.

Poszedłem na plebanję zobaczyć się z gazetami. Bardzo poczcziwie przyjął mnie proboszcz miejscowy, ksiądz Grabowski, i na miłej pogawędce przy herbacie, zeszło nam coś do dwunastej.

Kiedym wracał, księżyc świecił, ale koło kościoła, pod kasztanami, panował mrok, przesycony

plamami światła i szczyty wieżyc połyskiwały srebrem.

Potknąłem się naprzeciw wielkich drzwi o jakieś ciało, rozciągnięte na ziemi, i słyszę cichy płacz.

Księżyc podniósł się wyżej i kładł przez gałęzie srebrne błyski na jej głowę pochyloną.

Cisza była głęboka dokoła. Sen roztaczał nad ziemią kojące ramiona — tylko płacz tej nieszczęśliwej brzmiał ostro, przenikał zimnem, i jakby nabrzmiały głosem skarg, które się podnosiły z ziemi w tę noc miesięczną i cudną, roztopiał się gdzieś nad światem.

Nie spałem tej nocy. Leżałem na słomie w izbie kościelnego, przymykałem oczy, ale na próżno. Orgje światła, barw, dźwięków, akcenta płaczów, przelewały mi się przez mózg w konturach jak mgły ruchomych i swoją zgiełkowością pokrywały jakąś ciemną robotę, która się przedła gdzieś pod linią świadomości. Kiedy brzask ubiełił szyby i zaczął się wlewać mętnem światłem do izby, wyszedłem, aby orzeźwieć. Czułem się niezmiernie zdenerwowany i chory. Wszystkie stawy miałem jakby zrosłe, że nie mogłem wprost poruszać nogami, ani rękoma.

A kiedy myję się w jakiejś kałuży, słyszę w izbie jakieś podniesione głosy sióstr. Kłóca się z ferworem.

— Siostra bez pacierza się kładziesz i bez pacierza wstajesz, jak zwierzę!

— Co mi tu będzie siostra od zwierząt wymyślać! Niech mi lepiej grzebienia siostra nie rusza i koszyka nie obmacuje.

— Ja zaraz klękam i modłę się, żeby Bóg nie ukarał siostry zato, co teraz powiedziała.

— Siostra modlitwami nie zamydlisz oczu.

— „Nad grzesznikami zatwardziały mi liść, Panie“ — szepcze, klękając u progu, a ta druga siostra, woalowa, rzuca się jak wściekła i krzyczy:

— Widzisz ją, Faryzejka! Stara Antyfona! Kratówka!

Zostawiam niewiasty i, zapłaciwszy za dach coś 20 groszy, wychodzę.

Zimno jest szczypiące. Mróz pobielił mostki i płoty, a na zbożach pochylonych i jakby we śnie cichych, siwieje gruba rosa.

Idziemy dosyć długo samemi ogrodami owocowemi. Szarość błękitnawa jest wszędzie. Później, z nad stawów, leżących po obu stronach drogi, zwłóczą się zwolna mgły białawe i, niby postawy mokrego zgrzebnego płótna, w poszarpanych kawałach kołyszą się ciężko. Idę takim klusem, że po dziesięciu minutach jest mi już zupełnie ciepło. Kompanja tak się rozwlekła, że przynajmniej na przestrzeni trzech wiorst widać precz ludzi i wozy. Idą skuleni i drżący z zimna, a zresztą ten trzeci dzień pielgrzymki daje się już uczuwać.

Godzina czwarta, a mnie się tak zaczyna jeść chcieć, że nie mogę dać sobie rady; zapasów żadnych nie mam, a karczmy, od samego Grójca, nie

pamiętam, czy spotkałem. Próbuje paść się widokami, ale już nie patrzę, bo spostrzegam przechodzące obok te trzy zawoalowane postacie. Staram się co zobaczyć — ale napróżno. U najwyższej widzę tylko linje postawy piękne i chód powagi. Idziemy w ciżbie obok siebie, ale bez słowa.

— Bracie, dokąd my teraz idziemy? — zapytuje mnie jakiś niski i rudawy brat.

— Nie wiem, ale może siostry-panie wiedzą? — zapytuję nieśmiało.

Trzy głowy robią trzy przeczące ruchy — i ani słowa. Brat zaś powiada mi, że zapisuje od samej Warszawy wszystkie miejscowości — i podsuwa mi pod oczy szarą książczykę, zapisaną bardzo starannym charakterem pisma.

— Ładnie brat pisze...

Chłop poczerwieniał i z pewną dumą mówi:

— Nikt mnie nie uczył, a oprócz pisania i czytania jestem znający się na stolarce, wóz też zrobić zrobię, i dom postawić postawię — a i bydło leкую. Gazetę „Zorzę“ płacę i czytam, a jenszy kurjer też rozbiere. Nasz ksiądz namawiał nieraz, cobym napisał list o tem, co się dzieje we wsi — napisałem, ksiądz wysłał do gazety.

— I wydrukowali? — pytam zaciekawiony.

— Wydrukowali szyćko, bracie.

I podnosi dumnie rozpromienione oczy i patrzy się na mnie słodko. Namawiam go, aby wszystko, co widzi i doświadcza, zapisywał, a jak wróci do domu — niech spisze i pośle do „Zorzy”

— A czy jabym, bracie, potrafił? — woła rozpromieniony i ma w twarzy olśnienie nagłe.

Staram się mu objaśnić, w jaki sposób on to potrafi.

— To pan pewnie jest jakim pisarzem z gazety? — mówi głośno.

Tu trzy osłonięte profile zwracają się trochę, że czują ich wzrok na sobie.

Przeczę i wyprowadzam go z błędu, jak mogę. Mówimy o czem innem, ale czuję, iż mój brat jest pomimo to onieśmielony, bo wciąż mi mówi „panie”. Opuszczam go i pozostaję w końcu kompanji. Słońce podniosło się już trochę i sieje złoto na jasną zieleń jęczmieni, wypija rosę ze zbóż, delikatne piórka prostują się zwolna, skowronki po polach śpiewają radośnie — a hen, po ziemi czarno-złotawej od blasków ciągną się pługi i błyszczą ostrzami, migocą, jak srebrne błyskawice. Gromada bydła pasie się na łące, przeciętej strugą sinawej wody, i coraz to porykiwanie jakieś dojdzie, to głos fujarek doleci z pod wierzb, co młodemi pędami strzelają w górę. Spokój jest tam ogromny, i jakby smutek rozwłóczył się po polach od lasów, zamykających horyzont. My tylko budzimy przestrzenie tą ciżbą swoją i pieniami, ustawicznie brzmiącemi nad głowami. Kurz się znówu podnosił taki, że oddychać nie mogłem, i tak okrył i przesłonił wszystko, że co chwila czułem, iż uderzam lub depczę bosc nogi sióstr. Prawie wszystkie idą bosc, reszta w pończochach obszy-

tych płótnem na podeszwie, lub w łapciach. Mężczyźni przeważnie w butach i łapciach. Tylko prascy bracia paradują w kamaszach. Idę swobodnie, jakoś nie czując zmęczenia. Obok na wozie jakaś tęga, rozrosła kobieta, siedzi i śpiewa z książki, tuż przed nią śpiewają co innego: nie zważa, tylko jakimś dziwnym dyszkantem pieje, a z pod budy wozu odpowiada jej głos męski o bardzo słabem i łagodnem brzmieniu; kobieta coraz to się odwraca i rzuca pytanie:

— Antoś, dobrze ci?

— Dobrze, mamol — szepcze ktoś z głębi, i śpiewają dalej.

Zajrzałem pod budę. Młody, może dwudziestoletni chłopak, leżał w pierzynach. Żółta twarz odznaczała się słabo od kolorowych powłoczek, śpiewał i suchemi palcami przesuwiał ziarna różańca i patrzył przed siebie po polach.

— Antoś, dobrze ci?

— Dobrze, mamol.

Skończyli godzinki, matka z troskliwością niezmiernie delikatną obciska go pierzyną i patrzy mu pieściwie w oczy.

— Chory, bracie serdeczny, chory — mówi, spostrzegając mnie. — Jedziemy prosić Matki Najświętszej o zmiłowanie; może się zlituje nad sierotami...

— Mamol, co to jest to niebieskie? — pyta chory, wskazując kępę wczesnych chabrów w ży-

cie przydrożnem, i czarne oczy połyskują mu pożądaniem.

Zerwałem ich ile było, i przyniosłem. Spojrzał na mnie nieśmiało i z pieśczośliwością dotykał ich ustami. Zdziwił mnie ten ruch, był za miękki na chłopską duszę. Spostrzegł to, bo się spojrzał, i szepce cicho, jakby zawstydzony:

— Tak lubię, że jak się dotknę kwiatka, to mi się aż słabo robi.

— Nie mów, Antoś. Jemu, bracie, doctory zabroniły mówić.

— Dawno syn chory?

A matka na odpowiedź mówi całą historję choroby.

— Dwa lata, bracie, jak ino wrócił z Brazylei, tak się położył i cherla i cherla i nawet mi schnie. Coby to zwierz abo i człowiek stawał moi sierocie na drodze, nie dałabym, jeno jak te ręce słabe mam — zdusiłabym. A tu człowiek musi patrzeć, jak mi zamiera, i nic poradzić na to, nic! Tysiąc złotych kosztują doctory i leki. Jeśli nas Najświętsza Panienka nie poratuje, to pomrzemy razem — bo nie zostanę sama, choćby nie wiem co, nie zostanę...

— Mamuś, ty na mojem weselu będziesz tańcować jeszcze — szepce chory i gładzi dużą, spracowaną rękę matczyną z jakimś smutnem pocieszeniem.

— Ja nie dawałam iść do tej Brazylei, u proga się kładłam, jak suka skomlałam, a nie — zachciał

i poszedł. Poco jemu, bracie? Onze profesję piękną ma, stolarzem jest, grunt jako i domek po ojcu tyż, i mnie tylko jedyną, i poszedł za morze, jak Żyd albo niecnota jaka, co tutaj już ludziom w oczy spojrzeć nie spojrzy.

— Bracie, jakie ładne—mówi chory, pokazując rozrzucone po polach grusze, osypane kwiatem.

— Napłakała ja się, napłakała. Rok tam był i wrócił. To ja, bracie, z tej uciechy dur miała w głowie, sprosiła sąsiadów, zabiła prosię, co mi trochę ssać nie chciało, ale wartało jeszcze ze trzy ruble, i wyprawiła bal, że to ha! Pamiętasz, Antoś?

— Pamiętam, mamó.

I znowu ten blady uśmiech miłości i anemji wykwitł na jego ustach, ale matka zmienia nagle tok rozmowy i krótko rzecze:

— Nie mówili jeszcze, Antoś, do twojego patrona.

Rozkłada książkę i głośno czyta, a chory słowo w słowo powtarza, z tą szczególną uwagą i skupieniem suchotników.

Już miałem odejść, kiedy z poza mnie wyciąga się długa, rasowa ręka i rzuca choremu na piersi gałąź okwieconą gruszy i bratków błękitnych pęk. To jedna z tych trzech zakwefionych; była tak blisko, że przez muślin woalu spostrzegłem profil cudowny i błękitny błysk źrenic.

Snadź słyszała rozmowę naszą.

ŁĘCZESZYCE.

Odpoczynek krótki. Poklasztorny, o włoskiej fasadzie kościół stoi niedaleko szosy, prawie w zbożach. Skromny we wnętrzu, ot kościół oraczy, którzy z tych pól szumiących schodzili, klękali w zbożach, na drodze, i modlili się, mając krzyż przed sobą i te blade postacie świętych, malowane na ścianach, ale tak blade i uduchowione w wyrazach i w tonie, że zdają się być tylko widmami, które w południe unoszą się nad polami. Są to tylko pojęcia kształtów i ciał.

Gmach poklasztorny w ruinie. Otwory okienne, niby orbity oczu puste i porozrywane, wieją smutkiem i ciszą. Po korytarzach kury krzekoczą i banda piskląt tarza się z piskiem w piasku. Pod kościołem kilka wielkich drzew obumiera, dysząc resztkami życia. Po mszy, kiedy ksiądz od ołtarza zaczął przemowę do nas, syk przeciągły zatrząsł kościołem.

— Opętane! — przebiegło po tłumie, i zrobił się wokoło nieszczęśliwych istny wir, kłęb ciał targających się na wszystkie strony.

Przeprowadzono je obok mnie.

Książd mówił dalej, ale ja wyszedłem. Przy szosie, w piasku, wiły się dwa ciała w kurczach. Podrzucały się jak w epilepsji, kręciły wkołko, jak zwierz, gdy go paroksyzm wściekliwości napada, rwały na sobie ubranie, gryzły ziemię i kamienie—to przystawały na chwilę i z rykiem przeciągłym, okropnym, przewracały się nawznak, całe w drgawkach i w pianie. Chwilę dyszały, błyskając przekrwionemi oczyma, wtem jedna rzuciła się do stojącego najbliżej brata, zdarła mu różaniec, wyrwała książkę i zaczęła szarpać i deptać nogami i wyć.

— Ot tobie świętość! ot tobie Bóg! ot tobie Marja... Ha! ha! ha! — śmiała się jakimś wstrząsającym charkotem. — Głupie! Djabeł jest Bóg! Ja jestem Bóg! Ja jestem djabeł! — i zaczęła się znowu tarzać i skomleć krótko, czołgać na brzuchu i wyrzucać piasek nogami.

Jakaś zgroza przejęła wszystkich.

Stał ten tłum w milczeniu bezradnem, niby przygnieciony ciężarem niezmiernym. W twarzach był smutek, strach i zgnębienie. Przyginali karki, jakby spodziewając się bezwiednie, że może runąć na nich to jasne sklepienie niebios.

A opętane stanęły bez ruchu.

Zaczęły krwawemi oczyma spoglądać w twarze, oddychały ciężko i jakby się budziły, bo po twarzach przelatywały im jakieś błyski budzącej się świadomości i stały tak chwilę w słońcu, całe we krwi i kurzu, z twarzami poszarpanemi, w strzępach

szmat i z tem spojrzeniem, które wyrażało ból bezbrzeżny i rozpacz, i krzyk o ratunek — aż się tłum zwolna cofał przed siłą tego wzroku strasznego i skłębiał trwożnie.

Chłop jakiś wysoki, o bardzo szlachetnem i mocnem spojrzeniu, wyszedł z koła i przystąpił do opętanych, wziął je silną ręką za ramiona i przysiął do ziemi.

— Módlta się, bracia i siostry, za te nawidzone, módlta się!..

Naród pokłekał.

Zaszemrały pacierze i głos modlitw, westchnienia, jęki, płacz — zaczęły się zrywać i otaczały te dwie dusze jakby kołem harmonji i współczucia, mistyczną sferą hymnu i błagań. A on je trzymał zgięte i z powagą mówił:

— Mówta, siostry, za mną!

Zaczęły się rzucać, przycisnęła je silniej.

— Jesteśmy dziećmi Marji, wierzymy w Boga i prosimy o zmiłowanie. Wyrzekamy się djabła i myśli nieczystych.

— Jesteśmy dziećmi Marji i t. d., — powtarzały cicho i wolno z akcentami żalu, targającego serca, aż te płacze ludu nabrzmiewały łkaniami i szlochem.

— I Ty się, Panie, coś jest i na niebie, i na ziemi, i w gwieździe kuźdej, i w kamuszczyku, i w trawce najmniejszej, i wszędzie, zlituj się nad nami grzesznemi! — powtarzały coraz ciszej i coraz mętniej, bo łzy zaczęły im spływać po twarzach,

i ciała zaczęły się trząść, i ręce zaczęły wyciągać ku słońcu, i już świadomością chwilową, głębią serc, krwią — żebrać o zmiłowanie, o ratunek. I jakby się zwarły te wszystkie serca w prośbie i w błaganu, bo ze wszystkich oczu płynęły strumienie łez, i jęk się rozlegał jeden, i modlitwy wybuchały coraz gorętsze, i coraz silniejszym akcentem brzmiały w tej ciszy słonecznej.

Nie było nic słyszać, tylko ten chór głosów rozplakanych i żebrzących zmiłowania.

Raptem zaczęła krzyczeć jedna opętana i zerwała się z ziemi, z ogromną siłą odepchnęła chłopca, aż upadł na płot. Ryczały znowu i miotały bluźnierstwa. Paroksyzm powrócił, ale trwał krócej. Wyczerpały się z sił prędko i upadły nieprzytomne. Zanieśli je bracia na wozy, których kilka szło w końcu, najętych kosztem całej kompanji.

Powiedziano mi, że te kobiety pochodzą z Lubelskiego, ale nie umiano bliżej objaśnić niż, że dopiero na widok nabożeństwa albo księdza „djabeł w nie wstępuje“. Zaczynają mi opowiadać dziesiątki wypadków podobnych. Nie słucham już, bo mnie w gardle dusi jeszcze płacz ludzi i te ich proste i szczere prośby.

Pozwalam się wymijać ludziom i wozom, na których wciąż widzę to ślepych, to chromych, to sparaliżowanych, to dotkniętych niemocą, na którą już u ludzi niema lekarstwa. Przesuwa się ta karawana ciał i dusz okaleczających, tak okropny teatr życia — jak sen pełen widziadeł dręczących.

Widzę i czuję przez te grube powłoki, przez wychudzone maski twarzy, mam prawie zupełną świadomość stanu ich dusz i ich cierpień. Widzę, że nie na spacer idą, wiem poco idą. I moje „ja“ sceptyczne, ironizujące, bo wyhodowane w ciasnej komórcze życia miejskiego, cofa się z trwogą i podziwem, stoi zdumione i niepewne wobec tylu cierpień, tylu trosk, tylu boleści... Widzę i czuję, że tu, w tym tłumie, niema prawie serca, duszy, głowy, któraby nie niosła brzemienia niedoli, coby nie szła z ufnością i nie wierzyła, że skoro położy lży swoje przed Panią Najświętszą, skoro Jej wypowie ból swój, skoro otworzy serce zbolące i poprosi o ratunek i zmiłowanie — to wszystko to otrzyma. I coby robiły te wszystkie dusze, bóle, skargi, cierpienia, nędzy wszelakie, gdyby je teraz, natychmiast ogarnął mrok zwątpienia, i nie wiedziały, dokąd iść, i nie wiedziały, w co wierzyć i komu się oddać w opiekę z tą bezgraniczną ufnością?

Ciemno mi się robiło i straszno w duszy na to przypuszczenie i poczułem, że my jesteśmy, jak te trzciny stawów, zeschłe wśród lata i trzepoczące kiściami żółtymi nocom, słońcu, wiośnie: — „Umarło wszystko, umarło!“ — a to tylko one pomarły, bo wszystko obok drga życiem, kwitnie, śpiewa — cierpi, lecz żyje. Zaciężyły mi te lży!

Dopędziłem braci i szedłem razem w tym upale niemiłosiernym. Szosa przechodziła obok lasu sosnowego; żywica rozprażona ciepłem pach-

niała, aż piersi rozsadzało, i młode listki brzoź wydzielaly takie wonie, że cała kompanja szła wolniej i ociężalej. Upał, cisza lasu, śpiewy, które się rozlegały po lesie echami, noc niespana i tyle wrażeń różnorodnych — obciążały mię sennością i jakimś rozmarzeniem halucynacyjnem. Kurz zakrywał wszystko i kłębam i bił nad las, że chwila mi wydawało się, że te głosy powstają z ziemi, że to nie ludzkie są te śpiewy, które popłynęły rozdrożami leśnemi, poruszały korony drzew, młode paprocie i wsączały się w ziejące mrocznym chłodem głębie.

Zaledwie doszedłem na miejsce odpoczynku.

MOGIELNICA.

Mogielnica — to takie sobie miasteczko, jak tysiące innych.

Przez senność nieprzepartą przypominam sobie dużo domów, stojących szczytami do ulic, pod-sienia, wsparte na klocach rzezanych w kolumny. Kościół stoi za miastem na cmentarzu, tam poszli wszyscy, a ja, że już nie miałem sił, układałem się w cieniu lipy, obok stosu cegieł, przygotowanych do budowy nowego kościoła, i usnąłem snem kamiennym.

Spałem coś trzy godziny. Obudziły mnie śpiewy odchodzących braci. Zjadłem coś naprędcę w jakimś szynku i znowu w drogę.

Mamy przed sobą 13 wiorst drogi do Nowego Miasta nad Pilicą.

Okolice coraz falistsza i grunta mizerniejsze. Wsie biedne, domy niskie i brudne, rażą brzydotą i opuszczeniem, roślinność znacznie uboższa. Zamiast topoli przy szosie, nędzne i rzadko posadzone wierzby. Lud jakiś chmurny, szczupły i sza-

ro odziany, robi niezbyt przyjemne wrażenie. Znać na twarzach biedę. Nawet zieleni jest jakaś płowa, bo przez rzadkie żyta i owsy prześwitują piaski.

Pszenicy ani żdźbła w polach.

O parę wiorst za Mogielnicą przechodzimy obok pastwiska, przepelnionego bydłem i stadami gęsi, bo jest nawet strumień pokrytej rdzą wody, o trzęsawiskach objaśniają kępy sitowi i kaczeńce żółte. Banda dzieci pasących rzuca się do nas i klęka nad drogą ze złożonemi rękoma. Wyciągają się ręce sióstr z pieszczotą, ze skibką chleba, z kawałkiem cukru, a te wciąż klęczą; kiedy przechodzę obok ostatniej, której się najmniej dostało, ta łapie mnie za rękaw i żebrze cieniutkim głosem:

— Dajta mi, pobożny bracie, co!

Daję jej parę groszy i myślę, że wcześniej te dzieci są trenowane, bo to ma co najwyżej lat pięć— i przy oczkach niebieskich i twarzy ładnej i czystej wyraz niezmiernie sprytny.

Upał coraz większy, ale że droga dobra i sen mi dobrze zrobił, więc idę jako tako. Mniej rozmów słyszę i biadań, milczą lub śpiewają, upał nie usposabia do pogawędki.

Widzę te trzy woale, że idą z trudnością i prawie na samym końcu.

Wszyscy dzisiaj wyglądają popielato, bo twarze nie opalają się już od słońca — tylko sinieją i przybierają barwę szosy.

Kilka parasoli chwieje się nad głowami, ja swój ofiarowuję tym trzem woalom — i znowu ten łagodny ruch głów i milczenie.

— Nie warszawianki! — myślę sobie.

Bez parasolek umyślnie idą. Odchodzę, ale mnie zaciekawia ta ich tajemniczość i pognębia ten profil najwyższej, spostrzeżony wtedy przez mgłę zasłony. Wydaje mi się teraz, niby Izyda, w tych zwojach muślinu.

Droga precz jest kręta i na różnym poziomie. Pod Nowem-Miastem jest tak spadzista, że poleceno wozom zatrzymać się i jechać później, aby się ochronić od możliwego wypadku.

Nawet jadący na wozach, o ile są w stanie to zrobić, muszą schodzić.

Wciągnęliśmy się na drugi szczyt płasko-wzgórza, i widać już Nowe-Miasto i szeroko błyszczącą wstęgę Pilicy na lewo, a dalej, jak okiem sięgnąć, lasy i lasy. Aż mi się chłodniej zrobiło na myśl, że pójdziemy lasami, bo piekliśmy się po prostu w słońcu. Co kto mógł tylko, to zwłóczył z siebie i składał na wozach, aby iść było lżej. Nawet kilku z praskich braci ściągało dyskretnie w rowie kamasze z nóg.

NOWE-MIASTO.

Kościół i klasztor Ojców kapucynów taki sam zupełnie w stylu i wewnętrznem urządzeniu, jak na Miodowej w Warszawie.

Na dużym rynku przed kościołem już masę stolików zastaliśmy i kipiące samowary. Kilka drobnych kompanij także odpoczywało.

Po obejrzeniu kościoła, niezmiernie czysto utrzymanego i pełnego kwiatów na ołtarzach — idę na herbatę. Przy sąsiednim stoliku lokują się woale; dwa się rozsloniły nieco, ale akurat nie z mojej strony. Ofiaruję im swoje usługi, bo po przeciągłym akcencie poznaję, że to nie warszawianki. Podziękowanie — ale nie korzystają z mojej ofiary, tylko za grzeczność płacą mi cytryną do herbaty. Jużci, że przyjmuję z wdzięcznością, staram się zawiązać rozmowę — nie idzie.

Trzydniowy pieszy spacer zrobił swoje, że nie wiem o czem mówić.

Poszedłem zwiedzić klasztor. W korytarzu pociągam za drewnianą, w formie krzyża, rączkę od dzwonka. Otwiera mi jakiś kulawy chłopak. Py-

tam się o Ojca Prokopa. Prowadzi mnie na pierwsze piętro. Czystość wszędzie panuje zdumiewająca.

Trochę niepewny, stoję przed niskimi drzwiami, nad którymi wypisano: „J. S. V. Procopus“. Każę się pytać, czy wejść można i — otrzymawszy twierdzącą odpowiedź — wchodzę.

Cela jest kwadratowa o bielonych wapnem ścianach i prostej, sosnowej podłodze.

Widzę przedewszystkiem ubóstwo i brak najpotrzebniejszych sprzętów. Prosty tapczan, nakryty grubą szerścianą derą, służy za łóżko i stoi pod ścianą, nad nim krzyż czarny wisi i już nic więcej nie widzę, bo mi wzrok więzi starzec, siedzący w niskim, drewnianym fotelu, pomiędzy dwoma oknami. Przenikać mnie się zdają duże, szarawe źrenice, o niezmiernie głębokiem spojrzeniu, a ta długa, ascetyczna głowa, pobielona nieco siwizną, pomarszczone czoło i twarz surowa, jakby zastygła w zmarszczkach długich i ostrych, onieśmiela mnie nieco. Pierwsi cenobici chrześcijaństwa musieli mieć ten sam wyraz ascetyzmu spokojnego i mądrości.

Przedstawiam się w kilku słowach. Następuje kilka chwil milczenia, w których czuję na sobie ten poważny i badawczy wzrok starca, a oprócz tego spostrzegam dwie wielkie księgi, oprawne w pergamin, leżące na stołku trzciniowym, i kilka kartek jakiegoś rękopisu, o bardzo ostrym i bujnym charakterze pisma, a potem słyszę przyciszony, ale melodyjny głos, zapraszający mnie, bym usiadł.

Przysunąłem krzeselko i usiadłem nawprost.

Rozmowa, którą niżej przytaczam, nie jest literalnem powtórzeniem, lecz streszczeniem; nie jest dosłowna co do formy, ale dosłowna w treści.

— Cóż tam w świecie słyhać, cóż w literaturze? Bo my tutaj echami się tylko karmimy... — pyta, a ja widzę, że ma bardzo miły i dobry uśmiech.

Opowiadam mu, i mówimy o różnych kierunkach, panujących w literaturze i nauce i o tej reakcji na korzyść katolicyzmu i wiary, jaką czuć wszędzie.

— Musiało koniecznie przyjść do tego. Tem lepiej dla tych, którzy prędzej przejrzą. Co to są za legendy o Matce Boskiej, które napisał p. Gawalewicz?

Opowiadam treść niektórych, słucha uważnie i rzecze:

— Tak, to jest najczystsza, jaką znam, poezja uczucia. W tem się najlepiej wypowiada dusza ludu naszego. Bardzo rzeźwiący znużonych strumień...

I patrzy się przed siebie głęboko, a potem powraca do celu mojej pielgrzymki, o której mu zaraz z początku nadmieniłem.

— Myśl bardzo dobra, tylko nie powinno się zrażać i sądzić tej masy z jej niektórych wybryków, nieuniknionych w takiej licznej podróży, z jej szorstkości, z grubych słów, i z prostoty obyczajów, ani z jednostek złych, jakie się wszędzie znaleźć muszą. Trzeba zajrzeć głębiej, w serca. Jakież dotychczas wrażenie pan wyniósł?

— Bardzo głębokie. Uwierzyłem przedewszystkiem w ich głęboką wiarę.

— Jest tam wiara głęboka i serce niezeepsute jeszcze zarazą. Są to najmędrsi z mądrych — wierzą. Nie pytają, nie wątpią, nie dociekają — tylko wierzą. W tem jest ich siła i szczęśliwość.

— Zazdrościłem im dzisiaj tej zdolności wierzenia i tej mocy, jaką czerpią z wiary.

— Nietylko zazdrościć, ale płakaćby należało po takiej stracie — rzekł twardo.

Nie odpowiedziałem nic, bo mnie przesączać zaczęła gorycz jakaś.

— Naprawdę, to wy w nic nie wierzycie, ani w Boga, ani w ludzi, ani w ducha, ani w materję. Oślepiłi się sami, i krzyczą, że nic niema, bo on nie widzą. O głupstwo smutne! Obłąd zuchwały kretów!

— Ojczy, — powiadam — czy ojciec myśli, że to bez śladu przychodzi? że jest rozkoszą nie widzieć i nie mieć nawet myśla się gdzie zaczepić.

— Wiem, i tem więcej mi żal cierpień, poniesionych na próżno.

Przechylił nieco głowę i gładził nerwowo długą, srebrzącą się brodę, potem zażył tabaki z czarnej tabakierki z prześliczną emalją Wniebowzięcia Matki Boskiej na wierzchu i mówił długo, a kończył następującem:

— Źródło nieszczęść jest w nas, w rozumie naszym, a źródło spokoju i szczęścia — tam! —

i wskazał chudą ręką, Chrystusa, rozpiętego nad łóżkiem.

— Idźcie pić do źródła prawdy i dobra, a odzyskacie samych siebie, znajdziecie to, czego nigdzie nie znajdziecie. „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę“ — mówi Pismo Święte. Pocóż więc szarpanie się, walki, gubienie dusz swoich i cudzych, kiedy szczęście przed nami, cel widoczny, a życie tak krótkie?

Milczeliśmy długo, ja przeżuwałem te słowa, tchnące powagą wiary głębokiej, a Ojciec Prokop patrzył znowu w ten wizerunek Chrystusa na ścianie i poruszał nieznacznie ustami, jakby w modlitwie, a wkońcu zapytał:

— Gdzie pan będzie drukował te wrażenia?

— W „Tygodniku Ilustrowanym“.

— Niech wam Bóg błogosławi i dopomaga w dobrem — życzę wam z całego serca, a panu życzę sił i wytrwania. Pijcie z tego źródła, tam jest pokrzepienie i tam szczęśliwość!

Podniosłem się do odejścia.

— Nie zatrzymuję, bo czas na moje pacierze; do chóru nie chodzę, bo moje nogi już nanie.

Pocałowałem go w rękę na pożegnanie, bo mnie ujął tą swoją jasną, czcigodną starością, a on pocałował mnie w głowę i, zrobiwszy znak krzyża świętego nade mną, szeptał coś niedosłyszalnie.

Wyszedłem i stanąłem zaraz w korytarzu, aby zreasumować wrażenie, ale ta twarz pogodna przez

poznanie tkwiła mi w mózgu, i ciągle słyszałem ten głos głęboki, mówiący mi:

— Pijcie z tego źródła, tam pokrzepienie i tam szczęśliwość!..

Szedłem wolno korytarzami, a ze ścian patrzyły na mnie wypętlone twarze Ojców; widziałem brody siwe, oczy przygasłe, rysy surowe, ciała ascetyczne, dusze pełne zaparcia się i poddania; widziałem w brązowych ramach sceny malowane naiwnie, a pełne porywającego uczucia, gdzie zrazu wychylają się dusze proste i zmęczone, tragiczność walk z samym sobą, ofiary z życia, zgiekliwe sceny mordów, gdzie zabijani mieli uśmiech niewysłowionej szczęśliwości, gdzie byli asceci-filozofowie, dusze szczytne w abnegacji, serca płonące tylko jednym uczuciem, uniesienia ekstazy, uśmiechy boskie surowością i dobrocią, wyrazy cierpień bez nazwy. Papieże, kardynałowie, biskupi, prości mnisi, dobrodziejstwo zakonu w stalowych zbrojach, istnienia złamane i w ciszy cel szukające zapomnienia. Hekatomba ofiar i poświęceń. Cały korowód dusz, cienie ciał, dawno rozpylonych we wszechświecie — wszystko to zdawało się poruszać, zstępować z tych płocien, snuć się w świetle korytarzy i cicho śpiewać hymny, przesuwając się obok mnie i szeptać, wskazując krzyż rozpięty wprost okna:

...Tam pokrzepienie i tam szczęśliwość!..

Kiedym schodził, usłyszałem z chóru zakonowego łagodnie brzmiące tony hymnu, śpiewanego

przez Ojców. Poszedłem do ogrodu i wchłaniałem nie tylko piękno przyrody wiosennej, ale i ten spokój, jaki tam panował, tę ciszę, aż jakąś słodką życia odosobnionego i poświęconego jednej idei, ciszę serc, które wierzyły i w odosobnieniu od świata znalazły królestwo zapomnienia.

Siedziałem długo pod jabłoniami, co różowe płatki kładły u stóp i wsłuchiwałem się w te delikatne, konające szmery śpiewów i odnajdywałem w sobie jakieś pragnienie bardzo dawne i bardzo silne — samotności i odpocznienia. Pomyślałem wtedy, że taki klasztor byłby ukojeniem i szczęśliwością dla wielu dusz chorych i znużonych, byłby przystanią cichą dla wykojezonych i połamanych kołem losu.

W zakrystji spostrzegłem dwie opętane; przyszły do spowiedzi, były przytomne i klęczały zatopione w modlitwie. Ujrzałem tylko sine, opuchłe twarze i wyraz okropnego zgnębienia w zalanych łzami oczach.

Nie widziałem już ich potem więcej.

Nowe-Miasto jest przede wszystkim niechlujnem i obszarpanem miasteczkiem. Zakład leczniczy wcale mnie nie olśnił. Młody park rzadki, a drzewa sadzone na zboczu wzgórza — mizerne, o wyglądzie, jakgdyby im właśnie było potrzeba hidropatji. Budowle ciężkie i bez śladu jakiego bądź piękna w linjach. Długa werenda, przeznaczona na koncerty albo widowiska, a służąca zwykle do spacerów w dni słotne — razi brzydotą i łataniną, a ni-

żej, za domem dyrektora zakładu, błotniste łąki nie dyszą wcale aromatami. Czuję, że nie wytrzymałbym tutaj tygodnia, bo zjadłaby mnie nuda i brzydota otoczenia. Może i dlatego tak mi się nie podobało to dzieło rąk ludzkich, że miałem oczy i mózg olśnione przepychem królewskim pól i lasów.

Zastałem już braci, szykujących się do odejścia. Odszukałem woale i poszliśmy razem, niezmiernie spadziłą i krętą drogą, biegnącą wykopem do Pilicy.

Park z prawej strony wznosi się po wzgórzu i biegnie nad Pilicą. Była już 7-ma po południu. Upał się skończył i chłód szedł od tej masy drzew i od wód. Przeszliśmy Pilicę, płynącą szeroko i pełną mielizn i tratew na prądzie.

Z mostów bardzo ładne widoki na park, kościół parafjalny, stojący na szczycie i zakład leczniczy; drugi brzeg płaski, zarosły lasami, nuży jednostajnością.

Zaraz za rzeką skręciliśmy na prawo, na boczną drogę, ciągnącą się przez chude, zaniesione miejscami piaskiem pastwiska, a potem już tylko szli okropnie piaszczystą drogą, przecinającą sosnowe zagajniki i resztki wysokopiennych lasów. Część cięższych wozów poszła szosą; mamy je spotkać dopiero pojutrze w Wielko-Woli.

Znać na wszystkich porządne zmęczenie; sześć mil zrobionych dzisiaj daje się i mnie odczuwać.

Woale mówią monosylabami i idą jakąś twardszą ścieżyną leśną, a ja drogą, bo mniej czuję twar-

dość korzeni i, żeby zabić czas, staram się odgadnąć twarze z profilów, słabo rysujących się przez zasłony, chcąc je dla siebie streścić i zamknąć w jakiejś definicji.

Pierwsza, najwyższa wzrostem, ma chód powolny i nieco pochylony, zmęczenie pewne w linjach postaci, i wyraz ust pełen cichego smętku, i te oczy ogromne, których spojrzenie pamiętałem, zatopione w rozmarzeniu, uśmiech niezmiernie dobry, a zagadkowy smutkiem, głos przeczysty o jakichś łzawych akcentach i powagę wyniosłości naturalnej duszy, która się tutaj źle czuje.

Tak, ta to uosobienie Melancholji.

Druga to „Sprzeczność“; widzę to w każdym ruchu, słowie i linji postawy. „Sprzeczność“ bardzo miła i czynna, ale wiecznie stojąca w miejscu jednym, przez ciągle zwroty i kasowniki wewnętrzne.

Ta trzecia to stanowczo „Zaduma“. Idzie prawie automatycznie i ma linję ciała tak prawidłowo falującą w ruchu spokojnym, jak grecka kanefora. Głowę trzyma prosto; przysiągłbym, że jej szeroko otwarte oczy nie widzą nic nazewnątrz; jest zapastrzona w siebie.

Milczeliśmy i cisza była coraz większa naokoło.

Szmery, jakby nocy rozsypującej zwolna ciennie i szarość, drżały w powietrzu razem z echemi śpiewów kompanji, idącej już daleko przed nami. Dziwno, że tak późno, ale kukulka zaczęła kukać w gąszczach i gdzieś, z nad Pilicy, dolatywało gwizdanie kosów.

Te trzy jasne postacie zaczął przysłaniać mrok i jakby rozwiewać ich kontury; zaczęły przybierać jakieś widmowe kształty i mętnieć, i jakby się zlewać z głębią leśną, majaczą tylko mgłami zarysów i pełną takich stopionych w mroku linii.

Nie mówiliśmy nic, bo tak dobrze śnić marzenia niezupełne w ciszy nocnej, płynące szlakami zórz, które się złociły jeszcze nad lasami, obwijać się myślą o drzewa, kłaść na gałęziach, szemrzących cichą pieśń nocy, kołysać się w mgłach przejrzystych i mieć duszę nabrzmiałą melancholją tej ciszy i pełną olśnień i widzeń snu czarodziejskiego.

R Ó Ź A N N A.

Już bracia nasi rozłożyli się na dobre, gdyśmy doszli.

Woale miały już nocleg naszykowany przez matkę, a ja powlokłem się go szukać.

Wieś niewielka nie pomieściła wszystkich w stodołach i chałupach, więc wielu ludzi układało się do snu po ogrodach i podwórzach.

Po męczących poszukiwaniach, dostałem kąć w izbie pełnej sióstr. Humor panował, bo gęsto rozlegały się śmiechy i żarty rubaszne. Czasami tylko zadźwięczały od stodoły której śpiewy pobożne, a zresztą gwar i zgiełkowość pierwotnego obozowiska.

Siedzę sobie na progu i rozmyślam, zły trochę, bo mi się jeść chciało mocno, a mleka ani chleba kupić już nie było można, ba! wody już zabrakło w studniach, a tu jedna z sióstr podaje mi kromkę chleba i mówi:

— Weźmij, bracie, i jedz! — a jakaś druga przynosi ser, trzecia masło, tak, że wkrótce mia-

łem i miód, i wędliny jakiś skrawek, i placka kawał, przekładanego cynamonem.

Nim oprzytomniałem z tej niespodzianki, siedziałem już na środku izby, w pośrodku jakich czterdziestu sióstr. Zacząłem im dziękować i wyjść chciałem, bo mnie to głęboko rozrzewniło. Nie wypuściły mnie.

— Jedz, bracie, ty się nie honoruj. My wszystkie jedne i swoje. Widzimy, coś ty, choć pan, pobożnie idziesz i przykładnie — nuż mi krajać chleby i podtykać.

Pożywiłem się dobrze i przegryzłem tym cynamonowym plackiem z miodem. Znalazło się i mleko w jakiejś manierce. Potem wyszedłem za gospodarzem domu i mówię mu pocichu, że płacę za nocleg wszystkich. Usłyszała któraś i zaczyna gadać:

— Zachciałeś, bracie, ukrzywdzić dobre dusze, zapłacić za dobre serce groszakiem — to nie jest pocziwie i nie po szlachecku!

Tłumaczę się, jak mogę, nie chcą słuchać, i każda zaraz płaci swoje cztery grosze.

— Ty nam, bracie, zato przeczytaj co z książki — mówi jedna i daje mi jakąś starą ewangelijkę, oprawną w skórę i poowiązywaną sznurkami różańca.

Zacząłem czytać „Dzieje Apostolskie“.

Czytywałem rozmaite rzeczy i w różnych miejscach. Czytywałem obce i swoje utwory, prywatnie i publicznie, ale naprawdę nie miałem ni-

gdy większej tremy, lecz i uważniejszych słuchaczy. Zrobił się w izbie i przed chałupą tłok, bo nagłos czytania naszła siła narodu i słuchała ze skupieniem. Coraz tom musiał odpowiadać, tłumaczyć i uprzystępniać niektóre ustępy.

Czytałem z godzinę.

Zrobili mi jakieś honorowe posłanie na skrzynce, gdzie mi było bardzo dobrze, poszliśmy spać i tak spali trzecią noc pielgrzymki.

Kiedyśmy rankiem zwlekali się, to mi jedna z sióstr mówi:

— Tobie, bracie, być księdzem, adukację masz, czytasz pięknie, i wyłożył ty to Słowo Boże tak, co każdemu ze słodkością do serca weszło. Na pociechę ty, bracie, byłbyś Bogu i ludziom.

Nie odrzekłem nic, jenom się mył w cebratce, i przyszła mi na myśl Warszawa, i włóczęgi nocne z przyjaciółmi, i nasze rozmowy, i rozbijanie zmurzałych form i instytucyj — i chciało mi się krzyknąć tam, do nich:

— Słuchajcie! słuchajcie!

Zeszliśmy się pod krzyżem za wsią i czekamy.

Pytam się o przyczynę. Mówią mi, że wczoraj starszy brat zauważył w kilku miejscach swawolę, więc chce ją skarcić, jakoż po chwili sam staje pod krzyżem.

Tłum zbity w kupę stoi w milczeniu; świt się robi zupełny na świecie i z tej omglonej, błękitnej

szarzyzny wyłania się jakieś mleczne światło i przesącza się zwolna i rozbiela przestrzenie.

Wozy wyjeżdżają naprzód; na jednym spostrzegam te trzy woale.

Pierwsze skowronki zaczęły dzwonić w powietrzu, a bocian, stojący w gnieździe na topoli, przekręcał szyję i klekotał długo. Bydło porykiwało w oborach na ruń, wieś powstawała.

Starszy brat doczekał się, aż wszyscy się zgromadzili, i zaczął mówić.

Przytaczam tylko niektóre ustępy zapamiętane.

— „Gdzie wy idzieta, bracia i siostry? Czy idzieta na jarmarek? — to czemu krzyż jest z wamy! Czy do karczmów na zabawę, albo na wesiele? to czemu pobożne pieśni śpiewata, imienia Boskiego używata? Bo wy nie idzieta na odpust, ludzie, nie! Na noclegach ino śmiechy, swawola, obraza Boska! Na rozpustę idzieta, ludzie, a nie do Matki Najświętszej. I nie boita się kary Boskiej, siostry i bracia? I ma nie być chorób i upadku w bydle i ludziach, mają się wsie nie palić, grady nie bić, pierony nie zabijać, urodzaje być — kiej wy swoją niepoczciwością same chceta tego! I bez waszą niecnotę i niepomiarowanie, przebierze się cierpliwość Boska i zeszle głód, i zeszle choroby, i zeszle ognie, coby zło wypaliły, a wtedy, bracia kochane i siostry, płakać będzieta i biadać, i skandać o ratunek. Grześniki jesteśta bez folgi i upamiętania i takie chceta dojść do Ty Najświętszej Matuchny! O ludzie, ludzie, upamintajta się!“

Wołał ogromnym patetycznym głosem, a płacze zwolna podnosiły się coraz gęstsze i coraz gęściej klękali ludzie i bili się w piersi i kajali przed Panem.

Słońce czerwoną kulą toczyło się, obrzucając skośnie te twarze czarne, zmęczone znużeniem i rozpalone zdenerwowaniem, a brat mówił długo i tak zakończył:

— „I nie bądźzietą jako te zwierzoki, co ryją szyćko, czy to bańdzie kierz ziółek pachnących, czy oset ino. Upamintajta się, bracia kochane i siostry, bo idzietą do Matki kochany, i zajdzietą brudne, i zajdzietą sflażone, niepodobne ludziom, jeno bydłu. I co powi ta Najświętsza Panienska, żeśta nie jej dzieci, jeno wyrodki, pasierzbie i obmierzle! Ament“.

Skończył, wziął krzyż, zadzwonił, zaintonował pieśń i poszliśmy niezmiernie długą linią, bo droga była wąziutka i wiła się skośnie pod górę.

Rozwlekła się ta rzesza na przestrzeni kilkumiorstowej i na tle zbóż migotała, niby barwna wstęga, tkana jaskrawemi kolorami.

Ziemia jałowa i poleśna, napół przegniłe pnie drzew czernieją w żytach i kępki jałowców karłowatych rosną po miedzach.

Idziemy śpiesznie, bo chłód poranku jest orzeźwiający i siły są po nocy.

Jakaś kapliczka stoi na śpiczastem wzgórzu przed nami, a za nią zaraz las ogromny, zdaleka żółcący się pniami sosen, stoi do połowy w mgłach,

które z sapów i moczarów nizinnych się wznoszą. Wkrótce też widzę, jak czoło orszaku, z krzyżem na czele, pnie się pod tę górę, zatrzymuje przez chwilę i spływa zboczem w las. Jest niezmiernie piękny ten przypływ i odpływ, ten sznur węzłów kolorowych, nanizanych na szarej ścieżynce leśnej, tonący w lesie.

Z godzinę czekam na swoją kolej.

Jest tak stroma ta góra, że same nogi nie wystarczają, trzeba się i rękoma posiłkować.

Kapliczka odwieczna, z drzewa, z figurą św. Magdaleny, ciętą w drzewie i polichromowaną po gospodarsku, obwieszoną firankami i strojną w korale.

Kobiety po kilka kamyczków zabierają ze szczytu i ze szczególną czcią chowają.

Pytam się: na jaką to pamiątkę?

— Tę górę to św. Magdalena swojemi rękami naniesła, kuźden kamuszczeł miała w rękach, to ony pomocne są na bolenie zębów.

— To, bracie, tak było — mówi brat jakiś, gdyśmy już zeszli z góry — stare ludzie powiadały, że trzydzieści roków, kiej to słyszałem, że się to zrobiło, jak św. Piotr z Panem Jezusem chodzili po ziemi i uwagę robili, jak się ludzie gospodarzą po świecie.

— Byłoż tak, bracie? — pytam, udając zdziwienie.

— Nie miało być?... Toż w książkach stoi, a i ludzie opowiadają rzetelne... którego to roku,

juści, że akuratnie nie powiem, jeno już tak, jak jest teraz, ludzie były złe i dobre, i różne. Powiem tak, jak słyszałem. Kupił św. Piotr wózek i kunia, bo się Panu Jezusowi święte nóżki docna ściepały i chodzić nie mógł. Siedli se i jada. Pan Jezus, jako gospodarz ztyłu, a św. Piotr na przędzie. Jechali tą drogą, co i my teraz, a pioski były po sękle, kuń się zgrzał, a wóz że to niekuty, skrzyp — skrzyp! Pan Jezus paciorka mówić nie mógł, bo co staje to: skrzyp! — skrzyp. Więc rzeknie: — „Obaczno, Pietrze, co tak piszczy...” — Św. Pietrowi, że się spać z tej gorącości chciało, to ino kunia batem i odpowie: — „To kamyszczeni pod kołami” — a przepomniał wozu nasmarować. Panu Jezusowi się sprzykrzyło. — „Stań i zleż” — mówi. — Św. Piotr kunia zatrzymał i zlazł. „Weźmij siekirę i chodź!...” Poszli w las, Pan Jezus znalazł suszkę i powiada: „Tnij!...” Św. Piotr ściał drzewo. Wytopili smoły, nasmarowali osie i pojechali. Jada, jada, aż tu spotykają kobietę zmizerowaną ostatnio, co lamentuje i skamli się o zabranie. Pan Jezus udał, co nie słyszy. A Św. Piotr mówi: „Droga ciężka, moja kobito, kuń słaby, wóz trzęsie, tobyś se kostki pominszała, idź za koleją, to i tak trafisz, gdzie ci trza, i zdrowi ci będzie”. Pan Jezus nie mógł już ścierpieć i mówi: — „Zabierz, Pietrze”. A Piotr na to: „Ciężko, Panie, kuń padnie, abo kto musi iść piechty”. — „Zejdziesz i pójdiesz piechty!”. Św. Pietrowi markotno się zrobiło, że ino mruknął: —

„A siadoj, babo, choć na kuniec rozwory“ — i drzymie se. — „Skądeś, kobito?“ — pyta się Pan Jezus, a ta ino płacze i lamentuje i mówi, co się nazywa Magdalina, że idzie w całki świat szukać śmierci, bo ludzie ją odganiają jak psa. Pan Jezus zaroz widział, co una była wielka grzesznica. — „Grzeszyłaś bardzo!“ A una ino spojrzała w te święte oczy i zaroz i sie serce skurczyło ode strachu, ale rzekła: — „Grzeszنام, Panie“. — „Nie grzesz więcej, pokute czyn, to ci będzie odpuszczone!...“ I kazał jej Pan Jezus nanieść rękami kamuszczków, aż usypie taką górę, coby lasy przeszła. Św. Magdalina została sypać (niby tę górę, cośmy byli teraz), a Pan Jezus ze Św. Pietrem pojechali, aż i noc sie zrobiła, stanęli se we wsi, co im była po drodze, przenocować. Pan Jezus dał Św. Pietrowi piniądze i mówi: — „Naści, Pietrze, dziesiątkę, idzi i poproś o popasanie dla kunia, bo się bydlątko zgłodziło docna, a nie wpuść komu w szkodę, bo grzych“. Sam poszedł do kapliczki, co stała za wsią, modlić się. Św. Piotr ostał sam i tak se myśli, co jemu wcale nie mniej kuniowi się jeść chce, a bidny był. Tu kuniaczyna przy drodze po pas, aże szumi, i nikogo w polu nie widać. Puścił kunia, a sam poszedł do chałupy, żeby co zjadł. Podjadł se, zapłacił i wyszedł. Kunia pognał dalej ode drogi, spętał na liczkę, a kuniec postrunka okręcił se kole ręki, aby mu kuń nie uciekł, i położył się spać, a kalkuluje, co nim Pan Jezus wróca, to un się prześpi

i kuń się napasie. W nocy gospodarz przyszedł kunia zajmować, Św. Piotr prosił się, ale chłop był twardy i ino chciał półzłotka za szkodę, a że Św. Piotr ni miał, to i jego wzion i zamknął w kumorze. O jutrzni Pan Jezus przychodził i woła: — „Pietrze, Pietrze!“ A tu nic, ino słyhać bez ścianę chlipanie; to jeszcze raz woła: „Pietrze! Pietrze!“. A Św. Piotr na to: — „Jakżeści przyjdę, Panie, kiej me chłop w kumorze zamknął i przez półzłotka ani mnie, ani kunia nie puścił.“ Zapłacił Pan Jezus półzłotek i gniewał się. Bo wypasanie i szkoda bliźniemu to jedno, co złodziejstwo a zabijanie. A chłop obaczył jasność nad głową Pana Jezusa i poznał, co to jest Bóg, więc rychło przyleciał i z dzieciamy i z babą, oddawał półzłotek i prosił: — „Zostań, Panie Jezu, z namy! Z kumory się cieloka przegna, oczyści ją i wybieli, będzie w sam raz, i kuń będzie miał kuniczynę co dnia i parobek pożywienie“. A Pan Jezus poznał, co ten chłop był dobry człowiek, to mu błogosławił cicho i powiedział: — „Zaprawdę, zaprawdę, każdy weźmie zapłatę za to, co robi. Weź, chłopie, półzłotek, bo ci się za koniczynę należy, bo niema takiego króla, abo i pana drugiego, coby nie powinien za to, co bierze, płacić“. I odjechał.

— Może jeszcze brat co wie o Panu Jezusie?—
pytam, zachwycony naiwnością opowieści.

— Nie, już nic nie wiem.

Opuszczam go i skręcam w las, żeby sam pozostać, bo mi zaczęły te drzewa coś mówić i ciągnąć

w głębie. Echa niosły mi psalmodję ludu, coraz cichszą falą zamierającą w jakimś srebrnym szepcie, i tylkom szedł za jej brzmieniem: a las się rozgwarzył blaskami słońca i rozmadlał w ciszy złotawego mroku.

Olbrzymie sosny, jakich nie widziałem jeszcze w życiu, stały jak nieskończony las bursztynowych kolumn, nakryty stropem zielonym, poprzecinanym błękitem.

Żołny, niby czerwone błyski, przelatywały po gałęziach, trzepotały skrzydłami i wydawały krzyk przeciągły, który brzmiał w ciszy, niby jakiś odezwany frazes nokturnu.

Mchy, o niezmiernie miękkim szmaragdowym tonie, słały się dołem, jak wody o spokojnej toni, a przestrzenia szły szmery, brzęki, wonie, szumy, czasami ostatnie echa pieśni uderzały w te potężne struny lasu i rozbrzmiewały dziwnie piękną i słodką melodią, która mi osnuwała duszę i rozpraszała ją po lesie.

Jakiś łagodny, ciepły wiatr przeciskał się przez korony, że drzeć i chwiać się poczęły cicho, a te czarności dziwne i niepokojące, które leżały pod konarami rozłożystych świerków, falowały niby twardy rytm w tej czarodziejskiej symfonii leśnej.

Zatrząsałem się, bo ostra gama śpiewu nadbiegła, niby brutalny, zimny strumień lutego światła, i zakłóciła tę świętą ciszę wrzawą skrzeczącą i zgiełkiem, a mnie się tłoczyły w mózgu czytane niegdys słowa:

I słyszę szum, i słyszę jęk,
Drgające słyszę głosy;
I w sercu mam złowieszczy lęk,
A oczy pełne rosy.

Kompanja odpoczywała zaraz za lasem; poszliśmy już razem do Studzianny.

Stanęliśmy tam na ósmą rano.

Wyszedł po nas ksiądz z muzyką, chorągwi-
mi, feretronami i po przemowie wprowadzili nas
do kościoła.

STUDZIANNA.

Wioska i kościół poklasztorny, po zgromadzeniu ks. filipinów w zepsutym stylu Odrodzenia. Ołtarze barokowe. Kościół o trzech nawach z wybladłemi freskami na sklepieniu, widny i duży. W zakrystji, dosyć ciemnej, wiszą rzędami portrety książąt Kościoła i rycerstwa.

Szczególnie dwa portrety rzucają się w oczy; jeden jakiegoś purpurata, a drugi rycerza w pełnej zbroi i rysim płaszczu.

Zabudowania poklasztorne ogromne i nieźle utrzymane, a poza niemi ogrody, obwiedzione murem wysokim.

Oglądam znowu kościół i widzę, że jest z XVII stulecia, ale w XVIII-ym był z pewnością przyprowadzony do obecnego stanu; znać to po napuszonej niesmaczności ozdób. Co mnie drażni, prawie w każdym prowincjonalnym kościele, a w szczególności tutaj, to rzeźby. Są okropne poprostu. Istna ciesiolka barbarzyńska, wyzłocona i polichromowana przez eunuchów sztuki.

Powracam jeszcze do zakrystji.

Tłok jest przy mnie, kupują obrazki i książeczki z opisem kościoła i cudownej Matki Boskiej Studziańskiej, więc nim się przepchałem do portretów — słyszę:

— Bracia i siostry, ja wam nie mówię: bydło jesteście, trzoda, ale Bóg świadkiem, jak mało ludźmi jesteście — pchacie się i ciśniecie, niby stado.

Kto to mówi nie widzę w tłumie.

Podoba mi się mniej ten portret, bo widzę, że malarz pokrywa swą niemoc sztuczkami, kolorytem wypudrowanym i mdłym i pozą paradną purpurata, który stoi tak, jakby się kazał podziwiać prostakom. Cały sposób malowania efekciarski i płaski przypomina mi marjonetki, strojne we fraki i koronki, strojnisiów stanisławowskich, malowanych przez uczniów Bacciarellego. Malarz nie rozumie już ciała, jak za czasów Odrodzenia, ani wyrazu i myśli wysubtelnionej, jak da Vinci, tylko ma stałe szablony, podług których maluje. Biskupa, króla, rycerza, szlachcica, tak, jak ich sobie przedstawiał w ceremonjale, z całą pompą wystawności.

Już się nie przyglądam temu w zbroi; wychodzę z kościoła i przypatruję się dziadom.

Istna kopalnia brzydoty i potworności. Piękny ten asortyment siedzi po obu stronach przejścia. Naliczyłem 32-ch ślepych, kulawych, niemych, pokręconych. Widzę po sposobie wyciągania rąk i pokazywania swego kalectwa, że to starzy zawodowcy.

Żebrzą niesłychanemi głosami, gną się, płaszcą, jęczą choćby o grosik u „siostrzyczków“

i braci pobożnych, a każdy z nich woła, że jest najnieszczęśliwszy.

Kopalnia typów, ruchów, rzeń, bród, jęków, spojrzeń apostoelskich, a wyrazów twarzy łotrowskich, cały śmietnik dusz ohydnych, bo czuć zdaleka, poza tą maskaradą żebractwa, cynizm wstrętny i obłudę specjalistów. Tylko jeden z całej tej brudnej zgrai wydaje mi się innym. Jest naprawdę ślepy, a śpiewa bez przestanku, a obok siedząca baba wtóruje mu falsetem. Usiadłem za tą parą, aby posłuchać co śpiewają.

Ludzi wychodzi z kościoła coraz mniej, a mój dziad śpiewa:

„Czy to już koniec świata!
Syn traduje ojca brata,
Córka za łeb matkę sięga —
Że cię piekło nie dosięga,
Djablico!..“

I dalej idą już tylko warjanty.

— Nie drzyj się, głupi, po próżnicy, nikt już nie idzie — szepnęła mu kobieta, ale tak głośno, że najdokładniej wszystko słyszałem.

Umilkł i zaczęli liczyć pieniądze.

— Rubel ino. Na psa taki zarobek. Łachmytki jedne, idzie to na odpust przez grosza, kiej dziady.

Splunął pogardliwie, wyjął tabakierę i rzekł:

— Zażyj, babo, spracowałeś się sielnie.

Odszedłem, aby nie mącić odpoczynku spracowanym.

Na placu przed kościołem pełno narodu. Nadchodzi kompanja ze Zwolenia, z gub. Radomskiej, coś tysiąc dusz; idą z księdzem na czele i z chorągwiami. Lud rosły i twarze inteligentne. Kobiety w chustkach, okręconych jak zawoje, w welniakach i zapaskach na ramionach, granatowych w białe poprzeczne pasy.

Odróżniają się od nas strojem, akcentem i jakąś większą ruchliwością.

Oni poszli do kościoła, a ja, że byłem głodny niezmiernie, jeść na plac. Kapuśniak był obrzydliwy, herbata jeszcze gorsza, ale wyboru niema.

Wyspałem się w księżym ogrodzie, na murawie, w cieniu jabłoni, pokrytej zupełnie kwiatem i pszczołami, biorącemi miód. Ażeby się choć trochę obmyć, idę do sadzaweczki, pełnej brudnej i zanieczyszczonej gliną wody. Już tam nad brzegiem myło się dosyć ludzi.

Jakaś siostra wygarnęła masło na szmatkę, ogląda garnek pod słońce, a potem śpiewnie mówi:

— Ty mi, Najświętsza Panno Studziańska, przebacz co powiem, ale tego psubrata lepigarka niech jasna cholera potłucze!

I wali z wielką, płaczliwą irytacją garnek o ziemię.

— To grzech, siostro, tak pomstować przez marną glinę — rzecze surowo brat jakiś.

— No, mój braciszku. Jeszcze roku niema, jak dała za niego dwudziestkę w Węgrowie, i już feler i cały garnek nanic.

I rozżalona, wśród śmiechu braci, zbiera masło, przeciekające jej przez szmatkę, i odchodzi.

Zdobyłem miejsce przy kałuży; obok mocząca nogi i czesząca się siostra pyta:

— Brat z jakiej kompanji?

— A siostra?

— Ja, z Ciepielowskiej.

— A ja ze Zwoleńskiej.

— To dobrze, bo w praskiej to idą same złodzieje — mówi z głębokiem przekonaniem.

Nie wyprowadzam jej z błędu, tylko myjąc się, słucham rozmowy dwóch braci, siedzących za mną. Jeden z nich powiada:

— Na gruszki się ma, to zboża nie będzie.

— Brat zdaleka? — pyta drugi.

— Nie, zaraz z pode Warszawy.

— I w butach całą drogę?

— A całą.

— Toż szkoda, braciszku.

— Cóżto, buta będę żałować, a nóg nie! To ino szlachta boso idzie; nas stać jeszcze na obucie, chociażma chłopcy — mówi uszczypliwie.

— To i cóż, toż my i tak szlachta ze szlachty, a ty, bracie, chłop, to i cham.

— Taki szlachcic, co gołkiem i piechty chodzi, to u mnie stoi grosz.

— I pieszo i boso, a zawsze, mój bracie, co szlachcic, to szlachcic. U mnie, bracie, i obejście i delikatność, i honor swój jest, a ty, bracie, gli-niany, gruby człowiek jesteś.

— A bracia cieńkie ludzie jesteście i delikatne, bo przypowiadka powiada:

„Torba kaszy, torba mąki i torba słoniny —
Ma Podlasiak na rok cały leguminy“.

Szlachcic się zachnął, ale ciągnął słodko:

— Żeby ty, bracie, nie był ordynarny człowiek, toby tego nie mówił, co głupie powiedziały, ale znać, co kiedyśmy władali, to wy jeszcze chodzili na bałyku i baty brali, mój bracie.

— A jest taka druga przypowiadka:

Szlachta zagonowa: jeden kradnie, drugi chowa.

— Ot cham jesteś, czysty cham, mój bracie!..
I odszedł, nie tracąc spokoju.

Masy okolicznych chłopów, w niezmiernie barwnych strojach kręciły się pomiędzy naszymi braćmi. Kobiety całe na czerwono, a chłopci w białych kapotach samodziałowych, czerwonych spodniach i spencerkach, w kapeluszach niby garnczki do mleka, przewrócone dnem do góry i obwiedzione galonem podwójnym lub aksamitką. *

Kiedy tak się przypatruję tym ludziom, przystępuje do mnie jakiś młody, może 18-letni chłopak, w bluzce, słomianym kapeluszu i perskich pantoflach na nogach i pyta:

— Brat z Warszawy?

— Tak.

Widzę ładną, cherubinowo ułożoną twarz tego braciszka.

— Nie wie brat, przez kogo erygowany ten klasztor?

— Jużci, że nie wiem.

Nie odzywa się, tylko z sykiem bolesnym siada, ściąga pantofle, wyjmuje flaszeczkę i zaczyna okładać swoje popuchłe i poobcierane nogi wodą gulardową.

— Nie dojdzie brat do Częstochowy — mówię ze współczuciem.

— Dojdę. Matka Boska mi pomoże i choćby na czworakach, to dojdę — odpowiada z jakimś tkliwie seraficznym uśmiechem.

Maskuje spryt naiwnością i wygląda na typowego „mamisynka“, więc niebardzo wierzę w jego szczerłość.

Idę do woalów, siedzących pod parkanem. W dwóch trzecich są odsłonięte, bo Melancholja nie zdjęła zasłony.

Bardzo miłe i sympatyczne twarze.

Umawiamy się wyjść razem przed kompanją, bo czeka nas droga czteromilowa do noclegu, a już jest godzina druga po południu.

I wyruszamy wkrótce jeszcze lepszemi piaskami.

Za Studzianną okolica zmienia się gwałtownie. Idziemy wydrami, porośłemi janowcem i nędznemi jałowcami. Jest miejscami trochę żyta, ale nad wyraz marne. Horyzont zamykają góry, żółcące się szczerym piaskiem. Stoją niby łyse, odarte z wło-

sów przez wichry czerepy i tylko jakieś kosmyki, strzępy drzew okalają od dołu te wydmy.

Nigdzie ani wsi, ani ludzi, pustka smutna i brzydka.

Uszliśmy wiorst kilka i spostrzegamy po tumanach kurzu, że kompanja niedaleko za nami. Szliśmy ze zdwojoną siłą, ale tamci nadpływali niby lawiną i zaleli nas w jakimś rzadkim sosnowym lesie i przepłynęli, jak chmura. Dopędziliśmy ich znowu o parę wiorst na spoczynku.

Szukamy mleka i chleba, znajdujemy wreszcie, lecz chłop sprzedać nie chce.

— Baby nima, bo jo wim, sprzedać czy nie sprzedać? bababy warczała.

Chcę mu zgóry płacić, bo wiem, że niejedni obawiają się tego „Bóg zapłać“.

— Nigdywa mlika nie przedawali, to i nie wima po wiela — pogaduje, a drapie się po rozczochranym łbie i spluwa raz po raz.

Skończyło się na tem, że „Sprzecznosc“ wyciągnęła z szafki dzieżę z mlekiem i dalejże... ale pić nie było czem, i panie musiały wziąć się do mycia kubków, wiszących we dwa rzędy na ścianie, ale straszliwie brudnych. Wreszcie pokazuje się, że tego mleka jest zaledwie kwarta, a i chleba brak. Mleka nie chce chłop za nic przynieść więcej; chleba przyniósł bochen, ale nowa scena: niema czem odważyć, napróżno mu chcę zapłacić choćby za wszystko, byle ukrajał kawałek. Posłał jakiegoś chłopaka na wieś pożyczyć wagi i mówi spokojnie:

— Ukrzywdzić, ani być ukrzywdzony nie chcę — i bochenek trzyma w garści.

Czekamy radzi nieradzi, choć widzimy, że kompanja odchodzi.

Po jakim takim pożywieniu pytam się:

— Ile drogi do kościoła najbliższego? — bośmy do wszystkich spotykanych po drodze, albo leżących w promieniu jakiej wiorsty lub dwóch, wstępowali uroczyście.

— Bandzie wiorsta z czemś...

Jakeśmy zaczęli iść tę wiorstę „z czemś“, to były dobre cztery piaskami.

Wstąpiliśmy do tego kościołka drewnianego i niezmiernie typowo-chłopskiego, i po jakimś półgodzinnym odpoczynku ruszamy do Konic.

Mamy podobno wiorst sześć i „ocho!“ Piaski, piaski, piaski, i kamyczki czuć opoczyńskie, co to podług przysłowia: „Opoczyńskie kraje, korzec kopę, kopa korzec daje“. Stwierdzam to na każdym zagonie lichych zbóż, a pomimo to wsie znaczą się gęsto długimi linjami sadów wiśniowych.

Ciężka bardzo droga i pragnienie zaczyna palić, a wody nigdzie ani kropki.

Potykamy się co chwila, bo kamyczków ostrych jak krzemienie — mirjady. Woale co chwila dyskretnie wytrząsają piasek z pantofli, i widzę, że niezmiernie cierpią z powodu tych kamieni i pragnienia.

Zostaliśmy znowu naostatku, nawet za woza-
mi, bo sił już było coraz mniej.

Przechodząc poprzecznie wieś jakąś, szukam mleka — niema, wody wreszcie — niema. Kompanja przed nami wszystko wypila, a studnia, jedyna na całą wieś, jest gdzieś w polu. Ha! trudno, dojdziemy przecież kiedyś do wody, ale czuję z pewną trwogą, że każdy ruch zaczyna mi sprawiać ból coraz przykrzejszy, a w dodatku okolica tak brzydka, że rozpacz.

Idziemy wreszcie jakimś płaskowzgórzem, gdzie i drogi twardsze, i zboża ładniejsze, i krajobraz więcej urozmaicony. Pytamy się ładnych i bardzo czysto odzianych dzieci, które poklękały przy drodze i złożonemi jak do modlitwy rękoma i spojrzeniem żebrzą.

— Jak daleko do Konic?

— O hań! — mówią, wskazując las, czerniejący w odległości jakich wiorst pięciu.

Spojrzeliliśmy tylko na siebie rozpaczliwie i idziemy, słodząc tę gorycz i zmęczenie potężne cukierkami, które jedna z „sióstr“ miała przy sobie, i małą sprzeczką, bo „Sprzecznosc“ koniecznie mi chciała dowieść, że konieczyna, której ogromny kawał zielenił się bujnie na stoku, jest grochem, a jeżeli nie, to z pewnością gryką.

Głód i pragnienie oszukiwaliśmy w ten sposób, ale zmęczenie nie dało się stłumić.

Odpoczywamy co pół wiorsty, bo „Melancholja“ zaledwie trzyma się na nogach. Przez woal dopatruję jej bolesnego zacięcia ust i wysiłku ostatecznego.

A tu i słońce już zachodzi, stanęło nad cudownie miękko falującą linią wzgórz lesistych, rozpalilo się do czerwoności i bezrzęsą, ogromną kulą zapada. Prawie widać, jak leci, a głębokie doliny przed nami pełne są mgieł perłowo-błękitnych; purpura zachodu przesycą je zwolna, że robią się liljowemi, a potem mają ton heljotropu o białawem obrzeżu. Zboża i drzewa stoją bez ruchu, cichość wyłania się z mroków i zdaje się snuć rozłogami i rozpylać w coraz głębsze milczenie. I taką powagą zadumy melancholijnej obleka się świat, i jest tak pięknie, że tylko usiąść, patrzeć i wzdychać.

A potem zwolna mąci się wszystko, gaśnie, rozszerza, płaszczy, rozlewa w cieniach, i coraz to jakiś kawałek lasu, góra, grupa drzew, odrywa się i zapada w nocy i wieje chłodem. Noc się robi, a my wciąż idziemy polami, ciszą, i tą nieskończoną, bielejącą w mrokach drogą.

Czuję się tak wyczerpany, że gdyby nie „Melancholja“, która idzie naprzód, już prawie nieprzytomna z wysiłku, tobym się położył na drodze i został.

Doszliśmy wreszcie do tych Konic.

Kilkanaście chałup wioski pomieściło zaledwie część ludzi i wozów, reszta rozsypała się po wsiach sąsiednich. Rozpacz nas ogarnia, bo nie znajdujemy swoich wozów i reszty towarzystwa. Gdzie szukać? i skąd wziąć sił? Woale mówią,

że choćby w rowie, to się prześpią, ale już dalej iść nie mogą. Znalazłem w najbliższej wiosce jakąś mniej zapchaną izbę dla nich, i ledwie namówił, że tam poszły. Stoję przed chałupą i myślę. Dokąd tu iść, bo stodoły, chlewy i podwórka zawalone śpiącymi pokotem?

— Boże! — myślę sobie, spostrzegłszy obok drogi kawał piaszczystego pola. — Boże! jakże ja byłem głupio cywilizowany! — i ściagam buty, bo mi dolegały okropnie, kładę się w brózdzie i po minucie już śpię, zapominając o wszystkim.

Obudziłem się o świcie, w samą porę.

Byłem napół skostniały i odurzony powietrzem, nie mogłem się podnieść z ociążenia, ani oddychać z jakiegoś okropnego bólu płuc. Zwlokłem się jednak, bo już wszyscy nasi ściągali się pod krzyżem; zresztą nie mogłem chorować, skoro sobie postanowiłem dojść pomimo wszystkiego.

To polami, to lasami, i znowu szliśmy z coraz większym rozmachem siły wewnętrznej, z coraz większym zaparciem.

Słońce paliło, kurz zapierał piersi, zmęczenie obciążało wszystkie członki. trudy obdzierały wprost z ciała, ale we wszystkich oczach i sercach jaśniała coraz więcej — Częstochowa.

Jeszcze nas rozdzielały góry, rzeki, pustki pełne piasków, drogi okropne, skwary, a ona coraz więcej zajmowała miejsca w duszach, coraz więcej je rozplamiała.

Szedłem razem z tym tłumem, bo mi z nim było iść coraz lepiej, bom coraz więcej się z nim rozumiał i jednoczył, a zapominał o reszcie świata. Miałem wokoło siebie tyle do widzenia, tyle do słyszenia i wyczuwania, że niepodobna byłoby myśleć o czem innem.

W I E L K A - W O L A .

Duży kościół poklasztorny. Za drzwiami, kute mi ręcznie w barokowe arabeski, cmentarz, obwiedziony arkadą o prostych, chłopskich słupach, a pod nią stacje Męki Pańskiej, malowane jaskrawo. Dzieło mistrza, którego specjalnością było pewnie ozdabianie malowanymi kwiatami i smokami skrzynek chłopskich.

Na cmentarzu kilkanaście kamiennych i żelaznych nagrobków.

Na jednym z nich napis wypukły:

„Chociaż czyny wielkimi świata nie zadziwił
Był wyższym — Uszczęśliwił“.

W kościele, widnym i utrzymanym porządnie, pełno złocen poczerniałych, rzeźb monstrualnych w ołtarzach, portretów i tablic nagrobkowych na ścianach. Zmanierowany, podrygujący jakby styl barokowy panuje niepodzielnie.

Po mszy lud zaległ cały cmentarz i wielki plac piaszczysty przed kościołem.

Słońce praży coraz lepiej, ale już dzisiaj niewiele kto zważał na to, tylko śpią, jedzą, odpoczywają w tym piasku pod jego promieniami.

Pochłonałem w straganie za całe dwanaście groszy dwie szklanki czegoś, co nazywano kawą, i myślę o spaniu, ale że się spotkałem z woalami, dałem spokój. Panie zajęły chwilowo kwaterę u łyżka jakiegoś i są zajęte gotowaniem kakao i częściowym wyładunkiem prowjantów.

Jezu!.. Nie wiedziałem, że możebne jest takie uprowidowanie.

Mnie, com, oprócz walizki i tego co na sobie, nic nie miał, zimno się robiło na widok koszów, waliz, tłumoków, jakimi był uprowidowany wóz, należący do tych pań. Cały czarby prysnął, gdybym włókł za sobą te masy cywilizowanych uzupełnień. Pomimo tego, kakao piłem z przyjemnością, pierwszy napój od Warszawy o odrębnym smaku i przyrządzony po ludzku.

Potem zjawił się ten seraficzny chłopaczek chodząc z nami.

„Melancholja“ ochrzciła tego chłopaczka mianem brata Serafina, bo nietylko opowiadał o świętych, o słodyczach zakonnego i kapłańskiego życia, o tych widzeniach świętych, jakie miewał w snach: i zewnętrżnością swoją dopełniał słowa. Nosił grzywkę, ogromny różaniec na szyi, brewjarzyk pełen barwnych zakładek pod pachą i miał pełną kieszeń obrazków świętych, modlitw i nowenn, mówił cichym i słodkim głosem ekstatyka, spoglą-

dał w niebo z rozczuleniem i miał uśmiech i pozę świętego młodzianka.

Panie miały humor, choć wyglądały jak z krzyża zdjęte. Przed odejściem powstała ważna kwestja. Wozy i nieznaczna część ludzi miały iść szosą, drogą dłuższą, ale lepszą nieporównanie, a kompanja bocznemi przejściami, ale krótszemi — mieliśmy się nazajutrz rano spotkać w Przedborzu. Objasniono mnie, że ta boczna droga jest szkaradna i okolica bez interesu. Panie i ja zdecydowaliśmy się iść za wozami. Serafin nie dał się namówić.

— Tam gdzie krzyż, tam ja idę — powiedział, wznosząc oczy w niebo, i poszedł za krzyżem.

Gdyśmy się rozchodzili z braćmi, poczułem jakąś dziwną przykrość i całą drogę brakowało mi bardzo tych śpiewów, tego morza głów i tego prądu, który oddziaływał na mnie i ciągnął; czułem chłód osamotnienia i pustki, pomimo, że było nas ze dwieście osób.

Za Żarnowem, świeżo odbudowanem po spaleniu miasteczkiem, zaczęła się okolica coraz górzystsza i lesistsza; droga szła po spadkach, przecinała głębokie doliny i kołowała w różne strony.

Koło Kołońca kraj jeszcze dziksz, góry tylko zamykają horyzont, mało pól uprawnych, tylko lasy, zarośla, topiele i łąki niskie, pełne łozin i olch, a coraz to wody wielkie, stare szyby górnicze, zapadłe i zatopione, drogi wysypane szlaką ostrą, jak szkło.

W jakiejś miejscowości, której nazwy nie pamiętam, widzimy coś w rodzaju młyna, tylko zamiast kamieni i zboża olbrzymie młoty, poruszane wodą, przekuwają sztaby surowca rozpalonego. Przed nami z zieleni drzew ostro się rysują wysokie kominy hut.

Potem droga już biegnie rodzajem grobli, wyniesionej nieco nad poziom; z lewej strony topiel pełna drzew, sitowia, trzcin i wody pokrytej rdzą zielonawą, a z prawej łąki, przerzniete siecią rowów, obrosłych olszyną i poza tem góry i lasy. Dzikość surowa pięknem jakimś pierwotnem, kipiąca głosami dzikiego ptactwa i szumem tych wód rozlanych szeroko.

Odпочыwamy w Kołońcu, górniczej osadzie.

Z trzech pieców czynny tylko jeden, przetwarzający rudę na surowiec. Oglądaliśmy dzięki uprzejmości zarządzającego całą tę manipulację. Wytapiają tylko 100 centnarów surowca na dobę i rudę kupują, bo, jak objaśniono, wygodniej ją kupić i taniej wychodzi, płacąc po 20 kop. za centnar, niż kopać na gruntach własnych, pomimo, że jest i o większej wydajności surowca.

Te zabudowania i piece są jak wyspy na wielkiej przestrzeni wód, trzęsawisk i lasów. Ziemia wszędzie czarna i wszystko, nawet ludzie i rośliny są jakby przesyceni rdzą i tym pyłem ze szlaki.

Rozpatrując się po różnych kątach, spostrzegam pod krzewami bzów tego suchotnika; siedzi

poowijany, a matka stoi pod krzakami na płocie, rwie bez i rzuca mu okwiecone gałęzie na kolana, co chwila się pytając:

— Antoś, dosyć będzie?

— Jeszcze trochę, mamol — i przykłada kwiaty z lubością do twarzy.

Zachwyt ma taki w oczach, że się cofam na palcach, aby mu nie przerwać.

Dziwna dusza!... długo nie mogę się pozbyć z mózgu widma tej wynędzniałej twarzy, opromienionej szczęściem.

Fale szemrzą mi u stóp tak cicho, takimi seledynowemi koliskami się rozlewają, tak te bzy szeroko wydychają wonią, a ten lekki szum, jakim szemrzą wody i lasy, ma taki dziwny czar, że siedzę nad brzegiem długo i usypiam, kołysany ciszą i płynę gdzieś z temi wodami w ciepłe słońca i spokoju...

Obudzili mnie bracia dopiero, zdążyłem ledwie narwać bzu i znowuśmy ciągnęli dalej. Droga ma tylko nazwę, bo nic z właściwości szosy nie posiada, nawet słupów wiorstowych, szlaka pod kołami wozów tak skrzypi piekielnie, że uciekam daleko naprzód, aby nie słyszeć.

Mamy z pięć wiorst lasem, pod sam Fałków.

W Fałkowie jest przepyszna droga, wysadzona modrzewiami, i kościół bardzo stary i bardzo prosty, zwykły czworobok bez najmniejszych ozdób architektonicznych.

Kilkanaście minut przystanku i dalej.

Przed samym zmrokiem dochodzimy do jakiejś wsi, w której mamy nocować. Dwór daje wszystkim koniom schronienie i nam w części. Idziemy obejrzeć kościół nowy, wystawiony przed kilkunastu laty przez właściciela Kołońca, Fałkowa, i wielu innych, pana Jakubowskiego; jest poprostu śliczny. Zaczawszy od ogrodzenia i cmentarza, pełnego kwiatów, aż do posadzki kościelnej, wszystko znamionuje smak artystyczny.

Pierwszy raz od Warszawy, spałem rozebranym i w łóżku; dano mi taką wspaniałą pierzynę, że utonąłem w niej i zasnąłem. Z przykrością się z nią rozstawałem.

I jakeśmy się znowu wszyli w lasy, tak dopiero pod Przedborzem ujrzeli pola.

Okolica bardzo malownicza, tylko ziemia licha, i na chłopskich ziemiach znać w obróbce gruntu najobrzydliwszą tandetę. Wszędzie zboża siane pod skibę i choć to najszczersze szczyrki i miejscami piaski prawie lotne, pola pokrajane w czteroskibowe zagoniki. Zboża też marne, wsie jakieś poobdzierane, brudne i lud jakiś senny i milczący, a karczem dosyć.

Pod samym Przedborzem zeszliliśmy się z braćmi. Powitaniom nie było końca. I już razem weszliliśmy do miasta.

PRZEDBÓRZ.

Bardzo stare, bardzo niechlujne i bardzo żydowskie miasto. Rozłożyło się na stokach kamiennego wzgórza, zbiegającego do Pilicy — i siedzi, jak przekupka obdarta i brudna. Główny rynek ma bardzo stare, piętrowe domy, ale nic charakterystycznego, chyba trochę arkadowych podziemi i szereg domów, których piętro niezamieszkane rozwala się zwolna.

Na placu przed starożytnym, zielonym od mchów, kościołem tłok okropny, bo prócz naszej jest jeszcze siedem kompanij.

Dalej, jak do kruchty kościelnej, nie miałem sił się dotłoczyć, ledwie żył. Tę wczorajszą, blisko ośmiomilową drogę, czułem dopiero teraz.

Szukam następnie jakiej restauracji — niema; znajduję tylko szynk z wymalowanymi na szyldzie szlachcicami i zaproszeniem: — „Wstąp, bracie!”

Wstąpiłem.

Iście średniowieczna nora. Ściany całe okryte scenami pohulanek i zabawy, malunki owe jaskrawe, ale jest szczerłość w oddawaniu nastrojów pijackich.

Na jednej ze ścian siedzi dwóch z waszecia, a pomiędzy nimi wiersz: „Dzień dobry kolego. Każ dać Co Dobrego. Każ dać, ale Zapłać. Bo kredyt Umarł. Bórg nie Żyje“, i t. p. i cała ta starannie malowana ścienna poezja aż się pstrzy od wielkich liter i znaków pisarskich.

Wyszliśmy w południe, w największy upał. Przeszliśmy znowu Pilicę i płyniemy morzem piasków, ale niedługo, bo zaczynają się wzgórza, droga idzie po spiekłej, gliniastej ziemi. Ogromne pola rzepaku kwitnącego ciągną się niby pasy jaskrawo żółtej materji.

Brat Serafin, który idzie z nami, pyta się z naiwnością szczerego Warszawiaka:

— Bracie, poco to tyle maku?

Wybuchamy śmiechem, a jakaś siostra ciągnie złośliwie:

— Do kluseczków, bracie, do ciasteczków warszawskich.

Seraf się rumieni i przyznaje, że nie jest w stanie rozróżnić łodygi kartofli od żyta. Bracia trochę przekpiwają z niego, ale on zaczyna znowu swoją pieśń zwykłą, o kościołach, księżach i nabożeństwach, więc się skupiają koło niego i idą w milczeniu.

Słońce leje wprost ogień na nasze obnażone głowy.

Bardzo ładną okolicę przechodzimy. Same motywy dla malarzy krajobrazów.

Góry okrągłe i wyniosłe stoją w jakiejś słonecznej głąbi, doliny głębokie przecinają strumienie, zdaleka błyskające, partje lasów, wsie poprzyczepiane do zboczy wzgórz, folwarki w długich przejściach pomiędzy górami — a wszystko, jak morze, falujące złotawą zielenią zbóż, pokryte rudawami plamami świeżo zoranej ziemi, polami złotych rzepaków, ścianami białymi chałup i czerwienią cegły zabudowań dworskich. Wszędzie linje łagodne, spadki i wzniesienia spokojne i długie, profile miękkie i opłynięte pyłem słonecznym, i owiane opalowym powietrzem.

A pośród tego przepychu przestrzeni, wiosny i słońca, ten wielki, rozśpiewany tłum ludzi, idący z krzyżem na czele wskroś wszystkiego...

Wydaje mi się chwilami, że te śpiewy kształtują się w jakiejś widmowej kontury, jako przejrzyste cienie ludzi, płyną przed nami w złotym świetle dnia, jak nieskończony korowód duchów naszych, utkanych z materji promienistej.

WIELGOMLYNY.

Nazwisko nic nie objaśnia, bo jest tylko jeden pierwotnie urządzony młynek na strudze, ledwie wlokącej się po piasku wody.

Wychodzą po nas ze straszliwie brzęczącą muzyką.

Kościół poklasztorny, przeładowany ozdobami, poczerniały, obwieszony przebutwiałemi obrazami.

W prezbiterjum wisi historia malowana Świętego Stanisława Biskupa, malowana w jednym, perłowym tonie.

Na sklepieniu i ścianach, przez warstwy wapna, przebijają się barwy i kontury fresków.

Znać, że tędy przeszedł malarz-odnowiciel.

Rzeźby, wcale nie Partenońskie, ale rodzone siostrzyce potwornych, garncarskich lepierek, sprzedawanych po wiejskich folwarkach, jako zabawki dla chłopskich dzieci.

Niedługośmy odpoczywali i poszli na noc do Silnicy, nazwanej przez braci Macochą, bo chłopci miejscowi niechętnie przyjmują na noc.

Udzielono nam łaskawie kancelarji dworskiej na spanie i pęk słomy.

Panie zajęły pokój, a ja z Serafinem sionkę. Jeść mi się chciało straszliwie, ale jeszcze więcej odpocząć; wkopałem się już w słomę, aż tu słyszę, że ten braciszek półgłosem zaczyna śpiewać godzinki.

Czekam, sądząc, że skończy przecież; skończył, ale zaczyna śpiewać co innego.

Rad nierad, wyniosłem się przed dom. Pospuszczane na noc z łańcuchów psy zaczęły docierać zajadle, że musiałem je kielbasą zjednywać. Ułagodziły się i pokładły spokojnie przy mnie.

Taka cisza niezmierna panowała, tak słowiki śpiewały w gąszczach, bzy tak pachniały i księżyc tak cudnie świecił, że ani myśleć o spaniu.

Psy nawet nie drzemały, połyskiwały żółtawymi ślepiami, warczały głucho, a przeciągle i z podniesionemi łbami leżały przy mnie.

Odeszło gdzieś zmęczenie, ból nóg, głód nawet. Napawałem się tą srebrno-fioletową wonią bzów i czarem nocy majowej. Leżałem bez ruchu całe godziny, na tych trawach opalonych rosą i zalanych światłem księżyca.

Zaczynałem majaczyć napół sennie: wydało mi się, że te drzewa parku zaczynają drgać, mieszać się, przyoblekać jakby w ciała, że te głębie przesiane srebrem zaludniają się w widma, te mgły, co puszyły się nad trawami, skręcają się i otaczają te wszystkie cienie w welony powiewające, i cała ta rzesza widm, która mi się co chwila rozsy-

pywała i spływała na nowo, miała jakby jedną, w tysiącnych powtórzeniach twarz Melancholji i zaczyna iść, podnosić się niby na wzgórze, schodzić — a te pieśni, com je tyle dni już słuchał, zaczęły mi dzwonić w mózgu i rozbrzmiewać coraz głośniejsze — w ciszy.

Zdawało mi się, że i ja idę, że mijamy jakieś rojowisko zaledwie spostrzeżonych form i barw, słońce to rano, to nad zachodem, i że coraz szybciej płynę, płynę...

Nie miałem siły ni woli wyrwać się z pośród tego korowodu mar zmęczonego mózgu.

Koguty zaczęły pisać i świat mętniał; poszedłem do sionki, psy wlokły się za mną, ale nim się ogrzałem w słomie jako tako, trzeba było wstać i iść — znowu iść.

Znowu śpiewy brzmiały, krzyż czerniał na przedzie, a myślny szli, mijali lasy, przechodzili wsie, łany zbóż, strumienie i parliśmy się, jak jaka rozpętana żywiołowa siła do tego punktu przyciągania, co tkwił w każdym mózgu i w każdym sercu rozrastał się coraz potężniej i oddziaływał coraz silniej.

Już nie słyszeć było gawęd ani żartów. Pieśni śpiewano żarliwiej i liczniej.

Pod każdym krzyżem czołgano się w prochu, całowano nie tylko krzyż, ale i sztachetki ogrodzenia, kamienie, które pod nim leżały.

Ciała znikwały, pozostawały tylko twarze w rysach i wyrazie, i oczy coraz więcej płonące gorącz-

ką. Milkły indywidualności i zlewały się z sobą. Nie było już znać szlachty, chłopów, mieszczan, kobiet ani mężczyzn, wszystko spływało się w tej jednej, rozpalonej do białości, fali religijnego uniesienia.

Na odpoczynkach walili się na ziemię, jak kłoce drzewa, i za pierwszym odgłosem dzwonka już stali gotowi, już szli i zaczęli śpiewać.

Większość żyje suchym chlebem, który sobie dźwiga na plecach, a nikt nie dba, czy jadł, czy spał, czy jest chory, czy upał lub zimno — tylko pada, podnosi się i idzie z coraz większem napięciem.

Notując te słowa, czuję, że w tej samej orbicie krążę, że ulegam przyciąganiu tego samego centrum. Sypiam pod tem dobrem słońcem, jadam, co jest, jeśli jest, idę, jak wszyscy, śpiewam, częściej słucham i patrzę. Pytają — odpowiadam. Żądają czego — daję, jeśli mam. Nie jem nic więcej i nie piję nad chleb i herbatę. A nie mam tego, to nie idę już szukać po chałupach, bo wiem, że ta siostra, co obok, ten brat, co przede mną, i ci wszyscy dokoła, których przyjazne spojrzenia często odczuwam, pośpieszą mi z kromką w imię braterstwa.

Dałem się porwać strumieniowi i płynę — dokąd?.. nie pytam, bo mi jest dobrze. Czuję, jakbym się coraz więcej zrastał z nimi. Wchodzę w jakieś ciepłe, mistyczne powinowactwo z temi duszami, zaczynam czuć tak samo, t. j. rzeczy naj-

prostsze. Przyjemność ruchu, oddychanie swobodne powietrzem czystym, zadowolenie odpoczynku pod gołym niebem, zwierzęca rozkosz najedzenia się byle czem — i ten sam dreszcz dziwny na widok księży, kościołów, pięknych ceremonjałów, złoceń — i tak samo łzy zalewają mi twarz i spazm rozczulenia skręca mi serce, gdy usłyszę poważny głos organów, gdy mnie owionie mroczny chłód świątyń, gdy księża używają w przemowach pewnych pobudliwych wyrażen: Bóg... kara... cnota... piekło.. Amen... i mówią to patetycznemi głosami.

Zmęczenie i jednostajność odbieranych wrażeń ak mauluje moją wrażliwość, że już wielu rzeczy nie mogę sobie uzmysłwić, o wielu zapominam i dla wielu obojętnieję. Tak się zmęczyłem, że jest mi dobrze z tem, iż mnie nikt nie zna i nie pyta o to, że jestem niczem, jednostką, bratem, cyfrą ogólnej liczby pielgrzymów, a nie żadnym panem N lub X, który się nie może pokazać bez maski jakiej takiej, ucywilizowanej braci.

Nie jestem nawet wolą, jestem tylko pewną sumą mięśni, wprawionych w ruch i zautomatyzowanych, z natężoną ustawicznie czuciowością. Jestem tylko tętnem jednym tego serca, co ma przeszło cztery tysiące głów. Nikt tu nie ma maski, nawet imienia.

Kogoż tu można olśnić i czem... wobec hipnozy, jaką wywiera cel podróży? Będę chory, to mnie wsadzą na wóz i powiozą. Będę biedny, to bez tańczącej filantropji nakarmią mnie, zbiorą wytartych

groszaków i dadzą—i prosto to robią, i szczerze. Umrę — to mi na jakim przydrożnym cmentarzu, gdzie tyle brzoź zielonych, tyle świegotu ptactwa, usypią mogiłę, pokryją darnią, wsadzą wierzbę pla-
czącą i — pójda — a o każdej wiosnie, gdy tędy przechodzić będą, rzuca gałąź tarniny lub pęk sasanek leśnych, i będę sobie spał cicho i marzył słodko do nieskończoności, a żył w ich sercach i pamięci dłużej niż tam — na targowicy świata.

I zapominam chwilami, kto jestem, i wydaje mi się, że zawsze tak żyłem i zawsze żyć będę.

Czyż szczęście nie jest spokojem?.. nie kontemplacją, nie mgłą srebrzystą, w której się zwoł-
na człowiek pogrąża i zapomina o wszystkim, i pozwala się obojętnie nieść falom losu, gdzie się im podoba?...

Łapię się na sentymentalizmie i mówię już trzeźwo.

Basta.

CIELEŃNIKI.

Maleńka wioska z kościołem. Odpoczynek. Chleb i mleko wróciły trochę sił, herbata na plebanji — animuszu.

Dokończony kościół czerwieni się i strzela w górę gotykami. Postawiono go z dwugroszowych składek, jakie niezmordowanie miejscowy proboszcz od lat dwunastu zbiera od pielgrzymujących, bo parafijka uboga i bardzo mała.

Na cmentarzu stoi lipa-olbrzym, kilkusetletnia. Chłopi z jakąś czcią spoglądali na nią i szeptali:
— Laboga! Wielgolud!..

Ze starego kościoła przeniesione portrety rycerstwa i matron ładnie ubierają się plebanji. Patrzą dumnie ci w stal zakuci i te niewiasty w robronach na stadko kurcząt, kąpiących się w piasku, i na tłumy rojących się tak swobodnie obok nich.

Wychodzimy o dziesiątej. Słońce praży jak w lipcu.

D A B R O W A.

Prześliczna miejscowość. Kościół ma tyle różnystylowych przystawek, że żadna nie nadaje mu charakteru specjalnego, ale wewnątrz jest bardzo ładny i niezmiernie starannie utrzymany. Rzeźby są nawet znośne.

Pod chórem płaskorzeźby nagrobkowe z XVII i XVIII-go stulecia, niezmiernie twarde w wyrobie, a na ścianie w bocznej kruchcie napis, głoszący, że kościół doprowadzony został do obecnego stanu kosztem rodzin: Scheiblerów i Herbstów, na których intencję prosi się wiernych o zmówienie modlitwy. Na cmentarzu przepyszny trawnik i stacje Męki Chrystusowej, bardzo ładne.

Widzę, że przy jakiejś rzeźbie, stojącej pod kościołem, pełno ludzi. Oglądają ją ze skupieniem pobożnem i mają pewną trwożność w twarzach i przyciszonych głosach.

Oglądam ją. Jest to rzeźba zupełnie charakteru świeckiego z epoki Ludwika XV-go, sielanka kamienna à la Watteau. Jakiś margrabia w koronkach, w stroju paradnym, i jakaś dama, z włosami

spiętrzonemi à la Pompadour, siedzą na trawie i widocznie szepczą czułościowe i słodkie słówka, flirtując na sposób XVIII-go wieku. Widać w nich rasę strojnisiów znudzonych i wytwornych. Całość banalna, jako wyraz i wykonanie, i poprzegryzana przez deszcz i mrozy. Kamień się łupie i odpada, w szczelinach bioder rośnie trawa. Skąd się wzięła tutaj ta rzeźba, nikt nie umie objaśnić; objaśnia mnie tylko legenda następująca, słyszana na miejscu od jakiejś siostry:

— To było dawno temu. Miała jedna matka dwoje dzieci, chłopca i dziewczynę, lubiła się ona napijać trochę, z kumami rajcować, po sąsiadkach chodzić, a dzieciska co chciały, to robiły — i że były rozpustne i szkodniki, nie dziwota, przy takiej matce. Raz napiła się lepiej, przylata do chałupy — dzieci niema; w parę pacirzy przychodzą, a że pijany człowiek je przez rozum, i una się rozeźliła, kiej suka, za kijanek wziena i prać dzieci — sprąła dziewczuchę, że ino zipała — i do chłopaka. Chłopak nie doł się, za ożóg chycił i w łeb matkę. Rozwściekliła się barzej, jak nie trzośnie go bez pysk, a chłopak ino fajt. Kobite już całkiem rozebrała gorzałka, że się siadła i lamentuje, i wyrzeka: „A bodajsta pozdychały, a bodajsta skaminiały — kiejsta takie!..“ Ino to rzekła, aż widzi co dzieci, co się do siebie tuliły i chlipały z bolenia — czerneją jakoś i siedzą, kiej zdrętwiałe, ślipki stanęły im kołem, a łzy kiej te perły toczą się po pólikach. Kobite strach otrzeźwił, skoczyła do nich, a dzieci

już zimne kiej kamienie, a ino temi ozwartemi oczyma łąy się leją i leją. Narobiła lamentu, zesłi się ludzie, przyszedł i ksiądz, przywieźli potem znającego, co umiał odżegnywać, i nic. Dzieci skaminiały. Nie pogrzeźli ich, bo jak tu grześć w zimim kaminie, co ciągiem płaczą?.. Postawili pod kościołem. Matka aż się pruća z żalości, nie jadła, nie spała, ino siedziała dniami i nocami, a czekała, rychło się te kochane odmienia. Przeszły lata — nic. Co się wymodliła, co wypłakała, co mszy kupiła na te intencje!.. Prosiła się już Pana Boga o śmierć, ale śmierć nie przychodziła. Poszła jednego razu na rękach i kolanach do Częstochowy i tak prosiła, że Matka Boska ulitowała się i przemieniła ją na brzózkę, co zaraz wyrosła w tym dołku, przemiękłym od płakania dziecińskiego, żeby mogła przy nich być ciągiem i choć gałązkami słonić od słońca i plusku, a potym łąy się przestały lać i brzózka uschła. Pan Jezus wine przekleństwa darował i wzion ją do swoi chwały razem z dziećcami...

ŚW. ANNA POD PRZYROWEM.

Sześć wiorst od Dąbrowy przeszliśmy bardzo prędko, bo drogą, lasem i łąkami, obsadzoną po obu stronach drzewami.

Przed kościołem ścisk i ruch ogromny, bo zaraz za nami nadciągnęła kompanja łowicka, i z innych stron było już kilka. Łowiczaki, lud rosły i piękny, znać w twarzach i ubraniach zamożność dawną. Kostjumy mają wspaniałe. Kobiety zupełnie ładne, pstrzą się między naszą szarżyzną, niby maki, całe ponsowo ubrane, wszystkie w trzewikach sznurowanych czerwonymi tasiemkami, koralach i z chustkami białemi w ręku. Mężczyźni w spodniach czerwonych, w pasy poprzeczne białe, żółte i zielone. Kaputki granatowe, obwiedzione sznurkami czerwonymi, kapelusze śpiczaste, czerwone wstążeczki u koszul.

Kościół duży i ładny. Kaplica św. Anny śliczna, utrzymana wewnątrz w najczystszy barokowym stylu. Wielki ołtarz wspaniały.

Do wnętrza klasztoru iść nie można, bo go zamieszkuje jeszcze 10 siostr ze zgromadzenia p. p. dominikanek.

Wychodzimy o 3-ej po południu i mamy jeszcze zrobić do noclegu 31 wiorst, do Mstowa.

Ten przedostatni dzień czują wszyscy ogromnie.

Ołówka trzymać nie mogę w rękę, bo gdy tylko usiądę, sen mnie łapie nieprzeparcie, a jeśli nie, to czuję się tak rozbitym, tak zmieszanym wewnętrznie, że nie mogę wyciągnąć z siebie ani jednej myśli, ani zdania lub obrazu. Spałbym tylko.

Zaczynamy owe 31 wiorst olbrzymią, topologią aleją, w połowie wyrwaną i leżącą na ziemi. Burza tędy przeszła i rozrzuciła, jak szczapy, te olbrzymy. Potem las jakiś, piaski, wsie, pustki i znowu *da capo* to samo.

Choć nas trzymają te śpiewy gromady, zawsze jednakowo drzemiące, i ciągnie tu jakaś siła, wprost rozpędu, pozostajemy za kompanją coraz dalej.

Przez jakąś godzinę widzimy ją jeszcze, mający nam tylko, bo idziemy napół przytomni.

Woale zacinają usta i zdają się spojrzeniami przyczepiać do tych, coraz odleglejszych, sylwetek i wlec się ostatkami nerwów.

Dogoniła nas łowicka, potem przeszła zwoleńska — i długo, niby chmura granatowa, wisi przed nami i znika. Nadpłynęła ciepielowska i jeszcze kilka drobnych i przepłynęły, a myśmy się wlekli, jak osad tego ludzkiego potoku, co z taką siłą płynął naprzód.

Wydało mi się, że coraz to pograżamy się głębiej w jakiejś szarzyźnie, spychani przez mocniejszych.

Zaraz za lasem pytamy: jak daleko do Mstowa? Powiadają, że sześć wiorst.

Uszliśmy ze sześć i pytamy znowu: mówią, że będzie ośm. Więc się już nie pytamy nikogo więcej. Spotykamy w jakiejś wsi ludnej Łowiczaków, już porozkładanych na nocleg. Jedna z kobiet, siedzących przy drodze, radzi Melancholji:

— Niech siostra zezują te tryпки i boso pójda, będzie lekcij.

— I uny same już złażą!... — dorzuca chłop jakiś, widząc strzępy tych pantofli.

Nie gniewa już śmiech, jakim wybuchają, wchodzimy za wsią w step jakiś pełen piasków i kamieni.

Wiatr się zerwał ogromny i tym lotnym piaskiem bił nam w twarze.

Noc zapadała, ale jakaś brudna, a te nagie, pozbawione roślinności wzgórza kamieniste i pustka wrzały smutkiem.

Nie było gwiazd ani księżyca, tylko ten odmęt szarzyzny skłębionej dokoła.

Druty telegraficzne, targane wichurą, jęczały żałośnie nad nami.

Milczeliśmy — idąc w wyczerpaniu ostatecznem.

Nie spotykaliśmy ani wsi, ani ludzi. Czasami się nam wydawało, że z wichrem nadlatują echa śpiewów, że już widzimy światelka siedzib ludzkich, że dostrzegamy sylwetki braci. Nic z tego

nie było. Wiatr tylko prześwistywał, pędził obłoki kurzawy i kuropatwy zwoływały się po polach.

Nogi miałem pokaleczone, a tu co krok stos drobnych a ostrych kamieni, i ta pustka bez końca, i wściekłość niema wobec własnej niemocy fizycznej, ten ból bezsilny, że sobie ani Melancholji, która się chyliła, jak kłos dojrzały, coraz niżej, pomóc nie mogłem.

Nareszcie dochodzimy do młyna jakiegoś; stąd jeszcze dwie wiorsty.

— Dojdziemy — mówi cicho, a ja czuję w jej głosie akcent zdeterminowania spokojnego.

Serafin już się głośno modli jakimś niezmiernie ławym i bezsilnym głosem, ale idziemy, wlecziemy się po tych kamieniach i dochodzimy do klasztoru, gdzie już miała być matka i reszta towarzystwa.

W labiryncie korytarzy, zapchanych literalnie ludźmi, ani sposób odszukać.

Śpią wszędzie; jak kto przyszedł, tak się rzucał i śpi: na schodach, cmentarzu, nawet przy drodze i w rowach pełno ludzi.

Nic — już dzisiaj nikt nie śpiewa, widać śpiących z otwartą książką na kolanach, z ostatniem niemal słowem pacierza na ustach; niektórzy trzymają w obu rękach różaniec i śpią, siedzą pod płotami z chlebami napoczętymi, z tobołkami rozwiązanymi i tylko chrapanie mówi, że wszyscy śpią.

Na deszcz się zbiera, bo chmury się spiętrzają i wloką ociężale, a nagła cisza powiewa.

Idę do księżej gospodyni prosić choćby o kawałek podłogi, byle pod dachem.

— Niema miejsca.

Służąca powiada jej cicho o jakimś próżnym pokoju.

— Ale!.. zaraz!.. Tam bielizna rozwieszona, trzebaby policzyć, a ja czasu nie mam, a zresztą, skoro się państwo ofiarowało do Częstochowy iść, to można spać na dworze — ojej! — i uśmiech ironiczny wykrzywia jej twarz.

Spotkaliśmy wreszcie swoich. Nocleg jest w ciupce, gdzie już ze trzydzieści osób śpi.

Tak było obszernie, że jeśli znalazło się miejsce na głowę, to nóg nie było gdzie pomieścić.

Słyszę, jak Serafin obiecuje jakieś siostrze obrazki, modlitwy, wreszcie pieniądze, byle się choć trochę usunęła, ale wszystko bez skutku. Powietrze jest tego rodzaju w izbie, że bezpieczniej noc kończyć pod wozem na rynku.

Ostatni dzień!... znać to na wszystkich twarzach.

Gdyśmy przeciągali przez puste uliczki owego Mstowa, tom w tym brzasku porannym spostrzegł na bruku krwawe plamy: to ci, którzy idą przed nami i śpiewają, znaczą bosemi nogami bruk.

Wychodzimy na jakieś prawdziwie górskie łożynki. Słońce wschodzi, ale tonie natychmiast we mgle i tylko je lekko zapurpurza. Ścieżki są strome i pełne ostrych kamieni. Okolica górzysta, widać nad mgłami łyse szczyty.

Idziemy tak prędko, że wszystkie piersi rzeżą, a na każdym szczycie i wyniosłości wszystkie oczy zanurzają się we mgle; niespokojne, gorące spojrzenia szukają w tumanach szarawych konturów wieży Częstochowskiej.

Przystają i z wyciągniętymi głowami stoją chwilę...

Nic nie widać, cały świat zdaje się być zatopiony w tej ruchomej masie.

Naraz, jakiś dreszcz dziwny przeleciał po tłumie...

Słońce podniosło się ponad mgły i wdali, wprost nas, zarysował się cień, niby majak wyniosły i zapadł, bo mgły, jakby uderzone siłą światła, zakłębiły się, i jak puchy wyległy rozstrzępione, zakrywając wszystko.

Niby jęk zawodu zaszemrał i zwolna jakby się zawiązała cicha i zawzięta walka pomiędzy tłumem a mgłami.

Rozpalone spojrzenia, o krwawym blasku zmęczenia, tętna serc przyśpieszone, wszystkie czucia spotęgowane, wszystkie głosy o chrapliwym z natężenia brzmieniu, łączyły się i płynęły strumieniem ognia, wsączały się w te mgły i jakby je wypijały, że stawały się coraz rzadsze.

Ten dreszcz, przenikający co chwila, tak oślepił i obezprzytomniał, że darli się wprost naprzód.

Krwawych piętn na ziemi i kamieniach było coraz więcej, ale szli bez uwagi na ból, na krew płynącą z nóg, znajdowali siłę w tej bliskości celu.

Na Przeprośnej Górze zatrzymaliśmy się.

Bracia niektórzy wystąpili z ostatnimi przemowami. Zaczęły się szepty oczyszczania jednych przed drugimi. Głos przemowy brzmiał głucho w mgle, ale nikt prawie nie słuchał. Wszyscy mieli uszy, oczy i serca gdzie indziej.

Zgiegaliśmy prawie z tego stromego bardzo wzgórza i znowu ten dreszcz denerwujący...

Słońce podniosło się i ten majak wieży, odbicie pewnie, jakby się oderwał od podstaw i unosił przez chwilę nad oparami i chwiał, połyskując szczytami, aż go nowa i ostatnia fala mgieł przysłoniła.

Stanęliśmy wreszcie na ostatniem wzgórzu i stali przez mgnienie wpatrzeni, jak te tumany sציגwały się jakimiś warstwami, jak szły skłębione i podarte wgórę, aż przestrzeń czysta została i wszystkie oczy uderzyły się o tę górę z wieżą na szczycie.

— Marjo! — buchnęło jak płomień z tysięcy piersi i tysiące ciał runęły na ziemię z krzykiem radości. Widok ten niby orkan rzucił te wszystkie głowy w proch.

— Matko! — wołały głosy zduszone radością i uniesieniem — i zaczęły łązy płynąć rozradowania, a oczy promienieć miłością; wszyscy się trzęśli w łkaniu, co serca rozsadzało, i nie było ani jednej duszy, ani jednej woli, coby nie leżała w zachwycie łzawym.

I ten płacz tak się podnosił, że przechodził w jęk, w ryk prawie, zalewał mózgi i serca, i stapał wszystkich w jedną bryłę, drgającą w łkaniu, w czucie jedno, wyrывał ze wszystkich serc smutki, bóle, całą gorycz istnienia, wszystkie twarde nędze, wszystko co przecierpiał, i płynął do stóp Tej, którą każde serce widziało, do stóp Dobra i Pocieszenia.

I ta głęboka, boska poprostu, przez moc swoją rytmika płaczów, próśb i entuzjazmu długo dźwięczała w powietrzu, okręcała wszystkie ciała, przepalała je niby wicher ognisty i przekuwała dusze na inną miarę.

Popowstawali i wszystkie twarze rozśloneczniły się nagle, spoteźniały w wyrazie.

Zaśpiewali pieśń do Matki Boskiej i szli z siłą światłości dziwnej w oczach, z uśmiechami na chudych twarzach, pełnych śladów utrudzenia, a akcenty tego hymnu triumfalne, szerokie, jak świat, dzwoniły niby śpiż serc i biły nad ziemią, pełną wiosny i słońca.

Po przemowie jednego z ks. paulinów, weszliśmy do Jasnogórskiego kościoła.

Tutaj — nie jestem w stanie dać nic — com uczuł sam, zostawiam dla siebie.

.

Spałem szesnaście godzin bez przebudzenia.

I kiedym już umyty, przebrany i przebuty wyszedł i zobaczył wszystkich braci i ten ustawiczny przypływ ludzi, to mnie jakiś żal ogarnął,

że się ta wędrówka skończyła, że rozlecimy się wszyscy, jak liście jesienia, aby się już nie zejść nigdy; żal rósł i niechęć do powrotu w jarzmo szarego życia, w ten codzienny kierat życia miejskiego i cywilizowanego.

Musiałem znowu stanąć w szeregu ponumerowanym i poznaczanym nazwiskami. Musiałem znowu zostać „panem“ i uważać, czy nie nastąpię na jakie wielmożne, tradycyjne lub uświęcone zwyczajem odciski, i kapelusz mieć w rękę, a maskę na twarzy!

W niedzielę, w półcieniu chóru zakonnego, spostrzegłem „Melancholję“; klęczała zatopiona w modlitwie. Czarny strój rzucał jakiś surowy cień na jej twarz piękną i smutną. Błękitnawe oczy miały głębię, pełną cichości i dobra, łzy toczyły się po bladej twarzy i usta coś szeptały gorąco; za nią leżały setki rozkrzyżowanych na posadzce ludzi z takim samym płaczem, a na dole, gdzie się roił niby mrowisko tłum pstry, jęczały także dusze i prosiły łzami.

Zwiedzaliśmy później wszyscy razem klasztor. Słoneczne to chwile.

W poniedziałek mieliśmy wyjechać. Wstałem wcześniej i poszedłem zobaczyć mszę w kaplicy Matki Boskiej i chwilę odsłonięcia cudownego obrazu.

Ścisk był niewypowiedziany, ludzie tak się zwarli, że rozpocząć się im trudno; co chwila wynoszono pogniecionych i omdlałych.

Zaczęła się msza.

Ciche tony fletów wibracją spiralną i jakby złotawą, wlewały się w ciszę i niby lśniąca siatką osnuwały dusze, potem skrzypce przenikające głosy podnosiły w śpiewie pełnym uczucia i rozpylały się jak woń róż, a organy brzmiały cicho i daleko niby szum morza, które zwolna bije i przelewa się przez brzegi, a potem burzy się głucho, potężnieje w sile, huczy burzą, miota i wybucha piorunami, które trąby mosiężne rzucają z przeraźliwością, i robi się chaos jakiejś rozpaczliwej, która szaleje, łka i prosi — aż flety, niby chór anielski, odzywają się w pianach i śpiew rzewny, słodki wlewa się szeroką gamą i uspokaja odmęty, i płynie pod stropem kaplicy, jak pocieszenie, przenika dusze rozrzwaniem i kołysze je słowami łaski — i milknie w nagłej, chwilowej ciszy Podniesienia, przerywanej tylko ostrym, niby stalowymi blaskami, dźwiękiem dzwonków.

Naraz, ze wszystkich instrumentów bije pieśń, ze wszystkich serc zrywa się huragan krzyków i westchnień, i wszystko to skłębione, zmięte, unicestwione pada w proch przed osłoniętym obrazem Matki Bożej, a przez ten mur ciał przeciska się jakaś dziewczyna, podtrzymywana przez matkę — idzie o kuli, oczy ma zwarte, wyciąga ręce do obrazu i głosem wielkim, potężnym niewysłowionem brzmieniem wiary, woła:

— Marjo, uzdrow mnie!.. Marjo, uzdrow mnie!..

I pada na ziemię, jak drzewo podcięte, lecz zrywa się i już bez kul, wyprostowana, jaśniejąca, woła:

— Marjo! — Widzę! — Marjo! — Idę!..

I szła ku ołtarzowi, a burza ryku prawie ludzkiego zerwała się ze wszystkich serc i biła do stóp Tej z taką miłością patrzącej.

A dziewczyna szła, podrywając się, jak ptak do odlotu, i z uśmiechem niewypowiedzianej podzięki, z oczyma jak chabry błękitnymi, z rękoma wyciągniętymi, dyszała dziękczynieniem, pełnem radości, łez, olśnienia.

— Marjo! Marjo! — i padła w proch, objęła rękoma kamienie i blademi usty przywarła się do nich, pod stopami Tej, co tam ze spokojem i słodczą siedziała z Jezusem na ręku i, jak matka, pełna była pobożania i miłości.

A lud cały w jękach, w skowycie leżał i łzami serc, mózgami, krwią, miłością — sławił dobroć i żebrał zmiłowania.

Kościół zdawał się otwierać zwierzchu, aby przepuścić tłumy dusz, które się rwały w modlitwie w nieskończoność, a wysoko jakby się rozwiewał płaszcz błękitny i ogarniał wszystkich, a jakieś ręce białe i oczy promienne błogosławiły, kołysły, uspokajały, krzepiły serca i dawały zapomnienie i moc wytrwania.

A te rzesze ludzkie coraz więcej zatapiały się w szlochaniu i zdawały się odpływać w zaświaty na fali muzyki, która, jak Archanioł Pocieszenia, szła naprzód i niosła wszystkie dusze tam — skąd wyszły: do źródła dobra i szczęśliwości...

BIBLIOTEKA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
PISMA WŁADYSŁAWA ST. REYMONTA

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

P I S M A

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE
ZE WSTĘPEM ZDZISŁAWA DĘBICKIEGO

TOM 32

AVE PATRIA

WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

A V E P A T R I A

BURZA — TĘSKNOTA — W PALARNI OPJUM
SIELANKA — LOS TOROS

WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12.

Wszelkie prawa przedruku i przekładu zastrzeżone.

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

AVE PATRIA, MORITURI TE SALUTANT...

Kamimura umilkł na chwilę, napełnił czarę wodą i, podnosząc ją zwolna, powlókł ciężkimi oczami po żołnierzach.

Wszyscy jakby nagle skamienieli, że tylko spojrzenia zamigotały i twarze sprężyły się w oczekiwaniu.

— Za waszą śmierć bohaterską piję!

Wypił do dna i, pochylając się ku nim, wyciągnął rękę i znów zawołał:

— A teraz idźcie! Idźcie na swoje trumny-brandery i zgińcie co do jednego! Japonja potrzebuje śmierci waszej... czeka na nią... Idźcie i zgińcie!

Wołał ogromnym głosem, jakby głosem wszytkiej ojczyzny.

— Banzaj! — wyrwał się ze wszystkich piersi jeden krzyk potężny.

— Banzaj! — runął powtórnie, jak huragan; szable wyświsnęły z pochew, i tłum młodzieńców skłębił się, zakołysał, rozwinął w mieniącą wstęgę

i ruszył ku schodom na pokład, twarze wyblyskiwały z mroków sali, niby miecze ogniste, a oczy lwie, oczy zapamiętałe, oczy, piorunów pełne i mocy, strzeliły błyskawicami uniesień i bezgranicznego szczęścia.

Szli parami, mocnym a elastycznym krokiem marynarzy.

Szli w dumnym milczeniu wybranych na śmierć niezawodną.

Szli cichą kohortą piorunów, rzuconych dłonią przeznaczenia.

Cisza się stała, milczenie grobu wionęło tchem lodowatym. Tylko szum morza przedzierał się z pokładów, dalekie bicie fal i powiedle, rozwiane echa jakichś głosów, a oni przechodzili niemym szeregiem, dumni, młodzi, szczęśni jak bogowie, szable zniżali przed wodzem, podnosili głowy, a oczy wierne topili w jego oczach, a uśmiechy tkliwe, niby kwiaty oroszone, rzucali mu do stóp...

„Nie zginęła! Oto na jej głos święty podniósł się ofiarny huf i z uśmiechem szczęścia idzie na bój nieubłagany, na śmierć pewną, na zaturę...

„Nie zginęła! O te piersi bohaterskie rozprysną się wraże fale! Poświęceniem przemogą, a miłością zwyciężą nawet śmierć samą...

„O ziemio wschodzącego słońca! Wróg nie strątuje twoich pól kwiatnych, nie splugawi twoich świątyń serdecznych, nie pohańbi cię niewolą... bo oto stado orłów zerwało się z gniazd, rzuciło wszystką słodycz życia i leci osłonić cię swojemi pier-

siami, leci spaść na wroga, zwyciężyć i umrzeć dla ciebie!

„O ziemio moja święta!”

Modlił się Kamimura, idąc za nimi na pokład.

Słońce już zachodziło za góry dalekie, czerwony brzask pylił się na falach rozdrzanych, mrok, niby ciche, omdlałe westchnienia, obtulał zwolna świat, a słodki spokój wieczora spływał z bladego, ostygłego nieba.

Tylko morze huczało gniewnie, chlustając bryzgami pian, i szalupy szarpały się niecierpliwie u boków pancernika.

Schodzili do nich, w głębokiem milczeniu, niby korowód widm, zstępujących do wspólnego grobu.

Było ich stu dwudziestu.

Hirosze i Kataoka zamykali pochód.

Kamimura, wsparty o burtę, patrzył za nimi, cała załoga oddawała im ostatnie honory, pożegnalna flaga miotła się na maszcie.

Naraz świst rozdarł powietrze, śruby zawarczały, i szalupy rzuciły się na morze, lecąc wierzchem fal i roztrącając grzbiety spienione...

Kamimura długo stał na pokładzie, prowadząc ich zadumanemi oczami, póki nie przepadli w oddaleniu, że tylko smugi dymów błądziły za nimi i stado mew rozkrzyczanych.

A szalupy pędziły wciąż szerokim gardzielem zatoki ku morzu, niekiedy zapadały jakby w przepaści, ale po chwili wznosiła się fala i sunęły niby białe, ogromne ptaki; błękitnawe warkocze dymów

przysłaniały je płaszczem, przez który ledwie widniały brzegi uciekające.

Słońce już zaszło, na zachodzie rozlewały się kałuże purpury i złota, morze szczerwieniało, poczynając wrzeć i przewalać się ciężko, fale, niby węże rdzawe, zaroily się rozpluskanemi stadami, przeżyły się z głębin i, wynosząc łby okrwawione w brzaskach, leciały z krzykiem na szalupy, ogarniając je długimi cielskami, targały zawzięcie, jakby chcąc powstrzymać i zawrócić, ale podarte i stratowane opadały z jękiem.

Mewy krzyczały nad nimi jękliwie, długo i żałośnie.

Ale w szalupach wciąż trwało milczenie, nikt nie wiedział, co się dokoła dzieje, bo wszystkie dusze krążyły ostatnim, pożegnalnym lotem, tam nad Japonją, nad zarysami, ginącemi na zawsze, w ostatnie brzaski zachodu niosły się rozełkane żalem i tęsknotą...

Port się zapadał za nimi w głębie wód, las masztów malał, zdawał się już pajęczyną, miasto stawało się majaczeniem, forty na wybrzeżach płaszczyły się niby kraby, wyrzucone przez fale, a olbrzymie doki, fabryki, wyniosłe drzewa jakby uciekały od nich w głąb lasów, w chaos mroków, że tylko jeszcze niekiedy huczały za nimi pierzaste głosy syren i słabe, konające echa jakichś dźwięków...

Zbierali je w rozmodlonem milczeniu, jak te ostatnie przenajświętsze tchnienia ojczyzny, traco-

nej na zawsze, gdy naraz szalupy spięły się, niby konie spłoszone, olbrzymie fale wyniosły je nagle i, strząsając z grzbietów, rzuciły w rozszumiałe przepaści.

Byli już na pełnem morzu, wichry zajęczały nad nimi, spienione bryzgi jeły skakać dokoła, niby psy rozjuzzone.

Hirosze dał sygnał, zatoczyli krótkie półkole i, lecąc jakby naprzelaj fal, a bliżej brzegów, ledwie dojrzanych, wpadli w cały archipelag wysepek, gęsto rozrzuconych i tak pełnych sadów rozkwitłych, że wynosiły się z wód, niby białe chmury, zróżowione zachodem.

Wili się niepostrzeżenie wąskimi przepływaniami, jakby nieskończoną kwietną aleją. Ptaki śpiewały w gąszczach, a biały, wonny okwiat sypały na nich wiśnie pochylone; gdzie niegdzie przebły-skiwały światła, gdzie niegdzie w łodziach, kołyszących się pod obłokami kwiatów, śpiewały dziewczyny, czasem przecinała im drogę barka rybacka, ciężko pochylona pod żaglem wzdętym, a niekiedy ponury, daleki huk morza przedzierał się wskrós sadów, jakby ich wołał.

Pędzili całą siłą pary, że wkrótce i te wysepki przepadły w mrokach morza i nocy, jak sen przeszedł, jak sen prześniony niepowrotnie, iż niejedno serce ścisnął żal gryzący, niejedna dusza załkała boleśnie, ale twarze były zawarte całą mocą woli, oczy nieodgadnione i uśmiechy wiły się na ustach pobladłych.

Niebo zagasło, ostatnie chmury dopalały się na zachodzie, a bezmierna pustka wód i przestrzeni opadła na nich i niby w całun siny spowijała.

Było już prawie ciemno, gdy zawinęli do jakiejś wysepki samotnie sterczącej dzikimi rumowiskami skał poszarpanych.

W małej zatoce, wciśniętej głęboko i zamaskowanej ruchomą tamą, pokrytą drzewami, tuliło się dziesięć statków, podobnych do czarnych, olbrzymich płazów, odpoczywających w cichości, a kilka torpedowców leżało na kotwicach, niby psy przyczajone.

Wysiedli z szalup i, jak cienie, bez szmeru, rozpełzli się w mrokach.

Milczenie znowu zapadło, statki leżały niby trupy, wyrzucone na brzeg, pokłady były puste, okna ciemne, kominy nie dymiły, żaden głos się nie rozlegał, nawet wody zatoki leżały martwą taflą ołowiu, tylko morze huczało, bijąc nieustannie, a jakieś ptaki krzyczały wśród skał.

Noc szybko zapadała, cały świat grążył się w zielonawe odmęty mroków, na horyzoncie niebo stapiało się już z morzem w jedną nieprzeniknioną otchłań, pełną wrzawy posępnej, bełkotliwych ruchów fal, majaczeń sinawych grzyw i rozdrżanej pustki, dyszącej zgrozą i lękiem.

Jakiś niepokój rodził się w przestrzeniach, wichry przelatywały ze skowytem, a zadyszany, gniewny krzyk morza wrzał coraz potężniej, skłębiał się niekiedy w głuche, zdławione tętenty, jak-

by tysiące koni leciało po ziemi spieczonej, wybuchął krótkim, wstrząsającym rykiem i opadał, walił się ciężko w przepaści, jak trup.

Burza srożyła się gdzieś daleko.

Ale w cichej zatoce jakby wiedziano o tem, bo długo jeszcze leżało martwe milczenie. Dopiero gdy nad portem dalekim rozżarzyły się blade ledwie dojrzone łuny, rozpoczął się gorączkowy, pospieszny ruch, zaskrzypiały naraz windy, buchnęły światła, kolosy jęły się poruszać, a torpedowce przewijały się ze świstem ich bokami.

Hirosze, jako wódz wyprawy, lustrował wszystkie statki.

Na każdym maszyny były już pod parą, kapitanowie stali na swoich mostkach, a załogi zajmowały zwykłe stanowiska.

Niewymowne milczenie zalegało pokłady.

Hirosze przesuwiał się, jakby wśród mar.

Ni jeden głos nie zerwał się z ust drżących, tylko serca prężyły się, rozsadzane niemym krzykiem, a uścisk ręki starczył za rozmowę, spojrzenia stawały się pocałunkami, uśmiechy były pożegnaniem, gesty — przysięgą...

Śmierć wionęła tchem lodowatym, stała się chwila jakby wyznań najtkliwszych i namaszczeń ostatnich.

Jeszcze jedno spojrzenie na świat, jeszcze jedno nieme, dręczące pytanie, i żywi zaczną zstępować do grobów.

Hirosze szedł coraz ciszej i lęklawiej, ale chociaż bezmierny smutek przygniótł mu duszę, wypełniał surowo swój obowiązek, sprawdzał wszystko, co był powinien, zaglądał nawet pod pokłady do magazynów, wypełnionych olbrzymimi głazami, pospajanemi żelazem, schodził do komór maszynowych, gdzie w krwawych brzaskach uwijali się półnaczy palacze, a potem oddawał kapitanom zapieczętowane rozkazy, ogarniał raz jeszcze wilgotnemi oczami salutujące załogi i znikał, jak cień.

Aż przyszedł moment ostatni, otwarła się tama, błysnął sygnał i statki zaczęły wychodzić, ustawiając się kilwatorem, torpedowce szły po bokach, jak psy owczarskie, strzegące stada.

Wyprawa ruszyła i przepadła w ciemnościach.

Morze otworzyło ramiona bezmierne i objęło ich w moc swoją.

Hirosze stał na rufie przodowego, zapatrzonej w dalekie gasnące łuny.

Płynęli bez światła, czołgając się ostrożnie wskroś burzy i nocy, niby ciąg dzikich zwierząt, śpieszących na krwawy żer.

Noc była nieprzenikniona; czarna, rozwichrzona topiel przewalała się z głuchym porykiem; ni jednej gwiazdy w przepaściach nieba, ni jednego zarysu rzeczy stałej, nic, prócz spienionych odmętów ciemności, kołysań i szumów złowrogich.

Statki szły pełną parą, walcząc zawzięcie z morzem, burza podnosiła coraz wyżej swój łeb rozszekany, wichry zlatywały z ciemnic rozwytami

stadami, a fale, niby ogiery nieprzeliczone, goniły się z dzikim kwikiem, skakały do burt i waliły się na pokłady.

I tak przechodziły całe godziny.

Burza stawiała się już chaosem żywiołów rozpętanych, góry wody wzdymały się z głębin i pękały ze świstem, niewypowiedziany wrzask przepełniał powietrze, krzyczało morze, krzyczały wichry, krzyczały maszyny, pracujące nieustannie, zapamiętały wir rzucał statkami, że rozlatywały się na wszystkie strony, jak drzazgi, ale wstawały niezmożone i wyciągnięte w linję, szły dumnie wskrós tańca sił, pożerających się nawzajem, szły niepowstrzymane, choć biły w nie wybuchy ślepej i bezmyślnej potęgi, a pijane, oszalałe moce waliły taranami huraganów.

Hirosze wiódł wyprawę z nieulekłą pewnością, zamieniał jakieś słowa ze sternikiem, wołał coś tubą do maszyn, sprawdzał sekstans, podawał niekiedy sygnały, które błyskawicami rozpruwały ciemnice, i znowu stał na rufie, chciwie zapatrzonej tam, gdzie były już tylko mroki nieprzejrzane.

A powracał często, prawie bezwiednie i patrzył tęskliwie, bacząc jednocześnie na zarysy statków, płynących za nim, niby szeregi czarnych trumien, zasypywanych ustawicznie burzliwym piaskiem ciemności.

I naraz drgnęło mu serce, zakute w surową moc obowiązku, trysnęły olśniewające wspomnienia, rozwarła mu się dusza do głębi, podniosła się

w niej wszystka pamięć żywota, wszystkie dnie wstawały z zapomnienia i szły przez pamięć czarownym, weselnym korowodem. Spowił go różany obłok marzeń i, kołysząc pieściwie, wiódł w okwiecony gaj cichego, człowieczego szczęścia i śpiewał hymny istnienia.

Bezmierna tęsknota wżarła mu się w serce.

— Nigdy! Nigdy! Nigdy! — zaskowyczał żal, dziki, niewypowiedziany żal.

Sto żelaznych pazurów zakreśliło mu wnętrzości, że porwał się oszalały, jakby chcąc runąć w burzę, uchwycić się wichrów i uciekać z tego grobu i powrócić do życia.

Ale stanął, wodząc przerażenemi oczami dookoła, bo rozległ się w nim surowy, mocny głos matki:

— Cieszę się, że cię wydała na świat, bo teraz mogę cię oddać ojczyźnie. Bądź dumnym, że możesz za nią umrzeć.

To był jej ostatni głos pożegnań! Pamiętał go i czuł w sercu, jak ogień niezgaszony: wyprostował się naraz i szepnął pokornie:

— Umrę, matko! Umrę!

Rozprężył się dumnie, wzdargą zabił chwilę słabości, stał się znowu wodzem nieustraszoną, stał się już tylko zimnym, nieubłaganym ciosem, jaki miał spaść na wrogów.

Było już po północy, gdy torpedowce wysunęły się pośpiesznie i poleciały na zwiady, a statki

zmieniły szyk, ustawiając się w długą ławę, skosnie rzuconą na fale.

Mieli jeszcze kilka godzin drogi przed sobą, ale już przysłonięto najszczelniej wszystkie otwory, aby najmniejszy błysk się nie przedzierał, nawet kominy dostały zwierzchu rodzaj kapturów, pochłaniających światło, a ludzie, czepiając się lin i barjer na wyższych pomostach, wlepiali w ciemności niespokojne oczy i kamienieli w cichej grozie oczekiwania.

Ale niewiadome czało się jeszcze gdzieś daleko.

Burza się uciszała, jeszcze niekiedy zrywała się z głębin stada bydłał ryczących, a czasami zawył huragan, rozmiótł fale i grzmotnął w olbrzymy, że pokładały się jękiem, ale oszalałe ramiona burzy były już coraz słabiej i bezsilniej.

Tylko pobladła ze złości, dzika noc marcowa szła z nimi nieodstępnie, szła podobna do otchłani zielonawych lodów, szła rozdygotana, siejąc dokoła wiatry skamlące, a tak zimne, że obmarzały pokłady i fale gryzły niby ogniem, a niekiedy wybuchały gwałtownymi, długimi ulewami, to sypała gęstą śnieżycą, co jak pierzaste, białawe chmury, spływała miękko, opadając bez szmeru falami szarego zmarznętego światła, iż wszystko stawało się sypką, rozdrganą, cichą szarością, w której statki błędziły niby widma wylękle, a czasami opadała głęboka cisza, jakby noc przyczajała się, nasłuchując trwożnie jakichś głosów dalekich.

I tak naprzemian szły monotonne, długie godziny.

Ale te chwile ostatnie zdały się być wiekami, wlokły się tak wolno, a tak ciężko, tak długo, jakby się już nigdy skończyć nie miały.

Miedzy załogą, z godziny na godzinę, wzrastało coraz większe zdenerwowanie, z każdego statku jakieś rozpalone oczy błądziły z niepokojem w nieprzebitej nocnej kurzawie i na każdym z utęsknieniem czekano tej chwili ostatniej, chwili boju. Liczono już minuty, liczono sekundy, liczono nawet uderzenia śrub, bełkocących w głębiach.

I nic dokoła, wciąż pustka i noc.

Tylko Kataoka spokojnie stał przy sterze, a Hirosze, chodząc po moście, czuwał nad wszystkimi i myślał wciąż jedno i to samo:

— Oto zwolna, niepostrzeżenie, nieubłagane zbliża się śmierć.

Był gotów. Nie czuł ni żalów, ni trwóg, trzymał duszę w żelaznej uwięzi woli niezłomnej. Wiedział, że musi umrzeć, i sprężył się do ostatniego skoku, jak tygrys... Jeszcze chwila — i runie w bój śmiertelny, w bój nieubłagany... Ojczyzna wysłała ich na śmierć, to zginąć muszą co do jednego... Bądź błogosławiona twoja wola, Japonjo, błogosławiona i święta.

Marzył, patrząc na to wszystko, jakby z poza mgieł nieskończoności, już czuł, że śmierć zbliża się w ciemnościach, że te ciche wiatry coś szepcą tajemnie, że wołają go fale, że wieczność ogarnia

go w słodkie objęcia, a noc całuje chłodnemi ustami i tuli do piersi, i wyjawia nieodgadnione...

— Cóżto człowiek? — myślał niekiedy — to fala, która wynosi się z głębin na mgnienie, a przepada na zawsze! Któż wie, że była? Morze jest wieczne, Japonja nieśmiertelna! Jestem i przepadnę, rozprysnę się i może zaledwie będę cieniem, jaki drzewa kładą o zachodzie...

Dziwna słodycz go przejmowała, jakby słodycz spływania w ciszę.

— A może?

Załkała w nim jakaś nieumarła jeszcze nadzieja i zgasła.

Cichy sygnał przeszył powietrze.

Rzucił się na dziób statku; jakiś brzask blady, podobny do rozpierzchłej złotawej plamy, mżył na horyzoncie.

Statki zwolniły bieg.

Na pokładach zawrzała gorączkowa praca ostatnich przygotowań, wysuwano pośpiesznie gardziele armat, rychtowano kartaczownice i nabijano karabiny. Olbrzymie lawety okręcały się bez szmeru, ani jedna winda nie zgrzytnęła, nie szczęknięła łańcuch, a ludzie uwijali się cicho, jak cienie.

Niezmierna radość rozpierała serce, uniesienie powiało bohaterskim, palącym wichrem, prawie szaleli z radości.

A daleki, blady wrzask był coraz bliżej, kołysząc się na polach, niby stróżujące, czujne oko.

Torpedowce wróciły z doniesieniem, że na zewnętrzny rejdzie niema ani jednego statku.

Powlekli się jeszcze wolniej, czołgając się prawie po falach, jakby wilki z przytąjonym oddechem i ściągniętymi pazurami.

Cisza znowu spadała na ludzi, cisza spadającej chmury, nim rzygnie piorunami. Wszyscy jakby zamarli na swoich miejscach, tylko nieme, rozognione źrenice wisiały na tem świetle, wynosząc się z wód, niby czerwony księżyc, wirujący w złotej obręczy blasków.

Była już piąta nad ranem.

Morze znowu zaczęło się burzyć i szarpać, od lądów jeszcze niewidzialnych zimny wiatr zaganiał ze świstem całe stada krótkich, a wysokich fal, miotał nimi i rozbijał o statki, że piany pokryły morze niby śniegiem.

Gęsta biaława mgła rozpełzła się od wybrzeży.

— To reflektor na Tygrysim ogonie — szepnął Hirosze.

— Za dwadzieścia minut dosięgnie nas jego światło.

— Uderzymy zboku, z pod skał, bo całe wejście oświetlone.

— Grób czeka otwarty. Już na nim zapalili pochodnie — rzekł cicho Kataoka.

— Tam, tam pomrzemy, tam.

— Ale tak im sobą zapchamy gardziel, że się udławiają!

Wysoko, nad nimi, przeleciało kilkanaście wirujących smug światła.

— Nowy reflektor! Za chwilę nas odkryją!

Widać już było gołym okiem dwa potężne reflektory. Smugi światła, niby śmigi wiatraków, migotały kołowrotem nieustannych błyskawic, szukając zajadle w pustych przestrzeniach, zakreślały coraz szersze i dalsze kręgi, przecinające noc jakby błyszczącymi sztychami szpad.

Brzeg był już niedaleki, morze tłukło się o skały z wściekłością, uparte, nieustanne bicie fal wstrząsało powietrze głuchym gruchotem, wiatr przelewał się z szumem, a z poza mgieł wynosiły się coraz bliżej i wyraźniej, ciemne, pogięte zarysy wzgórz.

Port Artura leżał niby potwór czarny, warujący wśród wód rozhukanych i toczący dokoła krwawemi ślepiami reflektorów, strome góry obejmowały go nieprzebytym pierścieniem, przez który wiodło tylko jedno wąskie przejście do wnętrza.

Statki rzuciły się nieco wbok, pod brzegi, a unikając wciąż odkrycia, leciały rozciągniętym szeregiem prosto ku czerniejącej gardzieli.

Czarne, olbrzymie kadłuby, kołysząc się niby na trapezach, szły już pełną parą, przemykały się, jak widma wskroś migotów światła i wskroś fal spiętrzonych, zapadały co chwila i co chwila wynosiły się zuchwale, parły się niepowstrzymane, leciały z wichrami w zawody, jak burza groźne, i jak burza pełne piorunów.

A na pokładach stali już wszyscy, gotowi, nieulękli, milczący.

Nieskończenie długie chwile przechodziły w śmiertelnej ciszy oczekiwań.

Jeszcze tysiąc metrów... podrywają się gwałtownie... wznoszą... lecą w przepaści... mkną niby ptaki ogromne, a wszystkie serca biją w rytm maszyn, prężą się do bólu, aż do niemego krzyku, że oczy zachodzą mgłą i dusze kamienieją.

Jeszcze sześćset metrów... myśli są wirem błyskawic, drzeń i lęków, może zdążą... O, trwaj, nocy... o, trwaj... byleby runąć w to przejście... byle je zapchać własnymi trupami...

— Prędej, prędzej! — krzyczą do maszyn.

Brak już tchu, brak sił, nieruchomieją oczy, zimny dreszcz pokrywa ciała płaszczem lodowatym. Rozbite bryzgi siekają twarze, wiatr świszczce, włosy się podnoszą.

Jeszcze pięćset... Karabiny drżą w rękach... obłąkane oczy tłuką się o białe skały... już światła migocą w głębi... jakieś domy... wszystko zaczyna wirować... drży, chwieje się...

Jeszcze czterysta... tysiące słońc kręci się nad głowami... fale się palą... pożar dokoła... spadają jakby w przepaści ogniste...

Naraz ze wszystkich wzgórz rzygnęły potoki światła i runął grzmot.

Wtedy Hirosze, jak trup blady, a jak bóg spokojny, dał sygnał:

— Japończycy! Niech każdy spełni swój obowiązek!

— Banzaj! Naprzód! — wyrwał się jeden okrzyk i zamarł.

Nadeszła chwila ostatnia.

Hirosze, stojąc poza szeregiem, spokojnie i nieubłagane rzucał ich w paszczę śmierci.

Brandery wzięły największy pęd i szły niby lwy rozjuszone.

Ale i śmierć czuwała. Już ich dojrzeli. Krwawe strugi buchnęły znowu, huknęły grzmoty, grad kul zaświstał, a sto słońc elektrycznych lunęło na nich potopem światła i naprzeciw wysuwały się, niby jaszczury, czarne, długie torpedowce...

Pierwszy brander zamigotał w świetle i rzucił się naprzód, ku wjazdowi, jakby unosząc się w powietrzu, ale, przywitany huraganem kul, zakręcił się, niby zwierz raniony, ryknął ze wszystkich armat, wspiał się jak koń i przepadł w głębiach.

Za nim wynurzały się z cieniów drugie i, jak stado rozszalałych potworów, rzuciły się niepowstrzymane w huragan ognia i żelaza, jaki się nagle rozsrożył nad niemi.

Zatrzęsła się ziemia, fale jęły się miotać i wyć, niby bydłeta, ogarnięte strachem, a wzburzone ciemności dygotały nieustannymi błyskawicami, bo już ze wszystkich wzgórz biły armaty, gruchotały kartaczownice, sypiąc gęstym, śmiertelnym gradem, a wstrząsające ryki dział oblężniczych rozlegały się

co chwila, i co chwila z dzikim świstem i warkotem przelatwały kłoce stalowe i co chwila straszliwy trzask, jakby tysiące piorunów, rozdzierał powietrze, a morze, od pękających w głębiach pocisków, tryskało wulkanami.

Ale brandery, zasypywane ogniem i żelazem, bite ulewą granatów, rozdzierane szrapnelami, szły wciąż naprzód z radosnym szumem bander, powiewających na masztach, szły, niczem nie powstrzymane; już waliły się pokłady, padały maszty i kominy, pryskały burty, woda wdzierała się przez boki potrzaskane, pożary ogarniały pomosty, wybuchały komory amunicyjne, ale pod dumnym znakiem wschodzącego słońca ludzie walczyli do ostatniego tchu, i nieulękli, zapamiętali, oślepli od dymów, cali w krwi i ranach, rozrywani żywcem, zamiatani straszliwą wichurą kartaczów, spowici w chmury dymów i płomieni, walili się na dno gorejącymi stosami trupów, padali w otchłań z krzykiem bohaterskiego szaleństwa i triumfu.

A Hirosze, jak bóg ukryty w ciemnościach i jak bóg nieubłagany, wciąż rzucał ich na śmierć. Co pewien czas wytryskiwały ognie sygnałów i nowy brander wyrывał się z mroków, leciał z krzykiem wskroś rozmigotanej wichury piorunów i, okryty obłokami płomieni, umierał tam, gdzie już miał grób naznaczony.

I tak jeden za drugim, „jak kamienie, ręką Boga rzucone na szaniec”, waliły się na dno trupy statków i ludzi; jeden za drugim umierały rado-

śnie dla ojczyzny dalekiej, jeden za drugim kładły się stosem bohaterskim, szły w przepaści ze straszliwym majestatem poświęceń i obowiązku.

Świt się już robił, niebo zajaśniało, ciężki, przesmutny dzień podnosił się ze wschodu, a od wybrzeży pełzały mgły coraz gęstsze, że szarawy, nieprzenikniony mrok zatapiał zwolna morze, wzgórze i statki, aż wszystko przepadło w mętnej topieli.

Tylko bitwa nie ustawała ani na chwilę.

Dziki, oszalały huragan miotał się coraz srożej i potężniej.

Wszystkie baterje pracowały nieustannie, setki armat biło, co chwila tysiące kul przelatywało z gwizdem i świstem, tysiące błyskawic przedzierało się krwawymi żrenicami, tysiące grzmotów wstrząsało powietrzem — strzelano ze wszystkich fortów i szanców; bito ciągle, bito bezustannie, bito z przerażającą monotonnością, że już te nie milknące ani na chwilę ryki dział, wybuchy granatów, trzask pękających szrapneli, szумы morza rozhukanego i wycia wichrów zlewały się w jeden lękliwy, żalospny hymn, przy którym umierały brandery.

Już ich siedem leżało na dnie wąskiej gardzieli, a ósmy konał, rozszarpany przez kule, gdy Hirosze krzyknął do steru:

— A teraz my!

— Ostatni! — szepnął, jak echo, Kataoka.

Zabełkotały śruby, drugi brander przesunął się cicho, szczękneły łańcuchy, sprzęgli się ze sobą,

burta w burtę, i niby Lelum Polelum, rzucili się w bój, na wspólną śmierć.

Forteca wyła piorunami, jak furja, ulewa błyskawic przeszywała mroki straszliwym migotem, a huragan kul spadał bezustannie, gdy brandery ostatnie wysunęły się nagle w krąg światła i skoczyły do przejścia całą mocą maszyn.

— Banzaj! Banzaj! — krzyczeli, lecąc jak wichry.

Hirosze stał na kapitańskim moście, zimny i spokojny.

Rój statków zagroził mu drogę czarną, rozbłyskaną chmurą.

— Ognia! — zagrały trąbki sygnałowe.

Ryknęły salwy, zaszczekały pompony z kapitańskich pomostów i jakieś szczątki zamajaczyły na falach, jakieś wrzaski nie ludzkie podnosiły się w pluskach i grzmotach, ale brandery pędziły, jak burza, tratując wszystko po drodze. Pędziły na śmierć i zwycięstwo.

A bitwa stała się już szaleństwem śmierci, kule przeorywały pokłady, rzygając stałą i ogniem, druzgotały boki, a sypiąc się nieustającym gradem, niby żelaznymi cepami rozmiarzały rzecz każdą.

Huragan piorunów spadał potopem, ludzie marli dokoła, padając, jak drzewa podarte, walili się trupami na stosy, jeszcze drgające, spadali w morze, jak kamienie, wili się w kałużach krwi, w kupach ciał straszliwie poszarpanych, ale pozostali, porwani bojową wichurą, oślepli w dymach,

pijani szaleństwem mordu, walczyli do ostatniego tchu, walczyli już bez pamięci, o śmierć tylko i męstwo. Nawet ciężko ranni, prawie umierający, czołgając się wśród szczątków ciał i pocisków, strzelali jeszcze z karabinów i miotali ręcznymi granatami do torpedowców, uwijających się dokoła stadem zgłodniałych potworów.

Brandery stały się już jakby wulkanem, bo co chwila wybuchały słupami ognia i żelaza, co chwila tryskały pożary fontannami, co chwila wznosiły się w powietrze okrwawione strzępy ciał, drzewa i stali, a nieustanny grzmot huczał, jakby w kraterze...

Już pomilkły trąbki sygnałowe, pomilkły pompony z kapitańskich mostów, ucichły działa porozbijane, ale brandery jeszcze wciąż szły naprzód; już słabły w pędzie, już się przechylały na boki, drgając jakby w dreszczach przedśmiertnych, już były niby trupy odarte, i nagie, i stratowane — bez pokładów, bez armat, bez kominów, bez burt i pomostów, a pełne ran śmiertelnych, krwi, jęków i zgrozy nieopowiedzianej, i świętego szaleństwa...

Już pędziły ostatkami sił maszyn konających i ludzi dobijanych...

Nadchodziła chwila ostatnia!

A Hirosze już zapomniał o sobie, był tylko ciosem nieodpartym.

— Prędszej! Prędszej! — wołał niekiedy tubą do maszyn słabnących.

Jeszcze żył, jeszcze walczył, jeszcze rozkazywał, jeszcze sam zabijał, ale już jakiś wichur kosmiczny ponosił go ponad wszystko i rozwiewał w nieskończonościach i zatapiał w niebycie...

Jeszcze żył, a coś dręcząco słodkiego przejmowało mu serce, w oczach, wpatrzonych w dymy i ognie, rodziło się widzenie rzeczy niepojętych, a na ustach wykwitał przesłodki uśmiech powitań.

Już się chwiał, jak cień, mrący w nieskończonościach, już się stawał tylko śnieniem o sobie.

I był tylko wichurą uczucia, radośnie ginącą w spokoju.

Ale stał nieruchomie wśród padających granatów i czuwał nad wszystkim, i chociaż krew zalewała mu twarz, dojrzał kres ostatni, dał sygnał maszynom, brandery spięły się nagle i padły ciężko, jak trupy w grób rozwarty...

— Kingstony! — rozległ się jego rozkaz ostatni.

Nie było już potrzeba zatapiać.

Brandery osuwały się wolno i cicho w głąb rozszumiała, grażyły się w wodzie z uroczystym majestatem śmierci, morze z sykiem wdzierało się przez boki poszarpane, fale przelewały się przez kadłub... już szczątki burt tonęły... już trupy i ranni spływali... już śmierć kończyła swoją kośbę nie-miłosierdną.

A tylko na rejach ostatniego mostu, pod słoneczną, poszarpaną banderą, tuliła się jeszcze garść niedobitków.

Opadali jednak coraz niżej, kule w nich były nieustannie, granaty rwały te nikłe pajęczyny, na których zwisali, że co мгновение ktoś puszczał reję i, bijąc o liny, jak ptak przestrelony, spadał...

Tylko jeden Hirosze, mimo ran, trzymał się jeszcze pod tą samą banderą i resztkami sił, głosu i przytomności, wołał niekiedy:

— Banzaj! Banzaj!

Odpowiadały mu kartacze i nieustanny świst kul i pluski fal.

Dzień jasny podnosił się coraz wyżej...

A on opadał zwolna, woda chwyciła go za nogi, że wdrapał się na szczyt masztu i przywiązał szczytkami bandery, ale woda podnosiła się wciąż, nieubłagane, była mu już po pas... podnosiła się do piersi... pluła mu w twarz... wspinała się do ramion... lizała po szyi... i do ust jęła sięgać lodowatym, gorzkim pocałunkiem... na oczy kładła zielone, chłodne pletwy... i szemrała mu jakąś pieśń... kojącą pieśń zapomnienia...

Ostatnim, nadludzkim wysiłkiem uniósł się nieco, wyrwał się jeszcze na chwilę z uścisku śmierci i odwrócił twarz na wschód, tam, skąd płynął różowy poranek, gdzie już słońce wynosiło się ponad fale wzburzone.

Spojrzał z uniesieniem w tę płomienną, prze-najświętszą twarz, niby w boże, miłosierne oblicze, i oczy jego zatrzepotały się, jak ptaki, strzeliły błyskawicami szczęścia i dziękczynień, i poleciały lotem nieśmiertelnym w nieskończoność...

Spiętrzone fale porwały go w odmęty i poniosły na zielonych grzbietach ku słońcu, do ojczyzny dalekiej...

Wszystko się skończyło.

I pomarli na swoich trumnach-banderach;

I pomarli na swoich trumnach-branderach;

Ave, Patria!...

BURZA

I.

PORANEK.

Dawno już nie spał; przebudził się jeszcze nad ranem, w głuchą noc i leżał z przymkniętymi oczami, bez ruchu, zasłuchany w monotonne bicie fal, w dziką wrzawę morza, bełkocącego gdzieś, w przestrzeni nieodgadnionej, jakby leżał na dnie konchy, wiecznie rozelkanej konającymi szumami mórz dalekich...

Godziny przesuwają się niemym, lęklwym korowodem milczenia, niby widma, trwożnie płowięjące od świtów i w sobie zasłuchane...

W martwej ciszy domu tylko zegar dzwonił przejmującym głosem, że dźwięk zimny połyskliwym a bolesnem ostrzem przebijał go nawskroś i marł w zapomnieniu, dzień wciskał szczelinami okienic różane palce i zwolna wyłaniał wiotkie majaki sprzętów i ścian, rozpylając jeszcze martwy i zimny brzask.

Nie wiedział o niczem, zapomniał nawet o sobie, kołysząc się leniwie wraz z falami poszumów, wznosił się i zapadał, jak morze, budzące się, a jeszcze senne w mrocznych głębiach, krążył wśród rozpiezchłych i rozblakanych myśli, w najgłębszej niepamięci ciszy i beczucia. Niósł się, jak fala, urodzona w bezkresie i do nieodgadnionych brzegów płynąca...

Naraz okiennica szczęknęła o mur, i struga ostrego światła lunęła na pokój, uniósł się prędko i padł zpowrotem, błędząc cichemi, jeszcze nieświadomemi oczami po szerniałych belkowaniach sufitu i nasłuchując mocniejszych krzyków morza.

— Odpływ?

— Tak, ale morze złe, niewiele sieci dzisiaj wyjechało na połów...

— Pogoda przecież... — szepnął, przymykając oczy przed światłem.

— Niech pan spojrzy... — odrzekła Bretonka, otwierając okno i podając mu paczkę listów i gazet.

Mglisto i ciepło! — Pieściwy powiew ogarnął mu twarz.

— Za ciepło; tak jasno na wybrzeżach, że nawet widać Czerwone Skały!

— To na drugim przypływie burza...

— Może przyjść i wcześniej, bo żagle się nie wzdymają.

Przerzucił szybko gazety, czytał adresy na listach i zwał wszystko dość niecierpliwie na dywan, aż zapomniawszy znowu o sobie, zapatrzył

się w omgloną, błękitnąwą taflę morza, w nieskończoną topiel, przez którą żeglowało blade, ogromne słońce.

— Przynieść śniadanie?

— Zejdę do jadalni! — szepnął niechętnie, srogo na nią spoglądając.

— Wie pan, panie z wieży jutro wyjeżdżają! — powiedziała, stając przy drzwiach.

— Jutro odjeżdżają?... — Usiadł na łóżku ze zdumienia.

— Była w nocy depesza, i panienska mówiła patronowi, że jutro...

— Jutro... nie, to niemożliwe! — wykrzyknął do siebie.

— Tak mówiła, żądała rachunku!...

Nic się już nie odezwał, ale skoro Bretonka wyszła, zaklął mocno i zapalił papierosa, nie smakował mu jednak, i tak mu ręce drżały, że rzucił go przez okno i utonął oczami w słonecznej połodze, skrzącej się w koliskach fal, wzdymających się leniwie pod wiotką przysłoną mgieł, przeżuwał tę wieść niespodziewaną i bolesną.

— Odjadą jutro i... po wszystkim... — wykrzyknął naraz i zerwał się nagle, aby się ubierać, ale wszystko leciało mu z rąk, mylił się, bo zapomniał z pośpiechu, stawał przy oknie i patrzył tępym, nie widzącym nic wzrokiem w czarne żagle, majaczące na horyzoncie.

— Odjadą jutro! — szepnął znowu, wstrząsając się lodowatym dreszczem, zły namiętny uśmiech

prześliznął się przez jego usta zacięte, oczy szare trysnęły ponurem światłem, w twarzy zaś wyryło się jakieś zagadkowe, nieugięte postanowienie, przygiął się jakby do skoku drapieżnego.

— Jeszcze nie wszystko stracone, nie...

Ubrał się prędko i wyszedł na balkon, z którego granitowe schody o żelaznych poręczach, spiętych bluszczem i czerwonymi różami, prowadziły na niski w tym miejscu brzeg morza, że fale, na większym przypływie, podpływały niemal pod okna.

Na wybrzeżu było jeszcze pusto; ocean, jak zielonawy łąn, omglony, kołysał się wolno, z głuchym, ciężkim poszumem, jakieś statki nierozpoznane, jakby zawieszone w powietrzu, czerniały na horyzoncie, niby ptaki z rozpostartymi skrzydłami.

Po prawej stronie zataczało olbrzymi łuk wybrzeże żółtą linią żwirów i postrzępionymi, dzikimi zwaliskami skał granitowych, na których gdzieś niedziedzie wznosiły się ogromne Menhiry lub pochyłało się, jakby zasłuchane w gęźbę oceanu, jakieś drzewo samotne, a na końcu tego półkola, ledwie ogarniętego wzrokiem, wychylała się potężna grupa Skał Czerwonych, wciśnięta w ocean, niby pięść olbrzyma, o którą roztrącały się z wściekłością i hukiem wzburzone, wzdęte fale.

Spieniony wręb oceanu kołysał się leniwie, bił miejscami o wystające z dna kamienie, tryskał fontannami i cofał się wolno z głuchym, monotonnym szumem.

Mewy cicho żerowały wśród nikłych, poszarpanych mgieł, że tylko niekiedy jękliwy krzyk rozdzierał senną ciszę poranku.

Cofnął się rychło z balkonu, raziło go słońce zbyt jaskrawe i dyszące upałem, rozdrażniał ostry i przykry zapach morszczyzn i przejmowało gorączką wzmagające się zniecierpliwienie.

W sali jadalnej nie było jej, ni matki.

Kilkanaście osób siedziało przy głównym, środkowym stole.

Czarno odziane Bretonki, w białych, sztywnych kornetach na głowach, podobne do mniszek z surowości wychudłych twarzy, poruszały się ociężałe, roznosząc kawę...

Jadalnia o gotyckich sklepieniach, pokrytych wybladłą, odwieczną polichromją, wysoka była, jak kościół, olbrzymie okna ostrołukowe w górnej połowie jeszcze witrażowe, rozsiewały gorące blaski na kwiaty, poustawiane na stole, niby wytryski purpury i drogich kamieni, rozsiewały mdlejącą, mocną woń, otwartymi oknami zawiewał duszący, namiętny zapach heljotropów i sypki, przewalający się po ostrych żwirach, grochot fal.

Przywitał się z grupą malarzy, którzy ze sztalugami na plecach, w żółtych bluzach z żaglowego płótna i w sabotach, śpiesznie dopijali śniadania.

Usiadł pod oknem, przy małym stoliku.

Cisza zaległa chłodna i dyskretna, spojrzenia krzyżowały się zimne, prawie niechętnie.

Kilka kobiet patrzyło sennie w morze.

Jakiś Anglik, z oczami pastora i ze szczęką ludożercy, siedział przy wyzywająco strojnej paryżance, dającej znaki malarzom, że wybuchali śmiechem i złośliwymi uwagami.

— Ivonne — szepnął do jednej z Bretonek. — Czy pani z wieży była już na śniadaniu?

— Dosyć dawno.

— Są teraz u siebie?

— Nie, siwa pani pojechała do Fouesnaut, a panienka miała iść malować do lasu.

— Gdzie l'abbé Binet?

— Pojechał za starszą panią.

Poszedł śpiesznie w las, rozciągający się dookoła zamku, na urwistym brzegu, zarzuconym potrzaskanymi granitami, wiecznie szarpanymi falami oceanu. Las był rzadki, martwy, tragiczny jakiś, drzewa stały posępnie, ciche i pochylone od burz i walki, białawe pnie buków wznosiły się ciężko z nad złomów, a gdzie nigdzie dęby olbrzymie, pokręcone, podarte, dźwigały się z trudem i, jakby zastygłe z wściekłości, czepiały się namiętne długimi korzeniami ziemi w nieubłaganej odwiecznej walce o byt z oceanem i granitami, stężały, zda się, na stal i rozwichrzonymi koronami szemrały złowrogo...

Słońce świeciło z boku, długie, wilgotne cienie kładły się na spalone i zrudziałe murawy, chłodem dyszały granity, cisza leżała odrętwiała w krzakach żółtego janowca, palącego się radośnie w rumowiskach, gwizdały kosy, krzaki jerzyn, pokryte owo-

cem, gąszczem kolczastych pędów okrywały zsy-
piska zwietrzałych skał, zielonawe jaszczurki sze-
leściły wśród zeszłorocznych, wypełzłych liści,
a długie, szare węże sunęły cicho po kamieniach,
chwiejąc rdzawemi głowami.

Nie było jej w lesie, szukał wszędzie, docie-
rając aż do kamiennych płotów, okalających las,
i powrócił na wybrzeże.

Brzeg był wysoki, dziki, podarty przez Ocean,
nagi, z potrzaskanych szarych złomów wznosiło
kilka araukaryj sztywno rozpięte gałęzie, podobne
do szkieletów parasoli wywróconych, a gdzie nie-
gdzie olbrzymie Menhiry, ociosane zgruba, pokryte
przedwieczną pleśnią, posępne, samotne i tajemni-
cze, świadki niewiadomych czasów, znaki nieodgad-
nionych pomarłych narodów, pławiły się w słońcu,
stały, jak groźne stróże Oceanu...

Nie znalazł jej i tam, w załomach skał i zaci-
snych rozpadlinach.

Znerwowany w najwyższym stopniu, powra-
cał do zamku, który dźwigał się szaremi murami,
jakby wprost z oceanu, odwieczny był, surowy
w linjach, postrzępiony przez czas i burze, że zdala
wydawał się tylko kupą granitu, bluszcze go obwi-
jały zielonemi splotami, dały się na dachy, pełza-
ły po murach, spowijały balkony, przysłaniały go-
tyckie okna, spływały z tarasów kaskadami, wgry-
zały się w kamienie i jakby dusiły w miękkich,
zielonych zwojach.

Pod murami wiły się żółte ścieżki, obramowane błękitem i bladym koralem kwiatów hortensji, wałami barw rozżarzonych w słońcu, które rozbiegały się na wszystkie strony, wieszały się tuż nad wybrzeżem, wiodły do zacisznych altan, opiętych caprifoljum, i całą falą spiętrzoną barw przyblakłych opływały wieżę zębatą, stojącą tuż przy zamku i tak obrośniętą bluszczami, że wznosiła się jak słup zielony, połączony z zamkiem, na wysokości pierwszego piętra, kamiennym mostem, przysłoniętym poręczami, że wydawał się girlandą kwiatów żółtych i purpurowych.

Okrażał wieżę, spoglądając nieznacznie w otwarte okna.

— Panienska poszła na plażę — zawołała pokojówka.

— W którą stronę?

— Ku Czerwonym Skałom!

Śpiesznie poszedł na plażę.

Morze leżało pomarszczone, jak pole świeżo zbronowane, cofało się wciąż, z głuchym jękiem, odsłaniając porośnięte, kamieniste dno, jakieś dzieci brodziły z sieciami po oślizgłych szlamach, mewy krążyły nisko, zawzięcie kołując i krzycząc niekiedy, od żółtych ubitych piasków wybrzeża buchał duszący żar, cisza leżała w rozprażonem powietrzu, słońce płynęło w mętным tumanie, ani jeden powiew nie zadrgał w powietrzu, fale szemrały monotonnie, usypiająco, niebo zaciągało się płaskimi rozsypiskami chmur żółtawych, horyzont

był bliski, rudawy, ciężki, chwilami rwał się stamtąd jakiś bełkot groźny, piętrzyły się zwały fal nie dochodzące brzegów, to jakieś łodzie z obwisłymi żaglami wynurzały się jakby z głębin i ginęły w rozżarzonych blaskach słońca.

Niepokój, głuchy jeszcze, przyciszony i trwożny, zda się, przenikał odrętwiałą w upale ciszę, tylko niekiedy fala jakaś błędna załkała silniej przy kamieniach, to spalone, nędzne porosty zaszeleściły trwożnie, albo jakieś drzewo, zwieszające się z rumowisk podmytych, zdawało się szemrać żałośnie konającymi gałęziami a czasem kamienie sypały się z urwisk w przyczajone morze.

Dojrzał naraz pomiędzy skałami czerwoną parasolkę.

Obejrzał się uważnie, nikogo nie było widać, zamek ledwie majaczył w słonecznej połodze wśród załomów brzegu.

Mery malowała na niskich sztalugach.

Usiadł cicho za nią i zajrzał w obraz.

— Doskonała ta fala konająca, doskonała.

— Dzieńdobry! — spojrzała dziękczynnymi oczami.

— Sądziłem, że pani pojechała z mamą.

— Chciałam skończyć ten obrazek, dzień taki dziwny, mętny i duszący, morze jest jakby strwożone, drży jakąś obawą utajoną...

— Błogosławię ten dzień jednak... — szeptał pochylając się nad nią tak nisko, że gorącym oddechem wionął na jej kark odsłonięty; pochyliła

głowę niżej nad płótnem, aby ukryć pomieszanie i rumieniec.

— Odjeżdżamy jutro — powiedziała cicho.

— Nie chcę i nie potrafię w to uwierzyć!

— Mama dostała ważne listy i musimy.

— W połowie sezonu, w największe upały!

— Cóż robić, co? — dodała ciszej, wspierając czoło o sztalugę.

— Do Paryża?

— Aż pod Marsylję, na wieś...

— Więc to już nieodwołalne?

— Nieodwołalne. Pożegnamy się dzisiaj, bo jutro bardzo rano jedziemy.

— A wszystko pozostanie!

— Tak, morze i wszystko!

— I wspomnienia?

— Tak, i wspomnienia.

— I dręczące tęsknoty!

— Pojadą ze mną, pojadą! — mówiła cicho i łzawo.

— A pamięć tych dni czarownych, tych jedy-nych, tych świętych dni!

— Powinna umrzeć, aby mógł trwać dzień dzisiejszy, ciężki i smutny dzień — szeptała z naci-kiem.

— Ale nie umrze, będzie jeszcze wzrastała.

— Tem gorzej dla... pamiętających.

— A jednak smutek zadzwieczał w głosie pani!

— Bom smutna, żal mi tego, co przechodzi, co ginie bezpowrotnie, jak cień o zmierzchu, i czego już nie można powstrzymać...

— Mery! — jęknął cicho, wyznanie miał już na ustach.

Drgnęła, odwracając się nieco, dopiero później, złożywszy sztalugi, podniosła obciążone żalem oczy i szepnęła:

— Nie jutro, to za miesiąc, a stać się musi, więc już wolę prędzej, nawet sama chcę tego.

— Nawet pani chce? — powiedział z wyrzutem.

— Tak. Tak... — powtórzyła z mocą.

Długo patrzyli w siebie bez słowa.

— Podobno w człowieku, w chwilach niebezpieczeństwa, zawsze budzi się instynkt samozachowawczy i wtedy się broni, jak umie i może.

— Z pewnością, ale jeszcze nikt nie uciekł przed przeznaczeniem.

— Pan wierzy w przeznaczenie? — zapytała ciszej, z lękiem prawie.

— Wierzę najzupełniej! — odpowiedział, ogarniając ją rozgorzałymi nagle oczami, pełnymi siły i miłości.

— Zawsze się staje, co przeznaczone?

— Musi, musi, musi... — powtarzał z mocą i pewnością.

Poruszyła się niespokojnie, odwróciła oczy i, zrobiwszy kilka nerwowych ruchów parasolką, szepnęła prawie prosząco:

— Pójdźmy naprzeciw mamy, upał już jest nie do zniesienia.

— To pójdźmy naprzelaj, cieniami dróg chłodniej będzie, niżli tem wybrzeżem wyprażonem...

Wyszli z niemałym trudem na urwisty i wysoki brzeg.

— A nie zbłądzimy?

Obejrzała się na morze. Leżało nieobjętem zwierciadłem, jakby ośleplem i pokrytem słonecznemi bielmami.

— Znam dobrze drogi, wejdziemy na szosę od Fouesnaut.

Zamilkli, przedzierając się wskroś niskich, kolczastych krzewów, porastających dzikie ugory nadbrzeżne, nad którymi wyrastał posępny granitowy las Menhirów, stały, jak pnie dawno pomarłe i skamieniałe w żałobnej cichości, a wpośród nich czerwieniły się grzbiety krów, to dźwigały się ku nim olbrzymie rogate łby i patrzyły wielkie, puste oczy. Jakieś czarne, ogromne ptaki zrywały się z pod nóg, polatując bez krzyków na Menhiry.

Słońce prażyło niemiłosiernie, że szli coraz wolniej.

Zaraz za tym rozlewem ugorów i resztek, wlokła się równolegle z brzegiem pogięta linja granitowych płotów, obsadzonych podkrzesanemi dębami i gąszczami jeżyn.

Weszli na jakąś drogę pokreconą, obwałowaną i obsadzoną potężnemi dębami, nakrytą baldachimem gałęzi, że była tylko tunelem zielonym,

przez który przesiewały się ostre plamy słońca, słodki zapach gryki kwitnącej zalatywał z za płotów.

Ogarnęła ich głęboka, uroczysta i chłodna cisza, kosy gwizdały w gąszczach, a czasem daleki szum morza przesiewał się przez drzewa lub niewiadomo skąd płynący ryk bydła.

Szli wciąż w milczeniu, przejęci wilgotnym chłodem cieniów, pełni ciszy i uroczystego drżenia, oboje czując, że zbliżają się zwolna do czegoś niewiadomego, do jakiejś wymodlonej w milczeniu chwili.

Przesuwali się, jak cienie, wskrós nierozplątanego labiryntu dróg, żywopłotów i mrocznych sadów, niekiedy przez pnie drzew złościły się pola dojrzewającej pszenicy, to jabłoniowe sady zwieszały nad jasnymi trawnikami gałęzie, obciążone czerwonym owocem, to miejscami fiolet śliwek majaczył w mrocznych głębiach, a gdzie znów szarzały granitowe ściany domów i dachy pokryte bluszczem.

Na pstrych rozstajach, w cieniu odwiecznych dębów, wznosiły się granitowe krzyże i patrzyły Chrystusy polichromowane i obwieszane powiedłkami wiankami kwiatów.

Oślepe, zielonawe wody kałuż, nigdy nie wysychających, tały się w wiecznych cieniach dróg, jak czatujące oczy.

Szli coraz bliżej siebie, chwilami, bezwiednie spotykały się ich dłonie rozpalone, to dotykali się

ramionami, albo oczy rozmarzone, oczy głodne i ślepe na wszystko wzierały się w siebie niespodziewanie i uciekały, jak spłoszone, trwożne ptaki, rozbiegały się po drzewach, biegły w chaos dróg i ścieżek, ślizgając się wskrós pustek mrocznych i spowitych sennem, upalnym milczeniem...

Bali się mówić i brakowało im słów, bali się niemal oddychać, tłumiąc gorączkowe, namiętne bicie serc, ale wreszcie przyszła taka chwila, że przystanęli bezwiednie, zatapiając w sobie omdłałe, upalne oczy, i już drżał w nich jakiś krzyk niewypowiedziany, już ramiona prężyły się do siebie, już piersi dyszały żarem i usta ciążyły ku sobie nabrzmiałe tęskliwą żądzą pocałunków... gdy naraz odskoczyli od siebie, suchy klekot sabotów spłoszył czar...

Szła jakaś Bretonka, przesunęła się, jak czarne widmo lub mniszka, rozmodlona cicho w tym zielonym kościele milczenia, przewlokła po nich surowemi oczami, że zarumienili się, długo patrząc za jej kornetem, bielejącym w cieniach, słuchali ostatnich odgłosów jej kroków, ale spłoszona chwila wyznań nie powróciła.

— Więc jutro, jutro? — szeptał, aby skryć pomieszanie.

— Jutro! — odpowiedziała, jak echo.

— A cóż się ze mną stanie? — wykrzyknął z boleścią, przysuwając się do niej.

Automobil zaturkotał gdzieś tak blisko, że znowu się rozpierzchli.

— Wyjdźmy na szosę, wyjdźmy! — prosiła omdlałym głosem.

Na szosie wlokł się jeszcze zapach spalonej nafty, wraz z tumanem kurzów i dymu, turkot ściśchał woddali.

Pusto było i tutaj, szeroka, biała wstęga szosy pławiła się w słońcu i leżała, jakby omdlewając z gorąca, ostre światło boleśnie raziło oczy. Przysiedli na stopniach jakiejś kapliczki, jakby w głębokiej niszy z bluszczów, za nimi stała granitowa Madonna, ledwie widna z zieleni.

Byli bardzo zmęczeni, duszący upał lał się ogniem z bladego nieba, suche, rozpalone powietrze zatykało oddechy; siedzieli chwilę, dysząc ciężko i nie patrząc na siebie, naraz objął ją ramieniem i szepnął:

— Mery!

— Kocham!

I nic więcej, usta się ich zwarły z żarłoczną rozkoszą, ramiona się oplotły z taką mocą, że stopili się jakby w jedno nieugaszone pragnienie, w jeden niemy i oszałały uścisk miłości, iż zgola przepadli w sobie na długą chwilę... Padli wreszcie obok siebie, niemal omdlali z wyczerpania, nieprzytomni i poślepli, on ciężko dyszał, nie mogąc słowa wydobyć, a ona buchnęła płaczem.

— Cicho! Mery! — uspokajał ją, nie wiedząc, co mówi, ale, gdy chciał ją znów objąć, wyrwała mu się z ramion i pobięła naprzód, zabraniając iść przy sobie, że szli po obu stronach drogi, przy-

stając niekiedy w milczeniu, tylko oczy krzyżowały się niememi błyskawicami, oczy pełne żarów nieugaszonych i omdłałości, a usta szeptały słodkie dziękczynienia.

Jakieś maleńkie miasteczko rozłożyło się przed nimi niespodzianie, szereg domów wyciągniętych na wysokim brzegu małej zatoki, szare, granitowe domy patrzyły wdal błyszczącemi oknami; na progach siedziały kobiety w białych kornetach na głowach, robiły pończochy i patrzyły pustemi oczami w połyskliwą, nieskończoną płytę morza; to szły środkiem drogi, po kilka, klekocąc sabotami, przebierając drutami i patrząc bezmyślnie w olbrzymi rozlew oceanu, połyskujący, niby złota patyna.

Kilka rybackich statków leżało przy brzegu, oczekując przypływu, niebieskie sieci suszyły się, rozwieszone po złomach wybrzeża, jakieś drzewo, napół uschnięte wśród kamieni konało w spiekoocie, gromady dzieci brodziły w zielonym, cuchnącym szlamie zatoki.

— Straszny upał! — szepnęła, cofając się w cień domów.

— Już jada! — wykrzyknęła prawie radośnie, wskazując na tuman kurzawy, toczącej się z szosy na ulicę miasteczka.

Chciał ją o coś prosić, ale już nie zdążył, powóz przystanął, siwa pani o fiołkowych oczach siedziała ze starym abbé z dobrotliwą twarzą, nawołując ich do siadania.

— Nie mogę jeszcze uwierzyć w wyjazd pań — zaczął po przywitaniu.

— Musimy, niestety, i to najpóźniej jutro rano... — powiedziała cicho.

— A nasza wycieczka do groty? — przypomniał ksiądz.

— Zrobimy ją jeszcze przed wieczorem.

— Pod Czerwone Skały? — pytał Jan.

— Dzień niepewny, a w burzę tam niebezpiecznie! — rzucił poufale woźnica, zwracając się do siwej pani.

Jan zadrżał radośnie i mówił prędko i gorąco prawie:

— Czas zupełnie pewny, morze ciche, pogoda stała... a jak się panie tam dostaną, to ogromny kawał drogi...

— Powozem do skał, a potem wybrzeżem do groty będzie jeszcze z kilometr...

— Pewna pogoda — szeptał, rozglądając się po niebie mętnem i zbyt przepalonym, rzucił przełotnie oczami na Mery, siedziała spłoniona nieco, opowiadając matce o dzisiejszem malowaniu.

Nie przyłączył się do rozmowy, siedział z zamkniętą surową twarzą, ważąc w sobie myśl jakąś uporczywą i tylko ukradkowo badając niebo; nie podobało mu się dzisiaj, czuł nerwami, że zbiera się na burzę, koguty piały po zagrodach, i omdlałe w spiekocie drzewa stały bez ruchu.

Rozstali się przed zamkiem, panie z księdzem poszły do wieży, a on pobiegł na lewo, za las, do

nagich, wysuniętych w morze skał, stanowiących ochronę dla zatoki, gdzie tuliło się kilka rybackich chat.

— Pogoda pewna dzisiaj, można jechać po południu na morze? — pytał jakiegoś staruszka, grzejącego się na słońcu.

— Wiatr z morza suchy i rozpalony, na przypływie może być burza.

— Znacie Czerwone Skały?

— Znam. Jest tam grota z cudowną Matką Boską, pół Bretanji tam chodzi na odpust we wrześniu. Złe miejsce, choć cudowne, dosyć się tam już rozbiło statków i potopiło ludzi...

— A grota leży wysoko?

— Pod samemi skałami, na linii średniego lipcowego przypływu, idzie się dołem, ale trzeba wracać w połowie przypływu, bo potem woda zalewa przejście... a niema ucieczki... głąb, albo sto metrów gładkiej, jak szyba, ściany! Wielu już przypływ złapał i wciągnął. Znam dobrze to miejsce, tam się łowi największe homary, bo tam polują na głowonogi.

— Ale na zwykłym przypływie niebezpieczeństwa niema?

— Nie, tylko trzeba przeczekać, aż się skończy, ale dzisiaj nie radzę, morze złe... za bardzo świeci, złe...

Nie pytał już więcej, powrócił do zamku i siedział w czytelni, zatopiony w rozmyślaniach jeszcze chwiejnych i niepewnych, bo często się zrywał i pa-

trzył w morze... Chwilami wstrząsał nim zimny dreszcz i oczy płonęły ponuro, że rozglądał się, czy go kto nie widzi.

I znowu przyglądał się morzu.

II.

POŁUDNIE.

Siedział zatopiony w niepokojących rozmyślaniach, tylko przyczajone źrenice, jak rozwścieklone płowe lwy, szarpały się w ciasnym kręgu, rzucając się niekiedy przez okna z rozgorzałą toń, w ukrop białego wrzącego powietrza i powracały ośleple od żarów i oszalałe z bezsilności...

— Pan dzwonił? — pytała Bretonka.

— Dzwoniłem? Być może, a tak... opuścić żaluzje.

— Straszny upał, już niektóre łodzie wracają z morza...

— Wracają z morza? — Nic jej nie rozumiał.

— Przed burzą, bo na pewno przyjdzie na wysokim morzu...

— Burza!

— Już słyszać było dalekie grzmoty...—szepiała z trwogą.

— A niechaj przyjdzie, ochłodzi się powietrze.

— Mój Boże, tylu naszych na morzu, a o nie-szczęście nietrudno...

— Wszystko mi jedno, byle się tylko ochłodziło — rzucił twardo.

Spojrzała na niego ze zgrozą i odeszła.

Przez żaluzje kładły się na pokój poprzeczne pręgi białego światła.

Cisza leżała zupełna, martwa, dom był ogłuchły.

Jan położył się na kanapie, aby przyciszyć w sobie te ukropy namiętnych pożądań, jakie w nim wrzały coraz potężniej.

Leżał bez ruchu i prawie bez myśli, drętwiał zwolna, jak drzewo, opite słoneczną pożogą, że już chwilami na oczy mu padały senne bielma, i pogrążał się w rozpalonej ciszy omdlałego południa, jak kamień w toni, ale nagle, niespodziewanemi wytryskami żarów, buchał w nim strach, że ona odjedzie, chwycił go za gardło i włókł na jaźnie dzikich, nienasyconych pożądań!

— Nie, nie! — krzyczał w sobie, wyciągając drapieżne ręce.

Padł znowu w płomienne marzenia, poczuł szarpiący głód jej ciała, wyprężał ręce głodne jej kształtów, ręce oszalałe z tęsknoty i błędzące w pustce marzeń za niepochwytym, kuszącym majakiem, wołał jej warem krwi, niemym krzykiem straszliwej żądzy, ośleplej z chciwości, całą potęgą rozszalałej, nienasyconej namiętności... pragnął jej aż do nienawiści — i prawie z nienawiścią wywoływał jej obraz z pamięci... jej smukłe, miękkie linje i spadek ramion przejmował go obezprzy-

tomniającym dreszczem, zarys bioder i piersi wyrwał mu zduszone jęki, a te usta palące, te usta, nabrzmiałe rozkoszą, przepalały go nawskróś, a te oczy dziwne, oczy ciche i zagadkowe, palące otchłanie obietnic pełne, oczy święte, oczy grzechu, nie wiedzącego o swej potędze i rozkoszy... ach, pilby ją do dna, żeby ugasić straszne pragnienie i nasycić ten głód, rozrywający mu wnętrzności, tę straszliwie łaknącą spiekotę napoić i choćby przepaść potem.

Upalne południe wrzało w nim płomieniami, żarem, który się sam spalał w straszliwej, głodnej żądzy...

I znowu leżał martwo, jak kamień, prawie nieprzytomny od tej wewnętrznej spiekoty, machinalnie śledząc posuwające się leniwie wskazówki zegara...

— Panie proszą do siebie na kawę — powiedziała pokojówka, wchodząc do pokoju, i uciekła z krzykiem, bo rzucił się do niej, jak tygrys!

Na jedno krótkie, jak błyskawica, мгновение, wydało mu się, że to ona, że to Mery, że przyszła na jego namiętne, nieme wołanie...

Umył się i oprzytomniał nieco, ale upał był tak duszący, że każdy ruch wyczerpywał, każdy wysiłek był męką, przebierał się jednak dość śpiesznie i poszedł napoły pijany od tych żarów nieugaszonych.

Mery siedziała przy pianinie, palce jej błędziły po klawiszach, że niekiedy jakiś ton, podobny

do namiętnego westchnienia, zrywał się w upalnej ciszy.

Usiadł przy niej z jakimś bezsilnem, banalnem słowem.

Matka grała z księdzem w szachy.

Rozmowa się rwała, słowa padały, jak suche liście, lub gasły niedopowiedziane, pobladłe oczy błędziły bez celu.

Przez otwarte okna lała się ulewa rozpalonego, suchego powietrza, uwiędły cień araukarji przesłaniał, jakby pajęczyną, cały pokój.

Pokojówka przygaszała maszynkę na bocznym stoliku.

— Nie pojedzie pani z mamą do groty, błagam! — szepnął.

Nie odezwała się, ogarniając jego twarz badawczem, cichem spojrzeniem i, spotkawszy jego oczy namiętnie rozgorzałe, zadrżała w głębokiem westchnieniu, rumieniec owiał bladą twarz.

— Błagam o to na wszystko! — dodał ciszej i goręcej.

— Pojadę... pojadę... — odpowiedziała, uderzając mocno w klawisze.

Zerwał się zdumiony i już chciał mówić o pewnej burzy na przypływie i niebezpieczeństwie, gdy siwa pani jęła zapraszać do kawy.

Mery zajęła się rozlewaniem, krążąc dokoła stołu.

— Straszny upał! — westchnął ksiądz, wycierając twarz spoconą.

— Tak, dosyć ciepło... — odparł, śledząc jej poruszenia i usiłując spotkać się z jej oczami.

— Dosyć! Ależ w Afryce nie pocilem się do tego stopnia!

— Nie miał też ksiądz jeszcze takiej tuszy... — żartował, czując, iż, przechodząc mimo, dotknęła jego pleców.

— To prawda, chociaż to chorobliwe... od tylu lat się leczę...

Nie dosłyszał, bo tuż przy twarzy wysunęła się z szerokiego rękawa jej biała, obnażona ręka z filiżanką, wypukłe piersi wsparły się przez mgnienie o jego ramię i krótki, dyszący oddech owiał mu twarz, ale, nim podniósł oczy, już odeszła.

— Będziemy mieli ciężką drogę do groty — odezwała się matka.

— Wyjedźmy później nieco, przed samym wieczorem...

— Zostań! — błagał ją oczami.

Mery odwróciła się nagle i, przechodząc z tyłu krzesła, dotknęła końcami palców jego karku, że drgnął, jak oparzony.

— Możemy jechać zaraz po kąpieli, koło piątej! — powiedziała.

— Pojadą panie drogami zacienionemi, tam upał nie przenika i jest dziwnie chłodno... — dodał z naciskiem, przypominając jej oczami chłód dróg, które szli przed południem.

Zrozumiała, spoglądając nań wyzywająco.

— Często pan błądzi po tych drogach?

— Bardzo, bo są cudowne do samotnych spacerów i do zwierzeń...

— Przed samym sobą? — zaśmiała się nerwowo.

— Chodzę po nich codziennie z brewjarzem... — odezwał się ksiądz.

— A jest tam niedaleko szosa kapliczka, granitowa nisza, zakryta prawie bluszczami, jakby umyślnie stworzona dla schadzek zakochanych. Spotkałem tam któregoś dnia dwoje całujących się ludzi...

Mery upuściła filiżankę na ziemię, ręce opadły jej bezradnie, spojrzała na niego z wyrzutem bolesnym i uciekła do drugiego pokoju.

Ale, powróciwszy, miała zmatowaną od łez twarz, wyzywające oczy i dziwnie sponsowiałe, nabrzmiałe usta.

Skończyli kawę i Jan podniósł się do wyjścia.

— Spotkamy się na plaży, nieprawdaż?

— Jak zwykle, o czwartej, będę już na stanowisku...

— Ostatnia kąpiel! — westchnęła cicho.

— Ale, jeśli pani jedzie do groty, na kąpiel nie będzie czasu...

— Nie wiem jeszcze... Powinnam jechać — szepnęła.

Spojrzał na nią prosząco, żałośnie i wyszedł.

Wybiegła za nim, gdy już wchodził na most.

— Zostanę! — zawołała, wyciągając przez drzwi rękę.

Ucałował ją gorąco, musnęła mu palcami po ustach i uciekła.

Schodził nadół do hotelowej kawiarni, pełen radosnego wzruszenia, oczekiwań i niepokojów gorączkowych. W sklepionej sali było nieco chłodniej, na werandzie, przysłoniętej przejrzystą ścianą zieleni, leżał cień; długo patrzył na morze dziwne omdlałe i nieruchome.

Malarze grali w bilard w drugim końcu sali. Wybrzeże było zupełnie puste, buchało upałem.

Usiadł w zacienionym kącie werandy i, spoglądając niekiedy na ocean, pogrążał się w senną kontemplację.

— Moja partja! Stawiaj likiery! — zakrzyczał naraz któryś z malarzy.

Jan ocknął się, była już trzecia, powlókł sen-
nemi oczami po rozżarzonych do białości obszarach. Ocean już budzić się zdawał, ruch jakiś drgał w przepalonych pustkach.

— Nic się jej nie stanie, choćby i burza przyszła... przeczekają w grocie do odpływu, a w rezultacie gorętsze pacierze, trochę strachu i może katar... Mery ze mną zostanie. Ostatni dzień i jutro rozjedziemy się na zawsze w dwie strony świata... na zawsze i może już nigdy się nie spotkamy, nigdy!...

Opadł w siebie, jak fala wyrzucona na skały, stoczył się znowu w głąb pólenu, w nierozplątane

strzępy marzeń i obrazów niepochwytnych, w odrętwienie upalne.

Nie chciało mu się otworzyć oczu, ktoś nawet mówił do niego, ale nie wiedział, czy to nie sen, myśli snuły się leniwie, strzępami, jak niepochwytnie, pajęczne nici, a całego przejmowała dziwna apatia i takie znużenie, że zapomniał o wszystkim, ale gdy wreszcie powstał, w sali już nie było nikogo.

Dochodziła czwarta.

Pierwszy wiatr, jeszcze słaby i upalny powiał z morza.

Słońce leżało na olbrzymiej, rudawej chmurze.

Przypływ zaczynał się już na dobre.

Ocean poszarpał słoneczną, cichą maskę, leżał teraz jak zielonawe, nieobjęte pole, i kołysał się leniwie; szum cichy, jednostajny płynął z głębin z pod wysokiego i czarniawego horyzontu, niby rozproszone stado owiec, wychylały się białawe grzywy fal, szło ich coraz więcej, bielily się ze wsząd, wstawały wszędzie, podnosiły się na każdym miejscu, zwieraly się w rozdrwane ławice, w nieprzeliczone chmury i szły coraz prędzej, prędzej, prędzej.

O wybrzeże były coraz dłuższe i mocniejsze fale, rzucały się z gruchotem na ostre żwiry, z sykiem szorowały białymi jęzorami po sypkich, rozpalonych piachach, przeskakiwały głazy, rzucając się postrzępionymi, spienionymi wargami na wyschłe łożysko i marły wyczerpane, ale już za niemi

spadały drugie, wznosiły się nowe, narastały zielonemi zwałami dalsze i szły nieprzeliczoną i krzykliwą ciżbą.

Wiatr naraz zaświstał, skłębił się w kurzawie i pognał jak rozszalały rozpalonem wybrzeżem.

Słońce zważyło się za rdzawą chmurę i przygasało, posępny cień padł na ziemię i pokrył ocean mętną, brudną płachtą, w której wody zakotłowały gwałtowniej.

Ocean potężniał coraz groźniej, nabrzmiewał, jak ciężka, sinawa chmura, przewalając się z gniewną wrzawą, poradłone wody chwiały się nieskończonemi zagonami, stada olbrzymich fal wychlustywały z głębin, rozpryskując się w spienione bryzgi...

Jan z pewną trwogą przyglądał się oceanowi, wygięty olbrzymi łuk wody wrzał coraz mocniej, kłębił się i miotał; nabrzmiałym, spienionym wałem kołysał się, wyginał i bił z hukiem o wybrzeża!

Zaczynał się niestrudzony i groźny bój z ziemią, złość zdawała się wzbierać w otchłaniach, jakiś mus nieodgadniony wypierał fale i bił niemi w granity z nieubłaganą zawziętością.

Przypływ wznosił się coraz burzliwiej, że wystraszone mewy, z jęklwym krzykiem, uciekały z zalewanych skał.

Wybrzeże zaczynało się ożywiać, szereg kabin, namiotów i foteli, osłoniętych daszkami, wysuwano na rozpalone piaski, a gromady dzieci już wychodziły na codzienny bój z morzem.

Plaża zarośla się ludźmi.

Upał się zmniejszył, ale parno było do niewytrzymania, nie było czem oddychać, nawet wilgotne tchnienie wód dusiło żarem, wiatr cichy i palący zawiewał z pół.

Jakiś malarz siedział na skałach przed rozłożonemi sztalugami. Anglik wraz z paryżanką fotografowali przypływ.

Jan, dojrawszy Mery, zeszedł na brzeg i siedli razem na piasku przed ich kabiną, rozmawiając prawie szeptem, bo ryk morza tworzył już ogłuszającą muzykę, fale zwały się z taką siłą, że ziemia drżała i strzępy pian wytryskiwały śnieżnymi pióropuszcami.

— Morze jest dzisiaj bardzo groźne — zauważyła matka.

— Jak zwykle na przypływie...

— Jakoś się dziwnie lękam tej wycieczki, morze takie straszne...

— Zapewniali mnie rybacy, że burzy dzisiaj nie będzie...

Odwrócił szybko oczy, bo Mery patrzyła w niego z niepokojem.

— A podobno najwyższy przypływ nie zalewa ścieżki, wiodącej tam pod skałami — dodał śpiesznie, patrząc już w ich twarze.

— Jednak ostrzegali nas dzisiaj, że nieraz już tam były wypadki...

— Bo czemu pani nie odłoży tej wycieczki? Czemu się narażać choćby nawet na pozór niebez-

pieczeństwa? — powiedział z obawą, aby się nie cofnęła.

— Mówiłam to samo, ale mama nie chce słuchać...

Spojrzał na nią tak dziwnie, że dziewczyna się zmieszała.

— Muszę, zrobiłam pewne wotum i nie mogę odkładać, bo nie wiem, kiedy będziemy po raz drugi w Bretonji, a zresztą ksiądz będzie strażą...

— Intencja będzie najlepiej strzegła — wykrztusił ksiądz chmurnie.

— Wolałabym, abyśmy nie jechali, głowa mnie boli, trochę się boję i...

— To zostań, rozstroił cię upał!

— Nie, pojadę, ale i mamaby wypoczęła przed podróżą, rano musimy wstać, upał i tyle godzin do Paryża. Niech mama zostanie! — prosiła gorączkowo, nie zważając na jego błagające, smutne spojrzenia.

— Mery ma najzupełniejszą słuszość — przytwierdził ksiądz.

— Rzeczy jeszcze nie spakowane, a Luiza nie da sobie rady.

— Zostań, pomożesz jej, ale ja pojadę, tem bardziej, skoro nie grozi żadne niebezpieczeństwo, nieprawdaż?

Zwróciła się do Jana, ale on tak gwałtownie zakrztusił się dymem, że nie odpowiedział na pytanie.

— Czas już do kąpieli — zauważył spokojnie.

— Niech pan Mery nie pozwala płynąć za daleko, fale są dzisiaj tak wielkie...

— Ostatni raz dzisiaj, musi mi mama pozwolić użyć...

— Będę panią srogo pilnował.

— Zobaczymy, czy się pozwolę tyranizować.

Odszedł do swojej kabiny, słysząc, jak matka prosiła ją, aby nie siedziała długo w wodzie.

Wkrótce wyszli oboje z kabin, Mery, w czerwonym kostjumie, szła śmiało i pierwsza weszła do wody, za nią dopiero rzucił się Jan i poszli już razem, dygocąc lekko z chłodu, naprzeciw fali, co jak koń wspięła się przed nimi i runęła im na głowy, że padli oboje wśród śmiechu. Ujął ją silnie za rękę i, przechyleni nieco, dziwnie radosni, rozśmiani, szczęśliwi, szli w głąb naprzeciw olbrzymiej góry, która, niby stop wrzącego szkła, toczyła się na nich z krzykiem.

Niezliczone skręty żył świetlistych grały w wodzie, dno mieniło się popręgowane złotem, białe, gładkie kamienie uginały się pod stopami, chłodzące fale obejmowały ich rozkoszną pieśczęcią, smały twarze, chwytaly rozwiewnemi grzywami, otaczając kręgiem ruchomym, rozdrzanym, płynnym i rozkrzyczanym szumami.

Szli nieustraszenie, zapatrzeni w rozkołysane, piętrzące się wody, rzucając niekiedy słowa bez związku i wymowne spojrzenia, pełni radosnej mocy, rozkołysani, jak ocean, i, jak ocean, pełni upojenia i bezwiednych, dzikich miotów siły, odwra-

cając się czasami do brzegów; matka powiewała chustką, ludzie zaledwie czernieli, głosy już nie dochodziły, padając martwo, w spienionym huku, jak kamienie. Wzburzone wody obejmowały ich tysiącami ramion, nieprzeliczonością groźnych, zwęlnionych grzbietów, przewalających się z krzykiem nad nimi...

Ocean wstawał, podnosił się, spiętrzał i parł się wciąż ku brzegom, szedł niestrudzenie, szedł niepowstrzymanie, spienioną hordą fal, a z pod widnokręgu podnosiły się nowe zwały, szły nieprzejrzane, gwarliwe ciżby, tłoczyły się stada potężne i z szumem, krzykiem i z mocą niepojętą rzucały się na granitowe brzegi.

Wszystko było już tylko ruchem, drganiem, prężeniem sił, wzbieraniem strasznych potęg otchłani, gniewną wrzawą chaosu. Nieobjęta, cicha topiel nieba wisiała nad nimi, słońce, jak biała hostja, zdawało się spadać z przerażających głębin, czuć było, iż leci w niezgłębionem milczeniu, że spada po prostej linii, w jakimś rozpalonym, straszonym bezładzie.

Brakło im naraz ziemi pod stopami, porwał ją wpół i wyrzucił na nadbiegającą falę, sam wychlustując obok, że płynęli przy sobie, ramię w ramię, głowa w głowę, jak foki wśród wzburzonych odmętów, nadstawiając z rozkoszą rozpalone twarze na bolesno-pieściwe smaganie wód, przewalając się z lubieżnym dreszczem na rozkołysanych, aksamitnych trapezach fal, które co mgnienie wy-

nosiły ich na grzbiety spienione i zwały w nagie rozwarte otchłanie, rzucali się tam z okrzykiem uniesień i wśród dzikiej wrzawy oceanu, wśród wirów, tryskających pióropuszcami pian, wśród spiętrzonych i rozwalających się w bryzgi wód i wśród krzyków mew, kołujących tuż nad nimi, przyciskali się do siebie, namiętnie chwytając wpół, że padali ciężko, aż w samą głąb oceanu; to uciekali od siebie w rozkrzyczane odmęty, aby się znów znaleźć, znów chwycić, znów opasywać rozgorzałemi ciałami i wrzeć rozszalałym warem radości.

Ledwie już dyszeli z upojenia, przeniknięci szaloną mocą istnienia, pijani ruchem, oślepli od słonych bryzgów, rozkołysani, jak ocean, i tak pełni mocy i pożądań, że co chwila rzucali się głowami naprzód, pod każdą wstającą falę, aby prawie na dnie, w zielonawych ciemniach chwycić się oślizgłemi, głodnemi rękami, zwierać się w strasznych uściskach i z niemym krzykiem szaleństwa wychlustywać na powierzchnię.

— Zostań! Nie jedź! — szeptał niekiedy resztkami świadomości.

— Kocham cię, goń! — wołała, uciekając na jakąś skałę, jeszcze wystającą nad wodą i rzucając się z niej nurkiem, że skoczył za nią, pochwycił namiętnie i wyniósł z toni, jak trzepiącą się rybę.

— Szaleję! — dyszał płomiennie nad jej twarzą, ale dziewczyna wyrwała mu się z ramion,

chlusnęła wodą w twarz i uciekła ku brzegowi, gdzie matka czekała na nią z prześcieradłem.

— Zobaczysz! — odkrzyknęła mu wreszcie, wychodząc na płytsze dno i przewracając się co chwila ze śmiechem, bo fale rozdrzanemi górami zwały się na nią.

.

Spotkał się z niemi dopiero przed zamkiem, matka wraz z księdzem sadowiła się do powozu, Mery stała obok.

Poszli oboje przy powozie wolno jadącym.

— A jednak poczyną się coś złego — mruknął ksiądz, wskazując na posiniałe niebo i słońce, otoczone czerwoną obręczą.

— Jeszcze jest czas zawrócić!

— Za godzinę skończy się przypływ, będziemy już wracali z groty. Na obiad wrócimy z pewnością! — dodała, wychylając się do nich.

Rozstali się z powozem na skraju lasu.

Patrzyli długo za nimi, nie śmiejąc spojrzeć sobie w oczy.

— Dziękuję! — szepnął dziękczynnie, ściskając jej dłoń rozpaloną.

— Boję się czegoś... za długo byłam w kąpieli... — uśmiechnęła się boleśnie, wyprzedzając go nieco, jakby bezwiednie chcąc uciec.

— Mery! — Przysunął się bliżej, zaglądając jej w oczy.

Położyła palec na ustach tak tajemniczo, że się obejrzał, nikogo jednak nie dojrzał, tylko las kołysał się ciężko, przez wybrzeżne skały i araukarje, ocean czerniał, niby chmura spiętrzona i rozchwiana, wicher zamiatał coraz potężniej, dzika wrzawa fal huczała pod skałami.

Nie mogli mówić, radość, przesycona lękiem, oczekiwaniem, drżała w nich tak potężnie, że szli coraz wolniej, przysuwając się do siebie, i już ręce się chwyciły bezwiednie i parły się ramiona, gdy ona odsuwała się szybko, odwracając zmieszaną twarz i rozgorzałe oczy, wzdychała przeciągle, trwożnie znowu wysuwając się naprzód.

Ale nie uciekła, nie zdołała, nie miała sił, szła prawie nieprzytomna i tak wyczerpana, jak te drzewa rozprażone upałem, i tak bezwolna, ociążała w sobie, jak te kwiaty hortensji, po których wlokła rozpaloną dłoń, tajemniczym zgiełkiem przepełniona i wirami boleśnie prężących się sił, jak ocean. Jakiś niemy a potężny krzyk wzbierał w jej sercu i wrzał w każdym nerwie, krzyk życia, krzyk sił rozpętanych, jak te fale, przewalające się z hukiem na wybrzeżach, iż zapomniała o wszystkim, zasłuchana w siebie, przerażona i porywana jednocześnie, ale szelest kroków i jego oczy palące budziły ją.

Doszli do zamku, nie wymówiwszy ani jednego słowa, dopiero na podjeździe przystanęła nagle z jakąś prośbą w pobladłych i łzawych oczach, usta jej drżały, a w twarzy rył się niepokój, ale

gdy spotkała się z jego oczami, odwróciła się śpiesznie i poszła do mieszkania.

W wieży nie było nikogo.

— Luiza! Luiza! — wołała przestraszona, ale Luiza nie przyszła, mieszkanie było puste, okna pootwierane, wiatr miotał firankami, chodziła bezradnie z pokoju do pokoju, jakby szukając służącej, a czując, że on chodzi za nią jak cień, a jego rozgorzałe, czyhające oczy obmotują ją w nierozzerwalne węzły.

Stała przy oknie, biegając oczami po wzburzonym oceanie; z pod widnokręgu wypływały rybackie barki, szły jak ptaki ogromne długim kluczem, z rozpostartymi skrzydłami, podrywając się na falach i ginąc co mgnienie w otchłaniach.

— Chyba burzy nie będzie, jakoś spokojniej...

— Tak, nie będzie... — wyszeptał, stojąc tuż przy niej i obejmując ją namiętnie.

Zadrgała mu w ramionach, jak ptak, i pobladła straszliwie.

— Meryl!

— Jan!

Oto jak błyskawice skrzyżowały się krzyki, a jak nieme, rażone pioruny spadły na siebie głodne, czyhające usta...

.

Pociemniało nagle na świecie, ocean przycichł na chwilę, tylko gdzieś wdali, w pożółkłym, męt-

nem niebie zaczęły huczeć gromy i wily się skrzyły oślepiających błyskawic...

III.

WIECZÓR.

Siedzieli na schodach, wiodących z wybrzeża do jego mieszkania, przytuleni do siebie i zgubieni w mrokach, morze huczało im u nóg, fale, skłębione w straszne rojowisko potworów, tysiącami rozchwianych, syczących kłów rzucały się ku nim, plwając pianą i żwirem.

Ozwała się pierwsza, ale głos jej brzmiał tak przejmująco żałośnie, jak krzyk mew, pobłąkanych w ciemnościach.

— Później i ty wyjedziesz i już nie wrócisz...

— Powrócę, odwiedzę swoich, zobaczę kraj i powrócę.

— Zabierasz obrazy?

— Tak, bo urządzam w kraju zbiorową wystawę.

— Czy to daleko?

— Trzy dni drogi.

— Wiem, to gdzieś na północ, tam, skąd noc przychodzi i ten zimowy, okropny śnieg...

— Tak, tak! tam jest ten cudny, biały, puszysty śnieg, tam, gdzie nieobjęte niebo, wsparte na przemarzłych drzewach, wisi, jak tafla lapisla-

zuli, roziskrzona srebrnemi gwoździami, gdzie lasy nieprzebyte, zastygłe w lodowatym ukropie mrozów, śnią o wiośnie dalekiej, gdzie spieczona mrozem ziemia dzwoni, jak śpiż, gdzie świat przemieniony w biały cud, trwający długie miesiące, tam... tam!...

— Tęsknisz?

— Nie, przypomnienia zarośli się we mnie...

— Teraz już wiem, że się nigdy nie spotkamy, nigdy...

Nie potrafił zaprzeczać, nie mógł się zdobyć na słowa kłamstwa ni przeczeń.

— Nigdy, nigdy, nigdy! — powtarzała umierającym głosem, jakby tym falom szumiącym mówiła i głębiom, co się otwierały u stóp, że tylko jeden ruch i pochłona na zawsze.

Umilkli na długo.

Zmierzch opadał popielną i ciężką mgłą, smętna szarość, rozjęczona wichrami, rozdrzana dziką wrzawą, pełna miotań odmetów rozszalałych, oślepiła świat.

Niebo i morze wisiały nad sobą, jak dwie posępne chmury, nabrzmiałe piorunami, tylko na zachodzie nad spiętrzonemi zwałami wód rozhukanych, żarzyły się jeszcze ostatnie czerwone smugi, jak wydarte, krwawe oczy na trupio-sinej twarzy, jak oczy, konające wśród wycia nocy miażdżącej.

Ocean z rykiem walił w jęczące granity, a wtórował mu rozwścieklony, przeciągły skowyt wichrów.

Pioruny były bezustannie, a niekiedy, wśród poślepłych sinych ciemnic, przebijały się ogniste skręty niemych błyskawic, jawiąc na mgnienie szamocące się z orkanem drzewa, skały, podobne do fal zastygłych w przerażeniu, i ocean, zwałający się z ponurym hukiem na wybrzeża, straszliwe widma rzeczy, struchlałych w grozie i przepadających w ciemnościach.

Rzuciła się naraz wtył, jakby się na nią miały zwalić te chaosy majaków i lśnień.

— Boisz się?

Poczuł, że zaczęła dygotać.

— Zdało mi się, że te błyskawice chcą mi wydrzeć oczy.

— To burza się rozgląda, gdzie uderzyć potężniej.

— Te straszne ognie przenikają mnie pożarem, czuję w sercu piekące rojowisko.

— Dziwnie blada w ich lśnieniu i strasznie piękna głowa Gorgony!

— Malarz! Radość huczy we mnie i krzyk dziwnego, nienazwanego szczęścia...

— O moja jedyna!

— Mam w sobie wezbraną pieśń tych żywiołów oszalałych.

— To śpiewajmy ją pocałunkami, utońmy w szaleństwie...

Zwarli się na długą chwilę.

— Czemu tak patrzysz niespokojnie? — spytała później.

— Denerwuje mnie to rozpętanie oceanu i przeraża, boję się... — szepnął.

— A ja uwielbiam burzę, porywa mnie ta straszna potęga, poszłabym z radością w te rozpadające się góry, w krzyk fal, w te tajemnicze otchłanie, chciałabym być na chwilę tą niepojętą i cudowną potęgą.

— Być burzą i oceanem!

— Być wszystkim, co jest.

— Dusza jest wszechświatem całym!

— Nie, nie, jest tylko może zwierciadłem wszechświata, a ja chciałabym być błyskawicą i piorunem, wichrem i tem drzewem, z nim walczącym, być falą wiecznie rozbijaną o poszarpane brzegi, a wiecznie wstającą i niezmoloną, być tym ruchem burzy i oceanu, nieśmiertelnym w trwaniu, być nocą i zarazem krwawymi skrętami błyskawic, drzeć sobą ciemności, płasnąć wskroś pustek niekończonych, przebiegać dale nie dopomyślenia, czuć ten lot wieczny, siłę, radość potęgi nieśmiertelnej i lecieć, więc się, być zawsze, zawsze, zawsze...

Pochwycił ją wpół, bo się zerwała, jak ptak o lotu, w burzę.

Opadła ciężko i, nadstawiając dłonie na zimne ryzgi fal, zaczęła mówić żałośnie:

— Ale nie pójde tam, nie mam sił, człowiek jest kamieniem zaledwie na dnie oceanu, kamieniem, marzącym niekiedy o locie ptaków...

— Jest jak żdźbło, krzewiące się trwożnie pod grobowym kamieniem...

— Przemóc śmierć, potargać więzy i ulecieć w nieskończoność!...

— Mery! Mery! — szeptał trwożnie, przytulając ją do siebie.

— Jestem tak nędzna, że nie potrafiłabym się nawet zapamiętać, aby iść w śmierć bez trwogil Ach, jaki jest człowiek obcy wszystkiemu, jaki daleki, jak odgradzony od przyrody, że ani na chwilę nie umie zapomnieć o sobie.

— Bośmy zdziczeli, błakając się w pustyniach miast!

— Zimno mi! — wstrząsnęła się gwałtownie.

— Wróćmy do domu...

— Nie, tam się czegoś boję...

— To do mnie... chodź... parę kroków, zaniosę cię...

— Później jeszcze... później... — prosiła, ogarniając go naraz ramionami, upalnymi ustami szukając ust jego, że zwarli się, jak fale ogniste, przepadając w rozgorzałej nagle otchłani!...

Noc się już stała nieprzenikniona, błyskawice tylko niekiedy wiły się ognistymi kołtunami, pioruny huczały coraz rzadziej i dalej, ale ocean potężniał jeszcze i burza zaczynała szaleć, ryki wód i huragany, zwite w ogłuszającą, straszną wrzawę, miały się ośleple i pijane; olbrzymie bałwany, jak stada rozegrzanych ogierów, z dzikim kwikiem, spienione, oszalałe, rzucały się na siebie, przewa-

lając z krańca w kraniec, rżąc i goniąc się z tętentem...

Fale z krzykiem wdzierały się już na schody, że bryzgi pian, jak białe motyle, fruwały nad niem, ale w nich rozlewała się cisza omdlewająca; oplątani sobą, przywarci, jak polipy, kołysali się ruchem burzy i odmętów, niekiedy szept jakiś huczał w nich, jak piorun; niekiedy chciwe, głodne dotknięcie ust przenikało odrętwieniem, że padali na jakieś dno, bezprzytomni zgoła, niekiedy zaś zapominali o sobie, wodząc oślepiłmi oczyma po ciemnicach, jakby szukając tam samych siebie.

— Co to? — odezwała się gwałtownie do niego.

— Statek spóźniony!

W świetle błyskawic, na spiętrzonych i przewalających się górach wód zamigotało czerwone światło, niby oko krwawe rozpaczą, i czarny kadłub statku, niekiedy żagiel biały błysnął i zatrzepotał się, jak złamane skrzydło, statek walczył z burzą, wznosił się i spadał w otchłanie, aż zniknął wśród rozwichrzonych fal.

— To nic! — jęknęła.

— Nic, nic, steruje ku zatoce, skrył się za skałami — spojrzał naraz ku Czerwonym Skałom i zadrżał.

— Przepadł, jak widmo! — szepnęła.

Próżno go szukali strwożonemi oczyma wśród burzy, nasłuchując z niepokojem jakichś rozpacznych wołań; przepadł w nocy, a z huku oceanu

wydobywał się ponury, jednostajny jęk i brzmiał głucho, brzmiał wciąż, jakby jęk ziemi, rozszarpywanej przez morze.

— Deszcz uspokaja się już — szepnął, powstając.

— Uspokaja się.

— Zaczął się odpływ, morze się ucisza.

— Tak... prawda... zdaje mi się, że wicher mniejszy...

— Z pewnością, chodźmy! — prosił.

Ale nim odrzekła, porwał ją na ręce i poniosł wolno po stromych schodkach; nie broniła się i, dygocąc, jak ptak pochwycony w jastrzębie szpony...

.

Wicher zatrzęsnał za nimi drzwi.

.

Ogarnął ich szal...

...jak ogarnia wszystko, kiedy się ma stać jakaś rzecz niepojęta...

I uczyniła się w nich noc, poczynająca w tajemniczych trzewiach, noc, zwita z rojowiska oślepiających błyskawic i huku piorunów, pełna upalnych miotań żywiołów rozpętanych i huraganowych odmetów, szal światów druzgotanych, wyłaniający z chaosu tajemnice, noc radości zamierania w upojeniu.

Padali w siebie z krzykiem oceanów.

Jak gwiazdy, ciężące ku sobie tęsknotą od prawieków, stapiają się gdzieś w nieskończonościach i przepadają w sobie.

I stawały się w nich nagłe cichości głębin stężyłych w mrokach; chwiejne, nieprzytomne drgania wód ośleплých od przerażających błyskawic; majaczenia rzeczy zgoła nieodgadnionych; rozprażone jęki ziemi, przepalanej potokami wrzących metalów; sny kwiatnych aromatów w omdlałe, letnie noce; prężenia lasów w słonecznej połodze; omdlałe ruchy fal na rozpalonych wybrzeżach, niepochwytne majaczenia o samych sobie, i dreszcze gwiazd konających, dreszcze bezwładnego spadania w bezmiary w upojeniu śmierci słodkiej i cichej.

Czy to dnie przechodziły, z wyciem i zgłębieniem szturmując do okien?

Czy to lata targały zgrzytajacemi kłami zamury i ze skowytem żalonym marły gdzieś, nigdy nie widziane?

Czy to wieki snuły się przez nich sennym, nie zapamiętanym korowodem umarłego czasu...

Tyle wiedzieli o tem, co fale wiedzą, gdzie i kiedy jakie obmywały brzegi i zatapiały okręty, co pamięta błyskawica źrenice, przez się olśnione, co wie dusza o własnych awatarach, dążąca wiecznie do Niego...

Śnili sen gorączkowy o sobie...

Płynęli ku sobie z głębin przeznaczenia, na falach tęsknoty od tysięcy, tysięcy lat i spostrzegali się zdumieni w otęczy miłości, w jaśni pra-

gnień nieugaszonych, w tej kropli czasu, zawierającej wszystką tęskność wieków wszystkich...

Odnajdywali się na mgnienie w pożarach dusz własnych.

To gubili się, jak ptaki, zbłąkane wśród burzy i nocy.

Tak im przepływały długie chwile uniesień niewypowiedzianych.

To trwali obok siebie bez myśli i bez czucia, zatopieni w sen jaw niezrozumiałych, spojeni ciałami, a roztęsknieni za sobą, jak fale, odpływające z brzegów, muszą tęsknić do głębin, jak dusze, które na mgnienie zajrzały w siebie, stały się jednym i znowu padły w orbity własnych lotów, znowu stały się sobą, lecz już dalekie i żałośnie porwane w wichurę tęsknic nieukojonych...

To dysząc, przyciskali usta do ust, ciało do ciała i zatapiali otchłanie źrenic w źrenicach, przenikając się ciepłem własnem, krwią, tchnieniem, że jednak były im serca, jednaki rytm życia czuli, jednaką mocą pożądań szli w siebie, stapiając na chwilę w jedno i budząc się z przerażeniem w samotności, poza sobą, niepojęci dla się zgoła.

— Mery! — Chciał się upewnić, że to ona.

— Jan! — szeptała, zdumiona samym dźwiękiem głosu.

Patrzyli na siebie z dziwną, niepokojącą ciekawością, spostrzegali się znowu, wyłaniając duszę z mgieł oczarowań na ostre światło zwykłego dnia, budziła się w nich świadomość, wypływali

z niepamiętnych głębin, jak kawały drzewa, zatopione przed wiekami na dnie oceanu i wydarte przez burze...

Słodkie wzruszenie, pełne tkliwości, nieśmiałe i drżące, i wonne, jak młode pędy brzoź, zatrzepotało się w jej sercu, że ujęła w dłonie jego głowę i całowała mu oczy z niewypowiedzianem rozrzewnieniem, szepcząc cichutko:

— Mój! Mój! Na zawsze! Na zawsze!

— Na zawsze, tak... jedyna! — odpowiadał ociężale, poddając się biernie pieścizdom, wpatrzony przez jej oczy gdzieś, jakby w burzę, targającą murami, zasłuchany w ryki oceanu, czy też w odgłosy własnej, przycichłej już, burzy, stępiały już na wszelką rozkosz w bezwładzie wyczerpania i apatji.

W pokoju była noc, tylko niekiedy przez okna błyskawice tryskały błękitnawymi żrenicami, że w ich ogniach spostrzegali swoje zbladłe twarze i czarniejące a omdlałe oczy.

Nie mogli mówić, wszystkie słowa zdały się im głupie i nic nie wyrażające, a nawet pocałunki i uściski były, jak zaschnięte i bez woni kwiaty, spadające martwo na ich ciała.

Zaczęli już słyszeć, co się działo dokoła, i czuć drgania murów, i prząść myśli własne, i stwarzać samych siebie i być czemś tak obcem, odległym i tak niezrozumiałym dla siebie, jak zwykle — ale dusze leżały jeszcze w omdleniu, rozśpiewane konającymi hymnami wspomnień, jeszcze ślepe od

żarów stygnących, pełne gwiazd gasnących i uniesień przebrzmiałych, całe w pamięci nadludzkich rozkoszy, rozpraszających się, jak mgły, całe jeszcze w dreszczu świętej ekstazy, w zdumieniu jakiegoś niepojętego cudu, który się w nich stał, radości niewypowiedzianej i całe już w cichym nieświadomym żalu i tęsknocie za tem, co już przechodziło...

Naraz rozległ się poszarpany, krótki głos dzwonu, płynący z huraganem ponuremi dźwiękami, a równocześnie do drzwi z korytarza ktoś się zaczął dobijać.

Oprzytomnieli zupełnie, nie wiedząc, co począć.

— Kto tam? — trwoga chwyciła go za gardło.

— Nie wie pan, gdzie poszła panna Mery? Szukamy jej od godziny w całym domu — wołała Bretonka.

— Co to za dzwon? Nie wiem, gdzie jest panna Mery!

— Dzwonią na trwogę w miasteczku! Jakiś statek rozbija się o brzegi, burza!...

— Burza! — powtórzyła z przerażeniem.

Ledwie ją przyciszył, ale i w niego to słowo uderzyło piorunem i rozdygotało mu serce strachem lodowatym.

Dzwon huczał coraz posępniej i trwoźniej.

Wybiegli na wybrzeże.

Ocean już szalał, utopiony w nieprzeniknionej nocy, targał się w rozwściekieniu, ryczał ty-

siącami głosów i przewalał się w ciemnościach, jak spętane i rozjuszony bydlę...

Niekiedy trzaskały pioruny, niekiedy przelatywały trwożne błyskawice, a w tem bolesnem lśnieniu wody zdały się sięgać nieba, rozchwiane góry spadały potrzaskanemi kadłubami, tysiące widzów zawodziło przerażający tan, tysiące wodnych wulkanów rzygało spienionemi falami, nieprzeliczone ciżby, nieprzejrzane stada potworów kłębiły się z szumem, chlustały z wyciem, gryzły się z przerażającym kwikiem, pożerały się z wściekłością, jak oszalałe hordy wielorybów.

Ziemia drżała od bicia fal, huragan wył na wybrzeżach, przerażenie dygotało we wszystkim, i rozpacz zielonawemi oczami błyskawic darła się między skałami, jakieś głosy strachu, głosy obłędne, pijane przerażeniem szarpały się z huraganem.

— Matka! — krzyknęła naraz strasznym głosem.

Ale matka nie wróciła jeszcze.

Zamykano hotel od morza, tarasowano drzwi i żelazne okiennice, ludzie biegali gorączkowo, krzyki przyciszone, trwożne, nasiąkłe łzami, brzmiały wśród łomotów oceanu i jęków ziemi.

Dzwon wciąż huczał jękiem rozpacz.

Stali na deszczu, trzymając się jakichś kamieni, zapatrzeni osłupiałemi z trwogi oczami w rozszalałą burzę, nieprzytomni zgoła.

Płacze kwiliły w ciemnościach, jakieś Bretonki klęczały na wybrzeżu, odmawiając głośno, roz-

płakanemi głosami, modlitwy za konających, bo jakiś potężny kadłub statku ukazywał się coraz bliżej skał, w świetle błyskawic widać było, jak się zmagał z burzą ostatkami sił, okręcał się wkółko, padał na boki, to jakby koń, żgnięty ostrogą, stawał dęba i skakał z fali na falę, aż runął w nagle rozwartą otchłań, zionącą śmiercią.

Krzyk się wyrwał ze wszystkich piersi, ale statek jeszcze wypłynął, jakieś ludzkie zarysy powiewały białemi płachtami, a czasem z wichurą, wśród piekielnych szumów, napływały straszne, błagające głosy tonących.

Dzwon bił bezustannie, dalekie latarnie strażnicze rozbłyskiwały smugami światła, zobaczono w ich świetle, że potężne barki wypływały z zatoki na pomoc, zielone latarnie błyskały na masztach pochylonych, widziano, jak się parły nieustępliwie wskroś spiętrzonych zwałów i wskroś otchłani rozwytych.

Dwie potęgi zwarły się w bój na śmierć i życie.

Mery oprzytomniała naraz, rzucając się w las, chciała biec naprzeciwko matki, jakby na ratunek; pogonił za nią, ale niepodobna było iść drogą, rozszalone drzewa kołysały się tak strasznie, zdawały się rozczapierzonemi gałęziami chwytać noc, drzeć burzę, smagać huragan z ponurem wyciem, że dusze padły im w trwogę i zawrócili chyłkiem.

Powrócili do wieży.

Mury się trzęsły, szczękały okna, światła drgały konwulsyjnie, nie mogli mówić, nie mieli sił, serca pękały im z bólu, a jak ogień przepalało ciche jeszcze poczucie winy, szarpiąca zgryzota grzechu, straszny jad wspólnej zbrodni.

Nie poszli na obiad.

Siedzieli, nie śmiąc się rozstać, nie mogąc się obyć bez siebie, a nie mając dla się ani jednego słowa, ni spojrzenia przyjaznego.

Miłość jakby skonała w poczuciu własnej winy, napróżno rzucali się sobie w ramiona z nagłą, rozpaczliwą czułością, napróżno chcieli zginać w uniesieniu, napróżno wskrzeszali rzeczy umarłe; ramiona opadały bezwładnie, zimne usta ześlizgiwały się bez pocałunków, z pobladłych warg wydobywał się jęk głuchy, serca biły tylko trwogą, a oczy spostrzegały w sobie przerażenie jednakie, i noc, i jednakie przerażające jawy, od których uciekali oboje.

Rozchodzili się prawie z nienawiścią, obcy sobie i nieznani, i znowu się szukali bezwiednie, jakby zebrząc u siebie ratunku.

Mery, nie wiedząc o tem, płakała łzami żalów i zgryzot.

Nie uspokajał jej, nie potrafił, sam również pożerany poczuciem winy i obawami.

Chodzili jak błędni z pokoju do pokoju, nasłuchując co chwila, czekając z jakąś utajoną jeszcze nadzieją, wybiegali na most, bo zdało się im słyszeć znajome kroki...

Nikt nie szedł, huragan tratował świat prze-
rażony.

Długie chwile stali z czołami na szybach, wpa-
trzeni w punkt, gdzie były Czerwone Skały, ale
tam ocean przelewał się w piekielnych konwulsjach,
ryczały wody rozbijane i huczały gromy!

Biegli znowu na drugą stronę, aby spojrzeć
na drogę w las rozwichrzony, w las, zmagający się
z huraganem.

Ale nic i tam nie było, prócz miotów i wy-
cia burzy.

To stawali na środku pokoju, z uchem wyte-
żonem, z duszą skupioną, wsłuchani w te okropne
szamotania wichrów i oceanu, i każdy nerw napi-
nął się męką, każdy ruch był bólem, każdy huk
przebijał im serca, i ranił śmiertelnie, i zabijał.

Matka nie powracała.

Zapomnieli o sobie, zapomnieli o wszystkim
w tej rozkrzyżowującej męce oczekiwania, w tym
bólui niewypowiedzianym zawiśnięciu na wciąż roz-
miażdżonej nadziei.

Już nie mieli sił na ruch wszelki, padli pod
okna i, wtopieni całą duszą w ocean szalejący,
siedzieli martwi, głusi... trupy...

Chwilami ocean wzdywał się tak wysoko, że
fale, pękając, buchały, jak wulkany, słupami wody,
aż pod same okna, iż oboje z jednakim krzykiem
trwogi cofali się wtył, bo się im zdawało, że
ze spienionych, roztrzaskanych odmętów wychy-
ła się siwa, trupia głowa matki, że jakieś sztyw-

ne ręce wyciągają się do nich z otchłani, że jakiś głos konający woła...

— To moja wina, moja wina! — zaczęła naraż krzyczeć oszalałym głosem.

— Ale ja ją zabiłem, to moja zbrodnia! — szeptał cicho, zsuwając się nieprzytomnie do jej nóg.

.

Sorrento 28/V 04.

TĘSKNOTA

Słoneczny dzień już się śnił domom, śpiącym w zimnych mgłach, śnił się drzewom skulonym i drżącym, śnił się morzu, bełkocącemu sennie u brzegów, i śnił się tęsknie wszystkiemu, co w odrętwiałej, zimnej cichości nocy marcowej cierpi i czeka i pragnie.

Naraz, jak zwiastun świtu, gdzieś z bardzo daleka, zasyczała syrena okrętowa; chrapliwy, pierzasty głos z trudem przedzierał się wskroś mgieł lodowatych i jakby się skarżył żałośnie, łkajaco i długo w pustych ulicach na śpiących jeszcze pilotów.

Aż miasto usłyszało, wciśnięte pomiędzy ocean i góry, ulice, zasypane kołtunami mgieł, zaczęły się budzić, zatopniałe szyby piętér patrzyły jeszcze nieprzytomnie, ale już na dole w szarych tumanach wykwiwały światła, zaklekotały saboty na oślizgłych chodnikach, otwierały się drzwi, jakaś kłapa sklepu opadła ze szczękiem łańcuchów, mur obciążony kurzami, wyłaniał się z mgieł, a od

portu rozległy się śpiewne wołania rybaczek, idących z koszami na głowach.

I niebo już bladło, jak twarz po śnie niespokojnym, mgły osuwały się z domów, niby ciężkie, przemiękłe, szare płaszcze, że już gdzie niegdzie szyby spoglądały różnym blaskiem dnia; zamigotały żółte i zielone dachówki, pokrywając ściany nieprzemakalną łuską, i stare, odwieczne domy, wiszące wysuniętymi nad ulicą piętrami, wynurzały swoje boleśnie ociężałe cielska.

Od strzelistych szczytów i wież katedry, majojacej nad miastem w sinych tumanach, zaśpiewała sygnaturka; niby głos dnia się rozdzwaniał. Wtedy wąską i stromą uliczką, spadającą od katedry, zaczęła schodzić jakaś wysmukła, czarna postać i jakby jeden z dźwięków płynęła przez mgły. A gdy minęła domek, przyczepiony w połowie wzgórza, wyszła za nią druga, w czerni również i w kapturze na głowie.

Drabina stromych stopni zdała się nieskończoną, miasto leżało pod stopami, z morza mgieł wzburzonych wynosiły się wieże i dachy spadziste, jak ostre skały, a z nieprzejrzanych sinych dali szły głuche, posępne gwary oceanu.

A kiedy szły obok domu, co spięty czarnemi belkami, błyszczący czerwonym fajansem szczytów, tulił się do stóp góry, trzecia postać ukazała się za niemi.

I wszystkie trzy, jakby o sobie nie wiedząc, poszły ku morzu.

Przystań jeszcze spała, okutana we mgły, niby w siecie, ociekające wodą, fale z dzikim bełkotem gryzły kamienne ściany i spienionemi łbami waliły się o brzegi, stado czarnych i długich statków, podobnych płazom na łańcuchach, miało się niekiedy wściekle i jakby gryzło między sobą, tłukąc się zajadle bokami.

Gdy dochodziły głównego basenu, mały holownik z przeszywającym świstem zamajaczył na chwilę i przepadł w mgłach.

Z morza zaryczały znowu syreny.

A one szły wciąż jedna za drugą ku tamie, wysuniętej daleko w morze.

Przemykały się, jak cienie lękliwe, wskroś nieodgadnionych zarysów rzeczy, wskroś majaków jakichś domów, jakichś pociągów, jakichś wind, szarzejących rzędem, niby żórawie, uśpione na omglonej łące, i ginęły jedna za drugą na tamie w zielonych mgłach, ociekających deszczem.

Z niewidzialnej latarni rozkręzały się ustawicznie śmigi białych połysków i błyskawicami migotały w skłębionych tumanach.

Nie było nic prócz nieprzeniknionej topieli mgieł, ocean leżał prawie niemy; szare, nieprzejrzane pustynie drgały zdławionemi szumami, z ciężkiej szarości drążyły się ciche jęki fal konających u zagubionych wybrzeży; posępny ruch ocieślałych szamotań, wszystkie huragany leżały teraz w sennym bezwładzie przerażającej ciszy, wzdychając tylko niekiedy nieprzytomnym bełkotem.

Każdy głos człowieczy marł bez echa, spojrzenia wracały oszalałe, jak ptaki ośleple, myślała się w trwodze śmiertelnej przed otchłanią.

Ale one stały cicho, jak co dnia, i, wsparte o balustradę, patrzyły tęskniami, wołającymi oczami w nieodgadnioną przestrzeń.

Smagał je deszcz, oblewały złe fale, słone bryzgi wyżerały twarze i przenikały boleśnie jęki mew, odprawiających swój pacierz poranny.

Nie wiedziały o tem, czekając, jak co dnia, na statek, zawijający do portu.

Ryk syren już zahuczał gdzieś bliżej, że prawie zwisły z balustrad i przechylone czatowały gorejącymi oczyma na potwora.

Białe cielsko statku wynurzyło się zwolna w kanale: płynął, nie przestając huczeć niskim, wstrząsającym basem.

Zamarłe prawie z oczekiwań, gorejącymi oczami przepatrywały pokłady statku, ale wśród mgieł i dymów ludzie mrowili się, jak cienie niepochwytne, więc biegały śpiesznie naprzód i niby psy przywarowały na przystani.

Statek zwolna i ostrożnie się podciągał; setki ludzi czerniały na pomostach, a setki na brzegu parły się gorączkowo do barjer; wychlusnęły spienione gwary, ktoś chustką powiewał na dziobie okrętu, ktoś ręce wyciągał przez burty, ktoś krzyknął jakieś imię, i krzyk przejęty radością mu odpowiedział, radość zawrzała jak burza.

Olbrzym wreszcie przystanął, związały go z ziemią liny i pomosty, i jakby z niezgłębionej gardzieli zaczęli wychodzić ludzie.

A one blade, przyczajone w sobie i jakby przywarte do miejsca, głuche na wrzawę, nieczułe i martwe na wszystko, nie przepuszczały ani jednej postaci, wysiadającej ze statku. Chwytały każdą stęsknionemi oczami, i każda przepadała w zapomnieniu, i każda budziła sroższy ból zawodu, a przewijały się nieskończonym szeregiem, były dobre i złe, piękne i smutne, starcze i dziecinne, były i białe, i żółte, i czarne, i zgoła niepodobne do wiary; twarze wszystkich stron świata, wszystkich ras i klimatów, tylko nie było tych, na które czekały...

Już statek opustoszał, skrzypiały tylko windy, zawzięcie pracujące, odchodziły zapełnione pociągi, wybrzeża rozlegały się głosami, a one jeszcze długo nie mogły uwierzyć, że i dzisiaj nie było tych, na których czekały.

A potem, kiedy ulewny deszcz zatopił mgły, kiedy zielonawy dzień marcowy wyłonił poczerńnięte miasto, kiedy ocean przebudzony jął trzepać pletwami przypyływu, kiedy błada żrenica słońca błysnęła z za powiek posępnych, że już kształt każdy i rzecz każda stała się tylko smutną rzeczywistością i bólem, szły za miasto, na wzgórza nagie i puste, siadały na urwisku i, zawieszone nad przepaściami, wtapiały się w nieskończoność, nasłuchując gędźb oceanu, przejmującego wołania

przestrzeni, a za każdym statkiem, wiszącym na widnokręgu, rwały się ich dusze oczekujące, za każdym żaglem niosły się ich oczy roz tęsknione, za każdą chmurą leciały myśli wołające...

A potem szły przed Madonnę z Lourdes, co ze skał wyciągała ręce błogosławiące światu, i tam się modliły żarliwie.

I tak było codzień od wielu, wielu dni. I tak być miało jeszcze przez wiele jednako ciężkich, jednako długich i jednako tęsknych dni. I zawsze nadaremnie. Aż po wielu takich tygodniach spostrzegły się i poznały.

— Na kogo czekasz? — spytała najstarsza.

— Na męża! — szepnęła łzawo kobieta ze starego domu.

— A ty na kogo?

— Na kochanka, na przyjaciela — odrzekła smukła, kryjąc twarz.

— A ja czekam na syna — powiedziała pierwsza.

Podaly sobie dłonie i zajrzały w duszę; tęsknota je wiązała kolczastym łańcuchem już ordzewiałym od łez. Ucałowały się serdecznie jak siostry i zajrzały sobie w twarz.

Pierwsza była najstarsza, szczupła, wysoka, o twarzy jakby z białego wosku, oczy jej gorzały gromnicznym blaskiem i mądrość cierpienia opromieniała siwą głowę.

Druga była w pełni lat, silna, różowa, o stromych piersiach i nienasyconych ustach, oczy miała pełne obietnic i dłonie, łaknące obejmowań.

Trzecią była młoda dziewczyna, smukła i świeża, jak pęd wierzbowy, w oczach miała niebo przeczyste, a pełne usta nabrzmiewały krwią żądz, niby dźwięk miedzi w poranek wiosniany, pachniała kwiatem jabłoni.

— Mój mąż zrobił majątek w Klondyke i powraca bogaty.

— Mój narzeczony powraca z Kanady, pobierzemy się i wyjedziemy daleko.

— Mój syn powraca do mnie, powraca!—szepiała słodko matka.

Już się teraz znały i kochały współczuciem tęsknoty.

Mieszkały na tej stromej uliczce, spadającej od katedry.

I już odtąd jednocześnie budził je ryk syren i razem chodziły do portu, razem na wybrzeże i razem do katedry, w cień głęboki naw i razem lały łzy błagające i szeptały modlitwy.

Ale dnie przechodziły nieubłagane.

Wiosna już nadeszła i dnie nizały się w różaniec blasków, woni i kwiatów, w hymn wszechmocnego słońca.

...I były jak marzenia młodzieńcze, różaną mgłą przysłonięte, pełne cichych westchnień, uśmiechów, tęsknych śpiewań, zapachów, rozbrzmiewających pęków, nagłych smutków i słodkich łez zarazem.

A one czekały.

...I były jakby utkane z płomienistych barw, ziemia lśniła szmaragdem, niebo wisiało płytą błę-

kitu, a morze było jakby czarodziejskim kwietnikiem, każda fala tryskała purpurą, złotem i szafirem, każda struga pian wykwiatała śnieżnemi liljami, nawet mewy, ważące się nad oceanem, mieniły się srebrem i fioletem.

A one wciąż czekały.

...I były dnie, jak muzyka nieopowiedziana, huragan grał na starych rozjeżonych drzewach, pluskały drzewa, grały rynny starych domów, śpiewały wieże katedry, świstały pociągi, ludzie, holujący w porcie ciężkie statki, krzyczeli smutną pieśń trudu, a ocean huczał dziki hymn potęgi, hymn śmierci i zniszczenia...

A one, jakby umarłe, na te dnie czekały niestrudzenie.

— „Nadzieja“ już bardzo dawno wyszła z Rio-Janeiro!

— Od miesiąca już powinna zawinąć do portu.

— To opóźnienie mnie niepokoi.

— Wyszła i przepadła, a może... — mówili raz w porcie, ale one, dosłyszawszy, uśmiechnęły się pobłaźliwie i poszły na wzgórze patrzeć w nieskończoność i czekać.

— Ludzie małego serca! — myślała o nich matka.

— Przecież to mój mąż, czekam na niego — myślała żona.

— Pobierzemy się, i już go nie puszczę na morze! — postanawiała dziewczyna.

A w mieście trwożono się coraz bardziej o los „Nadziei“. Wielu mężów, wielu synów i wielu narzeczonych miało na niej powrócić.

Już szły pytające depesze na wszystkie stro-ny świata, już kłopotaly się gazety, i nawet giełda się trwożyła, bo statek był kosztowny, a codzień więcej kobiet klęczało zalanych łzami w mrokach naw wyniosłych, więcej mszy wychodziło i obfit-szą brał jałmużnę stary żebrak pod katedrą, i dłu-żej w noc paliły się w oknach światła. Ale one jakby o tem nie wiedziały, zatopione w tęsknocie oczekiwania, w marzeniu o szczęściu powrotu uko-chanych.

Przepędzały już ze sobą dni całe i długie wieczory.

Dla pokrzepienia serc zebrały się najpierwej u żony, której dom dźwigał się u stóp góry. Od-wieczne izby o pożółkłych ścianach i szerniałych belkach, ogarnęły je cichą błogością i spokojem, kominki z niebieskiego fajansu buchały ogniem, błysły się cynową zastawą na półkach i stare, poszczerbione dzbany z Limoges belkotały z gar-dzieli słodkim, szumiącym cydrem. Siedziały oca-rowane bogactwem, a ona z zapalem opowiadała o jego dobroci, pokazywała podarunki od niego i pokazywała stroje, przygotowane na jego przy-jęcie; pokazywała z wilgotnym blaskiem ust i ze drzeniem piersi małżeńską ich komnatę, a potem, gdy już dzban stał pusty i na kominku tylko węgle żarzyły się krwawo, i ciepła, pachnąca piżmem

cisza przejmowała lubieżnym dreszczem, zwierzała się ze śmiechem, że sąsiad, piękny oficer, kwiaty jej przysyła i listy namiętne...

— Niech wróci mój mąż, niech jak najprędzej wróci, bo oszaleję! — wołała ze łzami, całując namiętne przyjaciółki niedoli.

A później schodziły się u matki, w starym domku, co niby gniazdo jaskółcze przyczepiono w połowie wzgórza; stare pokręcone wiązy go otaczały, i stare bluszcze go spowiły aż po granitowe płyty dachów. W niskich pokoikach pachniało jabłkami i suszonym zieleńcem, bretońskie stare szafy świeciły mosiężnymi ozdobami, stary zegar kaleka mamrotał godziny, jak dziad bezzębami ustami, a matka usadziła je w niskich fotelach, spłowiałą kanwą wybitych, i, otworzywszy drzwi do pokoju syna, siadła w progu i zaczęła snuć swoją serdeczną pieśń tęsknoty.

Ze ścian, z szerokich ram, patrzyła ognista twarz młodzieńcza o purpurowych ustach, o oczach lwich i potężnych, jak morze wzburzone.

— Piękniejszy, niżli ten oficer, co mi kwiaty przysyła!

— Piękniejszy, niżli nasz organista katedralny!

— To on, to mój syn! Umrę spokojnie, gdy powróci! — szeptała z dumą matka, a tamte długo patrzyły w cudną twarz młodzieńca.

Wiele długich wieczorów snuła swoją przędzę nadziei, a one patrzyły w portret pobożnej adoracji.

Aż wkońcu zaprosiła je do siebie dziewczyna. Mieszkała wysoko, u szczytu uliczki, w spleśniałym domu, jakby wtulonym w katedrę, w niskich pokoikach, skąd było widać ocean i gdzie zaglądały smoki i potwory, siedzące wiecznie na balustradach i rynnach katedry.

Głuche brzmienie organów i głosy chórów przedzierały się tutaj echami, a czasem zapachy kadzielne wonnym obłokiem zapełniały izdebki poddasza. Dziewczyna haftowała ornaty, śpiewała w chórze i pielęgnowała starą, sparaliżowaną ciotkę i kwiaty na kamiennym balkonie.

Zwierzała się im, z jakim strasznym utęsknieniem czeka. Wiedziały, co to znaczy. Że kocha go nad wszystko, wiedziały dobrze, i o tem, iż będzie z nim najszcześniejsza w świecie! Pragnęły dla niej tego szczęścia, tylko stara ciotka się oburzała, zapewniając, że Alice robi głupstwo, czekając tyle czasu, że mogłaby zrobić świetną partję, gdyż stara się o nią sam organista katedralny.

Dziewczyna rozplakała się żałośnie, przysięgając na swoją miłość.

Wierzyły jej najszczerzej.

I tak oto wlokło się ich życie całe w tęsknocie i oczekiwaniu, że już niekiedy rozchodziły się bez słowa, nie patrzyły sobie w oczy i szły osobno każda płakać, bo trwoga się w nich rodziła.

Aż pewnego dnia przyleciała złowroga wieść. „Nadzieja“ się rozbiła.

Przyniósł ją telegraf, i wkrótce wielki statek angielski miał przywieźć pozostałych przy życiu rozbitków.

Miasto stało się cmentarzem.

Wszyscy wylegli do portu, żałobną ciszę przerywały płacze, tysiące ludzi czekało na przystani z zapartym oddechem, tysiące serc biło w męce bolesnego oczekiwania, tysiące oczów krążyło po wzburzonym oceanie.

I one stanęły na swoim zwykłym miejscu, bledsze tylko były i bardziej niespokojne, ale najpewniejsze ze wszystkich.

Statek przybił do brzegu i zaczęli wychodzić ocaleni z rozbicia.

Ale nie było pomiędzy nimi męża!...

Nie było kochanka...

Nie było syna!

Leżeli już dawno gdzieś na dnie oceanu.

Płacz powszechny, krzyki i łkania wstrząsnęły powietrzem.

Dziewczyna rzuciła się w morze, ale ją ocalili, a żonę zemdloną z rozpaczny musieli zanieść do domu.

Tylko matka stała spokojnie i rzekła kamienym głosem:

— Nieprawda, mój syn żyje i powróci!

Ale odtąd już sama chodziła do portu, sama siadywała na wzgórzu, i sama przepędzała wieczory przed portretem syna.

Zapomniała o życiu, i śmierć też jakby o niej zapomniała.

Spotkała kiedyś żonę, idącą pod rękę z pięknym oficerem.

— To życie! — szeptała, uśmiechając się pobłaźliwie.

I ujrzała kiedyś w oknie domu, przytulonego do katedry, cudną twarz dziewczyny, roześmianą i szczęśliwą, a obok niej łysą czaszkę organisty, śpiewali razem.

— To życie — powtórzyła dobrotliwie.

— A tyś kto? kto?! — pytał ją stary dziad z pod katedry.

— Ja jestem tęsknotą, czekam, aż syn mój powróci!

I czekała z uporem drzew marzących o wiosnie.

Aż wylawszy wszystkie łzy przed Madonną z Lourdes, rozsypawszy wszystkie jęki w głuchych nawach świątyni i wydawszy wszystkie grosze na msze i ofiary, zaczęła się modlić do nieba, do mew, do chmur, do drzew, do kamieni.

Ale i te modlitwy były nadaremne.

Aż raz, gdy burza rozsrożyła się, morze i pioruny były oślepiającami grotami, gdy fale spiętrzyły się z wyciem oszalałych szatanów, gdy ocean stał się już samem przerażeniem, że cały świat zdawał się rozpadać w gruzy, zesłała nad sam brzeg i, wyciągnawszy ręce, wołała błagalnie:

— Zlituj się któryś mocen nad śmiercią.

— Zlituj się, któryś sam wieczną tęsknotą.

I oto jakby przyszedł kres jej męki oczekiwania, w kłębach grzyw i w górach fal spiętrzonych, w blaskach piorunów ukazał się jakiś kształt ludzki, zielonawy był jak fala, czerwone źrenice miały się piorunami, blade usta szeptały coś do niej; wychodził z głębin, z huraganu i na rękach wynosił białe ciało jej syna... chwiał się, jak kwiat, targany burzą, i szedł wskrós burzy ze słodkim słowem ukojenia.

Poszła naprzeciw z nadludzkim krzykiem szczęścia.

Mewy zajęczały nad nią żałośnie.

Fale były już do kolan, chwytaly za piersi, ześlizgiwały się z ramion, przeskakiwały przez głowę, obejmowały za szyję, całowały ją chłodnymi ustami, zabierały w moc swoją, ale ona rwała się naprzód ku synowi.

— Czekałam na ciebie! Wiedziałam, że powrócisz! Tęskniłam!

Mewy krzyczały nad nią żałośnie.

— Ja jestem tęsknota — śpiewał ocean, zamykając się nad jej głową.

W PALARNI OPJUM

Statek znówu skoczył tak raptownie, jak koń, uderzony niespodziewanie ostrogą; kilku podróżnych z wyższego pomostu I-ej klasy zleciało z trzcinowych foteli na sąsiadów, ja uderzyłem głową jakiegoś jasnowłosego olbrzyma, schowanego w żółty waterproof.

— Do diabła! — zaklął po polsku.

Odpowiedziałem również energicznie, bo jednocześnie uderzyłem ramieniem w poręcz fotelu.

— O, rodak! — zawołał, pomagając mi wrócić do równowagi.

— Tak!

Zajrzeliśmy sobie w oczy zbliśka, bo tylko jedna latarnia, przyczepiona do masztu, słabo oświetlała pomost.

— Widziałem obywatela w Paryżu, na Łuku Triumfalnym.

— Istotnie, byłem... — ale nie mogłem sobie przypomnieć jego twarzy. — Obywatel z Królestwa? — zapytałem, aby coś powiedzieć.

— Ze świata! — odpowiedział zimno.

Nie pytałem się więcej, i siedzieliśmy w milczeniu.

Morze w dalszym ciągu pienilo się w bezsilnej złości. Świst wichru i rytmiczny łoskot maszyn okrętowych zlewał się z burzliwym i dzikim krzykiem morza, które ze wszystkich stron, falami powichrzonemi, błyskającemi gipjurą pian, szło, rzucało się, biło bezustannie w boki żelazne statku i spadało zmiażdżone w otchłanie, ze zgiełkiem, podobnym do łkania złości bezsilnej.

Noc bez chmur i bez gwiazd przysłoniła zielonawą czarnością przestrzenie, wsączała się cicho w morze i jakby obejmowała je w swoją moc posępną. Czuło się jej chłodne i wilgotne dotknięcie. Ta świadomość, że się jest zawieszonym pomiędzy dwiema otchłaniami, wody i przestrzeni, że się jest na łasce żywiołu, który co chwila miota się w paroksyzmie wściekłości, i czyha, aby pochłonać wszystko, co mu się opiera, przenika dziwnym dreszczem rozkosznego niepokoju. Siedzi się oczarowanym i jest wtedy prawdziwą rozkoszą i wiatr, i burza, i smaganie — żyje się życiem morza.

Płynie się na grzbietach fal, połyskujących jakąś dziwną białością, niby zarysami bladych widm, i słucha się głosów morza.

Nie czuje się wtedy ani obawy, ani życia, czuje się tylko, że jest dobrze o niczem nie wiedzieć i nie myśleć, biernie poddawać się fali i płynąć w tę noc, przy śpiewie orkanu. Dusza jakby się zlewa z ciemnością i rozprasza w przestrzeniach. Latarnie stra-

nicze dalekiego jeszcze Newhavenu zaczęły przebłyskiwać, a potem pyliły się złotemi gwiazdami, niby jutrznie na czarnym widnokręgu.

Głosy fal potężniały, statek rzucał się coraz bardziej i jakby uciekał szybciej od tych chłodnych i złych uścisków morza. Zeszliśmy do kajut, bo trąby okrętowe zaczęły ryczeć, a łańcuchy światła portowych wyłaniały się zupełnie z nocy.

Rodak przedstawił mnie jakiemuś Chińczykowi, którego nazwał swoim przyjacielem, i siedliśmy razem do herbaty i pogawędki.

— Do Londynu jedziecie?

— Tak, jeździmy co miesiąc.

Chińczyk o rysach wysubtelniionych, jakby to była jedna z tych figurek, rzeźbionych przez jego rodaków z taką maestrią, milczał.

— Przyjaciół mój nie rozumie ani po polsku, ani po angielsku, ale to dzielny chłop. Poznaliśmy się w Formozie. Ja byłem w Legji, on przedstawiał podobno Czarne chorągwie, ofiarowano mu narazie stryczek, ale w drodze łaski pozwolono żyć. Poznaliśmy się w Pambo, żyli, dopasowali i dobrze nam z tem.

— Dobrze pan zna Londyn? — spytałem, bo mi błysła myśl, że może zna adres palarni opjum, o której wiedziałem, iż jest w Londynie, ale adresu dostać nie mogłem znikąd, pomimo gorączkowych poszukiwań.

— Znam dosyć dobrze.

— Może pan wypadkiem wie co o palarni opjum?

Polak odsunął się nieco, spojrział bystro na mnie, powiedział kilka słów do Chińczyka, z którym zamienił spojrzenie porozumienia, bo jakiś uśmiech tajemniczy i słaby przeleciał im po twarzach, i zwrócił się do mnie.

— Palłeś już pan kiedy?

— Nie, nigdy, ale chciałbym. Chciałbym sprawdzić, o ile faktyczne wrażenia palacza opjum są podobne do snutyh na ten temat.

— Pomiędzy opisami a rzeczywistością jest bardzo małe podobieństwo. Wrażenia te są wprost niemożliwe, aby je opisać lub opowiedzieć.

Spojrzałem na niego zdziwiony, bo kiedy kończył, oczy mu się przysłoniły jakby mgłą, twarz znieruchomiała i cofnęła się w głąb, a na ustach wił się dziwny uśmiech omdlewania.

— Znam to dobrze. Byłem dość długo w Chinach, a zresztą i w Londynie istotnie jest miejsce, gdzie można wypalić fajkę opjum.

— Więc znacie adres? — zawołałem uradowany.

— Ba! Jesteśmy stałymi abonentami — odpowiedział cicho.

Zacząłem go prosić bardzo o wprowadzenie. Zamienił kilka słów z Chińczykiem i załatwiliśmy interes krótko. Trzeba było dwóch rzeczy: mieć funt na zapłacenie wejścia i dać uroczyste słowo niezdradzenia tajemnicy.

Wsiedliśmy w Newhaven do pociągu londyńskiego, a w kilka godzin stanęliśmy już na stacji Victoria.

Zamieniliśmy bilety i umówiliśmy na godzinę 8-mą wieczorem spotkanie.

Z ogromną niecierpliwością czekałem tego wieczora. Zaledwie mi się udało namówić mego towarzysza, aby należał do tej wycieczki, bo sam trochę się obawiałem puszczać z ludźmi nieznanymi i w nieznane dzielnice Londynu.

O 8-mej już moi znajomi byli. Wsiedliśmy w Charing Cross do pociągu i pojechali w kierunku Bridge Tower i Doków.

Po godzinie przeszło jazdy wysiedliśmy na jednej z krańcowych stacyj, stamtąd „cab'em”, i wpół godziny stanęli przed długim domem z czerwonej cegły.

Tu była palarnia.

* * *

Rodak załatwił wszystkie formalności, a ja z doktorem wszedłem do wysokiej i długiej sali.

Kilkanaście osób już tam było, i coraz ktoś wchodził. Usiadłem na jednej z sof, które stały pod ścianami, w gąszczach olbrzymich palm. Elektryczne światło z zielono-złotych tulipanów, kołyszących się u sufitu i w gałęziach krzewów, wlewało barwny mrok. Białe, puszyste dywany tłumiły kroki. Cicho było. Ci, którzy mówili, mó-

wili szeptem powolnym, reszta rozciągała się w milczeniu na żółtych jedwabnych sofach.

Wodotrysk na środku sali wyrzucał ogromną kaskadę rozpylonej w mgłę wody i mienił się wszystkimi barwami.

Zabarwiona reflektorami woda podobna była do tęczy, buchającej cudownym słupem światła z głębi marmurowego basenu, i dzwoniła jakąś melodję nieopisanie słodką.

Ze srebrnych kadzielnic w niszach płynęły lekkie, niby słoneczne pasma dymu, kołysały się w mroku i rozwłóczyły po sali mgły denerwującej woni.

Wachlarze z olbrzymich białych piór strusich, osadzone w brązowych trzonach, osłaniały niektóre sofy.

Tyle było piękna artystycznego w urządzeniu sali owej, że się z rozkoszą wciągało tę harmonję barw żywych, a przysłonionych, światel przyciemnionych, konturów łagodnych, jedwabiów miękkich, ciszy pełnej szmerów fontanny i plusku długich, zielonych, o płaskich głowach wężów w basenie.

Już bez opjum można było śnić rozkosznie.

Światła przygasły zupełnie, tylko ten słup wody świecił złotem, rubinem, chalcedonem i szmaragdem.

Z nisz szły jakieś istoty małe, z płomyczkami w ręku, rozpraszały się po sali i ginęły w ciemnicach palm.

Dreszcz mnie dziwny przejął całego i obezwładnił. Przymknąłem oczy z jakąś trwogą rozkoszną. Dotknięcie jakieś delikatne i usłyszałem głos niezmiernie dźwięczny. Podniosłem powieki: przede mną, o ilem mógł rozpoznać w tym mroku, stała młoda dziewczyna, jedna z tych cudnych, filigranowych, uosabiających wdziek i słodycz, Japonek. Była tak piękna, że mi się wydała widzeniem raczej, niż kobietą; nie mogłem oczu oderwać od niej. Podała mi długi, zakończony ogromnym bursztynem, cybuch. Wziąłem go w usta, a ona przyklękła i swojemi śmiesznie małemi rączkami ulepiła stożek opjum, włożyła w otwór fajki, zbliżyła płomyk i cicho, najczystsza, angielszczyzną szepnęła:

— Wciągnij pan wszystek dym w siebie.

Usłuchałem.

Poczułem obrzydliwy, wstrętny wprost zapach spalonego opjum. Ocieężałość niezmierna zaczęła się rozlewać po moich żyłach, powieki mi zapadły, fajka wysunęła mi się z rąk, ale jej nie miałem siły zatrzymać. Czułem, że spadam, chciałem się zerwać, ostatkiem świadomości rzuciłem się naprzód, ale ból dziwny i mocny mię przeniknął, i pamiętam, że leciałem w ten basen czarodziejski.

*

*

*

Ocknąłem się. Pamiętałem, że paliłem opjum. Pamiętałem wiele rzeczy poprzedzających. Sądzi-

łem, że już po wszystkim, więc się obejrzałem na pokój. Nic zeń nie zostało. Błękitna nieskończona przestrzeń mnie otaczała. Białawe jakieś światło przesączało się zewsząd. Czułem, że mnie ogarnia ten rodzaj zdumienia silnego, który prowadzi do obłędu. Strach samotności i szaleństwa przeniknął mnie, ale to krótko trwało.

„Śnię!” — pomyślałem. Spojrzałem na siebie. Nie zobaczyłem nic. Tak, kiedy jakimś ruchem stałym mózgu chciałem podnieść rękę, nie było jej. Nie zajmowałem wcale miejsca.

Uczułem, że jestem tylko świadomością.

Poznałem, że nie widzę, nie czuję, nie słyszę, tylko wiem. Białawy obłoczek mgły to byłem ja. Ilekroć przypominałem sobie cokolwiek, to płomień błękitne i purpurowe, niby błyskawice, wylaływały jakby z tego mojego ja.

Spokój szczęścia niezmiernego czułem w sobie. Przebiegałem jakieś światy czarodziejskie. Płynąłem w zielonym strumieniu światła. Byłem we wszechświecie. Miljardy słońc kołysały się dokoła, jakby kwiaty białe, żółte i purpurowe. Niezliczone wiry płomieni przebiegały przestrzenie. Widziałem uśmiechy gwiazd. Nie czułem nic, prócz niewypowiedzianego szczęścia. Byłem wszędzie, a nie mogłem chcieć, byłem jak rozplynięty, przenikający, wszędzie obecny. Wtem poczułem okropny ból, jakby kto wziął duszę moją w żelazne,

rozpalone ręce i ścisnął z całej mocy. Straciłem przytomność.

* * *

— Wciągnij pan wszystko — szeptała Japonka, zapalając jeszcze większy stożek opjum.

Wciągnąłem.

Znowu inne światły

Czarodziejskie baśnie Szeherezady, ogrody Loreley, jaskółczane pałace w głębiach jezior nie były tak piękne, jak to, com ujrzał. Nie była to ziemia, ani niebo, ani sen, ani rzeczywistość, było to coś, czego język ludzki nie nazwie, a mózg nie wyśni.

Otoczały mnie drzewa, ludzie, ziemia — z płomieni. Wszystko było w zarysach. Oślepiający blask, pełny uśmiechów, słów, spojrzeń — otaczał mnie zewsząd. Te kontury poruszały się, szły, rozsypywały, łączyły zpowrotem. Słupy światła kolorowego, deszcze ognia, kule płomieni wirowały nieustannie dokoła mnie.

Potem te błyski jakby się rozpieczęły, ujrzałem ciemny granat nieba, pełnego gwiazd jasnych, i jakieś czerwone kobierce pod sobą. Nieskończone szeregi złotych kolumn wyrastały niby las. Olbrzymie liście paproci o twarzach długich, poznaczonych zielonemi żyłami, kołysały się z uśmiechem sennym. Nie widziałem oczu, ust, wyrazów; widziałem tylko uśmiechy. Potem coś, jak muzyka harf, płynęła z przestrzeni, i z tych dźwięków

świetlanych wylaniały się postacie kobiet. Pochylały się do mnie, brały wpół za ręce i tańczyły. Widziałem je, jak białą wstęgą na tle złota i purpury migotały przede mną szatami mieniącemi się, niby rżysko na jesieni, omotane pajęczyną.

Przesuwały się, wracały, okrażały mnie tak, że czułem dotknięcie ramion złotych, czułem ogień żrenic, błyszczących jakimś karbunkułowem światłem, widziałem, jak te z jaspisu ciała zarumieniała krew, niby zorze wschodu szyby stawów. Uśmiechały się. Ten uśmiech nie miał ust, wyrazu, znaczenia, a był wszędzie i przyciągał nieprzeparcie. Leciałem jakby na jego fali, jakieś włosy długie osłoniły mnie, i czułem usta jakieś na ustach, i szepty słodkie, i dotknięcia świetlane przenikały czemś niewypowiedzianie słodkiem.

Potem jakaś głębia lasu olbrzymiego. Dęby olbrzymy, pnie o twarzach ludzkich, o rękach długich w miejsce gałęzi, stały, i śpiew głęboki, potężny, rytmami szerokimi, jak świat, płynął ze wszystkich stron, łączył się i rozlewał w przestrzeniach ciemnych, deszczem błysków coraz silniejszych. Olbrzymie strumienie wody płynęły w powietrzu, ponad lasem, a te tłumy kobiet znowu spływały zewsząd, przechodziły obok mnie i tonęły w kaskadzie śpiewów. Śniłem, a z całą świadomością myślałem:

— Czy ja śpię, żyję, czy umarłem?

Naraz znikło wszystko. Zobaczyłem ten sam pokój. Chodziłem od niszy do niszy, odchylałem

wachlarze i oglądałem wszystko, a nie było nic, i nie było nikogo. Była tylko jakby emanacja wszystkiego, tylko ciała astralne drzew, ludzi, sprzętów, coś, jak cienie nikłe majaczyły. Szedłem dalej!

Zobaczyłem samego siebie.

Nie, nie potrafię streścić choćby wrażenia.

Patrzyłem na siebie, leżącego na sofie. Gdybym wtedy miał mózg, jak zwykle, oszalałbym.

Chciałem zawołać na tego sobowtóra, nie mogłem, chciałem go poruszyć, nie mogłem, bo nie miałem czem, nie byłem żadną formą, byłem eterem, pojęciem. Burza strasznego ucisku wrzała we mnie.

„Umarłem... umarłem...” — myślałem z jakąś niewypowiedzianą żrącą rozpaczą, zimno okropne mnie owionęło.

— Gdzie ja jestem? Co się stało ze mną?— oto mniej więcej w ten sposób formułowały się myśli we mnie. Błądziłem po tym pokoju, wracałem do tej sofy, na której widziałem się rozciągniętym, aż znalazłem się przed dużym zwierciadłem. Zobaczyłem gładką powierzchnię, jak przez mgłę, odbijającą zarysy przedmiotów, ale siebie w niem nie widziałem.

Ratunku! Obudźcie mnie!...

Zdawało mi się, że krzyczę, zdławiony kurczem strachu bezmiernego.

— Chcesz pan jeszcze? — zapytała cicho Japonka.

Wachlarz szeleścił cicho i rozwiewał chłód orzeźwiający. Czułem to, słyszałem głos, ale nie śmiałem otworzyć oczu, bo nie wiedziałem dobrze, gdzie jestem. Dopiero, poczuwszy poprawianie poduszki pod głową, otworzyłem oczy i machinalnie wziąłem fajkę do ust i jeszcze raz długo wciągałem dym w siebie.

To samo wrażenie zapadania się i przebudzenia.

Byłem na morzu. Czułem, że płynę rozkrzyżowany, miałem zwykle kształty.

Zdawało mi się wtedy, jak i dzisiaj, kiedy to piszę, że mam zupełną przytomność.

Płynąłem, nie zdając sobie sprawy, skąd się wziąłem. Widziałem jasny błękit nad sobą, słońce i zielone wody oceanu, czułem pieszczotliwe muskania wiatru, słyszałem odległy szum fal, bijących o jakieś skały, mewy z krzykiem przeciągłym unosiły się nade mną, później ogarnęła mnie wielka cisza, jakby wszystko obumarło i oniemiało. Morze się rozstało pode mną, i zleciałem w głąb na jakąś tafłę wody, a z tej spadałem wciąż coraz niżej. Zielony mrok przesłaniał mi wszystko, widziałem przez wodę, że niebo jest czerwone, a słońce pomarańczowe — i spadałem. Ani strach, ani ból, ani zadziwienie nie poruszyło się we mnie. Potem płynąłem jakąś wewnętrzną rzeką Oceanu, przepływałem doliny, pełne skał, roślinności dziw-

nej, nisz, i wypłynąłem na jakąś przestrzeń, gdzie wszystko było białe.

Zadrżałem i jakbym się ocknął z drętwienia, ujrzawszy nagle, z rozwianemi włosami, oczyma wytrzeszczonemi, postacie ludzkie dokoła. Płynęły wprost na mnie, czułem ich dotknięcie, lodowatą śliskość ich ciał, wstrętną miękkość ich włosów. Łączyły się jak w wieniec, i otaczały mnie coraz ciaśniej. Gdzieś spojrzałem, głowy zielonawe, oczy, ręce, nogi, ciała porozrywane, usta otwarte jakby do krzyku, dłonie zaciśnięte, istny sabat trupów napół rozłożonych na dnie Oceanu.

Cisza była bezmierna, a ja nabrzmiewałem wprost obrzydzeniem i strachem, ale krzyknąć nie poruszyć się nie mogłem.

Spadały na mnie, zagradzały mi drogę, zaczępiały o mnie, a ja, jak jeden z nich, leżałem martwy, bez ruchu, na dnie głębin nieznanych, z krzykiem rozpaczony coraz większym w duszy.

Potem te wszystkie ciała jakby się łączyły z sobą i zrastały; był to niby polip olbrzymi o tysiącach głów i ramion, który gonił mnie. Widziałem, że te sine usta odmykają się i zęby długie, ostre połyskują złowrogo, a oczy zaczynają świecić płomieniami krwawemi.

Odzyskiwałem wolę i moc jakąś ogromną, rzucałem się naprzód z rozpaczą szaleństwa, uciekałem w głębie, wychlustywałem na powierzchnię, rozpląszczałem się na falę, rozlewałem się w grzywach pian, ale ten potwór biegł za mną, gonił

mnie po wszystkich szlakach, chwycił i otaczał ze wszystkich stron, czułem ostrość jego szponów, owiewał mnie oddech gorący.

Kiedym już ani cała przestrzeni wolnej nie ujrzał, tylko te skręty potworne wokoło, spotęźniałem. Widziałem się w ich mocy, widziałem, że się podnoszą głowy, wyciągają ręce, ciała wydłużają, że potwór rzuca się na mnie.

Nie, niepodobna jest opisać tę walkę, ten ucisk, gdy mnie oplątywały ciała, ból niewypowiedziany, gdym poczuł miljarde zębów w sobie, i tę siłę, jaką poczułem.

Pamiętam tylko, że brałem się wprost za bary, biłem pięścią, rwałem zębami, miażdżyłem głowy i czułem ciepły strumień krwi, płynącej po mnie...

Potem już ani bólu, ani nic... ośwładnął mną szal walki i zwycięstwa.

Morze się rozkołysało, fale piętrzyły się, niby porwane szczyty gór, pioruny niebieskimi wstęgami były w morze, wichry wyły, jak stado szatanów. Woda we wściekłych wirach biła w niebo, a orkan zamiatał dno. Leżałem na grzbiecie fal i płynąłem. Poczułem się tak potężnym, że widziałem, że przeze mnie przepływa strumień wielkiej potęgi.

Takie bezbrzeżne, boskie uczucie szczęścia i spokoju było we mnie, iż czułem, że w mózgu moim jest wszystko: życie i śmierć, zniszczenie i tworzenie, wszechświat cały.

Kiedym się obudził, mój towarzysz siedział przy mnie. Chciałem jeszcze opjum, ale mnie prawie siłą wyprowadził. Sam nie palił, czuwał nade mną.

Gdy to piszę, jesienny wiatr szumi na dworze, a drobny deszcz spływa po szybach i jest tak zimno i pösępnie na świecie szarym, na polach, ogołoconych ze zbóż, w powietrzu sinem, że z rozkoszą wspominam obrazy tego nie snu, lecz rzeczywistości czarodziejskiej. Niedokładny opis, ale język ludzki to topór, którym trzeba rzeźbić kryształy uczucia; nic dziwnego, że bryły nieforemne i szpetne wychodzą, zamiast posągów.

SIELANKA

(FRAGMENT)

I

Na Saskiej Kępie w niedzielę.

„Pod Dębem” rojno i ludno, jak na jarmarku. Pełno ludzi w ogrodzie przy białych stolikach, pełno na huśtawkach, pełno na karuzelach, pełno przy kręgielni, pełno przy altanach, skrytych jaśminami rozkwitłymi, i pełno w sali, gdzie tańczono mazura.

Stary fortepian brzęczał jakby szkłem potłuczonym, flet gwizdał, niby kos schrypnięty, skrzypce jęczały zmęczone, a rożek łkał jakby przez pijacką czkawkę, a wtórowały im tupania siarczyste, pokrzyki dyszące, śpiewy, szczęki kufli, ostre głosy móżdżerzy, w które dzwoniono w kuchni, że „gotowe”, i krzyki dzieci, i strzały w strzelnicę, i popsute głosy katarynki przy karuzelach, i głuche gruchot kul w kręgielni, i dalekie, głębokie szumy Wisły.

W ogromnej izbie, przyciemnionej mocno, bo drzewa zaglądały do okien, tańczono zapamiętałe, podłoga skrzypiała i gięła się pod nogami, niby klawisze, sufit czarny, popękany zdawał się leżeć na głowach tej zbitej, splątanej gęstwy ludzkiej, kręcącej się zapamiętałe wokółko. Kilkadziesiąt osób stało pod ścianami, a drugie tyle tańczyło w pośrodku. Tupot był ogłuszający, tumany kurzu pokrywały szarym obłokiem całe wnętrze, że tylko czerwone twarze migotały, białe sukienki, koszule tancerzy i niewyraźne zarysy rąk i nóg.

Jakiś ogromny chłop bez surduta, z czerwoną głową, tańczył na przodzie, porywając za sobą tłustą dziewczynę. Machał serwetą i schrypłym głosem, przytupując ogniście, ryczał:

— Mazur, wszystkie pary, mazurrl...

Rżał jak żrebiec i z pasją szaloną rzucał się po sali, przebiegał, bił obcasami w podłogę, zakręcał, przestawał, a co chwila wołał:

— Z życiem, panowie! Z życiem! Rum, rum! Dyż! dyż! dyż!

I znowu biegł, a za nim waliła ciżba ludzka, niby ogromna fala, przelewała się z końca w koniec sali, porwana muzyką, której szalony, pijacki rytm z dziką siłą porywał w wir, w zapamiętanie, w szal.

Widzowie z pod ścian, ze drzwi, z okien, z ogrodu nawet pomagali tańczącym głosami, przytupywaniem, śpiewami.

Aż naraz ciżba zatrzymała się tak gwałtownie, że kilka par poleciało w bok, na ściany i na bufet, bo rudy pan zatrzymał się na czele i zaśpiewał:

Uciekła mi przepióreczka w proso,
A ja za nią nieboraczek bosol

Tłum się rozłamał na dwoje i uformował dwie groble wzdłuż sali, a środkiem przelatywał pan z czerwoną głową i gonił tancerkę. Fortepian przycichł, tylko skrzypce, do spółki z fletem, zaczęły przyśpiewywać jakby młodemi głosami dziewczyn... igrać swawolnie... przekomarzać się... to uciekały, to zdawały się rwać... to ślaniały się jakby zmęczone... to znowu wybuchały kaskadą tonów pełnych radości... a gwaru... a śmiechu...

Trzeba mi się pani matki spytać,
Czy pozwoli przepióreczkę schwytać?

Śpiewali wszyscy, i po tych pojedynczych, solowych zapędach znowu wir porywał wszystkich, fortepian dał pobudkę, a rożek grzmiał fanfara triumfalną, tłum się rozszedł, i taniec już szedł dziki, zadyszany, bezładny, a ognisty...

— Z życiem panowie! Dyż! dyż! dyż!

Dom drżał w posadach, szyby brzęczały, bufet dygotał, pot zalewał twarze, kurz przysłonił wszystkich, zmęczenie obezprzytomniało, ale tańczono wciąż, tańczono bez odpoczynku... do upadłego... po polsku...

— Dyż! dyż! dyż! — ryczał pan z czerwoną głową.

Obok sali, w małym pokoju o jednym oknie, stała para ludzi, tak zatopiona w sobie, że prawie nie słyszeli tańca.

— Odprowadzę panią do domu, dobrze?

— Musiałby pan długo czekać, do zamknięcia.

— Zaczekam.

— Panienko! Cztery piwa!

— Zaraz! A przytem... odprowadza mnie zawsze... ktoś...

— Ten rudy, wiem. Niech pani zapomni, że on istnieje.

— Dobrze, już nie pamiętam, jeśli pan chce tego — szepnęła miękko.

— Zośka! Do pani, prędzej! — krzyknął ktoś z drzwi bocznych.

— Zaraz! Co się stało, że pan dzisiaj przemówił?...

— Chciała pani tego?

— Czekałam... tak czekałam... — dodała cicho, z naciskiem, pochylając się ku niemu — pocałował ją namiętnie w rękę. Cofnęła się prędko... bladą matową jej twarz powlókł różowy cień; bezwiednie poprawiła ciemnych, puszystych włosów i przejrzała się w lustrze, wiszącym na ścianie. Radosne zakłopotanie ją przejęło, i pełna pomieszania rozkosznego i trwogi zarazem, trwogi denerwującej, szepnęła:

— Czekałam dawno, od Nowego Roku, jeszcze tam... „pod Gwiazdą”!

Spojrzał na nią tak dziękczynnie, miłość buchnęła z jego ogromnych niebieskich oczu i taki żar, że dziewczyna sponsowała.

— Muszę iść, bo gospodyni mnie zwymyśla.

— Ale zajrzy pani do mnie?

— Niech pan siądzie na werandzie, tam będę mogła prędzej przylecieć, albo chociaż zdaleka zobaczyć pana...

— Dobrze... ale... czy ten rudy — to może narzeczony?...

— I... chciał nim zostać, ale jest tylko takim tańcusiem do odprowadzania... Przyczepił się i pozbyć się go nie mogę. Głupi facet, myśli, że za pudry i perfumy to u mnie co wskóra! — zaśmiała się cynicznie i pobiegła, zbierając po drodze ze stolików próżne kufle.

Zapiął mundur i przeniósł się na werandę, pokrytą starym, spróchniałym dachem, przez który, niby przez gęste sito, przesiewały się słoneczne blaski na tłum, rozsiadły przy stolikach.

Nie mógł się skupić, drżał jeszcze wewnętrznie od wrażenia tej sceny z Zośką. Po całym roku zdecydował się przemówić do niej... i teraz czuł, że obcym ani obojętnym dziewczynie nie jest. Z radością głęboką chwycił teraz jej spojrzenia, przesuwając się między stolikami, przez werandę; to widział ją w ogrodzie, to wychylała się za nim z sali, której okno wychodziło tuż przy nim.

— Niech pani odpocznie trochę... — prosił cicho.

— Nie, nie można, jutro mam odpoczynek.

— Ma pani dzień wolny, co?

— Cały dzień, aż nie wiem, co z nim zrobię...

— Pomogę pani!

— Hej! panno, piwo! — krzyknął ktoś, więc pobięła.

A on pozostał przy nietkniętem piwie, gonił ją wzrokiem, ale zapadał w jakieś głębokie odrętwienie, w dziwny spokój, płynący z nerwowego wyczerpania.

Restauracja wrzała krzykami i muzyką, a z całej wyspy, ze wszystkich stron, dolatywały głosy śpiewów, muzyk, katarynek, krzyków, parowce co pewien czas darły świstami powietrze, widział ich czarne, postrzępione dymy na tle czystego, bezchmurnego nieba. Wzgórza warszawskie, obsiadłe szeregi domów, wież, dachów, lśniących kopuł i ogrodów, majaczyły blado w rozprężonym, upalnym powietrzu. Drzewa stały bez ruchu, piły słońce i ten kurz szalony, który bił z dróg i z placów i zacieniał kępę, niby mgła. Upał się kończył, bo słońce już zsuwało się za Pragę i świeciło skośnie, ale natomiast podnosił się „pod Dębem” coraz większy gwar i krzyk. Spocone „bawarki”, garsoni w brudnych koszulach i poplamionych frakach biegali jak opętani wśród gości.

Naraz wdali przycichła muzyka i cała fala zmęczona, rozgrzana, przepocona, wylała się na we-

randę i w ogród, już i tak dosyć zapełniony. Gwar się podniósł nie do opisania, wszyscy mówili naraz, śmiali się, szczękali kuflami, krzyczeli na garsonów, śpiewali razem.

— Do karuzeli! Do karuzeli! — krzyczał chudy, mały Żyd, przeciskając się przez gęstwą z kosem.

— Cetno-lichol! Kto gra, ten wigra. Do szczęścia panowie, do szczęścia! Cetno-lichol! Mam dzisiaj pech! Do karuzeli! Do karuzeli! — krzyczał coraz głośniej, natarczywiej i jakby błagalnie.

A z drugiej strony ogrodu, pomiędzy stolikami, obsiadłymi przez całe rodziny, przesuwiał się wysoki, chudy człowiek o wypęczlonych oczach, trupio-bładej twarzy, czarnych wąsach i bródce; frak miał wyplamiony, niby biały krawat i jakieś podejrzane orderzy na piersiach. Pochylony mocno, wyciągał ręce, podobne do szponów, nad stolikami, pokazywał sztuki magiczne.

— Szanowne państwo! Jestem wendrowny prefesor czarnej magiej — króla egipetskiego i szkockiego. We przejeździe z Londynu do Paryża na krótką chwilę wpadłem na Saską Kępe... Kto ciekawy! Nadzwyczajne tajemnice! Czytam w myślach! Wróżę z ręki i z kart! Kto ciekawy! Za pół rubla tajemnice przeszłości i przyszłości! Za dwa złote! Kilka sztuk magicznych, które wykonywałem w haremie, przed sułtanem! Szanowne publiczności! Był widelec, co? Niema widelca! Gdzie widelec?... We brzuszku moim! Kto nie wierzy...

Szanowne... i t. d. — krzyczał wkółko przy stolikach i brał często to dziesiątkę, to kufel piwa, to inny poczęstunek, to kopnięcie albo wymyślanie, nie zważał na takie drobiazgi, wytrwale bawił gości.

W jednej z altan, gęsto pokrytej winem i krzakami jaśminu, rozległ się pijacki śpiew.

— Milczeć tam, cicho! — wołali groźnie w ogródku, bo śpiew był rosyjski. Więc śpiew umilkł natychmiast, a w miejsce tego jakiś głos krzyczał potężnie:

— Panna Zosia! Panna Zosia do nas! Zosia! A ona znowu stała za nim, w oknie.

— Kto to woła?

— To te oficery z altany...

— Nie pójdzie pani przecież do Moskali?!

— I, nie boję się, cóż mi zrobią...

— Niech panna idzie do oficerów, kazała gospodyni! — wołał garson.

— Nie pójdę, niech Mańka idzie...

— Bardzo pani zmęczona?

— O, ja już przywykłam, jutro odpocznę.

— Może pani co zje?

— Nie mam czasu, a przytem w niedzielę stara nie da siedzieć z gośćmi na sali, chyba w gabinecie...

— To chodźmy do gabinetu.

— Zośka! Idź mi natychmiast do oficerów! Ale, będzie mi się tu gzić z gołymi studentami, przy piwie, a tam szampańskie piją panowie oficerowie i chcą, żebyś przyszła... — krzyczała gospodyni.

Zośka zerwała się, jakby biec chciała.

— Proszę dla mnie gabinet, kolację na dwoje i szampańskiego! — krzyknął przez okno do gospodyni i tak piorunująco spojrzął na nią, że cofnęła się i przez drzwi zawołała:

— To już nie chodź, powiem tamtym, żeś już wyszła...

— Dobrze tak, dobrze? — pytał.

— Strasznie pana... lubię—szepnęła mu cicho, bo jej zaimponował ogromnie tem energicznem wystąpieniem.

— Gdzie to ten gabinet?

— Zaprowadzę pana.

Śpiesznie wyszedł z werandy, bo mu wstyd było, że zwrócił tem głośnem poleceniem uwagę publiczności.

Ale już w sali zabiegał drogę ten z czerwoną głową.

— Panno Zosiu, proszę do naszej kompanji, obiecała pani...

— Nie mam czasu...

— E, czas to widać jest, ale dla studentów...— dodał wyzywająco.

— Nie zawracaj pan kontramarki!—krzyknęła groźnie, wprowadzając go do gabinetu. — Niech się pan do niego nie odzywa, to awanturnik... Zaraz przyjdę.

Otworzył jedyne, małe okienko, bo duszno było w tym niby porządnym pokoju. Okno wychodziło na ogród warzywny, zasłonięty ogromnym

klombem róż dzikich i jaśminów, a wysoko ponad zrębami drzew majaczyły czerwone mury Starego Miasta.

A on stał przy oknie, wdychał zapach jaśminu i rozmyślał, że za chwilę ona tutaj przyjdzie, że będą sami... A co dalej? Co z tego będzie? Nie, nie chciał nic wiedzieć, nic myśleć, bo dobrze mu tak było, jak było, jak zaraz będzie, gdy ona powróci.

Słuchał, ale tylko wrzawa ogródka szumiała i drzewa pod oknami zaczęły szemrać jakby pacierz wieczorny, jakby pożegnanie dnia, a fale wiślane łkały coraz głośniejsze i coraz bliżej.

Zośka wpadła z pośpiechem.

— Zaraz przyniosą szampańskie.

— Alboż ja czekam na wino!?

— Nie?...

— Nie wie pani, na kogo, co?...

Stali nawprost siebie, pierś w pierś, oddychali prędko, twarze im płonęły, oczy świeciły gorączką, żarem, pożądaniem... Miał szaloną chęć ująć ją w ramiona i całować, nie śmiał, tylko pochwycił ręce i pokrywał pocałunkami.

Zośka tak się wygięła, że wypukłymi piersiami dotykała jego piersi, chciała go również całować. Odsunął się nieco, a ona dotknęła tylko palcami jego ust ponsowych.

— Dobry pan jest, dobry mój Stach... — szepotała.

— Zosia!

Siedli przy sobie na kanapce, nie widząc nic dookoła, ni brudów wstrętnych tego gabinetu, ni, że już wieczór mrokami wsącał się do pokoju, trzymali się za ręce, czasem mówili coś bez związku, czasem wybuchali śmiechem bez przyczyny, patrzyli sobie w oczy, patrzyli głęboko, dotykali się ramionami, a nie śmieli się całować, nie potrzebowali nawet tego, dość im było być przy sobie i czuć tę wiośnianą szczęśliwość pierwszych chwil kochania.

— Zosiu!

— Stachu!

Szeptali zduszonymi, rozpalonymi słowami i w tych słowach krótkich zamykali wszystko, co ich serce przepełniało. Nie powiedzieli sobie tego słowa: kocham! Bo i poco? Alboż nie wiedzieli o tem, nie mówili sobie oczami, milczeniem, tą ciszą serca! Odsunęli się nieco od siebie, bo garson wnosił kolację i wino. Nie, nie mogli jeść, pili tylko dosyć.

Stach był blady jak płótno, rozpiął mundur, tak mu było gorąco, a Zośka po kilka razy ocierała twarz kolońską wodą, żeby się ochłodzić.

Ale teraz Stach już umyślnie trzymał się od niej zdaleka, bał się dziewczyny, bał się jej ufności bezgranicznej, bał się samego siebie; pożerał ją oczami, a cofał rękę, gdy się mimowolnie spotkała z jej ręką, a usuwał się na drugi brzeg kanapki, bo ciała ich się gięły, prężyły, szły i nieprzeparcie

ciążyły ku sobie. Zauważyła tę jego walkę i spoglądała nań z jakąś dziwną czułością i dumą.

— Pan nie taki facet jak wszystkie!

Wychyliła się przez okno i urwała cały pęk jaśminów.

— Niech pachnie, będzie nam jeszcze lepiej.

— Dlaczego ja pani nie znałem dawniej? Nie wiem, żal mi tylko, że tyle lat żyłem i nie znałem pani...

— Prawda, czemu się nie znamy dawniej! Prawda!... — szeptała, przyciskając jaśminy do ust zgorączkowanych, oparła głowę na tył kanapy, zamknęła oczy i tak długo leżała bez ruchu i bez słowa. Czasem otwierała oczy i, spotkawszy jego gorące, namiętne spojrzenie, uśmiechała się słodko.

— Stachu! Stachu! — skandowała cicho, z lubością.

— Znam panią już cały rok, cały rok! Pamiętam dobrze ten dzień poznania pani, było tak samo, jak dzisiaj, w czerwcu, byliśmy tutaj całą gromadą...

— Miał pan taki biały mundur, pamiętam.

— A pani była w jedwabnej czarnej sukni.

— Nie, nie mam jedwabnej sukni. Gdybym tylko chciała... ale nie mam. — Zapaliła papierosa, pociągnęła kilka razy i włożyła mu do ust.

— Niech pan Stach pal! Pan jest medykiem?

— Tak, tak.

— To pan kraje trupy! — Wzdrygnęła się nerwowo.

— Nie, mało, bo przecież nigdy nie będę leczył nikogo.

— A poco się pan Stach tego uczy?

— Ojciec chciał tego, ale mnie medycyna nie obchodzi wiele...

— A co?

— Panna Zosia przedewszystkiem.

Dialogowali naiwnie, bezmyślnie prawie, aby tylko pokryć tę burzę, jaka się w nich podniosła.

— Gorąco strasznie!

— Strasznie gorąco! — odpowiedział.

Usiadła na oknie, przyciągnęła gałąź jaśminu i liśćmi chłodziła czoło i twarz.

— A ten brunet, co to był przeszłej niedzieli z panem?

— To mój przyjaciel.

— Widziałam go na sali, tańczył.

— Dzisiaj?

— Może przed godziną. Śliczny chłopak, ale pan Stach ładniejszy.

Poczerwieniał i miał ochotę pocałować ją w nogę, którą bujała i wybijała w ścianie takt, bo muzyka znowu grała w sali.

— A panna Zofja to wprost śliczna!

— Bługuje pan! Panowie to wszystkie tak blagują.

— Ja nie.

Zerwała się z okna i długo przed oknem poprawiała włosy, wyjęła mu z kieszeni grzebyk i przyczesła grzywkę.

— Idziemy!

— Idziemy! — zawołał radośnie.

I poszli przez pustą, uśpioną wyspę ku Pradze.

Księżyc świecił wspaniale, cisza leżała ogromna, a gdzie niegdzie w gęstwach nadbrzeżnych pogwizdywały ptaki. Chłodne, białe mgły niby wody ogromne zalewały łąki i przysłaniały plany dalsze. Daleki, przesiany przez ciszę i przez bełkot głuchy fal, gwar Warszawy jak echo ech drżał w powietrzu.

Żaby rechotały gdzieś na łąkach.

Szli mocno przywarci do siebie, czasem przystawali, patrzyli sobie w oczy i w cieniach drzew przydrożnych całowali się długo i namiętnie...

— Odpocznijmy może, zmęczona jesteś!...

— Nie, nie — protestowała energicznie. — Ty! mój łobuzie — dodała z przesadą i ugryzła go w szyję.

— O której przyjść jutro po panią?

— Po panią to można się wcale nie fatygować, a po swoją Zośkę można przyjść przed samą szóstą. Muszę się wyspać, muszę iść do krawcowej, muszę sobie nowy gorset kupić. Potem zajrzę do siostry... tak o szóstej.

— Będę przed szóstą.

— A potem co? Frajda i wielka ekstrawagancja!

— Co tylko zechcesz.

— Już dom widać!

Mieszkała z rodzicami w małym drewnianym domku, przyciśniętym bokiem do wału, tuż prawie koło rzeźni.

Przystanęli przed bramą.

— Do jutra! — Pocałował ją w obie ręce, nie śmiał w usta, bo latarnia stała przed domem, ale ona nie zważała na światło, objęła go mocno i znowu się zwarli w szalonym, onieprzytomniającym pocałunku...

.

Na moście ocknął go z zadumy odgłos szybkich kroków, jakby goniących.

— Hej, panie student! — posłyszał głos i drgnął nieprzyjemnie zdziwiony. To ten pan z czerwoną głową biegł za nim, a zrównawszy się, zajrzał mu głęboko i zbliża w oczy.

— Tylko słówko powiem kawalerowi... Jak się Zośce stanie krzywda, to, jak mi Bóg miły, dam majchrem w brzuch... Nie chciała mnie, ale krzywdy nie dam jej zrobić nikomu... Żeby pan nie był studentem, to jużby było aus! — spojrzał na niego groźnie i błysnął mu przed oczami nożem.

Stach przystanął i powiedział szczerze:

— Ożenię się z nią, to się jej żadna krzywda nie stanie.

— Ręka? — zawołał gwałtownie czerwony pan.

Poszli dalej w najlepszej zgodzie i tak się szybko porozumieli, że Stach zabrał go do siebie na noc, na Hożą, bo czerwony mieszkał aż za Wolskimi rogatkami, pracował w jakiejś fabryce, więc Stach błyskawicznie powziął jakieś zamiary na niego.

II.

Na drugi dzień posłał jej ogromny bukiet kwiatów, pudełko cukierków i pudełko perfum, bo jej heljotropowych znosić nie mógł, a już o wpół do szóstej szturmował do małego domku.

— Czego? — krzyknęła ostro stara pani, wysuwając głowę.

— Panna Zofja w domu?

— Zaczekać! Zośka! Jakiś pan do ciebie! — zawołała głośno.

Ale Zośka już biegła naprzeciw niego i, nie przedstawiając go matce, pociągnęła za sobą do drugiego pokoju.

— Bałam się, że pan zapomniał — wykrzyknęła radośnie.

— Czy mógłbym!

Przywitali się spokojnie, bo drzwi do matki były otwarte i stara co chwila zaglądała do nich.

Pożerał ją oczami, bo wyglądała dzisiaj nadzwyczajnie. Jakaś prosta blado-fioletowa suknia

tak podniosła delikatność jej bladej twarzy, że patrzył na nią ze zdumieniem.

— Ależ w tej sukni jest pani cudownie.

— To nie w sukni, ale że pan przyszedł... Już używałam pańskich perfum, niech pan powącha jakie!...

Nadstawiła mu gors zlany wonnościami, nachylił się i długo całował. Ale ogólnie czuli się dziwnie dzisiaj skrępowani i onieśmieleni. Siedzieli zdaleka od siebie, to rumienili się oboje i uciekali z oczami, bo równocześnie przypominali sobie wieczór wczorajszy. Nie wiedzieli oboje, co mówią ze sobą... Tam, w restauracji, Zośka była śmielsza, przyzwyczała się do „gości”, umiała z nimi mówić, śmiać się i prowadzić ten specjalny, restauracyjny flirt, ale teraz, teraz... ten elegancki, wykwintny, młody chłopak, o takiej cudnej twarzy, onieśmielał ją, onieśmielała ją jego prostota, jego szlachetność, jego maniery, wszystko, bo był tak różnym, tak zupełnie innym od „gości” zwykłych, a wydał się jej tak obcym i dalekim, że zaboląło ją serce ze zgryzoty.

— Nie, to nie może być, żeby to on ją kochał, on, nie... — myślała ciężko i bezwiednie, cichutko szepnęła:

— Stachu! Stachu mój!

— Zośka! — odpowiedział również cicho i szybko ją pocałował w usta.

— Tak, to ty... to ty... — ożywiła się i ogromnie poweselała.

— Tak, to ja, ten sam, ten wczorajszy, pamiętasz?

Odpowiedziała mu również szybkim a gorącym pocałunkiem.

— Gdzie pójdziemy wieczorem, co będziemy robić?

— Gdzie pan tylko chce, co pan tylko chce... Ja już nie jestem, ja teraz jestem pan Stach, co, dobrze?

Czy dobrze? Byłaby się zaczęła serja dłuższych pocałunków, ale wszedł niziutki, chudy, dosyć czysto ubrany pan; miał rzadką bródkę żółtawą, wąsiki jak sznureczki opadały mu na brodę, czerwone oczy i całą twarz dziwnie zmięta, pomarszczona, pożałdowana...

— Strasznie chciałem pana poznać! — zawołał, gdy Zośka ich zapoznała ze sobą.

— Zawraca ojciec!

— Dziecino moja, bądź cicho! — zawołał patetycznie, a ze słodyczą krokodylą. Czerwonemi oczkami obmacywał Stacha, długi, czerwony nos jego był w ciągłym ruchu, jak trąba słonia. — Strasznie pić mi się chce! — wykrzyknął.

— Mama da herbatę...

— Herbatę! Strasznie lubię herbatę; nie uważa pan widzę herbaty za wskazaną do picia, co?

— Ani uważam, ani nie, pijam, ale mi to obojętne!

— Pan doktor stały mieszkaniec Warszawki!

— O nie, jestem z Kieleckiego, ze wsi...

— Ze wsi, ze wsi! Strasznie lubię wieś!

— Zośka, cukru niema, ani nic do herbaty, dajno pieniędzy!

— Dziecino moja, daj, to przyniosę sam, mnie zabrakło drobnych. — Ale Zośka spojrzała na niego, aż się niby zakaszała.

— Sama pójdę.

— To panią wyręczę.

— Nie, nie, nie wie pan, gdzie czego szukać.

— A przynieś groczku, dziecino moja, do herbaty! — szepnął papa i, gdy Zośka wyszła, przysunął się do Stacha, odkaszała, skrzywił się.

— Co, prawda, jaka śliczna ta moja dziecina? Strasznie ją kocham! Poznasz pan starszą, jeszcze piękniejsza, ale straszna dama, straszna! Mieszka jak księżniczka, powozy, lokaje... Ale Zośka lepsza, o lepsza! Mówię: daj rubla! da zaraz, a z tamtą niezawsze widzieć się można. A pieniądze potrzebne, strasznie potrzebne... proces prowadzę, straszny proces... o miliony! Wygram, ale tymczasowo nędza... straszna nędza... dziecina moja pracować musi... urodziła się na panią... a pracuje jak... Ale wygram... teraz właśnie zakładam opozycję... do senatu... zwłóczy się, bo brak mi paru rubli na markil! Od paru rubli zależy los całej rodziny!... Straszne rzeczy nie mieć paru rubli... straszne...

— Mogę panu służyć! — powiedział Stach, bo zrozumiał to dobrze.

— Wstyd mi, strasznie mi wstyd... od nieznanego brać... ale... tak z dziesięć... z piętnaście...

ze dwadzieścia rubelków... to zbawienieby było... straszne zbawienie.

— Dam panu dziesięć, sędzę, iż to ostatecznie wystarczy!

— Zbawco mój! Może dać kwit, albo na zastaw jakąś kosztowność rodzinną... Mojej dzieciny nie widać jakoś... A jaka ona w pasie... A jakie ma biodra! Strasznie ładna... — wykrzykiwał.

A Zośka wkrótce przybiegła i siedli do herbaty.

Papa gadał niestworzone rzeczy, a pił tak sumiennie, że pod koniec araku już zabrakło, więc się pożegnał i wyszedł za „interesami“.

A mama nie odzywała się prawie, tylko raz wraz coś poprawiała na Zośce, to jakąś wstążkę, to coś zeszywała na niej, to poczesywała jej włosów, a potem robiła pończochę, liczyła oczka i biegła oczami po córce, wyszukiwała, coby jeszcze poprawić, to podnosiła się i przynosiła herbatę.

Skończyło się to prędko, odetchnęli całą pierśią na wale praskim, a szczególnie Stach, który się dusił poprostu w dusznej atmosferze.

— Dojdziemy do Zjazdu, co?

— Mam dorożkę! — skinął, i „guma“ potoczyła się ku nim. Wsiedli i jak wicher pomknęli do Warszawy.

— Dobrze? — pytał.

— Dobrze! — odpowiedziała, radośnie ściskając mu rękę.

Objechali ważniejsze ulice i wjechali w Aleje, w długi sznur powozów i dorożek, ciągnących do Łazienek.

— Moja siostra! — wykrzyknęła, kłaniając się jakiejś rozpostartej w piaskowym powozie z taką liberją, dama była bardzo piękna, bardzo wymalowana i bardzo jaskrawo ubrana.

— Mieszka w Warszawie? — zapytał niemile dotknięty.

— Jest w teatrze! Oho! to wielka pani! Żyje z hrabią...

— Panią to cieszy?...

— Tak, bo ona zrobiła grubą karierę, ten hrabia się z nią ożeni... czeka tylko jeszcze... bo matka jego się nie zgadza... — I zaczęła opowiadać ze szczerym i naiwnym zachwytem o siostrze, o jej toaletach, ile ona wydaje pieniędzy. Zupełnie, zupełnie nic w tem jej życiu złego nie widziała! przeciwnie, czuć było w jej głosie jakby zazdrość cichą.

Stach słuchał, ale posmutniał i siedział milczący i chmurny.

— Co panu? Gniewa się pan na mnie, co? Niech się pan Stach nie gniewa! Zośka głupia, Zośka niedobra, ale strasznie kocha, i dotąd będzie prosić, aż się Stach rozchmurzy.

Roześmiał się radośnie, bo tyle głębokiego uczucia dźwięczało w jej głosie, taką miłością pałały jej oczy, tak piękną była! A potem, cóż ona winna, że nie ma poczucia żadnej moralności,

zadnej etyki? Trzeba ją wychować na nowo — myślał.

Przejechali Łazienki, siedzieli trochę na Pa-telni i pojechali do teatru na operetkę, a potem na kolację.

Bawili się wyśmienicie, nie wiedzieli, co ich otaczało, ale bawili się sobą, miłością swoją.

Dość, że już dobrze po północy odwiózł ją do domu.

— Starzy śpią, niech pan wejdzie, zrobię herbaty na maszynie... Posiedzimy trochę i pogadamy...

Niewiele gadali, niewiele... Stach już tam pozostał u niej, a daleko miał chodzić do domu. Tylko rano Zośka nie poszła do zajęcia, napisała list i papa zaniósł go do gospodyni.

I tak się ciągnęła ta ich słodka sielanka aż do jesieni.

Stach codziennie odprowadzał ją do domu, często zostawał u niej, nie zważając na rodziców.

Papa często łapał go w bramie i pocichu, żeby Zośka się nie dowiedziała, pożyczał rubelka, to dwa... ile się dało.

A mama czuwała tylko nad garderobą Zośki, bo nie było dnia, żeby swoim lęklwym głosem nie mówiła:

— Widziałam dzisiaj w kościele śliczną sukienkę różową. Zosi byłoby w takiej do twarzy...

Więc Stach dawał na różową, dawał na czarną, na wszystkich barw i odcieni, dawał na kape-

lusze, na chustki, a potem i na naftę i na mieszkanie, na wszystko... Obdzierali go uczciwie...

A dawał, bo kochał Zośkę naprawdę i głęboko.

Uplanował sobie, że zaraz po wakacjach, od kwartału, wynajmie specjalne mieszkanie i wtedy nie da już jej chodzić do knajpy.

Jużci, że Zośka zgodziła się na to z radością, kochała go namiętnie ślepą miłością, tak mu ufała bezgranicznie, tak go czciła, że życie jej było teraz ogromną, pełną pieśnią szczęścia. Nawet nie pomyślała, że wszystko się skończyć musi.

I Stach nie myślał o tem.

A tymczasem kochali się całą młodością i szalem.

Pewnego dnia matka zaczęła jęczeć:

— Dobrze to wszystko, kochacie się! Widzę... widzę... już drugie łóżko popsute... Ożenisz się z Zośką, to dobrze. Nie ożenisz, to jej sprawa... Ale pamiętaj pan, że Zośka już zaszła... i na chorobę trzeba będzie dużo pieniędzy... dużo pieniędzy!...

Już na drugi dzień Zośka nie poszła do zajęcia, ale pod wieczór, bo Stach cały dzień u niej siedział, przyleciał ten pan z czerwoną głową... i coś mu długo i trwożnie gadał... Stach pożegnał się i wyszedł... a rudy mu wyłuszczał, kogo wzięli dzisiejszej nocy... i dokąd powieźli.

— Ma pan papiery jakie, to zabiorę i schowam...

Ale nim zdążyli to zrobić, schowali obu, żandarmi już czekali na nich na schodach i w mieszkaniu Stacha.

Nie poszedł już na drugi dzień do Zośki, ani następnych...

Sielanka się przerwała.

LOS TOROS

Z. Casanowie Lutosławskiej w dowód
szczerzej admiracji i głębokiej przyjaźni.

Był zwykły dzień sierpniowy.

I chociaż nie były odpustowe dzwony, a nawet kościoły stały pozamykane, już od samego rana zapanowało na całym pobrzeżu jakby uroczyste święto, gdyż tysiące olbrzymich, żółto-czerwonych afiszów, niby nieprzeliczone stado ptactwa, spadło na wioski, góry i miasteczka, rozgłaszając ze wszystkich murów i domów, ze wszystkich drzew przydrożnych i z tablic, wynoszących się z pól zielonych, ze skał nawet i urwisk, że w nowej, wspa-
niałej „Plaza de Toros w S. Sebastian“ odbędzie się:

„Seis grandes corridas de Toros“.

Więc jeszcze przed południem tego uroczystego dnia, we wszystkich miastach i wioskach, zamykano pośpiesznie sklepy, rzucano roboty w polach i szykowano się gorączkowo do drogi, nie bacząc na coraz większą spiekotę.

Upał był straszliwy.

Po niebie, rozpalonem do białości, toczyło się słońce w rozwichrzonych kołtunach płomieni.

Rozprażone powietrze wrzało falami oślepiających blasków, jakby szklivem roztopionem.

Ognisty, suchy i duszący pył zapierał piersi.

Parzyła spieczona ziemia, parzyło powietrze, parzyły mury, a nawet cienie parzyły, niby blachy, zrudziałe w pożodze.

Pastwiska leżały puste i spalone, strumienie wyschły, że po zboczach gór, wśród drzew pomdłałych w spiekocie, bielily się suche, spragnione gardziele łożysk.

Cała dolina, zalana słonecznym wrzątkiem, zionęła niby krater ognisty, zaś niebosiężne szczyty Pirenejów, potrzaskane zwały i rumowiska, posępne ściany granitów, podarte ranami przepaści, wydźwigały się dokoła olbrzymim amfiteatrem płomieni, rozmigotanym złotawym fioletem, jakby te wszystkie pustkowia, i te dzikie poszarpane spiętrzenia kamieni zapłonęły cichym, straszliwie palącym ogniem.

A upał jeszcze się wzmaczał i potężniał.

I kiedy nadeszły pomdlałe godziny południa, wszystek świat jakby się zapadł w otchłań ognistą i spłynął w biały, oślepiający war słońca, że góry stawały się już tylko rozdrzanemi obłokami ognia, mury i dachy widniały rozpalonemi płachtami białawego żaru, a wieże kościołów buchały, niby złote, roziskrzzone pochodnie.

Że już ni jeden ptak się nie ważył w powietrzu.

I ni jeden powiew chłodzącego wiatru nie zawiął od morza.

Tylko chwilami, w głucho rozmigotane milczenie pożogi sypał się przytłumiony, daleki grochot kamieni, spadających w niewidzialne przepaście.

I przez głębokie rozpadliny gór, podobne do zwalonych bram jakichś zamków prawiecznych, gdzieś daleko, jakby w złudnym mirażu tęsknoty, błyskał ocean modro-zielonąwą taflą, a niekiedy głuchy łoskot fal walił się omdlewającym krzykiem w martwą rozpaloną ciszę.

Czasami niewiadomo skąd, chrapliwe głosy syren okrętowych wołały przeciągle i strzępiasty zwał dymów rozkładał się na niebie czarną, leniwą pręgą.

Lecz mimo tej nieopowiedzianej spiekoty, na oślepiająco białych drogach, zaczynał się już zgiełkliwy, przyśpieszony ruch.

W kurzawie, wiszącej nad drogami białym i ciężkim obłokiem, coraz częściej turkotały powozy, wiły się długie, błyszczące automobile, brzęczały zaprzęgi mułów, a bokami, w powiedlonych cieniach drzew, czerniały ludzkie mrowiska.

I zwolna pusta i obumarła w upale dolina zaczęła się napełniać gwarem i ruchem, bo już ze wszystkich stron i drogami wszystkimi, z rozpalonych wąwozów, z dolin i z gór, z miast, bieleją-

cych na zboczach i z domów, zawieszonych nad przepaściami, nadciągały całe tłumy ogorzałe, pokryte kurzem, zmęczone, a tak radosne, że wśród krzyków, pyłów i spiekoty parły się rozszumiała, weselną rzeką ku cyrkowi, którego olbrzymie maurytańskie ściany różowiły się nad miastem, na tle zielonych wzgórz i oceanu.

Cyrk stał na urwistym brzegu, w gaju kwitnących oleandrów, samotnie, jak świątynia, ocean przynosił mu do stóp, jakby w hołdzie nieustannym, spienione, grzmiące fale, oleandry obwiewały wonnym i różanym okwiatem, a przesłoneczniony błękit obtulał go w złotawą mgłę tajemniczego milczenia.

A z doliny, z dróg, z ulic i placów leciały ku niemu rozgorzałe, tęskniące oczy tłumów, oczy namiętnych upragnień, westchnienia pełne żaru i tysiące zgiełkliwych głosów, bo już szerokim, dość stromym podjazdem, obramowanym zielonemi wałami strzępiastych tuj, płynęło całe morze głów.

Czerwono-żółte pióropusze żandarmów konnych, stojących nieruchomo co kilkanaście kroków, wytryskiwały, jak rozmigotane w słońcu fontanny.

Tłoczono się zawzięcie, posuwając się zwolna, krok za krokiem w ciżbie i niesłychanym upale, tysiące głosów wrzało nieustannie i tysiące parasolek i wachlarzy, niby rój barwnych motyli, chwiało się w słonecznej topieli.

Tłum zbitą, nierozpłataną gęstwą, zajmował całą drogę, że środkiem, z wielkim trudem posuwał się

długi szereg powozów i automobilów, pełnych cudownych kobiet, w białych mantylach na głowach, z rozwiniętymi wachlarzami w rękach.

Niektóre z powozów jechały na „corridę”, przystrojone wspaniale, wedle starego zwyczaju, wykryte kapami z jedwabiów kolorowych, że czerwień i złoto, fiolet i biel śnieżna, jakby się rozbryzgując z powozów, lały się po kołach aż w kurz i pod nogi przechodniów. Witano je rzęсистymi brawami, a z pod białych mantyl błyskały wdzięczne spojrzenia, uśmiechy i purpurowe dumne usta.

Lecz cały ten korowód posuwał się coraz wolniej i zatrzymywał się co chwila mimo pośpiechu, gdyż przed bramą cyrku już zapanował tłok straszliwy i nieopisana wrzawa.

Chaos krzyków, śpiewań i turkotów huczał w powietrzu jak burza, a tysiące handlarzy przekrzykiwało się nawzajem, wijąc się wśród ciżb, tłoków i niebosiężnych wrzasków.

Tłum napływał wciąż i kłębił się coraz potężniej, kołysał się jak morze, roztrącał o powozy i o zwarte szeregi żandarmów, bił w potężne mury i wdzierał się wreszcie do środka z szumem wód wzburzonych.

Ogromny, cichy cyrk, zalany oślepiającem światłem słońca i rozprażony niby krater, pochłaniał coraz większe masy.

Wielką jak plac arenę, określoną kręgiem amfiteatralnych siedzeń, aż po wąski skrawek czerwonego dachu, nakrywało niebo błękitnawym, roz-

palonym namiotem, a grupa oleandrów, nachylona z bliskiego wzgórza kwitnącemi czubami, chwiała się nad nią kiściami kwiatów, jak różaną kadzielnicą.

Zaś w zgiełku coraz większym płynęły tłumy, rozlewając się prawie bez śladu w olbrzymich białych przestrzeniach, jak wody w suchym, głębokim piasku, nadpływały wciąż i lały się z głuchym bełkotem nieustannie.

Muzyka, umieszczona na balkonie, wprost głównego wejścia, stroiła dość hałaśliwie instrumenty, zagłuszane jednak przez te nieskończone potoki ludzkie, zalewające zwołna wszystkie miejsca, że już cyrk, niby wielka koneha, rozszumiał się i rozgwarzył.

Na jakimś zegarze wydzwoniła czwarta.

Muzyka zagrzmiała ze wszystkich sił.

Głos trąb mosiężnych wznosił się potężnym, dzikim krzykiem, jakby młoty spadały na wręby słonecznego dzwonu, iż od brzmień rozdrgało powietrze, a kwiaty oleandrów posypały się deszczem różanym.

Cyrk był już prawie pełny, wszystkie miejsca, po słonecznej stronie i w cieniu, zapełniła gęstwa nieprzeliczona, tylko do łóż wchodziły wciąż jeszcze białe i czarne mantyle.

Co chwila suchy trzask braw witał jakąś piękność, lub popularną osobistość.

Nie było jeszcze wpół do piątej, a cyrk się zapełnił do ostatniego miejsca.

Krąg ław amfiteatru od pustej, żółcącej się areny, aż po wąski skraj dachu, mrowił się ludźmi i falował.

Muzyka umilkła, ale szmer głosów rozdrgany i sypki, niby szum morza, falował i wichrzył się nieustannie, niekiedy staczał się z górnych ław wrzącą kaskadą, to wybuchał wgórę miotem huraganu, a chwilami był tylko trzepotem wachlarzy, poruszających się we wszystkich rękach.

Upał był jeszcze niemiłosierny.

Ale już chwilami przez mury chlustały fale chłodu wraz z krótkimi grzmotami oceanu, wałącego o skały.

Tylko wachlarze pracowały z jednaka zawziętością, jakby nieprzeliczone stado ptactwa opadło na amfiteatr i, trzepiąc tysiącami skrzydeł, szamotało się gwałtownie, przysłaniając wszystkich pierzastą chmurą barw.

Nie można dojrzeć nikogo, wszystko się miga w blaskach słońca i oddaleniu, mienią, drgają i falują, że tylko w najbliższych łóżach wykwitają nieco wyraźniej jakieś cudowne głowy Hiszpanek, jakieś oczy otchłanne, jakieś dumne usta się purpurzą, jakieś orle twarze o posępnym wdzięku wychylają się na mgnienie z poza wachlarzy.

Naraz głuchy ryk wydarł się z podziemi z taką siłą, że cyrk oniemiał, a za tym długim i żałosnym krzykiem byka popłynął w ciszy słaby śpiew modlitw z kaplicy niedalekiej.

Opadły wachlarze, cyrk się zaśłuchał na mgnienie, niektóre usta poruszały się w modlitwie, a gdzie niegdzie biała ręka czyniła śpiesznie znak krzyża.

— To śpiewali w kaplicy cyrkowej ci, którzy mieli walczyć.

Ale tłum wybuchnął niecierpliwie, niespodziany grzmot tupań i krzyków zatargał murami.

Mosiężne trąby dają uroczysty sygnał.

Opadają wachlarze, staje się cisza.

Wypada na arenę dwóch jeźdźców w średniowiecznych strojach, pędzą galopem pod lożę królewską po klucze od stajni byków i pozwolenie na rozpoczęcie walki.

Po chwili, gdy muzyka grzmi triumfalnym marszem, otwierają się szerokie wierzeje i wywala się wspaniały pochód.

Na bokach jadą konno pikadorzy z pikami w rękach, cali w żółtych skórach i w stalowych pancerzach na nogach, idą banderillerzy z czerwonymi i żółtymi kapami na rękach, idzie służba przybrana w czerwień, idą muły w czerwonych zaprzęgach i w pióropuszech, idą stajenni, a w pośrodku, z nakrytymi głowami, idą espady dumni, strojni, wspaniali...

Ciągną zwartą falangą dokoła areny, kręgiem, zamkniętym wysokim parkanem, dzielącym plac walki od widzów, po żółtym piasku idą mocnym, rytmicznym krokiem, niby gladjatorzy, idący na śmierć, z oczami w oczach tłumu, w ciszy podziwu,

w milczeniu grozy, że zdaje się, iż w tej chwili podniesie się przeciągły straszny śpiew:

„Ave, Caesar, morituri te salutant”.

Milczenie waży się jak ptak, nim runie, że tylko słychać brzęk zaprzęgów, skrzyp piasku i uderzenia kopyt, a w rozmigotanych blaskach wiruje rzeka barw, wybucha czerwień, pławi się złoto, kwitnie błękit, graży fiolet, mrowią się błyskami złote i srebrne hafty, chwieją się pióropusze i płoną rozgorzałe oczy.

Naraz grzmot braw i krzyk stoczył się jak lawina i wrzał długo, aż się rozplynęli, niby obraz czarodziejskiego snu.

Wyrównywano śpiesznie stratowany piasek.

Muzyka wybucha nagle hukiem trąb i kotłów.

Pikadorzy już stanęli w różnych punktach areny, czekają, nogi wparte w strzemiona, cugle skrócone, piki gotowe do ciosu...

Banderillerzy w białych pończochach i błękitnych kaftanach, z kapami w rękach, pochyleni nieco, czuwają w naprężeniu...

Czerwona służba kryje się za końskimi zadami.

Tylko espady siedzą zboku, rozglądając się po amfiteatrze.

Nagle wszystkie zgiełki jakby się zapadły.

Trzasnęły wrota, wszystkie oczy runęły w jeden punkt, wachlarze zwisły bezwładnie, z czarnej czeluści wydarł się ściszony ryk i zamajaczył rogaty, potężny łeb.

Byk wyskoczył ogromnemi susami i na środku areny przystanął.

Był wprost cudownie piękny, długi, lśniący, czarny, potężny, różowemi ślepiami zatoczył dokoła i pognął zpowrotem do stajni.

Ale kapy czuwały; czerwone, żółte i zielone płachty zastąpiły mu drogę, opadły ze wszystkich stron, zatrzepały się dokoła, że, jakby oślepiiony jaskrawą, szumiącą wichurą, zakręcił się wkoło i runął na nich gwałtownie, rozprysnęli się po arenie, rzucał się za niemi zajadle, już dopędzał niejednego... już schylał rogi... uderzał, ale zawsze w próżnię, lub w ustawione kapy, gdyż ludzie wymykali się ciosom z jakąś cudowną zręcznością.

Przystanął na chwilę, zaryczał i jął grzebać kopytami.

Kapy znowu go napadły; wieją, drażnią, migocą przed ślepiami, rozwijają się z szumem, fruważą dokoła, niby skrzydła czerwone, żółte i zielone, wabią i rozwścieklają coraz bardziej.

Brawa już trzeszczą salwami, gorączka się podnosi.

A byk walczy naoślep, kręci się ogłupiały, przelatuje arenę, uderza w próżnię, miota się na wszystkie strony w obłokach kurzawy, naraz dojrzał na drugim końcu siwego konia, sprężył się i pognął wielkimi susami, nie widzi już ludzi... trąca kapy... omija przeszkody... leci jak burza...

Amfiteatr niemieje, oczy płoną, wachlarze trzęsą się nerwowo.

Pikador osadza się mocniej w strzemionach, opuszcza niżej drzewce... mierzy... ale koń poczuł niebezpieczeństwo, cofa się, rży żałośnie... biją go ztyłu, że zerwał się i rusza naprzeciw...

Byk dobiega... pochyla straszne rogi... pręży się do ciosu... świecące żądło piki trafia go w grzbiet i orze krwawą brózdę, zmagają się przez mgnienie... drzewce się wygina w kabłąk... byk prze się ze wszystkiej mocy bólu i wściekłości... pochyla łeb coraz niżej... pręży się, przemaga... i bije rogami w brzuch koński z taką siłą, że rozległ się trzask, jakby rozdartego bębna, bluznął strumień krwi, koń pada, pikador wylatuje w powietrze i wali się plecami na ogrodzenie.

Krótki, straszliwy krzyk przeleciał po amiteatrze.

Jakieś Angielki dostają spazmów i morskiej choroby.

Byk rozjuszony dobija konia, pastwi się, drze rogami wyprute wnętrzności, trątuje, ledwie go odciągnęły kapy, skoczył za niemi, ale po drodze rozpruł bok drugiemu koniowi, trzeciego zabił i leciał już z rykiem na czwartego...

Wreszcie kapy osaczyły go w pośrodku areny rozwianą, wirującą chmurą barw.

Pikadora wynieśli, krew zasypali, zabite konie ściągnięto pod płot, a muzyka buchnęła grzmiącą fanfara.

Na jakiś znak kapy rozbiegły się na wszystkie strony.

Byk został sam jeden, podniósł zbroczony łeb i toczył krwawemi ślepiami.

Naprzeciw niego wyszedł banderilleros, bez kapy i bez broni, tylko z czerwono-żółtymi chorągiewkami w ręku, które musi wbić w grzbiet.

Ruszają ku sobie zwolna, ostrożnie, czatująco.

Zawiazuje się walka.

Byk napada, atakuje, uderza gwałtownie... banderilleros wyprysnął mu z pod rogów... skacze wbok... zawraca w miejscu... gonią się wkółko, przystają, mierzą oczami, biegną na siebie i rozlatują się na mgnienie.

Cyrk cichnie, ale co chwila zrywają się brawa i krzyki, i co chwila zapada ekstatyczne, gorączkowe milczenie.

Tylko w słonecznej połodze areny wciąż migocze czarne cielsko i skrwawione rogi biją zapamiętałe w banderillera, sto razy cios już był tak niechybny, że przerażenie dławilo, ale sto razy wymknął się śmierci, sto razy jakimś niepochwytym, cudownym ruchem wydarł się z pod ciosów, iż straszne rogi tylko świsnęły koło piersi, a on znowu wyzywa, rzuca się naprzód, wykręca, trzepie chorągiewkami, drażni, pędzi zuchwale wprost na rogi, aż byk, jakby zmęczony, zwolnił rzutu, idzie niby spokojnie, ale ślepie mu błyszczą i ślina cieknie z pyska, posuwa się miękko... banderilleros stanął, czeka pochylony, gotowy, sprężony... a gdy potężny łeb przygiął się tuż przed nim do uderzenia...

runął między nogi jak tygrys, wbił mu w grzbiet chorągiewki i prysnął w bok.

Huragan krzyków zatrzęsł amfiteatrem.

Byk oszalały z bólu i zestrachany szumem chorągiewek, co jak drapieżne ptaki spadły mu na grzbiet i, trzepocząc się, szarpią stalowymi pazurami, rzuca się z rykiem po arenie, tłucze rogami w deski ogrodzenia i tak zajadle goni za ludźmi, że muszą skakać przez płot.

Cyrk wprost szaleje z radości.

Występuje espada i amfiteatr się ucisza.

Ukazuje się w słonecznych blaskach wytryskiem bieli i fioletu, jak kwiat rozmigotany rosą złotych i srebrnych ozdób i haftów. Jest smukły, młody i piękny, ma ruchy jaguara i nogi jakby ze stali, z pod beretu wymyka mu się na plecy czarny, mały warkoczyk, obnażoną szpadę trzyma w lewej ręce, a w prawej kapę czerwoną.

— Bombita! Bombita! — krzyczą ze wszystkich stron.

Kłania się szpadą i dziękuje z uśmiechem.

A byk przystanął pod płotem, patrzy w słońce i porykuje zcicha, żałośnie, jakby do pastwisk dalekich, do zielonych, szumiących pól Andaluzji. Nie spostrzegł espady, nie słyszy wrzasków, jakby zapomniał, gdzie jest, zdaje się nawet ran swoich nie pamiętać, wyciągnął skrwawiony łeb i zasłuchiwał się jakgdyby w jakieś odgłosy dalekie... dalekie... może w chłodny bełkot strumieni, w poszum dębów, w ryki braci, a może w nawoływania pastuchów.

Kapy zaczynają grać, fruwać dokoła niego, jak ptaki.

Nie widzi nic, stoi nieruchomo, zapatrzony w słońce.

— Krowa! Niedobry! Za mało zły — wrzeszcza w amfiteatrze.

Bombita idzie na niego, drażni go kapą, fascynuje oczami, przesuwając się przed łbem, migoce szpada, krzyczy, bije kapą po rogach, aż byk jakby się nagle przebudził, ryknął gniewnie, rzucił się i przeleciał, zatacza półkole i potężnymi susami skacze, aż piasek wytryskuje z pod racic.

— Ostrożnie! Uważaj! Ostrożnie! — podnoszą się trwożliwe głosy. Wreszcie zapada śmiertelne milczenie, że słyszeć bełkot oceanu, świegot jaskółek, przelatujących nad cyrkiem, i mdlejący szelest wachlarzy.

Amfiteatr zamiera ze wzruszenia, dwadzieścia tysięcy serc pręży się w ekstazie, wychylają się z łóż, leżą na parapetach, prawie wiszą nad areną, a wszyscy z rozgorzałymi oczami, bez tchu, nieprzytomni, pijani już radością, podziwem i entuzjazmem.

Bo walka już się toczy na śmierć i życie.

Jeden zginąć musi, a zdaje się, iż obaj wiedzą o tem, i byk, i człowiek.

Atakują się zimno, mądrze a okrutnie, kręcąc się wokół, z oczami w oczach, o parę kroków a czasem tak zbliżają, że rogi oślizgują się po żebrach espady.

Byk naciera, bije i zawraca z szaloną szybkością, wali się jak huragan, ale espada czuwa, wykręca się z pod rogów, zasłania kapa, odskakuje; wiją się dokoła siebie jak błyskawice, gonia, zataczają kręgi, a szpada wciąż czyha zdradliwie i migoce głodnem żądłem, a straszne rogi bodą zapamiętałe, uderzają niestrudzenie i nadaremnie, że byk już szaleje z wściekłości, grzebie racicami, ryczy i tak się gwałtownie miota, iż niepodobna pochwycić ruchów, robi się zawrotny wir, a w tej kurzawie zarysów tylko niekiedy zawieje kapa, błysnie szpada, zaczernią rogi...

Niekiedy czyni się mgnienie pauzy... stają na-przeciw... dyszą... mierzą się złowrogo... czają i walą się na siebie jak gromy...

A co chwila, za jakiś gest bohaterski, za jakiś ruch szalony, za jakieś uniknięcie ciosu, ulewa braw i krzyków, ale, jeśli kapa wionęła nieprawidłowo, jeśli skok był niezręczny, jeśli jawił się choćby cień lęku, amfiteatr syczy, gwizdże, wymyśla i śmieje się urągliwie.

Lud się zna na odwadze, wielbi bohaterstwo i lud czuwa nad prawidłami walki, nie pozwala na odstępstwa.

Zdenerwowanie jednak tak wzrasta, że już coraz głośniejsze krzyczą:

— Zabij! Dosyć! Zabij!

Bombita ciska kapę daleko od siebie, przerzuca szpadę do prawej ręki, przystanął, nogi wparł

w piasek, nieco się przygiął, podnosi broń i mierzy w nadbiegające zwierzę...

Mgnienie ciszy... byk dobiega... rzuca się na niego z pochylonym łbem... ale, nim zdołał uderzyć, espada zwałił mu się pomiędzy nogi, wbił ostrze w nasadę karku i odskoczył.

Lecz cios był za słaby, szpada utkwiała tylko do połowy.

— Żle, źle! Popraw! — krzyczą dokoła.

Byk ciska się po arenie oszalały, szpada trzepie mu się przez chwilę w grzbiecie i wylatuje, krew bucha z rany strumieniem.

Bombita bierze nową szpadę i blady, skupiony i groźny, idzie.

Nowa krótka walka i spada cios błyskawiczny, cios niechybny, prędkie, twardy, nieubłagany cios śmierci.

Wbił szpadę po rękojesc.

Ale byk jeszcze nie padł, uskoczył w bok i bluznął krwią; zatacza się, chwieje, rzezi, chrapie, pada na kolana, porywa się ostatnim wysiłkiem, chce uciekać i wali się w ciężkiej męce konania.

Dobił go jakiś nóż litościwy.

Pierwsza walka skończona.

Cyrk jednak milczy, espada schodzi z areny bez braw.

Ogłaszają dziesięć minut pauzy.

Małe koniki, strojne w pióropusze, wywłóczą pobite, służba uprząta arenę, zasypuje krwawe place i równa porytą ziemię.

Po korytarzach i w przejściach już krzyczą sprzedający wodę, lody, programy i tysiące różnych rzeczy.

Gwar coraz większy, loże się odwiedzają, zaczynają wrzeć śmiechy, głosy powitań lecą z końca w koniec amfiteatru; tłum się kłębi, przewala, woła, krzyczy, gestykuluje, a gdzie nigdzie śpiewa i gwizdże.

Wachlarze trzepią się gorączkowo i niestannie.

Wielu cudzoziemców wynosi się ostentacyjnie, żegnają ich złośliwe brawa i śmiechy.

Już nieco chłodniej. Słońce przetoczyło się nad ocean, że pół areny pogrąża się w przezłoconych cieniach, a nachylone kiście oleandrów płoną niby skamieniałe wytryski krwi, fale przypływu huczą coraz potężniej, zaś wysoko ponad cyrkiem i gwarem tysięcy, przez lazurowe głębie, ciągnie klucz białych, ogromnych ptaków... lecą na zachód... za słońcem.

Muzyka daje grzmiący znak.

Rozpoczyna się nowa walka.

Pikadorzy, banderillerzy, kapy i służba zajmują swoje miejsca.

Trzaskają wierzeje stajni.

Wypada byk. Przystanął olśniony słońcem, olbrzymie rogi błyszczą mu jakby z czarnej poleowanej stali, zatrząś łbem, rozejrzał się i jak czarny tuman runął ku koniom.

Najbliższy pikador rusza na niego z piką, złożoną do ciosu.

Gasną wrzawy. Spotykają się, pika trafia, wgryza się w grzbiet, i bodzie, ryjąc straszną brózdę, byk się szamoce pod ostrzem, ryczy, wpiera kopytami w ziemię i z wściekłym miotem usiłuje trzasnąć rogami w konia; mocią się, jak lwy, prężą, zmagają.

— Uderzył! Uderzył! — wioną zgorączkowane szepty.

— Nie!

— Rozpruje! Z pewnością!

— Nie! Nie! O zakład, że nie!

Sto zakładów staje. Tysiące ludzi czeka z zapartym tchem. Milczenie się rozsiewa. Niepokój wstrząsa. Obawa i zachwyt, radość i zgroza. Chwila już się zdaje być godzinami. Wachlarze pomdlały, oczy gorzeją, twarze bledną, serca się tłuką.

Ale pika wciąż trzyma zwierzę na uwięzi, nie puszcza, gnie się w pałąk, zwija się już prawie w obręcz i z taką siłą odpiera, że byk nie wytrzymał i odskoczył wbok.

Amfiteatr chlusnął niebosięzną wrzawą braw, zwycięski pikador kłania się na wszystkie strony, a byk, rozsrożony bólem, spieniony, buchający krwią, co go oblewa, niby płaszczem purpurowym, rzuca się z dzikim rykiem na ludzi.

Kapy otaczają go szumiącym wirem błyskawic.

Nie pozwala się osaczyć, przelatuje jak wichra, zabija konie, rwie kapy, zawraca niespodzianie, napada podstępnie, bije w ciżby, miota się jak grom, chce przerwać tę straszną obręcz i uciec...

Ale napróżno, niema już ratunku, żelazny krąg dokoła, wszędzie zastępuje kapa, grozi pika, straszny krzyk, wszędzie nieprzełamany mur ludzi, wszędzie śmierć czyha i przerażenie.

Banderilleros wbił mu w grzbiet dwie chorągiewki.

Byk, już rozszałały, ciska się nieprzytomnie.

Drugi banderilleros wbija mu jeszcze dwie.

Zaryczał przeciągle, bije ogonem po bokach skrwawionych i okręca się w miejscu, chcąc się pozbyć tych strasznych pióropuszków.

Naraz trzeci banderilleros biegnie na niego, rzuca się zuchwale wprost na rogi i wbija mu trzecią parę chorągiewek.

Orkan uniesień zerwał się z ław.

Byk już dostatecznie przygotowany do ostatniej walki.

— Fuentes! Fuentes! — krzyczą imię ulubieńca.

Espada występuje powoli z błyszczącym ostrzem w rękę.

Pierwsza szpada Hiszpanji, niezwyciężony, niepokonany, nieustraszony, bożyszcze tłumów, chwala ich i duma, posuwa się w ulevie spojrzeń miłosnych i braw dumnym, wyniosłym krokiem, i zimnemi oczami śledzi niepokojące ruchy byka.

Ruszyli na siebie!

Wiąże się walka cicha, gwałtowna i nieubłagana.

Byk, cały we krwi, straszny jest w skupionej, dzikiej wściekłości.

Co mgnienie stają naprzeciw i co mgnienie straszne rogi uderzają tak zbliśka i niechybnie, że zamierają serca i mdleją dusze, ale espada wykręca się śmierci, odskakuje i, jakby gardząc niebezpieczeństwem, spokojnie zastępuje drogę bykowi, wieje kapą przed krwawymi ślepiami, migoce szpada, wyzywa, staje tuż przed rogami i zimny, cudowny w zuchwałości, czeka nowego ciosu.

Zapada cisza, jak w chwili podniesienia.

Słychać tylko nad areną szczebiot kołujących jaskółek.

— Ostrożnie! Pilnuj się! Niech cię Bóg strzeże!

Pojedynek się kończy, Fuentes odrzucił kapę, szpada zamigotała.

Wzruszenie już dusi, twarze płoną, wszyscy powstają z miejsc, oczy pełne błyskawic, kobiety prawie wiszą nad areną, nozdrza mają rozdęte, oczy oszalałe, nieme krzyki na ustach purpurowych, białe zęby błyskają, jak kły wilków...

Jakiś płacz się zerwał krótki, zdławiony, nerwowo; jakiś krzyk wionął mdlejący, jakieś nieprzytomne brawa zahuczały i znowu długie, napięte aż do bólu milczenie.

Wszyscy już wniebowzięci, wszyscy już jakby zac zadzeni krwią, pijani żądzą męki, ran i śmierci, porwani bohaterstwem, ważą się w oniemieniu na ostatnich rzutach walki.

Fuentes podnosi żelazo, skupia się do ciosu, mierzy... byk się przygiął, rogi podgarnął i uderza ze straszną siłą, a szpada tylko mu błysnęła nad karkiem cichą, krętą błyskawicą...

Byk skamieniał, jakby rażony piorunem, skurczył się, rzygnął krwią i bez jęku padł trupem u samych jego stóp...

Fuentes ani drgnął.

Cyrk zamiętał się jak ocean wzburzony do dna, lunęły rozszalałe krzyki i brawa. Wszyscy porwali się z miejsc. Szał ogarnął tłumy. Posypał się deszcz kwiatów, a potem grad, ulewa, potop zwałił się na arenę, rzucano kapelusze, cygara, parasolki, nawet bukłaki z winem, wszystko, nawet mantyle i wachlarze, i kosztowności, ubrania nawet, co kto miał pod ręką, chwycił, zdzierał ze siebie i rzucał wśród ogłuszających wrzasków.

— Niech będzie błogosławiona twoja matka!

— Niech będzie świętym dzień twoich urodzin!

— Cześć ci, niezwyciężony!

Krzyczano z płaczem radości, krzyczano z uniesieniem, krzyczano z dumą bezprzytomnego entuzjazmu.

Fuentes, podobny do zwycięskiego boga, kłaniał się dokoła skrwawioną, aż po gardę, szpadą.

Muzyka zagrzemiała triumfalnym marszem, zasypując wszystkie głosy mosiężnym dźwiękiem trąb i hukiem kotłów.

A jeszcze się zrywały brawa i wywoływania, jeszcze niekiedy leciały kwiaty pod stopy espady, otoczonego ciżbą wielbicieli, jeszcze tłumy, nie mogąc się uspokoić, wrzały, jak morze rozkołysane.

Amfiteatr, zalany słońcem, rozprażony upałem, przesiąknięty zapachem krwi, drgał sypkim, niepochwytym ruchem tysięcy głów, mrowił się i kołysał, jak łan, przegarniany wichurą.

Wachlarze znowu się zatrzepały nieprzeliczonym stadem skrzydeł, zaperliły się śmiechy, zamigotały dumne spojrzenia, zatliły się żary ust purpurowych, upojenie zabrzmiało w głosach, szczęście widniało w twarzach, czyste, nagie szczęście istnienia, że nawet powietrze było przesyccone weselnym żarem radości.

Naraz jakiś potężny głos zaśpiewał na górnych ławach.

Radosna pieśń zerwała się chybkim lotem, okrążyła cyrk i jak ptak wzbiła się do słońca:

„Sienta plaza moreno, para que veas,
Pom, Pom!”

Amfiteatr pochwycił i zawtórował jednym ogromnym głosem:

„Pom, Pom! Pom, Pom!”

Aż mury się zatrzęsły i oleandrowe kwiaty posypały się na głowy różanym gradem.

„Lo que massedestaca en un batallon,
Pom, Pom! Pom, Pom!”

Wtórowali wszyscy żarliwie, i pieśń nabrzmiewała uniesieniem, wzbiła się palącym wichrem

dźwięków, triumfalnym hymnem życia w błękity płynęła i w nieskończone dale oceanu się niosła potężną falą ludzkiej radości.

Po nieco dłuższej pauzie rozpoczęła się trzecia walka.

Amfiteatr tak już był podniecony i zgorączkowany, że dopiero na widok nowego byka trochę się uspokoiło.

Byk wyskoczył ze stajni wesoło, w podskokach, jakby wypuszczony na pastwisko; był nieco dłuższy niżli poprzednie, płowy, o złotawych bokach i nogach.

— Ceniceró! Ceniceró! — zakrzyczał do niego jakiś głos płaczliwy.

Pokryły go świsty i wrzaski.

Walka rozpoczęła się zwykłą koleją, ale co chwila i z innej strony cyrku rozlegał się ten sam płaczliwy, żaloseny głos:

— Ceniceró! Ceniceró!

Aż byk dosłyszał, przystanął nagle i odpowiedział przeciągłym rykiem.

Naprawdę kapy go drażniły i pikadorzy usiłowali zegnać z miejsca, naprawdę zmuszano go do walki, jakby nie chciał wiedzieć o niczem, kręcił się tylko na wszystkie strony i, nasłuchując, potykał.

Niepokój owładnął tłumami, tysiące rad, krzyków i złorzeczeń posypało się na niego, tysiące nienawistnych spojrzeń bodło go na śmierć i rozdzierało żywcem, a jakaś młoda przepiękna dziewcz-

czyna wychyliła się z łoży i z zaciśniętymi pięściami wołała:

— Bydlę! Oćwicz go batami!

I z wielu już stron krzyczano niecierpliwie:

— Innego byka! Ten nic niewart, zły! Innego!

Wrzask podnosił się coraz większy, rzucono już w niego kapelusze i laski, plwano wzdargą, gdy byk jakby oprzytomniał, i lawina nie staczała się tak błyskawicowo, jak on runął na kapy i banderillerów.

Krzyk trwogi wydarł się ze wszystkich pierśi.

Zdążyli jednak uciec, a on klębił się jak trąba powietrzna, szalał, gonił ludzi, porywał rogami kapy, rozpruwał konie niby puste pęcherze, obalał, tratował z nienawiścią, powracał i jeszcze dobiegał i tłukł, i skrwawiony, zdziczały, dyszący mordercem, przelatywał arenę z głuchym tętentem i nawracał tak szybko, skręcał tak niespodzianie, bił tak wściekle, że co mgnienie kapy i banderillery rozpierzchali się, jak kury spłoszone.

Wkońcu już cyrk zaczął świstać i drwić:

— Tchórze! Krowy wam oprowadzać! Mulinicy! Oślarze!

Wtedy wystąpił jakiś banderilleros, blady jak trup, i poszedł naprzeciw, jakby na śmierć pewną.

Cyrk oniemiał ze wzruszenia.

A on sto razy rzucał się prosto na rogi i chybiał, ledwie życie unosząc, aż wreszcie jakimś rozpaczliwym ruchem wbił mu dwie chorągiewki.

Nagrodzono go brawami, ale byk jakby się już rozwściekł doreszty, bo z rykiem straszliwym, oblany krwią, spieniony, rzucił się na występującego właśnie espadę, że ten z wielką trudnością zdołał się uchronić od niespodzianego ciosu.

Zawrzał krótki, gwałtowny pojedynek.

Espada padł na niego strasznym, niechybnym ciosem, lecz wytracona broń wyleciała mu z ręki, a on zatoczył się wbok, draśnięty rogami.

Podano mu drugą szpadę.

Po bokach czuwały rozwinięte kapy.

Ale byk nie dał się odciągnąć wiewającym płachtom, nie zważał na nikogo, a tylko bił w espadę z nieopowiedzianą furją, trzaskał w niego jak grom, napadał tak gwałtownie i tak krótkimi skokami, i tak nieustannie, że tamten zaledwie zdążył się wykręcać od rogów.

W śmiertelnej ciszy wiódł się ten bój zawzięty.

Nie poruszano się z miejsc, ni jeden wachlarz nie zaszeleścił, ni jedna głowa nie drgnęła, patrzono z zapartym oddechem oczekiwać.

Espada zwolna już przechodził do ataku i natarł tak zbliższy, że byk wstrzymał się na мгновение i, spiąwszy się prawie w kabłąk, poleciał na niego z nastawionymi rogami.

Szpada błysnęła złowrogo do ostatniego ciosu i...

Wtem, w upalnej ciszy, gdzieś blisko, zadźwięczał cichy, przejmujący głos dzwonka...

Espada przyklęknął bezwiednie, zniżając szpadę, a byk, jakby nagle zmartwiały w rzucie, pozostał przygięty, skupiony, z rogami do ciosu o parę cali od piersi klęczącego.

Amfiteatr również skamieniał i trwał przez długą chwilę bez ruchu i słowa; ludzie jakby zastygli w podziwieniu cudu, wielu z podniesionymi rękami, wielu w pół oddechu, wielu z ustami szeroko rozwartymi.

Przejmujący, srebrzysty głos dzwonka targał się w przejściu za barjerą i zwolna się oddalał, przechodził.

To ksiądz szedł z Panem Jezusem do umierającego pikadora.

Mistyczne, trwożne wzruszenie przejęło wszystkie serca, tysiące ludzi padało na kolana, bity się w piersi, odsłaniano głowy, a już gdzie niegdzie roznosił się szept modlitwy i gorące westchnienie.

Gdy naraz, w tej modlitewnej ciszy rozbrzmiał donośny, płaczliwy głos:

— Ceniceró! Ceniceró!

I jakiś chłopak przedarł się przez barjerę, skoczył na arenę i rzucił się bykowi na szyję.

— Łaski! Łaski! — zakrzyczał ze wszystkiej mocy.

Cały amfiteatr zerwał się na nogi.

— To mój Ceniceró! Łaski! Łaski! — krzyczał rozpaczą, szaleństwem i strachem bezmiernym i obejmował skrwawiony łeb, osłaniał go sobą,

zebrał zmiłowania, a byk lizał go po głowie i jęczał zcicha.

Podniósł się straszliwy wrzask, wszystkie ręce się wyciągały z prośbą i wszystkie usta krzyczały:

— To cud! Nie zabijać! Łaski! Nie zabijać! Darowano mu życie.

Wyszli już razem wśród ogłuszających braw.

Chłopak, nie puszczając rogów przyjaciela, płakał radosnymi łzami.

.

A oto ich krótka, prawdziwa i prosta historia.

Byli przyjaciółmi z pastwiska, dzielili dołę i niedolę, i skwary, i burze, i ulewę, zaś w chłodne, zimowe noce byk przychodził do wygasłego ogniska, kładł się w popiele obok chłopca i ogrzewał go swoim ciałem, a kiedy doszedł lat pięciu i powiedli go na śmierć, pasterz rzucił wszystko i poleciał ratować przyjaciela.

Ocaliło go wspaniałomyślne serce hiszpańskiego ludu.

Dalsze walki poszły już zwykłym trybem, bez nadzwyczajności.

SPIS RZECZY.

Ave patria.	5
Burza	29
Tęsknota	81
W palarni opjum	95
Sielanka	111
Los toros	137

BIBLIOTEKA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
PISMA WŁADYSŁAWA ST. REYMONTA

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

P I S M A

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE
ZE WSTĘPEM ZDZISŁAWA DĘBICKIEGO

TOM 24.

Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ

WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

Z ZIEMI
CHEŁMSKIEJ

W PRUSKIEJ SZKOLE
SENNE DZIEJE

WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12.

Wszelkie prawa przedruku i przekładu zastrzeżone.

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Cłarna 5 (przy Św.-Jerskiej).

I. MISJA.

Pan R. ożywił się niezmiernie i zawołał:

— Ależ ja sam brałem udział w tej ostatniej misji, a tak mi głęboko wyryła się w pamięci, że mogę panu opowiedzieć o niej z najdrobniejszymi szczegółami. Poprzedzę tylko to opowiadanie pewną, dosyć charakterystyczną sceną, żeby pan miał pełniejszy obraz życia na Unji, przed aktem tolerancji.

.

„Wielkanoc owego roku wypadła w początkach kwietnia razem z prawosławną. Pamiętam, że w Wielki Piątek od samego rana mżył deszcz i było zimno. Śniegi jeszcze leżały po rowach, role były rozmiękle do dna i drogi nie do przebycia. Chodziłem zdenerwowany, bo zanosilo się na dłuższą pluchę, a tu, jakby nadobitkę, przychodzi mi mój kowal i prosi, żeby posłać konie po księdza, do jego chorej żony.

— Co się stało? Widziałem ją jeszcze wczoraj przy wieczornym udoju.

— Zachorowała w nocy, leży prawie kona-
jąca! — mówił, trąc rękawem oczy.

— To idźcież do pani, może wam co pomoże.

— Kiedy się bojamy, bo może to ospa.

Wystraszyłem się nie na żarty, gdyż na wsi
grasowała ospa przez całą zimę.

— A może wam sprowadzić doktora? — pro-
ponuję mu bardzo serjo.

Jakby się zdumiał, aż głowę otworzył. Ale
naraz rzucił mi się do nóg, całował mnie po rę-
kach i bełkotał wystraszony:

— Dopraszam się tylko o księdza! Doktor
nie pomoże! Co tam te doktory. Obejrzy, opuka,
zapisze lekarstwo, pieniądze weźmie, a chorobę
zostawi. Pan Jezus prędzej odmieni na lepsze.
Kobieta tylko skamle o księdza.

Poszedłem zaraz do stajni, żeby wybrać czwór-
kę, bo do parafji mieliśmy cztery opętane mile
i roztopami, ale gdym mijał czworaki, wydało mi
się, że dojrzałem kowalową w głębi sieni, karmią-
cą prosiętą. Powstałem na nią, że w takiej cho-
robie wyłazi na zimno. Uśmiechnęła się jakoś
dziwnie, zaprosiła mnie do izby i, zamknąwszy
drzwi, powiada mi cicho do ucha:

— Musi jaśnie pan posłać po księdza z Pa-
nem Jezusem, koniecznie potrzeba.

Mówiła z takim naciskiem i oczy jej tak błę-
szczały, że byłem pewien, iż majaczy.

— Ja zdrowa jestem, chwała Bogu! — odpo-
wiedziała. — Ale tylko do mnie można wezwać

księdza, bo tylko ja jedna z dwórek jestem prawna katoliczka.

— A któż chory? — zaczynałem rozumieć ten podstęp.

— Na wsi leży czworo prawie konających. Przecież nie mogą umrzeć bez świętej spowiedzi, a zapisane w prawosławne, to księdzu nie wolno do nich przyjechać! Mają te cztery niewinne dusze pozostać bez świętych Sakramentów? Od tygodnia się męczą, od tygodnia skonać nie mogą, a tylko skamlą i skamlą o księdza! Aż strach patrzeć i słuchać. To umyśliłam sobie: udam chorą, Pan Jezus daruje mi to cygaństwo, ksiądz przyjedzie do mnie, a tamtych przyniesą na ten czas do izby i wyspowiadają się. Strażniki ani się domyślą.

— Chcecie ospę przywlec do chałupy! — krzyknąłem na nią.

— Bez woli Bożej nikomu włos z głowy nie spadnie! — odparła poważnie.

— Przecież macie drobne dzieci, mogą się łatwo pozarażać — tłumaczyłem.

— To już trudno. Może Jezus w czem innem okaże nad nami swoje miłosierdzie, a tym nie-szczęśnikom trzeba pomagać. Nie o małą rzecz idzie, o zbawienie dusz człowiekowych! — dodała z taką mocą, że dałem spokój perswazjom i konie wysłałem.

O zmierzchu przywlekli chorych do kowalowej izby i pokładli pokotem na podłodze. Kowa-

lowa powtykała im w garście pozapalane gromnice, przyklękała w pośrodku i bardzo żarliwie modliła się za konających, którzy leżeli nieruchomo, cierpliwie oczekując na spowiedź, rozgrzeszenie i śmierć.

Widziałem to na własne oczy i nigdy tego nie zapomnę.

Ksiądz przyjechał późnym wieczorem, a za nim trop w trop strażnicy, jak zwykle, aby go pilnować, żeby czasem nie zaniósł jakiej religijnej pociechy „uporstwujuszczym“. Węszyli przez cały czas pod zasłoniętymi oknami, ale nie wywęszyli. Ksiądz przygotował chorych na śmierć i odjechał.

Wszyscy ci chorzy pomarli tej samej nocy.

A w parę dni potem umarło na ospę dwoje dzieci kowalowej.

Gorzko zapłacała za swoje miłosierdzie, ale przyjęła ten cios jakby z uniesieniem szczęścia, gdyż zaraz po pogrzebie powiedziała do mojej żony:

— Pomarły moje dzieciątka, pomarły... ale swoją śmiercią wykupiły cztery dusze z wiecznej zraty!

Otóż wkrótce po odjeździe księdza i jego aniołów stróżów, gdy się uspokoiło w domu, poszedłem do swojej kancelarii, a tylko co zapaliłem lampę, ktoś zapukał w okno, i jakaś twarz mignęła mi za szybami.

Wziąłem rewolwer i wyszedłem na ganek. Pod drzwiami stał jakiś człowiek. Zajrzał mi zbliżona w twarz i szepnął:

— Jutro w nocy misja!

— Gdzie?

— W samo południe zajedzie przed karczmę wóz w siwego konia. Dwóch chłopów będzie nim jechało. Niech się pan do nich przyłączy, oni zaprowadzą.

— Skąd jesteście? — spytałem go mimowoli.

— Z całego świata! — odpowiedział bardzo szorstko.

Prosiłem go usilnie, żeby wszedł do domu i nieco odpoczął.

— Nie pora! Muszę budzić, które jeszcze śpią — rzekł jakimś biblijnym tonem.

— A czy mogę zabrać żonę na misję?

— Za daleka droga dla dziedziczki. A przytem kobiecie łatwiej umrzeć, niżli dochować sekretu. Zabierał się do odejścia.

— Zostańcie chociaż do świtu. Noc ciemna i roztopy.

— Znam tu każdy rów, a kto z dobrą nowiną śpieszy, nie zbłądzi! Spóźniłem się już, bo czekałem, aż odjadą strażnicy i ksiądz.

— Ale proboszcz będzie na misji?

— To nie nasz, to tylko taki zwyczajny parafjalny propinator!

Zdziwiło mnie to określenie w jego ustach, lecz nim się zdążyłem odezwać, już odszedł. Słyszałem tylko człapanie po błocie i skomlenie psów, które go odprowadzały jakoś bardzo przyjacielsko.

A nazajutrz, w samo południe, przebrawszy się odpowiednio, aby nie zwracać na siebie uwagi, kazałem założyć do bryczki fornałską, mocną szkapę i pojechałem. Przed domem stał wóz, zaprzężony w siwka, i siedziało dwóch chłopów, a skorom dojechał i chciał wyminąć, ruszyli przodem, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

Drogi były okropne, wyboiste i podobne do dna bagnistych rzek. Jechaliśmy noga za nogą, omijając wsie i takimi krętymi wertepami, że po jakimś czasie zupełnie przestałem się orjentować.

A wbrew moim przewidywaniom, dzień był bardzo piękny, prawdziwie wiosenny, świeciło słońce, śpiewały skowronki, polśniewały szeroko rozlane wody na łąkach, a miejscami, na cieplejszych gruntach, już ruszały oziminy.

Przed jakąś wsią ogromną, nad którą wynosiły się zielone kopuły cerkwi, przystanęli moi przewodnicy, a jeden zawołał do mnie:

— Na końcu wsi po prawej ręce, ostatnia chałupa.

Skręcili na boczną dróżkę, a ja śmiało wjechałem do wsi.

Na drodze, z obu stron obudowanej domami, było pełno kałuż, przedświątecznego rwetesu i psów, które mnie przeprowadziły zajadłem szczekaniem. Przed cerkwią, przerobioną z kościoła, stał strażnik, przyglądający mi się tak uważnie, że mimowoli zaciąłem konia do pośpiechu. Zauważyłem też, że z wielu domów wyjeżdżano w pole

z pługami a bronami na wozach, co wydało mi się dziwne, gdyż grunty mieli niskie i jeszcze wszędzie po bródach siwiały stojące wody. Pod jakimś domem, na kupie bali siedziało paru chłopów, i kiedym ich wymijał, podnieśli się, rzucili mi: „Pochwalony“ i pociągnęli za mną. Wieś ciągnęła się ze dwie wiorsty, i kiedym się wreszcie znalazł na końcu i zacząłem się rozglądać za ostatnią chałupą, jeden z chłopów, idących za bryczką, powiedział półgłosem:

— Strażnik idzie za panem! Trzeba skrócić na prawo, przejechać koło chałupy, a zawrócić za budynkami koło stodoły! — I przeszedł, nie zatrzymując się ani chwili.

Zjechałem na bok. Wąska dróżka, obsadzona gęsto wierzbiną, wiodła obok wielkiego domu, stojącego w takim gąszczu drzew, iż ledwie mąjczyły bielone ściany i poszycia dachów.

Obejrzałem się nieznacznie: strażnik przyczał się na skrócie, pilnie mnie z poza drzew obserwując, a chłopci maszerowali gęsiego ku lasom niedalekim.

Podjechałem bliżej, wypatrując już z pewną niecierpliwością jakiego bądź wjazdu. Ale cały dom wydał mi się jakby opuszczony, okna miał zasłonięte słomianemi matami, drzwi zawarte i bramę w płocie zamkniętą na kłódkę, a chociaż bardzo głośno popędzałem konia i trzaskałem z bata, nikt się nie pokazywał, nawet pies nie zaszczekał. Aż dopiero, kiedy skręciłem za stodołę, otwarły

się naraz jakieś wrota i, skorom w nie wjechał, zatrzasnęły się natychmiast, zaś stary, siwy chłop, który mi otwierał, rzekł dobrotliwie:

— Konia można postawić pod szopą. — I poszedł, nie troszcząc się o mnie więcej.

Stało już tam kilka tęgich mierzynków. Poszedłem z ochotą. W izbie było prawie ciemno, zasłonięte okna przesączały bardzo mało światła, ale w czerwonych brzaskach komina dojrzałem kilkanaście osób, siedzących pod ścianami. Nikt mnie jednak nie powitał, jakby nie zauważyli mojego wejścia, tylko coś ciszej zaszeptali między sobą, i poczułem, że mnie okrażają badawcze, nieufne spojrzenia. Próbowałem zawiązać rozmowę. Odpowiadali bardzo niechętnie, zbywająco. A kiedy zacząłem dość natarczywie rozpytywać się o misję, odpowiedział mi któryś niecierpliwie:

— Jak przyjdzie pora, to wiadomo będzie.

Dopiero kobieta, widząc moje odosobnienie, wyjaśniła ich, kto jestem.

Wyciągnęły się do mnie twarde dłonie, ktoś dorzucił gałęzi na komin, światło buchnęło na całą izbę, a ja mogłem się przyjrzeć zebranym. Nikogo jednak nie znałem osobiście, ale dobrze znałem ten typ bohaterski, te surowe, a pełne dobroci twarze, te oczy nieulękłe i te męczeńskie głowy „opornych“.

— Chyba obcy tutajby nie trafił! — powiedziałem, witając się z każdym z osobna.

— Ale zawsze trzeba ostrożnie. Zły człowiek, jak smród, wszędzie się wciśnie.

— Trzeba się nieraz strzec własnego cienia.

— A to ciężko się uchronić! Mało to „duzołapów“ węszy za każdym opornym!

Parę dni temu wyniuchali Michała Klimiuka z Wisznicy.

— Co się stało? — odezwały się strwożone głosy.

— A wzięli go! Bo to, panie, za ślub katolicki! — zwrócił się do mnie. — Brał go jeszcze jesienią w Krakowie. Po powrocie ona, że to pochodziła z drugiej gminy, zgodziła się do męża nibyto za służącą, i żyli sobie, jak Pan Bóg przykazał. Aż tu którejś nocy strażnicy przycapnęli ich razem, przetrzęśli całą chałupę, że nawet poszycia pozdzierali z dachów, i znaleźli ich ślubną metrykę! Co się im przytem zaraz dostało, to Bóg jeden wie. Ją związali, jak barana, i popędzili do gminy oddać ojcu, a jego powieźli do powiatu. A teraz każą mu drugi ślub brać w cerkwi!

— Chyba się na to nie zgodzi — wtrąciłem.

— To z twardego gatunku człowiek. Matkę jego tak nawracali z unji, aż umarła, ojciec siedzi do dzisiaj gdzieś na Syberji. To oporny z opornych. Wiedzą o tem dobrze, i słono zapłaci za swój ślub i przeróżnych bied się nasmarkuje.

Rozgadali się zwolna, prawie mimowoli, spokojnie i bez skarg, bez krzyków i jęku, jęli się wypowiadać przede mną ze swoich zwykłych, codziennych trosk, ze zwykłych, codziennych, systematycznych znęcań się nad nimi, z kar, płaconych

za wszystko: za ochrzczenie dziecka i za nieochrzczenie, za pogrzeby, odprawiane nocą, ukradkiem, za śluby i spowiedzie, za samo wejście do kościołów, z ciągłych udręczeń, prześladowań, wędrówek po sądach, komisjach i więzieniach, z wiecznych, a daremnych poszukiwań sprawiedliwości, z tych nieskończonych nocy, spędzanych we łzach, i z tych dni wiecznego lęku, zgryzoty i cierpienia.

Znałem przecież ich życie, ale, słuchając tych cichych, monotennie smutnych opowiadań, pełnych nieustającej walki, nieznanych bohaterstw, niezachwianej wiary i bezgranicznego poświęcenia, zdawało mi się, że gromada chrześcijan z czasów Dioklecjana opowiada mi swoje krwawe, wstrząsające dzieje...

Ale tamci umierali tylko za wiarę, a ci giną i za ojczyznę...

I każdy z nich tak żył, każdy tak cierpiał i każdy tak samo walczył przez całe życie.

A przecież ten bój ciągnął się długie, długie lata i bez przerwy ni miłosierdzia.

Całe wsie poznikały z powierzchni ziemi, poginęły całe rody, całe pokolenia dawały wszystką krew i wszystek żywot, ale pozostali nie ustąpili, nie zabłagali o litość, a zapomniani, wyszydzani, biedni, pogardzani, w ponurej grozie opuszczenia walczyli dalej, bez wytchnienia, z jednakim wciąż męstwem, nieulekli jednak i jednako niezwyciężeni.

Siedziałem jakby zmartwiał; płacz sącył się z tych opowiadań, dymiły krwawe opary i cały dom

zdawał się napełniać szlochaniem, gdy ktoś odezwał się głośno:

— Aby tylko nie było gorzej! Bo ciężko, strasznie ciężko...

— Przetrzymaliśmy tyle czasu, to przetrzymamy, dokąd się Panu Jezusowi spodoba.

— A może się odmieni! Powiadają, że po wojnie z Japonem nastaną lepsze czasy.

Pogadywali, snując nieśmiałe, lękliwe nadzieje. Rozmowa wkrótce przeszła na wojnę. Zaczęli się mnie rozpytywać o szczegóły tak usilnie, że musiałem opowiadać nieomal o każdej większej bitwie. Słuchali z niezmiernem skupieniem: posępne twarze zaczęły się ożywiać i promienieć uśmiechami dziwnej radości, ale w najgorętszym toku opowiadania ktoś mi przerwał:

— Ot i kara boska na opamiętanie!

Naraz jakaś zasluchana kobieta wybuchnęła spazmatycznym płaczem, wyznając wśród szlochań i jęków, że jej syn zginął na wojnie.

Pomilkli, zwieszając smutnie głowy, twarze pokurczyły się boleśnie, a w niejednym oku zabłyśły łzy, gdyż prawie każdy miał kogoś bliskiego w szeregach walczących. Dopiero jakiś starzec z różańcem na szyi przerwał milczenie i, klękając przed obrazami, rzekł uroczyście:

— Należy się im szczery pacierz, bo nie za swoją umierają.

Przyklękli wszyscy i zaszemrały gorące szepty modlitwy.

A ledwie co się podnieśli z klęczek, ktoś wszedł do izby i zawołał:

— Zbierać się! Pora już w drogę!

Naciągnąłem burkę pośpiesznie, gdy przystąpił do mnie ten chłop z różańcem na szyi i, patrząc mi w oczy, powiedział z naciskiem:

— Pan chce z nami na misję, a tam się może zdarzyć Bóg wie co...

Obejrzałem się po izbie. Było pełno. Wpatrywali się we mnie nieprzeniknionemi oczami.

— Pojadę z wami, gotów jestem na wszystko! — powiedziałem krótko.

Nikt się już nie odezwał, ściskali mi rękę, zabierali z kąta baty i wychodzili.

Noc była na świecie, i chłodnawy wiatr pociągał z pól, gdyśmy wyjechali za stodołę, zmierzając prosto ku borom, czerniejącym na horyzoncie, niby opadła nisko chmura. Jechałem na drugiego. Przede mną, na pierwszym wozie siedziało trzech chłopów, a za nami musiał ciągnąć spory szereg wozów, bom nie mógł dojrzeć końca.

Noc była bardzo ciemna, chmury przysłaniały niebo, brał lekki przymrozek, gdyż błoto chlupało pod kołami. Jechaliśmy wolno i w głębokiem milczeniu. Gdzie niegdzie, we wsiach, zatopionych w ciemnościach, przeblyskiwały światelka, czasami wiatr przynosił naszczekiwanie psów, jakieś dalekie echa turkotów, a niekiedy parślały konie. Wjechaliśmy wreszcie na szosę i, nie żałując bata, ru-

szyliśmy z kopyta, aby się tylko dostać do lasu, który wyrastał przed nami coraz bliżej.

Głębokie, zarośnięte krzakami rowy ciągnęły się z obu stron drogi.

Naraz w ciszy rozległ się głos rozkazujący:

— Stać!

Ktoś wyskoczył z pierwszego wozu i przypadł twarzą do drogi.

Cały szereg jakby zamarł na miejscu. Nasłuchiwałem z zapartym tchem... gdzieś, jeszcze dosyć daleko przed nami, rozlegał się ledwie dosłyszalny turkot.

— Powóz we cztery konie! Bóg wie, kto może w nim jechać! Do rowu z wozami! Niech tylko pan dziedzic zostanie i rusza wolniuszko! — padła cicha i mocna komenda.

Zatrzeszczały krzaki, chlupnęła woda, i po chwili nie było już na szosie nikogo.

Ruszyłem stępa. Turkot był coraz bliższy. Wkrótce zamigotały latarnie i było słyszeć uderzanie kopyt i brzęk uprzęży, a w parę minut później przesunął się koło mnie powóz, zaprzężony w cztery konie; siedziało w nim parę osób, rozmawiających po rosyjsku, ale w ciemnościach nie mogłem rozróżnić ani jednej twarzy.

— Żandarmi, panie! Wybrali się na jakieś polowanie. Nie trzeba o tem mówić, poco się mają płoszyć! — szepnął mi ten sam głos, gdy powóz już zginął w oddaleniu.

Skręciliśmy na drogę, biegnącą samym brzegiem lasu. Zapaliłem papierosa.

— Zgasić! mógłby kto zobaczyć ze szosy!

Zdażyłem tylko zobaczyć na zegarku, że było już po dziesiątej.

Jechaliśmy brzegiem lasu z dobrą godzinę, a ciemność, milczenie, cichy poszum drzew, monotony skrzyp wozów i parskanie koni tak mnie usposobiły, że już na dobre zaczynałem drzemać, gdyśmy się wytoczyli na łąki, gęsto porośnięte kępami drzew i miejscami pozalewane. Otrzeźwiałem natychmiast, bo woda bluzgała z pod kół i kopyt, a spłoszone czajki zakwiliły nade mną. Potem wjechaliśmy na jakiś szeroki wygon, niezmiernie grząski, wyboisty i pełen kałuż. Potem staliśmy dosyć długo na jakichś rozstajach pod krzyżem, gdzie już czekały sznury wozów i mnóstwo ludzi, a wciąż jeszcze było słyhać nadjeżdżających.

Wielki las czerniał tuż przed nami, jak mur.

Zrobiło się nieco jaśniej, zaczęły przebłyskiwać gwiazdy, a z wiatrem nadpłynęły jakby dalekie echa ligawki.

— Ruszać, a nie rozwłóczyć się! — zabrzmiała cicha komenda.

W parę minut dosięgliśmy czarnej ściany lasu i znowu przystanęli, gdyż z pod drzew rozległ się jakiś ostry i groźny głos:

— Kto jedzie?

— Swoi! Swoi! — zerwały się niecierpliwe wołania.

— Tu niema przejazdu; grobla rozmyta, most zabrały wody. Zawracajcie!

— Jechalim z nadzieją, to może przejedziemy! — zagadał poważnie pierwszy wóz.

— Tak-że mi powiadajcie! A toż i strażniki umieją krzyknąć: swoi!

Słowo „z nadzieją” było umówionem hasłem, jak się później dowiedziałem.

Odezwał się znowu długi, przeciągły jęk ligawki, i wjechaliśmy w las; ugięły się pod bryczką jakieś dyle, koń mój zaczął się wspinać i chrapać, ale szczęśliwie przejechałem silnie rozklekotany most i literalnie utonąłem w ciemnościach. Wyniosły, zwarty bór okrył nas jakby czarnym płaszczem; nie było widać nawet końskiego zadu, a białe pnie brzoź majączyły, jak przez sen. W jakimś miejscu musiałem zesiąść i prowadzić konia za uzdę, bo ślizgał się i rzucał na grobli, wyłożonej okrągłakami, które zapadały się pod kopytami, jak klawisze: grzązłem niekiedy w błocie po kolana, tłukłem się o drzewa i musiałem iść cały czas chyłkiem, aby się uchronić od smagania gałęzi. Wreszcie wywlekliśmy się na suchsze miejsce. Poczulem twardy grunt pod nogami, a nad głową zobaczyłem gwiazdy i czuby drzew, rozstrzępione w czarne pióropusze.

— Wstrzymać konie i nie ruszać się z miejsca! Musimy przepuścić pieszych — rozkazano.

Przystanąłem, i wkrótce podniosły się dokoła mnie szepty i ostrożne, miarowe stapania. W ciem-

nościach, jakie zalegały, zaledwie mogłem dojrzeć słabe i niewyraźne zarysy jakichś cieniów, ale długo słyszałem trzaski gałązek pod nogami i głuche dudnienie kroków tych tysięcy, przechodzących nieskończoną procesją, że zwolna bór nappełnił się cichym, rozedrganym pogwarem, jakby bełkotem wód, napływających wzburzonymi falami, aż zestrachane konie zaczęły tu i ówdzie szarpać uprząże i tłuc się o wozy; a oni wciąż szli a szli; szmer wzrastał się chwilami, to przycichał i oddalał się, spływając bezustannie w jednym kierunku, gdzieś w głąb lasów...

Nie wiem, jak długo to trwało, ale wkońcu już mi się zaczęło wydawać, że cały bór się chwieje, porusza i płynie wraz z tą niedojrzaną, potężną falą...

Niedaleko ode mnie rozbłysło nagle ognisko i, wciąż podsycane gałęziami, wybuchało coraz potężniejszymi słupami płomieni. Setki ludzi kręciły się w krwawych brzaskach. Poszedłem się ogrzać, bo zimno było przejmujące; ktoś mi ustąpił miejsca i rzekł bardzo przyjaźnie:

— Niech się pan dobrze ugrzeje, bo do rana jeszcze daleko.

Przypiekałem się też z prawdziwą przyjemnością; ogień huczał wesoło, niekiedy sypnął deszczem iskier, niekiedy z trzaskiem rwał się wgórę i buchał płomienistą, rozwichrzoną grzywą aż do czubów drzew, a dokoła ciżbiły się rdzawe pnie

sosen twardą i nieprzejrzaną gęstwą, wśród której mrowili się ludzie, szeregi wozów i koni.

Obok mnie rozmawiano półgłosem.

— Nie zdążą prędeej, niżli na świtanie.

— Byle ich w drodze nie spotkało co złego.

— Na uroczysku, tam sucho i dostęp tylko z jednej strony. Strażniki nie trafią!

— A niech tropią: bagno głębokie... nie wyda...

— Trzeba się nam będzie niezadługo zabierać, kobiety już musiały dojść.

Umilkli nagle, gdyż zjawił się jakiś chłop i zaczął krzyczeć:

— Zgasić ogień, a toć łunę widać aż na polach!

W mgnieniu oka zavalono ziemią ognisko i zdeptano, a po chwili ruszyliśmy w jakimś znowu niewiadomym dla mnie kierunku.

— Czy to jeszcze daleko? — spytałem jakichś cieni, przechodzących obok bryczki.

— Niebardzo, za jakie dwa pacierze staniemy na miejscu.

Nie mogłem już dojrzeć gwiazd. Nad głowami tylko szumiały cicho drzewa, i w leśnych mroczkach rozlegały się przytłumione rozmowy i ciężkie odgłosy kroków. Jechaliśmy gęsiego i noga za nogą przez takie błota, topiele i trzęsawiska, że zaledwie w godzinę zdołaliśmy się przedostać na jakieś niewielkie wzgórze, dosyć rzadko porośnięte rozłożystymi drzewami, a otoczone nieprzebytem bagnem i wodami.

— Chwała Bogu, jesteśmy już na miejscu! — zawołał ktoś z radością.

Na wzgórzu płonęło kilkadziesiąt bujnych ognisk i wrzało, jak w ulu, a gdzieś w samym środku obozowiska chwiały się zapalone łuczywa i trzaskały siekiery.

— Stawiają ołtarz i co potrzeba — objaśnili mnie.

— A czy księża już są?

— Dopiero nadedniem przyjadą.

Dalem koniowi obroku i poszedłem między ludzi.

Dochodziła już trzecia i do świtu było jeszcze daleko, a że przytem zimno przejmowało mnie coraz dokuczliwiej, więc dosyć długo wólczyłem się między gromadami, porozkładanemi dokoła ognisk, aż, spotkawszy znajomych chłopów, przysiadłem się do nich na gawędę i dopiero się dowiedziałem, że jesteśmy w Kolembrodzkich lasach, które znałem tylko ze słyszenia.

— Sporo ludzi się zebrało! — zauważyłem, gdy rozmowa osłabła i zaczęli drzeć.

— Powinno być przeszło pięć tysięcy. A przytem szli sami wybrani, sami najbardziej potrzebujący księdza i nabożeństwa.

— A nie wytropią nas tutaj?

— Straże pilnują po wsiach najbliższych, po drogach i pod lasem, a reszta w boskiem ręku. Nikt się tu nie dostanie, ani stąd nie wyjdzie bez

pozwolenstwa! Droga przekopana i mosty pozdejmowane.

— A jakże dostaną się księża?

— Przez mokradła, ale takim przejściem, o którym tylko wie stary Lewczuk Gęsi. On też po nich pojechał i przeprowadzi.

Rozmowa jednak rwała się coraz bardziej, gdyż moi sąsiedzi, poukładawszy się pokotem przy ognisku, zasypiali jeden po drugim, aż wkońcu i ja okręciłem się szczerzej w burkę, przywarłem do najbliższych pleców i natychmiast zasnąłem.

Obudziły mnie pierwsze świtania i przeciągły krzyk jakichś ptaków, ciągnących długim sznurem nad lasami. Na szarem tle nieba czerniały niewyraźną masą wierzchoły drzew, a ziemię zasypywał sinawy brzask świtów. Było niezmiernie cicho, tak cicho, że słyszałem opadanie rosy i miarowe niezliczone oddechy śpiących.

Poszedłem zajrzeć do swojego konia; całe obozowisko było jakby wymarłe, ludzie leżeli pogrążeni w głębokim śnie, tylko chrapania rozlegały się tu i owdzie, a z przygasłych ognisk snuły się wiotkie pasma dymów.

Przy wozach podnosiły się na mnie ciężkie, czuwające oczy, a ktoś rzekł:

— Już nadchodzą, panie! — i wskazał ręką na wschód.

Nad bezbrzeżnem morzem szarości dojrzałem tylko roztlewające zorze, i słyszać było dalekie kwakanie dzikich kaczek.

— Krzyczą, bo je spłoszyli. Tamtędy idą! Trzeba już ludzi budzić — dodał, powstając.

I wkrótce całe uroczysko, spowinięte jeszcze w mroki, zaledwie przesiane pierwszym świtem, pokryło się jakby mrowiem: tysiące ludzi poruszało się w brzaskach wybuchających ognisk, tysiące głów roilo się w blednących zwolna cieniach i wrzało trwożnym, przyciszonym gwarem, a co chwila tysiące rozpalonych spojrzeń podnosiło się oczekująco ku wschodowi.

Aż wreszcie po długiem, męczącym oczekiwaniu rozległy się wołania:

— Już są! Przyszli! Zbierać się! Pod ołtarz!

Dałem się porwać jakby falom, skłębionym gwałtownie, i zanieść na środek wzgórza, gdzie czerniał już zdaleka ogromny namiot, zrobiony z kilimów.

Z wielu stron podniosły się krótkie i mocne rozkazy:

— Rozstąpić się! Kobiety i dzieci naprzód!

Uśluchoano bez szemrania i, gdy już kobiety z dziećmi ustawiły się przed samym namiotem, za nimi zwarła się wielkiem półkolem żelazna nawała chłopów, stanęli nieprzełamanym murem, ramie przy ramieniu i taką ciżbą olbrzymią, że nawet nie próbowałem przedostać się naprzód.

Tłum chwiał się i kołysał i niekiedy szemrał bełkotliwie, jak ten bór, stojący dokoła gęstwą szarzejących pni, gdy naraz zapadła śmiertelna ci

chość, jakby skamienieli wszyscy, a wszystkie serca się zatrzęsły.

Opadły bowiem nagle skrzydła namiotu i jawił się z mroków wysoki ołtarz, cały w jarzących światłach i kwiatach, ponad któremi wychylał się zmartwychwstający Chrystus, prawie nagi, skrwawiony w cierniowej koronie i wyciągał ku rzeszom poprzebijane, ale przygarniające i pełne litosnego miłosierdzia ręce.

Pałacy wicher westchnień się zerwał i łzawy krzyk i jęk serdeczny:

— Chrystel! Chrystel! O Panie miłosierny!

Przycichło. Ksiądz, w białym ornacie, z monstrancją i kielichem w rękach, wstępował zwolna po stopniach, urastał coraz bardziej, wynosił się ponad tłumy, aż zjawił się utęsknionym oczom cały w światłach, niby anioł, postawił złocistą monstrancję wysoko u stóp Chrystusa, przyklęknął i odwrócił się do ludu.

Jak żrały łan, gdy weń wicher uderzy, tak pochyliły się kornie wszystkie głowy i jednym ruchem i z jednym westchnieniem, i uczuciem jednym, tyśiące padły na kolana.

Ołtarz wznosił się, jakby świetlane widzenie, zawieszone gdzieś w mrokach.

Rozpoczęło się nabożeństwo.

Niekiedy zabrzęczały dzwonki, niekiedy rozlegał się śpiewny głos księdza, i padały krótkie odpowiedzi ministrantów, niekiedy z rozkołysanej kadielnicy rozpływały się pachnące dymy, i złocista

monstrancja unosiła się nad pochylonemi głowami, a niekiedy zapadało głębokie milczenie, i było tylko słyhać jakby szmer łez, nieustannie spływających po twarzach, gorące westchnienia, przesuwanie różańców i krótkie, urywane słowa pacierzy.

Modrawy świt roztrząsał się nad uroczyskiem, niebo stawało się coraz jaśniejsze, z moczarów odzywały się kwilenia czajek i kızıki dzikiego ptactwa, bór się zakolebał, rozgędził na chwilę i przycichnął i, pochylony, jakby się wsłuchiwał w rozdrżane szmery modlitw, w rozelkaną pieśń powstrzymywanych płaczów, skarg i jęków...

Szare mgły, wypełzłe z bagnisk, zaczęły pokrywać klęczących, niby szronem, że całe to znie-ruchomiałe morze ludzkie widniało jakby pole, zorane w twarde i niezliczone skiby głów, ponad którem wynosiły się tylko światła ołtarza i Chrystus, wyciągający litościwe ramiona.

Tuż za mną posypały się ciche, prędkie i trwożne szepty:

— Podobno wojsko idzie na nas z Białej, kozacy i piechota!

— Jezus, Marja! Święty Józefacie!

— Dali znać ze szosy, jakiś Żyd im powiedział.

— Cicho, teraz nabożeństwo! — odezwał się ktoś karcąco.

— A niech przyjdą i niech nas wezmą! — podniósł się surowy, mocny głos.

I ani jeden nie zerwał się do ucieczki, ani cienia przestachu nie dojrzałem na żadnej twarzy, po-

milkli natychmiast, a tylko tu i owdzie na mgnienie błysnęły oczy, zatrzęsły się wargi, a złożone dłonie zaciskały się w pięście, i modlili się dalej w głębokim spokoju i ufności.

Byłem prawie pewien, że to fałszywa wiadomość, ale mimo to nie mogłem się uspokoić i bezwiednie oglądałem się na wszystkie strony, aż mi ktoś szepnął do ucha:

— To nieprawda! Niech się pan nie boi, a drugich nie straszy!

Mgły opadły, dzień rozlewał się pogodny i rzeźwy, moczary zadymily, jak trybularze, bór zaszemrał porannym pacierzem do nadchodzącego słońca, i głośniejszemu zaśpiewały ptaki, a w modrawem, zimnem świetle wyraźnie było widać gęstwą niezliczoną głów, zatopionych w żarliwej modlitwie, wzniesione w zachwyceniu ręce, anielskie uśmiechy, twarze wniebowzięte, oczy, pełne niezgłębionego uniesienia, rozchylone i oniemiałe w ekstazie usta, że już wszystkie dusze zdawały się omdlewać z nadmiaru czucia i płynąć jakby w jakieś raje niewysłowionej szczęśliwości.

Doswć czasu upłynęło w takiej modlitewnej ciszy i skupieniu, gdy zaroiły się wśród klęczących zapalone świece i zawrzały naraz wszystkie dzwonki.

Zaczęło się podniesienie, a kiedy ksiądz wzniosł wysoko monstrancję, runęli wszyscy na twarze, zerwały się szlochy, westchnienia i krótkie, rozpalone krzyki, przenajświętsze głosy serc, padających w proch przed bożym Majestatem.

— Niech teraz przyjdą i spróbują brać! — odezwał się ktoś z boku, gdy znowu spłynęło milczenie na pochylone kornie głowy.

Nie było czasu na odpowiedź, bo ksiądz, ledwie już dojrzany w kadzielnym dymie i brzaskach świateł, odwrócił się do ludu z monstrancją i donośnym, jak dzwon, głosem zaintonował suplikację.

Nigdy w życiu nie zapomnę tej chwili.

Lud powstał z klęczek, pochwycił żarliwymi ustami świętą melodię i zawtórował takim wstrząsającym głosem, aż zadrżały drzewa i rosisty grad posypał się na głowy.

Śpiewali jakby zapatrzeni w złociste blaski monstrancji, czy też we własne dusze, nie wiem, wiem tylko, że te głosy tysięcy były jednym, jak świat, ogromnym głosem, były pieśnią milionów, były wołaniem najtajniejszych głębin człowieczych, były żalnym jękiem przyziemnego bytu u bram nieśmiertelności, były krzykiem ziemi zapomnianej do Boga, do Boga miłosierdzia i miłości.

Każda dusza zawodziła przed Panem gorzką pieśń życia; każda dusza skarżyła się żalnym płaczem, i każda dusza żebrała o zmiłowanie.

Niby krze ogniste, wybuchnęły serca i śpiewały całą nieukojoną męką, wszystką wiarą, wszystką miłością i wszystką mocą żywota śpiewały. Huragan głosów odrywał się zwolna od ziemi, bił w niebo, huczał coraz potężniej i rozlewał się coraz ogromniej, jakby ponad całym światem, jakby już wraz z nimi śpiewały wszystkie bory, i ziemie,

i wody, i nawet to słońce, które wyzierało czerwoną żrenicą, i stwór wszelaki...

Dopiero po skończeniu mszy pomilkły śpiewy.

A po krótkim odpoczynku i po przybyciu paru księży, najdziwaczniej poprzebieranych, rozpoczęła się właściwa praca misyjna.

I cały dzień ołtarz jarzył się zapalonemi świecami, cały dzień oblegały go tłumy rozmodlonych i cały dzień, prawie bezprzestanku, księża nauczali, słuchali spowiedzi, komunikowali, dawali śluby i chrzcili.

Przeszło pięć tysięcy osób czekało na to z upragnieniem.

Byli tacy, którzy dwadzieścia mil przyszli, przekradając się lasami, jak wilki.

Byli tacy, których chrzczono, dawano im śluby i zarazem chrzczono ich dzieci.

Byli tacy dorośli, żonaci, dietni, którzy po raz pierwszy w życiu widzieli mszę.

Byli i tacy, a takich znajdowało się najwięcej, którzy za każdą mszę wysłuchaną, za każdą spowiedź, za ochrzczenie każdego dziecka, za wzięcie ślubu, za polski pacierz i za polską książkę brali kije, płacili kary i całe miesiące przesiedzieli w więzieniach.

A jednak wszyscy przetrwali!

Cisi, prości, spokojni, wierni, a niezłomni i niezwyciężeni.

Taki jest, panie, nasz lud na „Czerwonym Podlasiu“.

Skala, w którą przez czterdzieści lat biły całe huragany piorunów i nie zmogły, przetrzyma i wyodrębnienie Chełmszczyzny, i nowe prześladowania; przetrzyma wszystko i wszystkich...

Zakończył opowiadanie p. R.

.....

Konie czekały już na mnie przed gankiem, ale zaledwie wszedłem do bryczki, zaczął padać drobny i zimny deszczyk, a p. R., rozejrzawszy się po zasępionem niebie, zawołał:

— Dzisiaj Św. Jana, wie pan, co lud prorokuje, kiedy deszcz pada w tym dniu?

Jak się Jaś rozplacze,
Mama nie utuli,
To będzie padało
Do Świętej Urszuli.

Ale pomimo tej mokrej przepowiedni ruszyłem w głąb „Czerwonego Podlasia”.

.....

II.

Deszcz jednak ustał, i wkrótce po południu wyrzało blade, anemiczne słońce, a nisko pochylone zboża i trawy rozblysnęły siwemi rosami. Droga była szeroka, polska, miejscami piach, miejscami błoto po osie, a miejscami wyboje i kałuże na pół chłopa.

Kraj płaski, równy jak stół, przestronny; oczy lecą, niby ptaki, w cały ogromny świat, lecą daleko i radośnie, aż za przemglone, niebieskawe krańce nieba. Zboża zielonem morzem pokryły ziemię, jak okiem dosięgnąć, wiatr pieszczotliwie przegarnia płowe, cicho szumiące zagony, a nad niemi tu i ówdzie bielą się ściany domów, śpiewają skowronki, kołyszą się samotne drzewa, i błyskają kopyły cerkiewek.

Wsie rzadkie, ukryte w gęstwach sadów, znaczą się tylko słupami dymów.

Gdzie niegdzie wśród łąk, porozrzucanych niby barwne kilimy, wśród łozin i czarnych olch, srebrzą się kręte wstęgi rzeczulek, patrzą siwe oczy stawów, czajki zawodzą lękliwie, i spacerują bociany.

A nad drogami dumają stare, pochylone sosny z obrazkami, to wierzby rosochate przysiadły, niby kumy, to krzyże wyciągają białe ramiona, lub stoi dąb prawieczny, podarty piorunami.

Po wzgórkach piaszczystych i nagich leżą cmentarze, zasadzone gąszczem olbrzymich krzyżów, pochylonych na wszystkie strony, jakby w niemem wołaniu ku wsiom i domom.

Bardzo rzadko spotykamy wozy, a jeszcze rzadziej przechodzi drogą jaki człowiek, przygląda się badawczo i wymija mnie bez słowa. Przejeżdżam wielkie, doskonale zabudowane i prawie puste wsie, bo nawet dzieci uciekają strachliwie w pola, a tylko z poza węgłów i drzew śledzą mnie jakieś nieufne spojrzenia i psy zajadle naszczekują.

Milcząco i dziwnie sennie poruszają się ludzie po zagonach. Nigdzie nie zrywają się wesołe pokrzyki, nie wrzeszczą dzieci, nie rozlega się śmiech i nie rozdzwania piosenka.

Tylko melancholja i łzawy smutek płynie z tych pól niezmiernych. A na każdym kroku stoją święte figury, kapliczki, gdzie Marje w niebieskich szatach i złotych koronach wyciągają miłosierne ręce, Jany Nepomuceny, Chrystusy w cierniowych koronach, i nowe, białe pomalowane krzyże, przystrojone w powiedle wieńce, kwiaty i różnokolorowe wstęgi.

— Dużo nowych krzyżów! — odzywam się do woźnicy, który przed każdym żegna się pobożnie i czapkę zdejmuję.

— A sporo, bo jak tylko nastało „polactwo“, to pracowali nad niemi dniami i nocami, żeby nstawiać jak najwięcej.

— I tak ładnie przystrojone.

— Bo ubrali je na ten dzień, kiedy to po wszystkich kościołach odprawiało się nabożeństwo na intencję nieodłączania Chełmszczyzny.

— Byliście na tem nabożeństwie?

— Jakże, przecież cała wieś poszła, nawet i prawosławni nie zostali w domu.

— Widzę, żeście i wy katolik.

— Ja prawosławny! — odpowiedział.

— A chodzicie do kościoła?

— Moi rodzice i starszy brat już Polaki, a ja nie jestem jeszcze pełnoletni.

Przerwał nagle i tylko już odpowiadał, ale bardzo niechętnie i wymijająco, zaczął mi niedowierzać, bo często łapałem jego nieufne spojrzenia.

— Pan pewnie z Chełma? — rzucił lekceważąco przez ramię.

— Nie, z Warszawy! — zdziwił mnie gniewny akcent jego głosu.

Uśmiechnął się tak wątpiąco, że dałem spokój przekonywaniom, ale niedługo wytrzymał, kręcił się na siedzeniu, zaciął konie, przyglądał mi się z pod oka i, gdyśmy już dojeżdżali do jednego z moich etapów, zagadnął znowu tym samym gniewnym i wzgardliwym tonem:

— A gdzie jechać?

— Do wójta.

— Czy do tego niezatwierdzonego?

— Do niego właśnie jadę.

Twarz mu się rozjaśniła, spojrzał na mnie życzliwiej i zaczął się tłumaczyć:

— Bo tyle teraz kręci się po wsiach różnych ludzi, co to i po polsku mówią, i przed kościołami się żegnają, i polską wiarę chwala, a potem to namawiają do podpisów za odłączeniem. U nas we wsi był taki jeden, jeszcze na jesieni. Do djaka przyjechał w goście, a po wsi całe dni spacerował, do chałup zaglądał, każdego zagadywał, bakę świecił i nibyto pod sekretem rozpowiadał, że mają dworskie ziemie podzielić między chłopów. Nasi niebardzo wierzyli, bo jakże to można za darmo co dostać, ale zaklinał się na wszystkie świętości.

A po nim zjechali jacyś panowie z urzędu, przykazali sołtysowi ludzi zwołać i to samo powiedzieli. Jakiś pewnie starszy od całej wsi napisał prośbę i kazał się pod nią wszystkim podpisywać, a straszył, że który się nie podpisze, to gruntu nie dostanie.

— I dużo się podpisało?

— Ziemia łakoma rzecz, a żaden nie ma jej za wiele, to i sporo się podpisało, nawet i z pomiędzy katolików. Dopiero potem, kiedy się okazało, że prośba była nie o ziemię, ale za odłączeniem od Polski, niejeden gorzko zapłakał i łbem bił o ścianę. Niektórzy nawet pojechali odbierać tę prośbę, ale... wydrą tam z gardła wilkowi. Jeszcze się z nich wyśmieli, a djak jak sobie podpił, to po całej wsi krzyczał, jako nareszcie będzie już koniec polactwu, że wnet wygonią panów i księży, a który chłop nie zostanie prawosławnym, to pójdzie z torbami. Ale psie głosy nie idą pod niebiosy. Prawda, panie?

Słońce zachodziło, gdyśmy wjeżdżali do wsi obok cerkwi przerobionej z kościoła i stojącej na wzgórku w wieńcu olbrzymich lip i klonów.

Zajechalismy pod duży, biały dom, stojący nieco w głębi; przed gankiem wynosiła się potężna grusza, obwisła od owocu, a z boków rozciągał się wielki sad.

Wójta poznałem kiedyś w Warszawie, jeszcze w dniach wolnościowych, więc przywitał mnie bardzo serdecznie i po krótkim wypoczynku zaprosił

do obejrzenia gospodarstwa. Zamożność i doskonałe gospodarowanie znać było na każdym kroku; żyta sięgały do strzech i czerniały, niby bór, koniczyzny były po pas, a w podwórzu, obudowanym w zamknięty czworobok, aż roilo się od gęsi, kur, kaczek i trzody chlewnej. Cztery tęgie krowy wychodziły właśnie na podwórze, pędzone przez małego chłopaka w płócienną, białą katance.

— Mój wnuczek! Franuś, chodźże do nas! — Ale Franuś śmignął w inną stronę.

— Niezwyczajny obcych, to się wstydzi. A to moja córka i gospodyni! — wskazał na wysoką kobietę, idącą ze szkopkami ku oborze. — Żona umarła mi już dawno.

Zaprowadził mnie do byczka, stojącego w osobnej zagrodzie.

— Dostałem za niego nagrodę w Lubartowie na wystawie — rzekł z dumą.

Obejrzałem jeszcze jakąś dostojną maciorę, otoczoną licznym potomstwem, obejrzałem duży sad, prowadzony bardzo starannie i pełen owoców.

— Mój zięć się na tem rozumie, był we dworze przy ogrodniku.

Zwróciłem uwagę na stos bali, przykrytych spadzistym dachem.

— Na dom dla mojego najmłodszego, drzewo suche, jak pieprz.

— Czy służy w wojsku?

— Nie, panie, skończył szkołę nałęczowską, a teraz praktykuje we dworze.

Wróciliśmy do domu dopiero na kolację.

W świetlicy było bardzo czysto i porządknie. Łóżka miały przykrycia z prześlicznych kilimów, w rogach stały szafy, na ścianach pośniewały za szkłem święte obrazy, a pomiędzy nimi Kościuszkowski, Leon XIII i Kordecki. Zapalona lampa zwisała o pułapu. Pod oknem na stole leżał komplet „Zorzy” i kilkanaście broszur rolniczych.

— Bo ja jestem członkiem Kółka od samego założenia — pochwalił się skwapliwie. — Mam jeszcze trochę innych książek, ale schowane, bo strażnicy tak się do mnie znarowili, że nieraz to nawet nocami przychodzą w gościnę.

— I pewnie dlatego nie chcą was zatwierdzić na wójta.

— A zapowiedzieli, że jak mnie jeszcze raz wybierze gmina, to znowu się przejadę. Byłem już na takim spacerze, byłem...

— Daleko?

— W orenburskiej, i ledwie człowiek przywłókł kości z tej drogi!

— Musiało wam być ciężko!

— Że i na szubienicy byłoby lżej! Ale człowiecze szczęście, co dzisiaj zapomina o wczoraj, to się jakoś wytrzymało, i po manifeście wróciłem. A jak nastąpiła tolerancja, to już się zdawało, że raje się otworzyły przed nami. Bo niech pan tylko dobrze w głowę weźmie i pomiarkuje, jakieś to żyli na unji! Człowiek był uważany gorzej niżli ten zwierz najgorszy! Przez trzydzieści lat an

kościół, ani księdza, ani spowiedzi, ani ślubu, ani pogrzebu. Człowiek rodził się, żył i umierał, jakby w tym kryminale, a tu naraz otworzyli drzwi na wolność. Nawet uwierzyć było ciężko, jakby się śniło!

— A któż z was pierwszy zawiadomił o tolerancyjnym ukazie?

— Dziedzic z W... Sadziliśmy właśnie ziemniaki daleko za wsią, gdy mój najmłodszy wstrzymał konie i powiada:

— Ojciec, ktoś jedzie do nas przez pola.

— Patrząc, prawda, wali konno naprzelaj jakiś człowiek z gołą głową i już coś zdaleka krzyczy i wymachuje jakimś papierem. Dziw, że się nie zatknął ze zmęczenia, ale cały ukaz mi przeczytał. Tak mnie zamroczyła ta nowina, że się nie mogłem poruszyć z miejsca. Musiał mną potrząsać, niby snopem, aż mi się całkiem w głowie rozwidniło — i zmiarkowałem. Poleciałem zaraz na wieś, ludzie już schodzili z pól; krzyczę, rozpowiadam, czytam na głos ukaz, a ci nic, ani be, ani me, stoją, oczy wytrzeszczają i, niby porażeni, coś językami mamlą, a nikt nie rozumie ani słowa. Mielśmy schowany spory dzwon jeszcze z naszego unickiego kościoła, krzyknąłem na zięcia, wywlekliśmy go z dołu, powiesili na kozłach, i zacząłem bić w niego z całych sił. Przeszło trzydzieści lat nikt go nie słyszał, to i przemówił do wszystkich tym świętym głosem zmartwychwstania. Trudno powiedzieć, co się wtenczas działo. Cała wieś jakby oszalała, zerwa-

ły się takie krzyki, takie szlochy, takie lamenta, jakby w dzień sądu ostatecznego. Z radości, panie, i z wesela. Rozesłaliśmy zaraz konnych po wsiach z tą nowiną. W maju to było, i o zmierzchu wystroili pod cmentarzem ołtarz, nanieśli światła, zieleni a kwiatów, i do białego prześpiewaliśmy pod nim.

Byli tacy, którzy chcieli zaraz odbierać cerkiew, że to była przerobiona z kościoła.

A rano djak nam wydał schowane w cerkwi nasze dawne chorągwie, i ruszyliśmy wielką procesją ze śpiewami do parafjalnego kościoła. Wszyscy poszli, nietylko oporni, ale nawet i prawosławni, nie wiem, czy w całej wsi pozostało z pięć osób do przypilnowania inwentarza.

Zaś pop, jak zobaczył co się dzieje, zastąpił nam drogę koło cerkwi, zatrzymywał, prosił i zaklinał, żebyśmy nie porzucali prawosławia, groził nawet, ale nikt go nie usłuchał. Mieliśmy do kościoła przeszło siedem mil; ciągnęliśmy ze śpiewami, z rozpuszczonemi chorągwiami, z obrazami, jak kiedyś, jak przed dawnymi laty, a z każdej wsi przyłączali się do nas, że, jakby te rzeki wezbrane, płynął naród wszystkiemi drogami, a wszędzie śpiewy nasze, obrazy nasze, krzyże nasze i mowa nasza. Nieraz myślałem, co już nie dojdę i zamrę ze szczęścia. Własnym oczom nie chciało się wierzyć, jak strażnicy zdejmowali czapki przed procesją i rozstępowali się żołnierze. Urzędników jakby nie było, i nikt nam nie przeszkadzał być tem,

czem się człowiek urodził: Polakiem i katolikiem. Przez dwa dni i dwie noce kościół był otwarty narozcież; gorzały na ołtarzach światła, biły dzwony, i odprawiały się nabożeństwa, przez dwa dni i dwie noce naród sycił zgłodniałe dusze, krzyżem leżał, modlił się i sposobił do nowego życia. Cała parafia przepisała się na polską wiarę, nawet djak przeszedł, a pop zamknął cerkiew i wyjechał. Myśleliśmy jako się już skończyła nasza kalwarja! Człowiek zaczął się prostować, śmiało patrzeć w oczy i żyć, jak inne Polaki. Na całym czerwonym Podlasiu, jak u nas przezywają te dawne unickie powiaty, zawrzało, niby w ulach. Skończyły się lamenta, i każdy, jak tylko poradził, brał się do roboty. Pomogli nam niektórzy panowie, tośmy założyli Macierz, Kółko rolnicze, kasę, zaczęli stawiać kościół, a prawie każda wieś zgodziła sobie nauczyciela, bo już wszyscy, od starych do najmłodszych, chcieli się nauczać do polsku. Każdy rozumiał, co oświata to kij na przeróżne biedy. Tak, panie, było u nas z początku! — Głos mu naraz przycichnął, i twarz się poryła w posępne brózdny.

— Ale źli ludzie niedługo dali się nam cieszyć! Nie w smak im poszły nasze zabiegi! Wiadomo przecież, że ciemnego łatwiej wziąć na postronek. Byłoby dużo powiadać o tem — zakończył śpiesznie.

Do izby zaczęli wchodzić chłopci ze wsi, podawali mi ręce i zasiadali w milczeniu na ławach

i stołkach. Zebrało się kilkunastu, w różnym byli wieku, ale wszyscy jednakowo krępi, rozrośli w barach i ubrani w brązowe samodziały, twarze mieli krótkie, surowe, spalone na słońcu i jakby wykute z ziarnistego kamienia, nosy proste i cienkie, włosy jasne i bardzo niebieskie oczy. Wpatrywali się we mnie życzliwie, ale zarazem badawczo.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — zaśmiał się wójt, przysłaniając okno kilimkiem.

— I pieski też warto pospuszczać — radził jakiś bardzo ostrożny.

Zaczęli się rozpytywać o wyodrębnienie Chełmszczyzny, więc na odpowiedź przeczytałem im cały ten projekt. Wysłuchali w skupieniu, dyskutując nad każdym punktem pokolei. Mówili dobrą polszczyzną, z minimalną domieszką rusycyzmów, jak zresztą mówi lud na całym Podlasiu i Chełmszczyźnie.

— Ale z tego projektu wychodzi, że już postanowili pogrzebać nas żywcem! — odezwał się ponuro siwy, brodaty chłop — bo, jak nas oderwą od Polski, to przepadniemy!

— A jednak przetrzymaliście tyle lat — zauważyłem mimowoli.

— Prawda, ale tylko jednemu Bogu wiadomo, jak nam było ciężko! Przenieśliśmy wszystko, człowiek ciągle się żywił nadzieją na lepsze czasy, ale, jak nas teraz odgradzą i spętają w nowe prawa, to się możemy podusić, niby kury w kojcu. Twardy jest nasz naród i wytrzymały, ale i koń więcej

nie uciągnie, niżli poradził! Już dzisiaj niejeden się trzęsie przed nowemi biedami, a co będzie, jak przyjdą?

— Nie strachajcie, Mikołaju! — zabrał głos chudy, pokurczony staruszek — nie strachajcie! — powtórzył cicho, słodko, a z wielką mocą. — Pan Bóg nas ciężko próbował, a przetrzymaliśmy, to i nasze dzieci niegorsze, też poradzą przenieść, choćby i gorsze jeszcze biedy, i tak samo doczekać się lepszego! Na świecie to jak w marcu, raz deszcz, raz śnieg, raz słońce, a zdarza się i burza z piorunami, ale, kto cierpliwy, to wiosny się doczeka, bo wiosna przyjść musi! A Pan Jezus przecież powiedział: kto jest poniżony, tego ja wyniosę ponad wszystkie! Trzeba wierzyć i czekać!

— Pan może nawet nie wie, co się w naszej wsi działo? — zapytał porywczo brodaty.

— Podczas zniesienia Unji?

— Tak. Zaraz na początku 1875 roku przysłali nam całe dwie rotys wojska i rozkwaterowali po domach i objedli nas za karę do ostatniego ziarnka!

— Przecież płacili za wszystko, mam jeszcze kwity — wtrącił wójt ze śmiechem.

— Chowamy je dla dzieci, a te insze pamiątki to już sami będziemy nosili na skórze do śmierci. Aż straszno pomyśleć o tamtych czasach! — szepnął brodaty.

— Jakże to było? — spytałem nieśmiało, widząc, że twarze kurczą się jakoś boleśnie.

— Zaś w samem piekle nie mogło być straszniej! — zaczął znowu staruszek. — Różnemi sposobami próbowali nas przerabiać na swoje kopyto, a kiedy nie pomogły prośby ani groźby, ani nawet nahajki, to wymyślili taką sztukę, że od świtania wypędzali wszystkich na całe dnie w pole i przykazywali zgarniać śnieg rękami. A zimno wtenczas było, mrozy trzaskające i wichury lodowate! Połowa ludzi pomroziła sobie ręce i nogi, ale żaden się swojej wiary nie wyparł! A potem wzięli się na drugi sposób: zabronili nam karmić inwentarz! To przez cały tydzień, przez wszystkie dnie i noce słyhać było tylko na wsi ryki bydłatek i płacze ludzkie!

Wszystko prawie wściekało się z głodu, gryzło żłoby, tłukło się o ściany i zdychało. Nawet wody nie było im wolno zanieść, nawet garści słomy podrzucić, bo zaraz były w robocie nahaje. Serca pękały z żalości, ludzie mdleli, dostawali konwulsyj, włóczyli się u nóg i, jak psy, skamlali o zmiłowanie nad bydłatkami... Na darmo, bo tamci wciąż swoje mówili: „Podpiszcie się!” Ale o zbawienie duszy szło, to woleli wszystko stracić, a nikt się nie podpisał. Nikt, panie, ani jeden!

Zrobiło się cicho, przysapywali ciężko, jakaś kobieta, skulona pod piecem, rozszłochała się spazmatycznie, a mnie przejął lodowaty dreszcz zgrozy.

— A nie żałowali nam niczego! Niczego — wyrzekł ktoś z westchnieniem.

— I kiedy odeszli — ciągnął dalej staruszek — to ze wsi zostały tylko gołe ściany i ani jednego bydłątko, ani jednego ziemniaka, ani jednego ziarnka zboża, ani jednej skibki chleba, nic, tylko te sieroce płakania, głód, choroby i śmierć. I żeby nie miłosierdzie Boskie, tobyśmy...

— Co było, to i przeszło; ważniejsze, co nas teraz czeka! — przerwał mu jakiś młody.

— Nie śpiesz się, Józef, przyjdzie, i weźmiesz swoje, jak i my brali, weźmiesz...

Młody rzucił się niecierpliwie i rozgorzał, jak szczapa na wietrze.

— Wezmę, ale oddam z dokładką; przecież nie będę klęczący nadstawiał pleców, nie będę pacierzem bronił się przed kijem, nie, na kij znajdzie się kłonica, albo i co lepszego! — wołał gwałtownie, wyzywająco.

— Nie daj się, dużo sam zrobisz, trykaj łbem we ścianę, trykaj! — drwił stary.

— Wszyscy tak już wiedzą, jak i ja. Nie pozwolimy się zarzynać, jak barany!

— Józef prawdę mówi — przymówił znowu brodaty. — Przeżyłem dawne i tak je dobrze pamiętam, że jużbym może nowego nie przetrzymał. Lepiej nam wszystkim poginać odrazu, niżli znowu tak żyć, jak dawniej.

— Naród jest poczciwy i pokorny, nikomu wody nie zamąci, robi, co każą, ale niech go nie drażnią, niech go nie krzywdzą, niech go do dołu

nie spychają, bo może być źle! I barany mają rogi! Bóg wie, co się stać może!

— Im się wydaje, że my to co? Nie ludzie czujące? Że my z drzewa i można z nas wyciosować, co się tylko komu podoba! My żywe i żyć chcemy, to się w trumnę po dobrej woli nie położymy, a wdeptać się w nią nie damy.

— Żeby nam przyszło głowy położyć, a nie damy się!

— Bójcie się Boga! jeszcze kto posłyszysz i doniesie! Ludzie! — błagał staruszek, bo chłopci już tracili równowagę, siedzieli wprawdzie spokojnie, ale po izbie latały coraz groźniejsze słowa i spojrzenia, a twarze rozpalały się gniewem. Kobieta pod piecem rozszlochała się głośno, aż ktoś zakrzyczał:

— Mogliście się już przez tyle lat wypłakać. Nie czas nam na beki a lamenta!

Przycichło w izbie, ale po chwili znowu zawrzały rozmowy, zaczęli się coraz szerzej wywnętrzać, tylko że głosy były już cichsze i trwożniejsze, a słowa wyrywały się z trudem, jakby z pod serca, jakby z utajonych głębin trwogi; smutek przejmował dusze i pochylał te bohaterskie, nieulekłe czoła, rozpaczliwy, beznadziejny smutek wyzierał z przymglonych łzami oczów.

— Aż strach pomyśleć, co się z nami stanie!

— Nawet kalendarz mają nam zmienić!

— I wszystkie święta przemienią po swojemu!
Boże Narodzenie wypadłoby w styczniu!

— Jakże to może być? Przecież Chrystus urodził się 24 grudnia, to nie może się rodzić drugi raz w styczniu! Nie może! Nasz polski Chrystus urodził się 24 grudnia! Jakże... Tego człowiek nie zrozumie, choćby jeszcze żył sto lat!

— I gruntów nie będzie nam wolno kupować!

— Za własny grosz i nie będzie wolno! To już koniec świata!

— A powiadają, że, jak nas tylko odłączą, to wzbronią mówić po polsku, za każde słowo będzie rubla sztrafu. Nawet w kościele nie będzie wolno księdzu ani nikomu po polsku! Ani pieśni, ani nic!

— Jezus Marja! Jezus Marja! — zajęczała kobieta, wznosząc ręce do góry.

— Nikt na to nie przystanie, a i księża przecieź się nie zgodzą...

— Księża też mogą nas odstąpić, jak odstąpili unicy, nie pamiętacie?

— To nie pójdziemy do takich kościołów; do lasów wrócim, Bóg jest wszędzie.

— A i na takich księży znajdzie się kara! Naródby im tego nie przepuścił!

— A niech nas odstapia, a niech nas wszyscy opuszczą, a niech nas pozabijają, jak te psy wściekłe, i niech się to już raz skończy! Przecieź człowiek dłużej takiego życia nie wytrzyma! Nie wytrzyma, mój Jezus! Nie wytrzyma! — zawołał jakiś chłop, łązy polały mu się ciurkiem po wynędzniałej twarzy, płakał, jak dziecko.

— I za co to wszystko? Cośmy komu zawiniłi? Dlaczego! — biadali bezradnie.

— Dlatego, żeśmy Polacy i katolicy! — zawołał wójt.

Naraz siwy staruszek przyklęknął, wyciągnął ręce do obrazów i zaczął odmawiać głośno „Pod Twoją obronę”.

Cała izba powtarzała za nim głosami pełnemi łez, rozpaczy i błagania. A kiedy się porozchodzili, wójt powiedział:

— Wszyscy się boją odłączenia od Polski gorzej, niżli śmierci. W każdej wsi zobaczy pan to samo, w każdej chałupie i w każdym człowieku.

Bardzo długo nie mogłem zasnąć tej nocy.

.

III.

O świcie ruszyłem dalej.

Jakby w pobożnej pielgrzymce po takich stacjach polskiej Kalwarji, jak Łomazy, Piszczac, Biała, Horbów, Pratulin, Janów, i tylu innych miejscach, wstawionych cudami chłopskiej wiary i męczeństwa.

I tym krwawym, bolesnym szlakiem, nad którym jeszcze niedawno szalały burze i pioruny, droga ciągnęła mi się kręto i długo, gdyż często musiałem zbaczać do wiosek i folwarków, pogubionych wśród lasów, do chałup, dworów i ple-

banij, ale najczęściej do chałup, między dawnych „opornych“, między lud, zahartowany w cierpieniach i tak bardzo uświadomiony, a który znowu czekają nowe, może jeszcze sroższe walki o samo już tylko istnienie.

Przez parę tygodni jeździłem po tych cichych, oprzędzonych melancholją i dziwnym smutkiem ziemiach, gdzie każda wieś była, przez całe dziesiątki lat niezdobytą twierdzą, każda chałupa okopem walczących do ostatniego tchnienia i każdy człowiek nieustraszoną bojownikiem świętej sprawy.

A codziennie słuchałem wstrząsających opowiadań o przeszłości, codziennie ktoś mi odsłaniał rany, ledwie przyschnięte, i szeptał zbielełymi wargami tragiczne dzieje swoich najbliższych; i codziennie z żywej, krwawiącej jeszcze pamięci wynosiły się postacie świętych męczenników, przerażające sceny „nawraczeń“, bezprzykładne cierpienia i nadludzkie ofiary.

Długo i boleśnie brzmiały mi w sercu, jakby echa pomarłych płaczów, żalosne echa jęków i dzikie, rozpierzchłe odgłosy nahajek, strzałów i skarg.

I snuły się przede mną wciąż, na każdym miejscu i o każdej porze, jakby niezliczone blade widma pobitych, które, „jak kamienie, przez Boga rzucone na szaniec“, zwały się w mogilne doły, dając wszystkim żywot na świadectwo swojej wiary niezłomnej i swojego narodu.

I zrozumiałem, dlaczego takim smętkiem owiana jest ta ziemia, dlaczego tam słysząc nocami płacze na rozstajach, dlaczego bory szumią taką posępną skargą, ptaki śpiewają jakoś smutniej, nawet wichry jęczą żałośniej, a pod niskiem, skłębionem zawsze niebem ludzie przesuwają się cisi, skupieni w sobie, z przytająnemi płomieniami w oczach, drobni, a pełni żelaznej mocy wytrwania, nieulekli, niezmożeni, bohaterscy.

I wtedy także odczułem w całej grozie i wielkości tę jedyną na świecie martyrologję żywych i umarłych, pisaną krwią i łzami całego ludu.

Ale jeszcze głębiej i jeszcze boleśniej zatargały mi sercem ich pytania, gdy po długich litanjach krwawych wspominań przysuwali się bliżej i szeptali:

— A co będzie, jak nas odłączą? Co się z nami stanie?

Na to może odpowiedzieć tylko cała Polska.

I odpowiedzieć musi, bo to sprawa życia i śmierci dla tych najwierniejszych i najnieszczęśliwszych.

.

A jakie to dusze wzniosłe, bohaterskie i oddane świętej sprawie, niech opowie krótka historia, jedna z tysiąca, fakt straszliwie prawdziwy i rzeczywisty aż do okropności.

W 1874, w roku zniesienia Unji na Podlasiu, na pograniczu powiatów bialskiego i konstanty-

nowskiego, w miałej wioseczce Kłoda, należącej do horbowskiej parafji unickiej, biedował na paru morgach niejaki Józef Koniuszewski, a że ziemi miał mało i lichej, to pracowicie dorabiał po dworach i sąsiadach, żeby się tylko wyżywić wraz z żoną, dzieckiem paroletniem i krowiną. Byli to ludzie porządni, spokojni, a bardzo przywiązani do swojego wyznania.

Ale przyszło zniesienie Unji, zaczęto nagwałt nawracać Podlasie i Chełmszczyznę, trafili więc i do Horbowa, spędzili całą parafję pod cerkiew i kazali się wszystkim przepisywać na prawosławie. Nawracanie odbywało się, jak wszędzie, w przepisanyim zgóry porządku i formie. Jeden uległ wymowie batów, drugi obietnic, trzeci dłuższem siedzeniem w Białej, ale Koniuszewscy, wraz z wieloma ze swojej wsi, nie ulegli; dostali też sporą porcję, a Koniuszewski nawet więcej, niżli inni, gdyż żarliwiej i głośniej bronił swojej wiary, a omdlewając pod nahajkami, jeszcze krzyczał:

— Polak jestem i katolik! Zabijcie, a nie przejdę!

Nie zabili go, ale zato dłużej musiał się lizać z ran i ciężiej przychodził do zdrowia. A jakby na tem większą niedolę nieszczęśliwych, na Koniuszewską, będącą w tym czasie już w ósmym miesiącu ciąży, zwrócił szczególną uwagę strażnik, i często zaglądał do wsi, rozpytując się bardzo troskliwie o czas jej rozwiązania.

Zaraz na drugi dzień po urodzeniu się tęgiego chłopaka, spadł na nich strażnik, jak sęp żarłoczny, z nakazem, żeby mu dziecko przynieśli do ochrzczenia.

Koniuszewski struchlał, ale matka, chociaż jeszcze chora, zaczęła krzyczeć:

— Nie dam na prawosławne dziecka! Uduszę je własnymi rękami, a nie dam!

Strażnik odszedł, i nazajutrz wezwano Koniuszewskiego do gminy.

— Ja Polak i katolik, to i mój syn będzie taki sam! — odpowiadał krótko i twardo.

Posiedział zato parę dni w kozie, dostał parę razy w zęby, ale nie zmiękł.

W jakiś czas później wezwano go do Białej. Siedział w kryminale wraz ze złodziejami przez dwa miesiące i, chociaż próbowano złamać jego upór na różne sposoby, nie ustąpił i dziecka w cerkwi nie ochrzcił. Wrócił tylko z więzienia jakoś srodze opuchły, posiniaczony i z powybijanymi zębami. Powiadał potem przed sąsiadami, że zdrzemnął się na wozie i zleciał na twardą grudę drogi...

Spróbowali z nim innej metody: musiał płacić za każdy dzień zwłoki po pięćdziesiąt kopiejek.

Płacił cierpliwie, myśląc, że na tem skończą się jego biedy.

Ale wkrótce podnieśli mu karę na rubla dziennie.

Nie ustąpił, chociaż było mu już strasznie ciężko.

A wkońcu, aby go złamać ostatecznie, nakazali płacić po całe dziesięć złotych.

Darł się do żywego mięsa, odejmował sobie i dzieciom od gęby, a płacił i chłopaka do cerkwi nie zaniósł.

Lecz rychło przyszedł dzień, w którym zabrakło mu nawet na sól.

Kara jednak nieubłaganie narastała; strażnik wisiał nad nimi, jak topór, i co parę dni przychodził po pieniądze, wójt groził więzieniem, gdyż urzędy coraz ostrzej nakazywały ściągać należność.

A skąd było brać? Stodoła była już pusta, wyprzedali się do ostatniego ziarnka, do ostatniego prawie ziemniaka i zapożyczyli się na wszystkie strony.

Zaś zarobek ledwie starczył na jakie takie przeżywanie się.

Wtedy zafantowali im prawie wszystkie ruchomości z chałupy, z rozmysłem nie zostawiając zimowej przyodziewy, ni nawet pierzyn i poduszek, i sprzedali wszystko na pokrycie zaległych sztrafów.

W chałupie pozostały tylko gołe ściany i puste łóżko, że musieli się przenieść na spanie do obórki, listopad bowiem szedł zimny i deszczowy, a nocami brały tęgie przymrozki, ale się nie ugięli nawet pod takim ciosem, zdecydowani już wszystko przenieść, byle jeno dziecko uratować.

Cóż, kiedy tej chudoby nie starczyło na długo, i kara znów jąła narastać, a strażnik już co dnia ich dręczył i co dnia namawiał:

— Zanieście dziecko do cerkwi! wrócą wam wszystkie sztrafy i jeszcze nagrodę dadzą.

Chłop tylko zęby zaciskał i pięście pod nie podtykał, żeby nie grzmotnąć kusiciela.

Aż któregoś dnia zabrali im maciorę, wartą ze dwadzieścia pięć rubli.

Koniuszewski sobie rachował, że za nią przeżywią się chociażby do wiosny, więc ciężko zajęczeli po jej stracie, a beznadziejna rozpacz zaczęła szarpać sercami, ale nie dali tego poznać po sobie wójtowi, który pierwszy wszedł do chlewa wyganiać świnię, a tylko Józefowa, widząc maciorę, opierającą się przed progiem, zakrzyczała urągliwie:

— Ugryźcie ją w ogon, to może prędzej was posłucha.

Wójt udał głuchego, a potem przystąpił do chłopca i zaczął mu życzliwie przekładać:

— Nie gub się, człowieku! Widzisz przecież, do czego cię już doprowadziło to uporstwo! Głową muru nie przebijesz! Nie wiesz to, że pokorne ciele dwie matki ssie?

— Żeby nie wiem co, a od swojego nie odstąpię! — odpowiedział na głos.

— Nie bądź głupi, jak drugie! Małoś to już dostał? chcesz, żeby ci jeszcze dołożyli, co? Takie prawo wyszło, to słuchać go musisz. Dziecku się nic nie stanie. A rozgniewasz swoim uporstwem urzędy, to ci gotowi grunt zabrać, i wyjdiesz na dziady,

— A niech mi wszystko zabiorą! A niech mi nawet przyjdzie zdychać z głodu pod płotem, to zdechnę, a dziecka na zatracenie nie oddam! — rozkrzyczał się, a żona mu jeszcze przytakiwała, utulając rozplakane dziecko.

Cała wieś to słyszała i widziała.

I nie przeciągnął go wójt na swoją stronę, nie poradzili tego zrobić później inni, podmówieni, a nawet sam pop, który umyślnie przyjechał do niego; nie puścił go do chałupy i tylko kijem pogroził.

Wlokła się ta sprawa do połowy grudnia; zima się już była ustaliła na dobre, wody skrzepły na lód, śniegi przykryły pola, przemarzłe drogi dzwoniły pod nogami, a wszelkie stworzenie cisnęło się do ciepła, gdy jakiegoś poranku mroźnego spadł na Koniuszewskich cios nowy i może najcięższy.

Przyszli zabrać im krowę, jedyną ich żywicielkę.

W chałupie zrobiło się tak strasznie, jakby wyprowadzano nieboszczyka, kobieta ryknęła płaczem i zaczęła bronić bydlatka, wrzeszczeć a pomstować wniebogłosy, aż się cała wieś zleciała.

Nikt się jednak z pomocą nie kwapił, bo jeszcze wielu nosiło niezgojone rany.

Koniuszewski też jakoś spokojnie stał w progu, blady był jeno, jak trup, i chociaż mu żalność rozrywała wnętrzności, patrzył na wszystko martwemi, zapiekłemi od bólu oczami i nie wyrzekł ani słowa, ale skoro krowina, wyciągana z obejścia, zaryczała

i zaczęła odwracać głowę za gospodarzami, porwał jakiś kół i również wziął bronić swojej żywicielki. Nie obronił; mógł to sam przemóc całą tę zgraję?

Tyle tylko zarobił, że go znowu sponiewierali, jak nieboskie stworzenie, a krowę i tak powlekli na sprzedanie.

Luta noc omroczyła im duszę, i gdy żalosne ryki bydłatka ucichły, chałupa stała się jakby tym zimnym grobem, pełnym straszliwych jęków niedoli, kobieta zawodziła rozpacznie, nie mogąc przeboleć tej straty, a chłop siedział martwo pod kominem, jak ten ogień, w który się zapatrzył, palącą, straszną męką przegryzany.

Przeszło południe, wieczór już nadchodził, modrawy zmierzch obtulał ziemię, i po wsi wybliskiwały światła, a oni wciąż siedzieli, pogrążeni w rozpacz i gorzkich rozpamiętywaniach swojej doli nieszczęsnej. Zaglądali do nich niektórzy sąsiedzi, ale, dojrawszy sine, okrwawione twarze, zakrzepłe w bólu i rozpacz, uciekali strwożeni. Dopiero późnym wieczorem oprzytomnił ich płacz zgłodniałych dzieci.

— Cóż teraz pocniemy? — odezwała się kobieta, nastawiając garnek z wodą na ogień.

— Nie ustąpimy! — rzekł i długo patrzył w jej zapłakane oczy.

— Dziecka nie dam! — przytwardziła mocno — a może Pan Bóg zlituje się jeszcze nad nami.

Mieli w sobie tak niezłomną wiarę w świętość swojej sprawy, że nie było na świecie mocy, któ-

raby mogła ich zachwiać w powziętem postanowieniu.

Ale jak tu było żyć dalej?

Nie mógł się nigdzie ruszyć za robotą, bo literalnie nie miał w czem, a mrozy brały coraz większe, więc żyli tem, co im przyniosły miłosierne ręce sąsiadów, a tego było niewiele, gdyż wieś była strasznie zbiedzona i tak w czasie „nawracania“ objedzona przez żołnierstwo, że nie w każdym domu mieli ziemniaki, a już okrasy i chleba to nie widzieli całemi miesiącami.

Ale w chałupie Koniuszewskich była już tylko rozpacz i głód.

Chłop targał się w męce i prawie już od rozumu odchodził, żeby sobie jakoś zaradzić, a tyle jeno wymyślił, że któregoś dnia pożyczył sobie od sąsiada kożucha, nogi poobwijał w łachmany i, nie opowiadając się nawet żonie, ruszył gdzieś we świat.

Poszedł po ratunek do księdza.

Droga była daleka i niezmiernie uciążliwa, szedł przytem o głodzie i musiał kołować i kluczyć borami, omijając wsie i trakty, na których mógłby się spotkać ze strażnikami, więc dopiero drugiego dnia dowlókł się na plebanję.

Ksiądz był w domu, ale skoro się dowiedział, że to „oporny“, tak się wystraszył, że nie chciał go widzieć na oczy i przykazał surowo kościelnemu nie wpuszczać nieszczęśnika nawet do kościoła. Szczęściem, kościelny miał litościwsze serce i po-

zwolił mu wejść do kruchty, gdzie Koniuszewski całą noc leżał krzyżem i żebrał krwawemi łzami o zmiłowanie, a rano, po mszy, upatrzywszy odpowiednią chwilę, padł do nóg proboszczowi, wyznał się ze wszystkiego i skamlał o ochrzcenie dziecka.

Ksiądz wysłuchał, nawet się nad nim rozczulił, dał mu parę złotych i medalik, ale o chrzcie nie dał sobie mówić i jak najsurowiej zakazywał mu więcej przychodzić na plebanję...

A chociaż z niczem powrócił do chałupy, nie stracił jeszcze nadziei, bo wkrótce wybrał się do jednego z dworów, gdzie często chodził na robotę. Cóż, kiedy dziedzic kazał go wypędzić: bał się również, aby go nie posądzono o pomaganie „opornym“, na całej bowiem unji wciąż jeszcze świszczały nahażki, tłukły kolby, tysiące gnano w dalekie strony i rozlegał się żaloszny płacz „nawracanych“. Koniuszewski zapłakał pierwszy raz w życiu nad swoją niedolą i odszedł.

Dopędził go za bramą dworski kucharz i z dobrego serca mu poradził, żeby się udał do starej pani hrabiny Łubieńskiej w Jabłoni, która, jak może, tak wspomaga i broni prześladowanych unitów, a już niejednego uratowała od zguby.

Ale chłop tylko smutnie się uśmiechnął, obtarł rękawem oczy i już nigdzie więcej nie poszedł, nie szukał już u nikogo więcej poratunku, bo zrozumiał, że pozostał sam na świecie, jako to drzewo na wywieisku i że zginąć musi...

Opowiadali potem ludzie, jako po powrocie wciąż się tylko modlił, a z chałupy przez całe noce rozlegały się pobożne śpiewy.

I kiedy przed samemi Godami dali mu znać, pod wielkim sekretem, że mają mu siłą odebrać dziecko i ochrzcić je w cerkwi, nawet nie rozpaczał, jakby już na wszystko przygotowany, a tylko rzekł tym, co mu tę wiadomość przynieśli:

— Długie mają ręce, ale mojego chłopaka nie dosięgną.

Stał się potem nawet jakiś rozmowniejszy i prawie wesoły, chodził po wsi, zaglądając do chorych, leczących się jeszcze z pobicia, umacniał w wierze chwiejnych i wyznawał się przed niektórymi, że postanowił zabrać żonę z dziećmi i wywieźć się we świat szeroki, gdzie go oczy poniosą!

Nie dziwili się temu, przecież już był osaczony, jak ten dziki, szkodny zwierz, a nawet któryś z zasobniejszych chciał mu pożyczyć na drogę, pod zastaw gruntu.

— Na taką drogę wystarczy mi tego, co mam — odpowiedział cicho.

I jeszcze tego samego dnia oboje Koniuszewscy zaczęli się żegnać ze wsią i pokornie wszystkich przepraszaali za złe, jakie mogli komu uczynić.

Mówili, że wyjdą w nocy, ale nikomu nie powiedzieli, dokąd się wynoszą.

Pożegnali się i już ich nikt więcej nie widział na oczy.

Noc się zrobiła ciemna, mróz sfolżał i niekiedy padał śnieg gęsty i pierzasty, a chwilami przeciągał wilgotnawy wiatr, jakby na odmianę. Psy tej nocy jakoś dziwnie, swarliwie naszczekiwały, i koguty piałły od samego wieczora.

Naraz, o samej prawie północy, chlusnął w niebo słup ognia i rozległy się po wsi krzyki.

Pałiła się stodoła Koniuszewskich.

Ale, nim się zbiegli, a pomyśleli o ratowaniu, już cała stanęła w płomieniach.

Koniuszewskich w chałupie nie było, musieli wyjść zaraz z wieczora.

Zdumieli się jednak niezmiernie, znalazłszy chałupę wywartą narozcież, a w izbie na stole, pokrytym białem płótnem, zastawioną wieczerzę, zupełnie jeszcze nietkniętą.

Długo nad nią kiwali głowami, nie mogąc tego zrozumieć, aż ktoś rzekł z naciskiem:

— Musiało im coś przeszkodzić, kiedy tak wszystkiego odbiegli.

— A może są jeszcze gdzieś na wsi...

— Jużby do ognia przylecieli; nie, w tem jest coś innego.

Pogadywali niespokojnie i wyczekująco rozglądali się dokoła, ale Koniuszewscy się nie zjawili; natomiast pożar wzrastał się z minuty na minutę, ognistą płachtą pokrył już cały dach i czerwonymi jęzorami przeciskał się wskrósć ścian; na szczęście, wiatr całkiem ustał, a rozwichrzone grzywy czarnych dymów i płomieni wynosiły się coraz potęż-

niej z trzaskiem i sykiem, rozsiewając krwawe brzaski na gromady, wylęknione i tłoczące się bezradnie, i na ośnieżoną chałupę, nisko przywartą do ziemi.

Wreszcie sołtys zaczął napędzać do ratowania, że ten i ów się poruszył i biegał z krzykiem, nie wiedząc zresztą co począć, ktoś nawet próbował wyciągnąć wóz, którego dyszel sterczał przez wrótnie stodoły, lecz niepodobna było już podejść bliżej; cały budynek stał w ogniu, paliło się na wszystkich czterech węglach, a ze słomianego dachu sypał się na głowy żywy ogień.

Przyleciał wkrótce strażnik i, nie zważając na pożar, zaczął bardzo żarliwie rozpytywać, gdzie się podzieli Koniuszewscy i tak zajądło szukał, tak za nimi tropił, zaglądając nawet do ziemniaczanych dołów i na strychy, aż się z niego przekpiwali między sobą, a ktoś odważniejszy zawołał ze śmiechem:

— Schowali się do stodoły; niech pan starszy sprawdzi...

Juści nie sprawdzał, bo stodoła była już tylko huczącą górą rozmiotanych płomieni, już trzeszczały wiązania, już chwiały się dach, wzdymały się rozpalone ściany, pękały belki, a co chwila wybuchały ogniste fontanny i krwawe żagwie, niby spłoszone ptactwo, rozlatywały się na wszystkie strony świata. Noc była cicha i ciemna, śnieg zaczął połatywać gęstemi rojami, we wsi sąsiedniej bił dzwon na trwogę i psy wyły jakoś długo i żałośnie; ludzie zaś stali kupami, zcicha pogadując, gdy wtem, jak-

by z nieba, czy z tych szalejących płomieni, zabrzmiał stłumiony, daleki śpiew, jakby przeciągły krzyk konających...

Struchleli z przerażenia, zamarli serca i wszystkie oczy stanęły kołem.

A płomienisty kierz śpiewał coraz głośniejsze, coraz wyraźniej i coraz zrozumialej...

Nikt się nie mógł poruszyć, jakby ich wbiła w ziemię kamienna pieśń strachu; dopiero po długiej chwili ktoś zakrzyczał:

— To Koniuszewscy!

— Jezu, Marja! Koniuszewscy! Ratuj, kto w Boga wierzy! Jezu, Marja!

Jakby huragan szaleństwa ich porwał i rozmiótł na wszystkie strony; lunęły wrzaski, szlochania, lamenty; biegali nieprzytomnie dokoła ognia, wyciągali ręce, targali się za włosy, uciekali w pola, to krzyczeli niehumanie w strasznej męce żalów i bezradności, bo ani można było myśleć o ratowaniu, dach się bowiem wygiął i mógł lada chwila runąć.

Ale śpiew wciąż jeszcze płynął, równy, wysoki, niebosiężny, był jakby radosnem witaniem raju, hymnem zmartwychwstających, ekstatyczną pieśnią wiary...

Runęli wszyscy na kolana i zaczęli odmawiać modlitwę za konających. Głosy się trzęsły i łamały, zalewając łzami, niekiedy wybuchał ogólny płacz, niekiedy ktoś padał na ziemię ze strasznym, rozzierającym krzykiem, i łkania rozsadzały piersi,

ale modlili się całą głębią dusz, i ta litanja zrozpaczonych, łzawych głosów łączyła się ze śpiewem konających i wraz z szumem pożogi, z trzaskiem pękających ścian płynęła jednym, ogromnym jękiem w bezkresną, nieprzeniknioną noc...

Naraz stodoła się zapadła, i z głębi ognistej otchłani wydarł się ostatni, przerażający krzyk...

.

Dopiero w parę dni później wydobyto z pod zgliszcz zwęglone zwłoki Koniuszewskich.

IV.

Dla pełności obrazu opowiem jeszcze, chociaż tylko w streszczeniu, dzieje unickiej wioski Hrud, położonej niedaleko Białej Podlaskiej, na drodze do Janowa.

Hrudy najwcześniej na Podlasiu, bo jeszcze w roku 1867, wzięły pierwsze cięgi za uparte trwanie przy Unji. Było to wtedy, kiedy „Misja Bialska“ jeszcze prywatnie, jakby tylko z apostolskiej gorliwości, próbowała oczyścić cerkiew unicką z polskich i łacińskich naleciałości. Nieszczęściem dla Hrud było to, że leżały za blisko owej „Misji“, musiały się więc stać jakby polem doświadczalnem dla siewców „czystej i jedynej prawdy“. Ale grunt okazał się dziwnie jałowy i, pomimo bardzo obfi-

tego umierzwiania krwią, nie wydał oczekiwanych plonów. A nawet przeciwnie, gdyż stał się źródłem zaraźliwej gorączki „uporstwa“, jaka wkrótce ogarnęła całą Chełmszczyznę.

Zaczęło się, jak odtąd miało się już zaczynać na Unji, od wyrzucania z cerkwi polskich śpiewów, kazań, organów, świętych obrazów i dzwonów.

Ale lud natychmiast przywrócił cerkiew do dawnego stanu i śpiewał dalej po polsku, bo tylko polskie kościelne pieśni umiał, modlił się przed obrazami, słuchał ze wzruszeniem organowych głosów i polskich kazań, bo tak było za jego dziadów i pradziadów, bo tylko takie nabożeństwo rozumieli; albowiem te śpiewy, kazania, obrazy, procesje wśród dzwonów, kadzielnich dymów i brzmiących organów były i są jakby organiczną częścią jego wierzeń religijnych, jego wzruszeń serdecznych i jego umiłowań.

Nie obroniło to ich od nowego zamachu na cerkiew, gdyż w lipcu tegoż roku próbowano narzucić im nowego, posłusznego proboszcza.

Przywiózł go sam Marceł Popiel, prawie już biskup chełmski, w towarzystwie błagoczynnego Kalinowskiego i sporego orszaku kozaków, dla uświetnienia uroczystości.

Ale lud otoczył cerkiew nieprzebytym wałem i nie wpuścił do niej nikogo.

Nie pomogły długie i żarliwe namowy; lud nie dał się przekonać i nie ustąpił.

Popiel odjechał rozgniewany i groził strasznemi karami za nieposłuszeństwo.

Chłopi czuli, co ich czeka, i z determinacją pochylali głowy przed Dolą.

Jakoż w końcu września zjawiała się we wsi sotnia kozaków, a za nimi przymaszerowała rota piechoty i rozkwaterowała się po chałupach.

Całe dwa miesiące wszyscy, którzy posiadali konie, musieli jeździć na podwozy po całym powiecie, a reszta mieszkańców była pędzona od świtu do nocy na drogi, do zgarniania kamieni i błota, kopania niepotrzebnych rowów i wysypywania żółtym piaskiem głównego gościńca.

A tymczasem pola leżały odłogiem, nie było czasu ni orać, ni siać, ni nawet wykopać ziemniaków, które gniły, gdyż jesień była wielce mokra, wieś niszczała coraz bardziej, inwentarze dawały szyje pod nóż żołdacki, stodoły pustoszały, bo kozacy paśli swoje konie tylko czystem zbożem, płoty szły na ogień, a skoro ich zbrakło, to i drzwi z chałup, i pomniejsze budynki, i nawet drzewa ze sadów.

I na zakończenie Hrudy zapłaciły jeszcze kontrybucję, kilku gospodarzy poszło na parę miesięcy do więzienia, a dawnego proboszcza, księdza Terlikiewicza, wywieziono.

Wreszcie wieś odetchnęła, goście odeszli, parę lat przeszło spokojnie, a tylko w ciężkiej pracy dorabiano się, jakby po strasznym pożarze.

Cerkwi jednak wciąż strzegli, jak oka w głowie, straże czuwały dzień i noc.

W roku 1871, w sam dzień „Zwiastowania“, zjawił się najniespodziewaniej nowy „ukazowy“ proboszcz, niejaki Starosielec, w towarzystwie błagoczynnego Kalinowskiego, i gwałtem chcieli zawładnąć cerkwią, lecz chłopci znowu ją otoczyli lasem roztrzęsionych pięści i groźnie krzyczeli:

— Jeżeli nie wróci ksiądz Terlikiewicz, to innego nie potrzebujemy.

Wobec ich zdecydowanej postawy, Starosielec wyniósł się bardzo pośpiesznie.

Ale nazajutrz powrócił w licznej asyście strażników.

I porę wybrali sobie najodpowiedniejszą, bo po południu, kiedy wszyscy ludzie byli przy żniwach daleko za chałupami, a we wsi zostały tylko dzieci i starce, drzemiące po sadach. Na szczęście, ten, który stróżował przy cerkwi, zobaczył całą kalwakatę, wyjeżdżającą z lasów, i, poczuwszy niebezpieczeństwo, zaczął dzwonić na trwogę.

Na polach podniósł się straszny wrzask i lament; kto tylko żył, chwycił co mu wpadło w garście, i leciał na obronę.

Tamci zaś, zrozumiałwszy, że ich spostrzeżono, pędzili do wsi, co tylko konie miały tchu, prędzej dopadli kościelnego cmentarza i zaczęli łamać wrótnie, ale nie zdążyli jeszcze dostać się do środka, gdy chłopci runęli na nich z ogromnym krzykiem

i rozmiotli, że uciekali chyłkiem, opłotkami, jak spłoszone jastrzębie.

Starosielec nie dał jednak za wygraną i w parę dni później znowu powrócił, ale już w otoczeniu całych dwóch sotni...

Wchodzili do Hrud triumfalnie, z muzyką i śpiewami, od których chłopom cierpła skóra i, chociaż się żegnali rozdygotanemi rękami, stanęli jednak nieulękłe w obronie swojej cerkwi, tylko, że opór trwał już bardzo krótko: szarża, piki, naboje, końskie kopyta wnet utorowały drogę „narzutowi“, który też ostatecznie objął parafję w swoje posiadanie, a wojsko rozłożyło się, starym zwyczajem, po chałupach i odpoczywało przez całe ośm tygodni.

A kiedy wreszcie odeszli, to w Hrudach nie zostało ni jednych całych pleców, ani jednej szyby, płota i drzwi, a w każdej chałupie był szpital i sieroty, gdyż pięciu gospodarzy wraz z rodzinami popędzono w ślady księdza Terlikiewicza.

Nastąpiło parę lat przerwy; pogoiły się plecy, wyrównały się szczyrby w dobytku, obeschrły nawet łązy, nie zginęła tylko pamięć o wywiezionych, ich puste, pozabijane deskami chaty i pola, leżące odłogiem, których się nikt nie považył tknąć, leżały wciąż na oczach, i były niby niemy krzyk wiecznie pamiętnej krzywdy!...

Nadszedł 1874 rok, pamiętny na zawsze, rok zniesienia Unji.

Naturalnie, że nie zapomniano i o Hrudach. Nawracano je przez cały tydzień, i przez cały tydzień brzmiały apostołskie napomnienia, przeplatane świstem nahajek i jękami.

Siew był żarliwy, żniwo znojne, omłot pracy, ale plon niezmiernie lichey...

Hrudy nie dały się nawrócić z odwiecznych błędów i pozostały zatwardzale „uporstwujuszczymi“, ale zapisano je do panującego kościoła i pozostawiono pod opieką praw specjalnych i strażników.

Życie toczyło się wciąż jedną koleją, puste chałupy wciąż czekały na swoich gospodarzy, sieloty na ojców, a pokrzywdzeni na sprawiedliwość; siano jednak, orano i sprzątano, jak zwykle, tylko że wieś stała się podobna do cmentarza. Nikt już nie zaśpiewał, nie tańczył i nie weselił się, zapomnieli się nawet śmiać; ludzie przesuwali się jak cienie, bladzi, wynędzniali, śmiertelnie smutni i przeżarci nędzą i cierpieniami, a zawsze gotowi na nowe cierpienia i nowe ofiary dla sprawy.

Z cerkwią i plebanją przerwały się wszelkie stosunki, odwrócili się od nich na zawsze, bo tam już panował obcy język, obca wiara i ludzie obcy; niczyja noga już nie powstała nawet na przycerkiewnym cmentarzu.

Modlili się po domach, skrycie, albo po lasach, gdzie zbierano się na uroczyste nabożeństwa, dzieci chrzczono tylko z wody, tymczasowo, zmarłych grze-

bano pokryjomu, nocami, starannie równając mogiły z ziemią, żeby ich strażnik nie dostrzegł i nie nakazał pochować nieboszczyka po raz drugi, a według nienawistnego im obrządku; małżeństw nie zawierali dla tych samych powodów, ślubów tak zwanych „krakowskich“ jeszcze wtedy nie było. Narzuconej im cerkwi nie chcieli, a do kościoła nie było wolno, czekali więc ufnie i cierpliwie na odmianę strasznego losu, znosząc tymczasem tysiączne przykrości od władz.

Żyli pod ciągłym strachem i groźbą, zdani na łaskę i niełaskę strażników, żyli, jakby wyłączeni ze społeczności, niby stado dzikich zwierząt, odgrodzone od świata i ludzkiego życia nieprzebytym gąszczem praw, zakazów, sztrafów i więzień.

A pomocy nie było znikąd. Przed „opornym“ zamykały się wszyskie drzwi, uciekano przed nimi, jak przed zadżumionymi, wypędzano ich nawet z kościołów, strach szedł przed nimi, a czujne oczy za nimi. Ale, chociaż rany bolały ich podwójnie, chociaż jadła ich nędza, sztrafy odbierały ostatni kęs chleba, prześladowania gnębiły, chociaż odstąpili ich ludzie, walczyli jednak dalej w ponurem osamotnieniu, walczyli do ostatniego tchnienia o prawdę umiłowaną, dla której już znieśli wszystko i wszystko jeszcze byli gotowi przecierpieć.

Tak przeszło do 1876 roku, w którym na Hrudy zwało się nowe, chociaż już oddawna groźnie wiążące nieszczęście. Pewnego bowiem dnia przy końcu marca przyszedł surowy rozkaz, aby natych-

miast sprowadzono do cerkwi wszystkie dzieci, dotąd jeszcze nieochrzczone.

Jakby piorun trzasnął z jasnego nieba; wieś zawrzała, krzyk trwogi podniósł się po chałupach, płacz i lamenty zakwiliły żałośnie, ludzie biegali, jak oszaleli, nie wiedziano, co począć, załamywano bezradnie ręce, mróz przejmował kości, a strach dygotał każdym sercem, jeszcze bowiem na wsi pełno było śladów „dawnego“, jeszcze niektórzy mieli niezagojone rany, jeszcze domy po wysłanych stały pustkami....

„Co robić? Co robić?“—trzepotały się trwożliwe, załzawione szepty.

Nikt nie umiał odpowiedzieć, ale też nikomu ani postało w głowie, żeby usłuchać rozkazów. Tyle lat się opierali, tyle kar zapłacili, tyle się nacierpieli, a teraz mieliby się zgodzić dobrowolnie, mieliby oddać dzieci na wieczną zatrutę?...

Włosy powstawały ze zgrozy, zaciskały się pięście, jęk rozdzierał zgnębione serca, lecz równocześnie rodził się w tych bohaterskich duszach niezłomny opór, podnosiły się dumnie czoła, i oczy zaczynały nieulękle patrzeć na zbliżającą się znowu niedolę...

I bez wrzasków, bez długich namysłań porozumieli się prawie w mgnieniu oka, i wszyscy już poczuli to jedno: że dzieci w cerkwi ochrzcić nie pozwolą, chociażby im zato przyszło zapłacić życiem...

A zaledwie się porozchodzili po domach, gdy na kilku wozach przyjechali strażnicy z wójtem na czele, aby dopilnować spełnienia rozkazów.

Cerkiew już czekała otwarta, więc wójt wraz z całą kohortą chodził po wsi, wyczytując z listy, ile dzieci powinni wyprowadzić z każdej chałupy.

Cała wieś wyległa przed domy, chłopci drapali się frasobliwie po głowach i słuchali w milczeniu, kobiety stały po progach z dziećmi na rękach i również się nie odzywały, były tylko dziwnie blade, zgorączkowane i patrzyły jak rozjuszony wilczyce, ale po przejściu wójta, i gdy chłopci pociągnęli za nim, zniknęły gdzieś bez śladu, a chałupy zawierały się śpiesznie, cicho i jedna po drugiej...

Wójt się naraz obejrzał i, ujrawszy samych mężczyzn, zawołał:

— A gdzież baby? Gdzie dzieci?...

Ponure, ciężkie spojrzenia posypały się na niego jakby kamiennym gradem.

Nie pytał już więcej, a tylko zaczął kopać w pierwsze lepsze drzwi a ryczeć:

— Wychodzić! Wychodzić, bo za łby wszystkich was powyciągam!

Tylko pieski zaszczekały mu w odpowiedzi, ale ani jedna głowa się nie ukazała; domy stały jakby wymarłe i opuszczone, a wszystkie okna i drzwi miały pozamykane od środka.

Krzyknął na chłopów, żeby otwierali; nikt się nawet nie poruszył, a tylko któryś wyrzekł posępnie:

— Niech je pan wójt sam sobie otwiera!

Rzucił się z wściekłością na jakieś okno i odskoczył ze skowyt, jak pies od jeża, bo dostał ukropem w twarz, więc, ledwie dysząc z gniewu, rozkazał brać domy szturm, jak fortecę.

Niełatwo to jednak poszło, gdyż okna i drzwi były zatarasowane od wnętrza skrzyniami, szafami i czem się tylko dało, a kto się bliżej podsunął, brał kijem, wrzątkiem lub pięścią.

Chłopi stali na środku drogi, przypatrując się wszystkiemu z wielką cierpliwością...

Chałupy aż się trzęsły od wrzasków, kobiety walczyły, jak lwice, odpierając szturm za szturm; co chwila rozlegały się ryki bólu, przekleństwa, straszliwe płacze dzieci, trzask pękających desek, brzęk tłuczonych szyb, szczekanie psów i huki belek, któremi wybijano drzwi, niby taranami, że rozlatywały się w drzazgi.

A kiedy wreszcie przełamano pierwsze przeszkody, wdarto się do niskich ciemnych sieni, zawrzała ręczna walka i wybuchały dzikie wrzaski, broniły się bowiem coraz zajadlej i coraz rozpaczliwiej.

Wkońcu zdobyto parę chałup, ale wszystkie kobiety momentalnie pochowały się wraz z dziećmi w kominy i piece od chleba, że musiano zdobywać każdą z osobna.

Broniły się już zębami i pazurami, gryzły i drały, a oszalałe rozpaczą, pijane walką, podarte jak łachmany, okrwawione, zbite, całe w ranach

i sińcach, walczyły wciąż z jednakiem męstwem, niby wilczyce, opadnięte przez rozjuszzone ogary.

Lali je wodą, rzucali w kominy zapaloną słomę, żeby je wykurzyć dymem, jak lisy, próbowali wyciągać nawet bosakami, ale nic nie pomogło.

Przetrzymały wszystko!

Musieli je odstąpić, gdyż noc się już robiła, i chłopci przybierali coraz groźniejszą postawę. Wójt zagroził wsi strasznemi karami za opór i odjechał z całym towarzystwem.

Cerkiew zamknięto, wszystko wróciło do dawnego, i narazie zapanował spokój.

Nie na długo jednak, bo już w początkach kwietnia, któregoś dnia na samem świtaniu, zahuczał nagle dzwon na trwogę, i rozniosły się złowrogie krzyki:

— Wojsko idzie! Ratuj dzieci, kto w Boga wierzył!

Przy kołowrocie już zabrzmiały warkoty bębnow, szczęki broni i ciężkie, marszowe tupoty.

Taki huragan przerażenia zwałił się na ludzi, jakby pożar ogarnął całą wieś; i nie było już żadnego ratunku, wypadali z chałup nieprzytomni, a chociaż strach porывał za włosy i trwoga wyła w sercach, stali w jakimś nagłym skamienieniu i patrzyli ślepymi oczami na długą kolumnę wojska.

Śmiertelna cisza opadła, nikt nie śmiał się poruszyć, byli jakby sparaliżowani, ale, kiedy zdawało się, że już wszystko przepadło, serca matek przemówiły: pozbierały dzieci, ogarnęły je naprędce

i, jak która stała, boso i w koszulach, zaczęły się niespostrzeżenie wymykać do sadów, potem chyłkiem za stodoły, potem w pola i przepadły w szarudze i w skołtunionych świtowych mgłach.

Wojsko zajęło wieś, i wyszedł rozkaz, aby wszystkie kobiety z dziećmi zebrały się pod cerkwią. Naturalnie nie zjawiła się ani jedna; były już w bezpiecznem schronieniu.

— Ale gdzie się podziały? — pytano groźnie, przetrząsając dom po domu.

Chłopi milczeli, niepodobna było wydobyć ani słowa.

— To poczekamy, aż powrócą! — powiedział dowódca, i wojsko rozłożyło się po chałupach.

Dopiero po śladach zrozumiano, gdzie się schroniły; otoczyli więc las patrolami, przecięto komunikację ze wsią i srogo pilnowano, żeby nikt nie wynosił im żywności.

Byli pewni, że rychło je przypędzi głód i zimno.

— Kwoczki podmiękną i wrócą na grzędę! — podkpiwali żołnierze.

Ale przeszedł dzień, dwa, trzy — nie powróciły.

A wieś szarpała się w strasznej trwodze i niepokojach, robota leciała z rąk, poruszali się nieprzytomnie, boć wszystkie oczy wciąż wisiały na chmurze borów, boć wszystkie dusze rozdzierała rozpacz bezsilności, więc tylko płakano z wściekłości, modlono się żarliwie i czekano jakiegoś cudu.

Przeszedł cały dzień i nie powróciła ani jedna.

Bór stał czarny, ogromny, niezgłębiony, a pod jego wyniosłemi ścianami błyskały gęsto najeżone bagnety.

Wiosna tego roku była dziwnie mokra, zimna i wietrzna; codzień szły nieskończone szarugi, codzień wichry z dzikim, rozżartym skowytym spadały na wieś, przewalały się po polach i biły w bory, które szamotały się tak rozpaczliwie i wyły tak przejmująco, że ludziom się wydawało, jako słyszą w tych jękliwych poświstach bolesne zawrozczenia kobiet, płacze dzieci, a nawet mrozące krew wołania konających.

A niekiedy, gdy przychodziły spokojne noce i księżycowa poświata zalewała omglone pola i las stał przelśniony, cichy i zadumany, to niejeden byłby przysiągł, że widzi między pniami białe widma, które wyciągają błagalnie ręce i coś krzyczą, i czegoś się skarżą i czemuś się żalą...

Przeszedł drugi tydzień, nie powróciły!

Dnie już szły niewypowiedzianie przykre, wlokły się nudnie i ociężale, sączyły się, jakby palące żałością łązy. Pora była robót wiosennych, pola krzyczały o pługi, o ziarno, ale miał to kto głowę do roboty, kiedy troska wypijała każdą myśl i moc wszelką! Nawet sen nie przynosił ukojenia, bo noce schodziły na rozgorączkowanym oczekiwaniu, bo, co tylko wiatr tknął okien, to się już zdawało każdemu, że się ktoś pod ścianami przemyka, że ktoś puka, że ktoś nadchodzi.

Przeszedł trzeci tydzień, nie powróciły.

Na świecie zaczęło się nieco wypogadzać, i przy końcu kwietnia zdarzały się już dni cieplejsze i słoneczne; puszczały się trawy, ruszały oziminy, pękały drzewa, kaczeńce obsiadały łąki, ptactwo zaczynało krzyczeć po sadach i gąszczach, rankami klekotały bociany, a skowronki całe dni dzwoniły pod jasnym, czystym niebem, wiosna szła wszystkim światem i śpiewała coraz potężniej swój hymn nieśmiertelny, ale nie widziały jej oczy, zaropiałe od nieustannych gorzkich łez, nie czuły jej dusze, przegrzane męką, i nie było jej po chatach, pełnych tylko płakania, żałoby i beznadziejnego smutku.

Przeszedł czwarty tydzień, nie powrócili!

Ludzie ślaniali się, jak cienie, poschnięte od gorączki, a wieś stała się niemilknącym lamentem pieśni pogrzebowej; codzień wieczorem w każdej chałupie paliły się gromnice i odmawiano modlitwy za konających, a długo w noc biły ku rozgwiażdżonemu niebu płacze serdeczne, biły żebracze prośby, biły westchnienia, przejęte wiarą i ufnością...

Przeszedł piąty tydzień — nie powracały.

Wieś dochodziła już do szaleństwa, wielu rzucało się prosto na bagnety, aby się przedostać do lasów i raczej umrzeć, niżli dłużej znosić to straszliwe oczekiwanie, ale żaden nie przerwał tej żelaznej obręczy i wracali jeszcze bardziej smutni i udręczeni.

Przeszedł szósty tydzień — nie powrócili!

Wreszcie i wojsko miało już dosyć tego oczekiwania i wymaszerowało z Hrud.

Wtedy cała wieś, jak jeden człowiek, rzuciła się naprzelaj do lasów, a jeszcze nie dobiegli, gdy z mrocznych głębin zaczęły się pokazywać jakieś mary; szły zgarbione, o kijach, prawie nagie, wynędzniałe, rozkudlone, szerniałe, podobne do szkieletów, ale radosne, jak słońce, jak wiosna, triumfujące, i, jak samo życie, niezwyciężone!...

Zwalczyły głód, strach, opuszczenie, zimno i choroby; zwalczyły samą śmierć, ocaliły dzieci, i oto wracały te wielkie, te bohaterskie, te święte dusze w domowe progi, do codziennego trudu i do codziennej walki.

.

A na zakończenie bolesnej sprawy tych chrztów przymusowych przytoczę już ostatnią scenę, jaka się jeszcze rozegrała w tych samych nieszczęsnych Hrudach i w tymże 1876 roku.

Po wyjściu wojska i powrocie kobiet z lasów życie popłynęło zwykłym łożyskiem codziennych zabiegów, kłopotów i nieustających lęków. Wprawdzie matki zwyciężyły narazie, ale ani one, ani też nikt w całej wsi nie łudził się ni przez jedną minutę, żeby to wszystko miało się już skończyć na zawsze; dobrze bowiem widzieli, jak pop się przyczaja, jakby tylko wyczekując sposobnej chwili. Mieli się więc również na baczności, oczekując ze drżeniem jeszcze strasznieszego ciosu. Kobiety

z dziećmi sypiały po strychach, obórkach i stodołach, aby w każdej chwili, na każdy sygnał niebezpieczeństwa znowu uciekać do borów, a chłopci dniami i nocami stróżowali po wszystkich drogach.

Nie upilnowali jednak, gdyż w parę tygodni później, pierwszej ciemnej i zadeszczonej nocy, do chałupy Apolonji Szuckiej, jednej z matek najbardziej opornych, ktoś zapukał.

Chałupa stała nieco w głębi, na końcu sadu, w izbie była tylko Szucka z kilkoletniem dzieckiem, bo mąż został już przedtem wysłany, więc, dosłyszawszy pukanie, strwożyła się, ale poszła do okna i zapytała.

— Kto tam?

Za szybami mignęły jakieś złowrogie twarze, szczęknęły pałasze, i rozległy się takie głosy, od których ścierpła jej skóra. Zrozumiała natychmiast, kto się dobija i poco.

Porwała dziecko na ręce i, oszalała ze strachu, rzuciła się do ucieczki, ale już stali pod drzwiami i oknami, chałupa była otoczona, i zewsząd groźnie krzyczeli:

— Otwierać! Otwierać!

Kolby coraz niecierpliwiej waliły o ściany.

Stała przez chwilę na środku izby, nie wiedząc, co począć, i napróżno szukając jakiegoś ratunku i tak skamieniała przerażeniem, że nie mogła się poruszyć, dopiero kiedy drzwi zahuczały pod uderzeniami kolb i okna z brzękiem posypały

się na ziemię, skoczyła na strych, wydarła dziurę w poszyciu i zakrzyczała straszliwym głosem rozpacz:

— Ratunku! Ratunku!

Ale drzwi niedługo się opierały, i z dzikim wrzaskiem runęło do środka kilkunastu ludzi. Ściągnęli ją nadół, zbili, sponiewierali, jak łachman, i chociaż broniła dziecka, jak rozwścieklona wilczyca, odebrali je nawpół zduszone w szamotaninach i ponieśli z triumfem do cerkwi.

Szucka zawyła w niebogłosy, napróżno usiłując odebrać swoje dziecko; napróżno miotała się na nich z dzikim skowytym rozpacz, napróżno rzucała się przed nimi na kolana z płaczem i błaganiami, wlokła się im u nóg i całowała po butach, wszystko było napróżno; ale, sto razy odpędzana, bita kolbami, tratowana, podnosiła się wciąż z nowym krzykiem i z nowymi siłami, tylko w coraz straszliwszem zapamiętaniu i boleści.

Cała wieś rozbudziła się w mgnieniu oka, kobiety z dziećmi uciekały do lasów, a reszta wypadała na drogę i wlokła się wzburzona i ponura za strażnikami, nie odważając się jednak odbijać dziecka, które zanosilo się płaczem, bo matka raz po raz rzucała się ku niemu na ostry, nieprzebyty las bagnetów i ryczała:

— Ludzie, oddajcie mi dziecko! Ludzie, miłosierdzia!

Strażnicy uciekali z łupem coraz prędzej, jak stado wilków, odcinając się na wszystkie strony

kłami bagnetów i przekleństwami, gdyż krzyk Szuckiej tak rozdzierał serca, że chłopcy występowali z coraz groźniejszym pomrukiem, wreszcie cerkwi dopadli, i ciężkie okute drzwi zawarły się z hukiem za nimi.

Szucka rzuciła się na nie z wściekłością — były zawarte na sztaby.

— Oddajcie mi dziecko! Nie chcę waszej wiary! Ono już ochrzczone! Nie gubcie jego duszy! — krzyczała, nadaremnie targając drzwiami. Potem oblatywała cerkiew i darła się po gładkich murach do oświetlonych okien, ale, posłyszawszy płacz dziecka, wpadła w furję i biła ogromnemi kamieniami w ściany, biła sobą, rwała cegły okrwawionemi rękami, gryzła żelazne okucia drzwi, to znowu, przypadłszy do gromady, stojącej w ponurem milczeniu, zaskowywała chrapliwie ostatkami sił i ostatkami przytomności:

— Ratujcie mi dziecko! Nie dajcie na wieczną zatrutę! Chłopiec ma czwarty rok! Już umie cały pacierz, nasz polski, nasz katolicki pacierz! Jasio ma na imię! Mało przy nim nie umarłam! Był ochrzczone zaraz po urodzeniu! Przecież go zapisali, żyją jeszcze kumy, wszyscy wiedzą! Zlitujcie się nade mną! Wzięli mi męża, matka skończyła pod batami, w chałupie niema ani skibki chleba, zostało mi tylko to jedyne dzieciątko! A teraz mi je zabierają! Zostanę sama jedna na świecie! Przecież tak samo mam plecy niezagojone, przecież, jak i drugie, broniłam i nie dałam! Czy to już koniec świata! Czy

to już niema Boga i sprawiedliwości! To niech mnie już dotłuką, jak psa, byle tylko dziecka nie gubili! Ludzie! Ratujcie! Ratujcie!

Wszyscy płakali, słuchając tych straszliwych lamentacyj, rzesiste łzy broczyły po zoranych cierpieniami twarzach, szlochy rozrywały serca, i jak ten deszcz, trzepiący w liście drzew, okalających cerkiew, tak smutnie szemrały beznadziejne płacze, żałosne westchnienia i bezsilne jęki.

— Woła mnie! Woła! Słyszycie! — wrzasnęła naraz nieludzkim głosem, rzuciła się naoslep do cerkwi i padła zemdlona.

Odnieśli ją do chałupy i ledwie się docucili.

Świt się już zrobił, i szary, zadeszczony dzień zajrzał w jej oczy, smutkiem wyżarte, gdy, zupełnie oprzytomniawszy, jęła się rozglądać po izbie. Już ani jedna łza nie pociekła po skamieniałych policzkach, ani jedno słowo skargi nie wyrwało się z piersi, ani jedno pytanie nie padło, ale była taka trupio blada i takimi bez dna oczami patrzała, że nikt nie śmiał do niej zagadać, i wkrótce się porozchodzili.

Pozastawiała drzwi powybijane i okna sprzętami, szafami i czem jeno mogła, rozpałała gromnicę przed obrazem Częstochowskiej, uklękła i zaczęła czytać z książki modlitwy za umarłych.

A może w jakąś godzinę, już o dobrym dniu, ktoś zaczął się dobijać do chałupy.

Nie usłyszała, zatopiona w żarliwej modlitwie, dopiero jakieś ciche dziecinne kwilenia poderwały

ją nagle z klęczek. Wyrzała oknem i aż się zatoczyła na ścianę, ale się przemogła i, przypadłszy twarzą do ziemi, modliła się jeszcze goręcej.

— Otwórzcież, przynoszę wam dziecko! — zakrzeczał niecierpliwie jakiś głos za oknem.

— Nie mam już dziecka! — rozległ się grobowy głos matki.

— Tylko bez „szutek!” Odnoszę wam Fiediuszkę, i musicie wyprawić chrzciny!

— Precz! Nie mam dziecka! A jak mi to cudze szczenię wpuścicie do chałupy, to je zatłukę, jak psa! — powiedziała jakimś obłąkańczym głosem, że strażnik posadził dziecko pod ścianą i uciekł.

Szucka modliła się dalej, wołając skrwawionem sercem o litość i miłosierdzie.

Dzień był zimny i wilgotny, deszcz padał i zaczął w okna, czasem wiatr zamiatał drzewami, a pod ścianą w błocie i kałużach gmerało się rozplakane dziecko, macało po drzwiach, usiłowało dosięgnąć okna, i co chwila rozlegał się płaczliwy, słaby głosik:

— Mamol! mamusiul! wpuśćcie Jasia! wpuśćcie!

Szucka, jakby rozpięta na krzyżu męki ludzkiej, umierała z bólu, ale nie otwierała.

Na szczęście, któryś z sąsiadów dosłyszał płacz dziecka i krzyknął do chałupy:

— Bójcież się Boga, przecież dziecko ledwie już zipie!

Wyjrzała oknem, jakby zakłopotana, i z jakimś dziwnym uśmiechem szepnęła:

— Cichocie, dziecko mi co dopiero usnęło...

— Jakże! Co wam się troi po głowie? Przecież... — cofał się przed jej obłąkanym wzrokiem.

Położyła palec na ustach, usiadła przy kołysce i zaczęła kołysać.

Nie pomogły żadne perswazje, ni nawet żalosne kwilenia dziecka, nic już bowiem nie rozumiała, tylko, zapatrzona w pustą kołyskę, poruszała nią troskliwie i nieustannie.

Naszło się więcej ludzi, jeśli się nad nią wyzalać, próbowali nawet ratować, ale nie zwracała na nich uwagi, a tylko kiedy niekiedy prosiła błagalnie i gorąco:

— Cichocie! Śpi mój robaczek najmilejszy, śpi! Cichocie!

Postali, pokiwali nad nią głowami, dziecko zabrał ktoś litościwy i porozchodzili się.

Dziecko w parę dni później umarło.

Powiedzieli jej o tem; uśmiechnęła się i, wyjąwszy z kołyski kukłę, uwitą z gałganów, opowiadała tajemniczo, rozglądając się przytem trwożnie dokoła:

— Wiecie, nie dałam Jasia! I nie oddam! Nie oddam!

Siadła pod ścianą, kukłę przytuliła do piersi i huśtając ją, śpiewała bezprzytomnie:

„Al! a! kotki dwa! Szare, bure obydwaj“.

V.

Jechałem z Brześcia Litewskiego traktem, ciągnącym się na Kodeń, Sławatycze, Włodawę, Sawin do Chełma. Miałem znowu przed sobą parę znojnych dni, a do zrobienia końmi kilkanaście opętanych mil, że musiałem sobie drogę podzielić na etapy. Na pierwszy, do Sławatycz, wiózł mnie dworski furman, stary wyjadacz, bywalec i gadatywus, który kraj okoliczny i ludzi i wszystkie sprawy znał, jak swoje konie, a przez całą drogę zabawiał mnie opowiadaniem.

— Państwo wołają na mnie Iwan — objaśnił, zbierając w garść lejce.

Obsadziłem się w bryczce, bat świsnął i konie poderwały się z miejsca.

— A naprawdę, to mi jest Nikodem, ale także już dworska moda, żeby forszmanom od cugowych było Jan albo Mateusz. Tu nad Bugiem każą być Iwanem! — zaśmiał się, paląc siarczyście z batami i skręcając na szeroką, błotnistą drogę.

Wyjeżdżaliśmy o świcie, przed słońcem, gdy jeszcze cała nizina nadbużańska tonęła w puszystych, białych kożuchach mgieł, a tylko na wschodzie, nad czarnymi chmurami borów, rozsączały się pierwsze, złociste zorze. Na czarnej, wyboistej drodze kałuże siwiły się, niby zmatowane rozszyby. Gdzie niegdzie z pól omglonych wybuchły kępy drzew, jak szare, przemiękłe pióropusze. Surowy, rzeźwy chłód zaciągał od Buga. Ro-

pokrywały ziemię jakby szronem srebrnawym i perlistym. Wsie jeszcze spały; szare, niebielone chałupy zaledwie majaczyły w głębinach rozemgłonych sadów. W niezgłębionej cichości było tylko słyszeć ledwie pochwytny chrzęst zbóż, a niekiedy zabrzączał ściszony bełkot jakiegoś niedojrzanego strumienia.

— Złodziejska godzina! Nawet psy się pospały! — mruknął Iwan.

Byłem niezmiernie senny i pragnąłem się nieco przedrzemać, ale djabelskie podskakiwanie bryczki na wybojach nie pozwalało zasnąć ani na chwilę. Dopiero, kiedyśmy wjechali w piachy, zacząłem się zwolna pograżać w niebiańskie rozkosze snu.

— Boćki jeszcze siedzą po gniazdach, to pewna pogoda! — huknął mi nad uchem Iwan, wskazując biczem na drzewo.

Zakląłem cicho, ale sen przepadł, a on pogadywał coraz żarliwiej:

— Kopy pływają, jak kaczki. Nie będzie lato siana, zgnoi się na nawóz. Nowa bieda dla ludzi! Jakby starych było jeszcze za mało!... Stary, bo weźmiesz po portkach, uważaj! — krzyknął groźnie, przypinając koniom po takim bacie, że poderwały się gwałtownie, a ja tylko jakimś cudem nie wyleciałem z bryczki.

— Zna pan podlaskie strony?

Odwrócił się nieco do mnie. Zobaczyłem krótki, drapieżny profil, suchy, garbaty nos, przycięte wąsy, siwe baczki i małe, wielce ruchliwe oko.

— Znam, ale bardzo mało.

— To musiał pan widywać i tę szlachtę podlaską? Wielka mi szlachta: worek i płachta! — dodał wzgardliwie i, nie czekając mojej odpowiedzi, ciągnął dalej: — To chytry naród! Znam ich dobrze! Służyłem w jednym dworze pod Węgrowem. Tam, panie, po wsiach prawie niema chłopów, a tylko siedzi sama szlachta. Takiemu nieraz palce z butów wyłażą, a każe sobie mówić „panie“. W pięciu mają jedną krowę. A jak pies siądzie na polu takiego dziedzica, to nie ma gdzie podziąć ogona; musi go kłaść aż u sąsiada. Sklepikarze z nich tylko zmyślniejsze, niżli Żydy. A na grosz chciwe, a honorne, a zabijaki, że niech Bóg broni! Ale Polaki dobre i katoliki przykładne. Śmieszne tylko juchy, że aże boki zrywać.

Żebym chciał o nich opowiadać wszystko, to bym nie skończył i do wieczora. A wie pan, jak to taki szlachcic chciał się dostać do nieba?

Nie odezwałem się, poranek bowiem stał się przecudny i gdzieś z oparów nadbużańskich, czy z pól omglonych, nadpływał jakiś śpiew, śpiew nieco ściszony oddaleniem, lecz niezmiernie uroczysty, jakby święty chór tych świtań, zórz i nadchodzącego słońca.

— Co to za śpiewy? słyszycie?

— Pewnie jaka kompanja ciągnie do świętego Onufra,

Śpiew buchał z jakiejś drożyny, ciągnącej się równolegle z naszą drogą, ale wśród zbóż i oparów niepodobna było dojrzeć ludzi.

A świt robił się już opalowy i przesycony zorzami, mgły unosiły się wgórę i z pod nich błyskały smugi porozlewanych wód, czarne, prze miękkie role i pochylone żyta. Drzewa i wsie wyrastały coraz wyraźniej i bliżej. Zawiał pierwszy wiatr, ale tak cichy i pieszczotliwy, że ledwie się poruszały senne, opite rosą kłosa i liście zagme rały bez szelestu. Skowronek zaświergotał, a po nim wnet drugi, trzeci, dziesiąty bił skrzydłami a dzwonił w ciszy swój pacierz poranny. Bociany leciały nisko nad ziemią, gdzieś ku Bugowi. Jakiś tęskny, przeciągły ryk zadrgał w zróżowionem powietrzu. Koguty już zaczynały pisać tu i ówdzie. Dzień się zbliżał i wschodnia strona nieba nabrzmiewała purpurą i świetlistym majestatem jeszcze niedojrzanego słońca.

— Widzę, że i tutaj dużo nowych krzyżów — odezwałem się, wskazując na jakiś świeżo dzwignięty do góry i jeszcze niepomalowany.

— Ady tyle nastawiali, że, gdyby człowiek zważał na nie, to musiałby chodzić z czapką w garści — odburknął jakoś niechętnie.

— Nic dziwnego, bo dawniej nawet przewalonych nie było wolno podnieść.

— Dużo im przyjdzie z nowych! Tylko drzewa namarnują!...

— Przecież i prawosławni swoje stawiają...

— Jak im naczelnik przykaże i dobrze zapłaci, to stawiają! — warknął złośliwie, osadzając konie na miejscu, gdyż nagle wychyliła się ze zboż kompanja i wchodziła na naszą drogę.

Na przedzie jaśniał złocisty, ośmioramienny krzyż, a za nim cisnęło się kilkadziesiąt starych bab i wyrostków. Przyklękli na chwilę przed krzyżem, i ktoś zaintonował, czystym, donośnym głosem:

Kiedy ranne wstają zorze...

Tłum ruszył i zawtórował pełną piersią, aż pieśń podniosła się nad pola nieobjęte i biła ku wschodzącemu słońcu:

Tobie ziemia, Tobie morze...

Śpiewali po polsku; słyszałem każde słowo, a nie mogłem uwierzyć.

Jechaliśmy tuż za nimi, wolno, bo mój lwan również zaśpiewał:

Tobie śpiewa żywot wszelki,
Bądź pochwalon, Boże wielki.

— A skąd kompanja? — spytałem chłopca, idącego obok mojej bryczki.

— My, panie, z Olszanki — odpowiedział przeciągle, czystą polszczyzną.

— A gdzież to dzisiaj odpust?

— W Jabłeczynskim monasterze, praznik świętego Onufrego.

— To kompanja prawosławna?

— Prawosławna, panie.

— Prawosławna i śpiewa po polsku? — Nie mogłem się połapać.

— A po jakimuż mają śpiewać? Przecież po moskalewsku nie poradzą odmówić nawet pacierza — podniósł na mnie zdumione oczy. Ja również patrzyłem w niego, zdziwiony tem niespodzianem wyjaśnieniem.

— Siadajcie, podwiozę was kawałek drogi.

Wgramolił się na bryczkę, pochwaliwszy Boga polskim obyczajem.

Zaczęliśmy pogadywać o tem i owem; chłop był chytry, odpowiadał wymijająco i sam mnie ostrożnie wybadywał, ale wkońcu rozgadał się dosyć szczerze.

— Jak odłączyć Chełmszczyznę, to wam zabronią mówić po polsku...

— Musieliby strażników stawiać w każdej chałupie. — Machnął lekceważąco ręką. A po jakimu to mamy mówić? Dawniej, jeszcze za Unji, to po wsiach gadali po naszymu, po chłopsku, ale teraz już mało kto rozumie, chyba starzy. Młodzi się nawet tego wstydzą.

— Ale podpisywaliście się za odłączeniem Chełmszczyzny?

— Podpisałem się, panie, bo mi kazali. Zwołali nas do popa i wytłumaczyli, że, jak odbiorą Chełmszczyznę od Polski, to wszystkie pańskie ziemie darmo rozdadzą między prawosławnych.

— Obiecanki cacanki, a głupiemu radość — rzucił Iwan.

— Najwięksi urzędnicy obiecali, to może i dadzą...

— Dostaniecie tyle, że wam sam djabeł z pleców nie odbierze. Pamiętacie, jak to brali oporni?— dogadywał Iwan.

Chłop milczał długą chwilę, a wkońcu rzekł najspokojniej:

— A jak nam ziemi nie dadzą, to się wszyscy przepiszymy na katolików.

Oniemiałem ze zdumienia, lecz Iwan zaczął się głośno śmiać.

— Nie mówię na śmiech — zgromił go tamten surowo i ciągnął bardzo poważnie i z przekonaniem: — Ten sam Pan Bóg jest w kościele, co i w cerkwi. Ale w kościele jakoś milej, bo i nabożeństwo ładniejsze, i pośpiewać można, i muzyka gra, i z procesjami chodzą, i ksiądz czasem na kazaniu powie tak prosto do serca, że człowiek się wypłaczę, i zaraz mu ulży. Już mi nawet dzieci grożą, że, jak tylko dorosną, to się zaraz przepiszą. Przecież wszystkie dziewczyny i chłopaki z całej wsi co niedziela latają do kościoła. Do cerkwi to ich nawet kijem nie napędzi. Bo jedna wiara powinna być dla wszystkich; a przez to, że jeden dom katolicki, a drugi prawosławny, to po wsiach tylko ciągle kłótnie, gniewy i obraza boska i zgorszenie. Nawet Żydy się wyśmiewają, że w każdej chałupie innego dnia święto.

— To czemu się nie przepisiecie na katolika? — spytał go Iwan.

— A jakby nam ziemię rozdali?

— To nie wiecie, co w Hrubieszowie powiedział chłopom wasz biskup?

— Coś mi tam mówili, ale nie pamiętam co.

— Przyszli się upominać o grunta, obiecane przy podpisaniu, to im rzekł; „Ziemia nie guma, to jej dla was nie rozciągnę“.

— I naprawdę tak powiedział? — pytał ścisłym, trwożnym głosem.

— Słyszało więcej, niż sto ludzi. I powiedział prawdę. Cudzego przecie nie weźmie, nie da, a wam nie odda!

Dosyć długo mu o tem wykladał, aż chłop sposepniał, twarz mu się poredliła brózdami troski, oczy przygasły, i wkońcu skinął mi głową, wyskoczył na ziemię i powlókł się na samym końcu kompanji, srodze zadumany.

Wyminęliśmy kompanję tak wolno, że miałem czas ją przeliczyć: ogółem szło trzydzieści osiem osób.

— Jakoś niewiele ciągnie na praznik — zauważyłem.

— Bo teraz już nie płacą za „bohomolje“ po praznikach i cudownych miejscach, to się ludziom niesporo wybierać na własny koszt! — zaśmiał się Iwan, popędzając konie. Ale, dojrzawszy moje niedowierzanie, dodał cynicznie:

— Sam dawniej brałem strawne za takie spacery. Wychodziłem się nie mało! Byłem z „bohomolcami“ w Poczajowie i w Ławrze kijowskiej, i w Leśnej, i w Radecznicy, wszędzie, gdzie mi kazali.

Leciałem z ochotą, bo wyżerka po monastarach była za darmo i gorzałki, wiele tylko dusza chrześcijańska wytrzymała. Ale teraz zmądrzeli, już pieniędzy nie dają, to i „bohomolców“ z naszych stron coraz mniej.

— To wyście prawosławni?

— Przecież każdemu są miłe własne kości. Napatrzyłem się przy zniesieniu Unji tyle, że mi wystarczy do sądnego dnia. Widziałem, panie, jak całe wsie pławiły się pod batami we krwi; widziałem, jak marli ludzie pod pratulińskim kościołem; widziałem, jak setkami wlekli do więzień i wyganiali we świat. Przecież i moja wieś się opierała i brała nahaje, to i ja brałem swoją część i wraz z drugimi poszedłem do więzienia. Młody jeszcze byłem, skórę miałem łaskotliwą i, mówiąc naprawdę, to mi pod batami tak już obmierzły wszystkie wiary, że jakby mi byli kazali zostać żydem, to byłbym tak samo został, jak i prawosławnym. Nie moja głowa wybierać, co lepsze.

Opierałem się tylko dla matki, bo mnie wciąż zaklinała na wszystkie świętości. Popędzili mnie do Białej. Siedziałem ze trzy miesiące. Z początku było mi niezgorzej: jeść dawali, było ciepło i roboty żadnej. Ale się wciąż opierał i mówi-

łem: nie i nie! Przesadzili mnie na osobność i dali funt chleba na dzień. Wytrzymałem. Cóż tam głód dla chłopca: rodzona matka, nie macocha! Ale wkońcu wzięli się na sposób i zaczęli mnie żywić kaszą ze starem sadłem. Tego, panie, nie mogłem już przetrzymać. W pieklebym wytrzymał, ale tej kaszy nie poradziłem! Po tygodniu zgodziłem się na wszystko, co tylko chcieli. Aże mnie mgli na samo przypomnienie. Na stare sadło złowili sobie duszę...

Gruchnął takim złym i cynicznym śmiechem, aż mnie przeszedł zimny dreszcz. Spojrzałem na niego z pewną przykrością i żalem.

— A później przejrzałem wszystko nawylot i teraz wiem, że jedni i i drudzy tak samo djabła warcił — zaczął gniewnie i opryskliwie. — Każdy chłopca ciągnie na swoją stronę, bo każdy tylko z chłopca żyje. Może nieprawda?

Nie odpowiedziałem. Milczał czas jakiś, konie popędzął i znowu się odwrócił do mnie:

— Żeby się im nie przytrafiło, jak tym babom, co się kłóciły o psa i dalejże go sobie wydzierać, aż się psu sprzykrzyła ta zabawa jego skórą... i pogryzł obie.

VI.

Nie pamiętam już, gdzie zauważyłem po raz pierwszy krzyż, postawiony w czystym polu, ale pamiętam, że stał samotnie wśród zbóż rozkołysa-

nych i otwierał białe ramiona, jakby chcąc przygarnąć w miłosiernym uścisku pocieszenia całą tę ziemię nieszczęsną. Myślałem, że to mogiła samobójcy, lecz później, w dalszej wędrówce po Chełmszczyźnie, zobaczyłem jeszcze więcej takich samotnie stojących, krzyżów; dźwigały się po miedzach, w lasach, w głuchych pustkach i nad rzekami, w gęstwinach wiklin i olch, a zawsze zdala od ludzkich siedzib i dróg wszelakich.

Dziwiło mnie głównie to, że wszystkie były nowe i jakby w jednym czasie postawione, ale tak się złożyło, iż dopiero w okolicach Chełma spytałem się o ich znaczenie.

Chłop, który mnie wiozł, spochmurniał nagle, rozejrzał się nieufnie, chociaż jechaliśmy pustą drogą, i odrzekł cicho:

— To mogiły „najoporniejszych”. Wieczny odpoczynek daj im, Panie!

Westchnął i jakby się pograżył w smutne rozpamiętywania. Nie śmiałem przerywać modlitewnego nastroju i milczenia.

Upał tego dnia był nie do wytrzymania. Niebo wisiało białawą, rozpaloną blachą, i słońce lało takim warem, że konie ledwo się już wlokły, a rozprażona cisza pól ogarniała niezmożoną sennością. Cały świat omdlewał w słonecznej poździe. Kłosa zbóż ciężko zwisały nad drogami; samotne drzewa, opłynięte białawym, rozedrganym skwarem, stały podobne do płomienistych wybuchów; nawet cienie leżały pokurczone, niby liście, powiędłe z żaru.

Rozżarzone, migotliwe światło wyżerało oczy, kurz zapierał piersi, oddychało się duszącą spiekotą, parzyła ziemia, parzyło powietrze, parzyło wszystko. Drogi leżały puste i wyschnięte, na polach nie ujrzał ani żywej duszy: lipcowe popołudnie spędziło wszystkich pod strzechy. Zamilkły ptaki, nawet skowronki nie dzwoniły, a tylko czasem przeleciała nisko nad ziemią wrona z rozziajanym dziobem, gdzieś w żytnich puszczech zawołała przepiórka, lub furknęły młode kuropatwy.

— Daleko jeszcze mamy do Chełma?

Nie mogłem już znieść milczenia.

— Niedaleko — ocknął się prawdopodobnie. — Zdążymy ze słońcem.

Na szczęście, wjeżdżaliśmy w jakiś las gęsto podszyty, i w rowie załśniła woda, do której konie same skwapliwie skręciły.

— A możebyśmy przeczekali upał? — proponowałem, ledwie już żywy.

— Dobrze. Konie wytchną, i człowiek rozprostuje gnaty.

Bór nas skrył cieniem i chłodem, z głębin biły wilgotnawe powiewy, przesycone żywicą i słoneczną zgnilizną. Wyciągnąłem się na trawie z rozkoszą. Chłop rzucił koniom siana, usiadł przy mnie, fajkę zapalił i zaczął mówić szeptem, jakby do siebie:

— Tam leżą tacy, którzy nawet po śmierci jeszcze „uporstwiają“. Tak, panie — ożywił się nagle i podniósł głos. — Przecież te straszne lata

to człowiek musiał się obywać bez chrztów, bez kościoła i bez ślubów, a jak umierał, to i bez chrześcijańskiego pogrzebu. Nie było wolno się nam rodzić, ani umierać. A kto nie chciał iść do grobu w asyście popa i strażników, tego się grzebało pokryjomu, nocami, a często i w niepoświęcanej ziemi, jak zapowietrzonego. Sypały się potem na nas kary, sypały. Człowiek przecież nie mógł przepaść bez śladu, trzeba było zrobić w kancelarji akt zejścia, to pisarz zaraz pytał: — Gdzie nieboszyk pochowany? — W ziemi. — Ale który pop go chował i w jakiej parafji? — W ziemi. Przecież cały świat jedna boża parafja. — Często, gęsto oberwało się przytem pięścią, ale człowiek musiał powtarzać tylko to jedno: W ziemi. Bo i prawdę powtarzał. Strażnicy potem latali, jak wściekli, wyszukując trupa po cmentarzach, a znaleźli, to pochowali po raz drugi, ale po swojemu. I mnie spotkało takie nieszczęście. Straciłem był chłopca. Miał już na piąty rok. Zmarnował się na krosty. Pochowałem go, jak się wszystkich naszych chowało, w głuchą noc i kryjomo; a chociaż mogiłkę zrównałem z ziemią i założyłem darnią, strażnicy ją wywachali, rozkopali grób i trumienkę wyciągnęli; pop ją pogrzebał po raz drugi, na innem miejscu i z wielkimi ceremonjami.

Napróżno moja żona broniła dziecka—nie przemogła. Jeszcześmy potem zapłacili sztraf i w kozie siedzieli. A nie tak dawno, bo z dziesięć lat temu, przyszła na mnie nowa bieda. Umarł mi zięć.

Twardy to był Polak i gorliwy katolik, dopomagał też „opornym“, jak tylko potrafił, księży przewoził i książeczki po wsiach roznosił, nawet do Rzymu jeździł ze starym Błyskoszem. Przeziębził się na misjach i do trzeciego dnia już był gotowy. Ale ostatnim tchem prosił, żeby go po śmierci nie wydać popu. Sprawa była ciężka: znali go dobrze strażnicy i wciąż za nim śledzili, tylko, że się im zawsze wyślizgiwał z pazurów, jak piskorz. Więc skoro gruchnęło po wsi o jego chorobie, starszy zamówił się do nas, nibyto w jakimś interesie. Zaraz zmiarkowałem, że chce zobaczyć, czy chory długo pociągnie. Nie dałem tego poznać po sobie, ale chory, chociaż ledwie o bożym świecie wiedział, zakrzyczał:

— Twój brodacz jeszcze mnie nie pochował!
Jeszcze wyzdrowieję!

Starszy odszedł i na drugi dzień znowu przyszedł, a że chory już był nieprzytomny, to zaglądał do chałupy co parę godzin i czyhał na niego, jak djabeł na dobrą duszę. Trzeciego dnia, jakoś o zmierzchu, zmarło się choremu. Zatailiśmy śmierć nawet przed najbliższymi sąsiadami. Pozasłaniałem okna, i chociaż wśród płaczów i narzekania, a trzeba było pomyśleć, co dalej robić, boć do trzeciego dnia nie mogliśmy zwlekać z pogrzebem. Baliśmy się, że strażnik przyjdzie rano i nieboszczyka już nam ze swoich garści nie popuści. Rada w radę, postanowiliśmy pochować go jeszcze tej nocy; niesposób było ryzykować ani jeden dzień.

Na szczęście, noc była chmurna, i padał drobny, gęsty deszcz; kobiety przybrały nieboszczyka, ja zbiłem bylejaką trumnę, i zaraz po północy powieźliśmy go polami do lasu, w takie miejsce, że ani się mógł kto domyślić. Co tam przytem było płaczu i lamentów, to już lepiej nie wspominać... Wróciliśmy o samym świcie, i tylko co głowę przyłożyłem do poduszki, aż tu przylatuje mój najstarszy i powiada:

— Od naszej stodoły, przez pola i do samego lasu, znać, jakeśmy w nocy jechali. Jak trafia na te ślady, to i grób znajdują.

Co tu robić? Myślałem, że mnie krew zaleje. Przecież takich śladów nie zatrze napoczekaniu. Było to na wiosnę, grunt był spulchniony pod zasiew, że miejscami koła zarzynały się po osie... Medytujemy, co począć, gdy któreś z dzieci krzyknęło:

— Strażnik na wsi! Pewnie idzie do nas.

— Jezus Marja! Wszystko się wyda i wykopią go, jak Jasia!

Ale Pan Bóg mnie oświecił i natchnął Duchem Świętym: kazałem synowi położyć się do łóżka po nieboszczyku, kobiety obwiązały mu głowę mokremi szmatami, przykryły go pierzyną, i wdowa usiadła przy nim, nie powstrzymując już tych łez rzewliwych, jakie wylewała po mężu, i tych wzdychań bolesnych.

Starszy wszedł i zaraz od progu pyta o chorego zdrowie.

— W Bogu nadzieja, że może jeszcze wyzdrowieje — powiedziałem.

Popatrzył na nas, przeżegnał się i wyszedł.

A po południu zjawił się pop, aby go przyposobić na śmierć. Wdowa zagroziła mu sobą drogę i gębę wywarła. Nie uląkł się jednak kobiczych natrząsań, był już nawykły do takich przyjęć. Ale jakem powiedział, że zięć choruje na ospę, przybladł i wyniósł się, jak niepyszny: miał przecie ośmioro drobiazgu. Tylko strażnik zaglądał do nas przez cały tydzień i niczego się nie domyślił. Dopiero, kiedy deszcze rozmyły owe ślady, że i djabeł nicby po nich nie wytropił, dowiedział się o wszystkim. Dziw, że się nie wściekł ze złości! Szukał też dniami i nocami, ale złapże ten wiatr w polu... Odsiedziałem za tę sztukę parę tygodni. Cóż robić, panie, kiedy sami zmuszali nas do cygaństwa. Żyliśmy pod ziemią, jak krety, to i po kreciemu trzeba się było bronić. Mój Boże, ileż to razy człowiek wędrował o kilkanaście mil do kościoła, i z przed samego ołtarza strażnik go wyciągał za łeb i prowadził do kozy na inne, dłuższe pacierze. A często i sami księża odpędzali nas od kościołów, jak oparszywiałe psy, bali się bowiem „opornych“ gorzej, niżli śmiertelnego grzechu — zakończył, żegnając się, jakby na odpędzenie ciężkich przypomnień.

Kiedy się nieco ochłodziło na świecie, ruszyliśmy dalej, a on zaczął mi szczegółowo opowiadać przesmutne dzieje swojej parafji. Mówił cicho, mo-

notonnie i bez żalu, jakby powiadał zwykle codzienne sprawy, które musiały przyjść i które człowiek musi przenieść. A ja słuchałem z zapartym tchem, pełen zgrozy, bólu i zdumienia. Chwilami zdawało mi się, że słyszę jakąś straszną tragedję, pełną łez, jęków, bezbronnych ofiar i nadludzkich hohaterstw. Ale nie, to była prawda i rzeczywistość, jak prawdą był ten dzień upalny, ta droga, dudniąca pod kołami, i ten stary, pochyły chłop — to była okrutna prawda o przeszłości tego męczeńskiego ludu „opornych“. Nie mogę opisywać wszystkiego, bo musiałbym rozsnuwać dzieje każdego człowieka, każdej chałupy i każdej grudki ziemi, przesiąkłej krwią i łzami. Przytoczę tylko jeden fakt niezmiernie charakterystyczny i typowy.

W roku 1883, w początkach lutego, umarła w Janowie Podlaskim niejaka Agnieszka Semeniuk, jak wszyscy „oporni“, gorliwa katoliczka. Przed śmiercią zakłęła na wszystkie świętości rodzinę i swoich najbliższych, żeby ją pogrzebali chociażby w dole po kartoflach, byle tylko po katolicku. A sprawa była niełatwa, gdyż cmentarze w tym czasie były już srogo pilnowane, zwłaszcza nocami, żeby przeszkodzić tajnym pogrzebom „opornych“. Wzięli się więc na sposób i postanowili ją pochować w biały dzień, kiedy cmentarz był najmniej strzeżony.

Jakoż trzeciego dnia zebrało się przy zmarłej kilkanaście kobiet, wzięły trumnę pomiędzy siebie na prześcieradła i ruszyły boczniemi uliczkami ku

cmentarzowi. Szły cicho, bez śpiewu, jak lękliwe, czarne cienie, ale i tak je dojrzał jakiś „duszogub“ i dał znać policji. Zastąpiło im wnet drogę paru strażników i zawrzała krótka walka, bo kobiet było więcej; rozpędziły napastników i poszły śpiesznie dalej.

Rozległy się świsty, nawoływania i tętenty, a zanim zdążyły do grobu, rzuciła się na nie cała zgraja z dobytymi szablami. Jedne kobiety zwarły się w krąg trumny, drugie się aż na niej pokładły i broniły nieboszczki zębami i pazurami. Wrzask rozniósł się po całym mieście, naleciało się ludzi, a bójka toczyła się coraz zawzięciej; trumna przechodziła z rąk do rąk i wkońcu, przy wydzieraniu jej sobie, padła na bruk, rozbita, i nieboszczka wyleciała w śnieg. Krzyk gruchnął niebosiężny, podniosły się straszne płacze i szlochy, czem rozsrożone jeszcze bardziej kobiety rzuciły się na strażników z taką furją, że po chwili zrobiła się jedna olbrzymia kupa ciał, tarzających się po ulicy z dzikim wrzaskiem nienawiści.

Skorzystały z tego jakieś rozważniejsze, porwały trupa i owinąwszy go w chusty, pozdzierane z własnych pleców, zaczęły z nim uciekać, ale już nie zdążyły. Nadbiegło bowiem jeszcze więcej strażników ze starszym na czele, trupa odebrali, a włożywszy go do trumny, kobiety rozpędzili na cztery wiatry. Musiały ustąpić przed siłą, tylko, widząc, że sprawa przegrana, wybuchły strasznym rykiem i przekleństwami.

Na placu została tylko trumna i strażnicy, nie wiedząc, co z nią zrobić, gdyż do cerkwi było daleko, a nikomu nie chciało się jej nieść.

Nadjechał na to jakiś chłop. Kazali mu trumnę wieźć, ale chłop zmiarkował, o co idzie, zaciął konia i uciekł.

I nikt w całym mieście, pomimo próśb i grózb, nie chciał dać koni, a trumna, powiązana sznurami, wciąż czekała na środku ulicy.

Wreszcie o zmierzchu, przyjechał z Błonia jeden z gospodarzy, dopiero tego przymusili, że zawiózł nieboszczkę do cerkwi.

Nazajutrz za pogrzebem poszedł tylko pop, djak i wszyscy, jacy byli w mieście, strażnicy, a z każdego domu popłynęły za nim ciche, żałosne płacze i wyrzekania.

VII.

Noc zapadła mętna i nieco burzliwa. Wiatr ze świstem zamiatał drogi, bijąc tumanami kurzawy, po ołowianem niebie przewalały się długie warkocze grzmotów, i co chwila latały oślepiające błyskawice, w których było widać, jak się szarpały przydrożne drzewa i rozkolebane, spienione zboża. Burza mogła wybuchnąć lada chwila.

— Może przejdzie bokiem, a może nas i zleje — pocieszał nas furman, pokrzykując na konie, bo wlokły się noga za nogą; droga bowiem była

ciężka, wyboista i pełna kamieni, a z obu stron ciągnęły się głębokie rowy, przyczajone w ciemnościach. Już od zmierzchu jechaliśmy tak wolno i na chybił trafił, więc, dojrzawszy przemykający zarys jakiegoś człowieka, pytam go skwapliwie:

— Którędy do Chełma?

— Szosą na prawo, a potem na lewo.

— A gdzież ta szosa, daleko?

Człowiek rozwiął się jak cień. Bądźże teraz mądry i szukaj wiatru w polu, kiedy obaj z woźnicą nie znaleźliśmy drogi.

— Po dniu, to trafiłbym i do piekła — mruzczał furman.

— A mówiliście, że drogę znacie.

— Przecież nieraz woziłem do Chełma starego pana, tylko z innej strony.

Jechaliśmy dalej zupełnie poomacku, kierując się tylko jękiem drutów telegraficznych nad naszymi głowami. Noc stawała się coraz bnrzliwsza i mętniejsza, drogi opustoszały, i pó wsiach nie było już ani śladu, jakby przepadły w nieprzeniknionych ciemnościach.

— Tylko za moich czasów nie było jeszcze szosy — odezwał się po chwili.

— A dawno jechaliście ostatni raz do Chełma?

— Będzie chyba ze czterdzieści roków, jeszcze w powstanie.

Dałem już spokój indagacjom, bo szosa zadudniła pod kołami, a konie raptem przystanęły.

— Zgadnij teraz, zgadula, gdzie złota kula?—
biedził się zakłopotany.

— Szosą na prawo, a potem na lewo — przypomniałem.

Konie ruszyły z kopyta. Gdzieś przed nami zamajaczyły jakieś światelka, i daleko, daleko leciał przeszywający świst parowozu.

— A potem już nie przyjeżdżałem, bo mnie z moim panem popędzili aż za Bajkał, to człowiek i zapomniał drogę — usprawiedliwiał się znowu.

Mijaliśmy długie wzgórza, pokryte lasem, gdy naraz doleciał nas rozpaczliwy skowyt psów i straszliwy zapach padliny.

— Hycle pachną, to i Chełm musi być niedaleko — zauważył.

— Popędzajcie! — krzyknąłem, gdyż smród był nie do wytrzymania.

— Jedziemy pod wiatr — tłumaczył flegmatycznie — przecież pod każdym miastem są takie hycłowskie osady, ale żeby tu pozwolili tak przy samej szosie — dziwił się głośno i podcinał konie dla pośpiechu.

Przedostawszy się przez tę zapowietrzoną strefę, skręciliśmy na lewo, w szeroką ulicę, obstawioną małymi, niskimi domami, nad którymi majaczyły baniaste kopuły. Wkrótce droga zaczęła się zwolna podnosić, i przybywało coraz więcej świateł, że już cała droga roiała się niemi, jakby pokryta mrowiem świętojańskich robaczków.

Chełm był tuż przede mną, platanina domów, ogrodów i cerkwi, osypana błyszczącą rosą światel, piętrzyła się na tle nieba czarnemi, groźnemi konturami.

Przez parę tygodni zrzędu, a tak złowrogo brzmiała mi w uszach nazwa tego miasta, że wjeżdżałem do niego z uczuciem dziwnego niepokoju i obawy. Są bowiem „złe miasta“, które, jak i źli ludzie, rozciągają dokoła siebie atmosferę niewytłumaczonej trwogi. Takiem „złym miastem“ wydał mi się Chełm.

Dlaczego lud w swoich podaniach i wierzeniach zawsze zaludnia szczyty gór djabłami i czarownicami? Leży w tem jakiś głęboki symbol niezbadanej prawdy. A Chełm rozłożył się na dosyć wyniosłym wzgórzu, panującym nad rozległą okolicą. I jakby na stwierdzenie wierzeń, gnieździ się na tej górze jakieś „zło“, które już od wielu, wielu lat posiewa dokoła zatrute ziarna nienawiści, krzywdy i nieszczęścia, a ten posiew wschodzi, plonuje i rozlewa się całem morzem łez, krwi i cierpienia.

Było już dosyć późno, i z racji piątku cały Chełm pachniał szabasowemi specjałami. Ulice były puste, sklepy pozamykane, a tylko tu i ówdzie poza rozjarzonymi szybami kiwały się stare, pobożne głowy.

Nazajutrz od samego rana wyszedłem na miasto.

Po nocnej burzy nie było już ani śladu, pogoda zrobiła się wspaniała, błębit nieba lśnił nie-

pokalany, kopuły cerkwi głały w słońcu barwami złotemi, a z poł zawiewał wietrzyk, pachnący skoszoną koniczywą. Ale samo miasto, pomimo prześlicznego położenia, jest brzydkie, ładajako zabudowane, straszliwie brudne i literalnie zapchane żydowskimi kramikami: ot, zwykła nasza powiatówka, składająca się z jednej dosyć szerokiej ulicy, która się ciągnie grzbietem wzgórza do stóp katedry, i z kilkudziesięciu zaułków, rozrzuconych bezładnie po stromych zboczach. Imponująca jest tylko liczba cerkwi, ich ogrom i wspaniałość; naturalnie, że wszystkie są świetnie wyposażone i stoją pustkami, gdyż prawosławnych nie starczy na wypełnienie chociażby jednej. Zato kościół katolicki, liczący przeszło piętnaście tysięcy parafjan, nie może pomieścić swoich wiernych nawet zwykłego dnia na mszy. Ale taka już nasza dola: „Jednemu sztydło goli, a drugiemu i brzytwa nie chce“, mówi przysłowie.

Dawna katedra unicka, przerobiona po zniesieniu Unji na sobór prawosławny, dominuje nad miastem, wznosi się na szczycie góry, a obok niej wyrosła nowa, wysoka dzwonnica.

Na szerokich, kamiennych schodach, prowadzących od strony miasta na górę katedralną, siedział cały rząd niezmiernie charakterystycznych dziadów, i zaledwie postawiłem nogę na stopniach, gdy opadło mnie stado jastrzębich spojrzeń, kilkadziesiąt rąk wyciągnęło się do mnie i schrypnięte, jęgliwe głosy jakby automatycznie zaintonowały

błagalny chór, zaklinający na Częstochowską, Ostrobramską i Kodeńską, abym się ulitował nad nieszczęśnikami.

Zebrali taką dobrą polszczyzną, że odszedłem o parę złotych uboższy. Przystanąłem na szczycie schodów, olśniony przepięknym widokiem, jaki się stamtąd roztacza na niezmierną przestrzeń pól, po-falowanych wzgórzami, pełnych drzew, wiosek, czarnych plam lasów, krętych strumieni, połyskujących w słońcu, i ptasiego świegothu, kiedy dziadowski śpiew znowu mi zajęczał w uszach.

Po schodach szedł jakiś oficer z damami, a wyciągnięte ręce zabiegły im drogę i prośbny chór znowu zaklinał, tylko że już w innym języku i na inne świętości, bo na Kazańską, na Pocajowską, na św. Mikołaja i na wiele takich imion, które usłyszałem po raz pierwszy w życiu. Musieli być szczerze opatrzeni, gdyż jeszcze długo słali błogosławieństwa i dziękczynienia.

Nie czekając już na więcej dowodów tej mądrej dziadowskiej polityki, poszedłem do soboru. Trafiłem jednak nieszczęśliwie, gdyż z powodu odnawiania główny ołtarz i wszystkie wspanialsze ikony były pozasłaniane. Główną nawę wypełniały rusztowania, farba przyskała na wszystkie strony, a gdzieś z pod sufitu rozlegała się „ojra“, zapamiętałe wygwizdywana. W bocznych nawach, cichych i mrocznych, również nie było nikogo.

— Czy tutaj zawsze tak pusto? — pytam jakiegoś robotnika.

— Jak napędzą, to i goście są — odpowiedział, zajrzał mi w oczy i cofnął się w głąb soboru.

Wyszedłem na plac zalany słońcem i oślepiającą białością murów. Nie było nigdzie widać ani żywej duszy, a mimo usilnych poszukiwań po przyległym parku, nie znalazłem nigdzie ani śladu tych pobożnych tłumów, jakie, wedle zapewnień „istotnych”, mają wciąż, dniami i nocami, płynąć do soboru z całej Chełmszczyzny.

Wstąpiłem do Muzeum, które, jak i wszystkie gmachy, otaczające sobór, jest bardzo czyste, bardzo monotonne, bardzo starannie utrzymane i w bardzo „kazionnym” stylu wzniesione. Muzeum składa się z kilku niewielkich pokojów i jednej ogromnej sali, przeznaczonej na zebrania „Bractwa”. Na jednej ze ścian wiszą w parę rzędów portrety dawnych biskupów i metropolitów unickich, owi Pocieje, Terleccy i Rutscy, twórcy Unji, jej dobrodzieje, obrońcy i męczennicy, a z przeciwnej strony czernią się surowe, fanatyczne głowy współczesnych pasterzy, ze sławetnym Eulogjuszem na końcu. Dwa światy patrzą na siebie niememi oczyma, dwie kultury i dwie przepaści, niczem i nigdy niezasypane.

W rogu sali wisi obraz cudownej Matki Boskiej Chełmskiej z XVII wieku, przez wieki czczonej na Unji, ale obecnie zdegradowanej i wyrzuconej z soboru, prawdopodobnie dlatego, że jest namalowana i ubrana nie po formie. Miejscowy „Chołmskij narodnyj kalendar” za rok 1909 tak

mówi o pewnym szczególe tego obrazu: „koło prawego ramienia Matki Boskiej, na sukni wisi order Orła Białego, który z głupoty (po nierazumieniu) zawiesił polski król Jan Kazimierz, wygrawszy bitwę pod Beresteczkiem”.

Gdzie Rzym, gdzie Krym! Gdzie Beresteczko, a gdzie czasy „Orła Białego”?

Nie jest to jedyny kwiatek „uczoności” autora, gdyż na następnych stronicach tego samego artykułu używa sobie jeszcze lepiej i wylewa całe morze fałszów i kłamstw na dawnych biskupów unickich, a zwłaszcza Pocieja traktuje, jako ostatniego szubrawca i złodziejaską, który okradał cerkwie prawosławne i pastwił się nad duchowieństwem i „więcej był rozbójnikiem, niż metropolitą”. W takim tonie „istinnej” prawdy trzymany jest cały kalendarz, i taką samą zawierają te setki broszur, wydawanych przez „Bractwo” i celowo rozrzuconych w dziesiątkach tysięcy pomiędzy ludem. Polskość i katolicyzm to owa czerwona płachta, na której wspomnienie ogarnia „istinnych” karjerowiczów chełmskich taki paroksyzm wściekliwości, że wtedy wyrzucają z siebie stek kłamstw, denuncjacyj, oszczerstw i gróźb. Bredzą już nieprzytomnie, jakby zatruci własnym jadem nienawiści. Doprawdy, że budzą mimowolne politowanie.

W pozostałych paru pokoikach „Muzeum” zgromadzono to, co się tylko dało zebrać z dawnych kościołów unickich, a co jeszcze jakimś cudem ocalało z grabieży zniszczenia. Tłoczą się więc

jakieś połamane szczątki rzeźb, złociste feretrony, portrety kolatorów, sygnaturki, święci w mnisich szatach, zmartwychwstające Chrystusy, Matki Boskie, chorągwie, drewniane anioły z rozpostartymi skrzydłami, monstrancje, krzyże, kielichy, mszały i różne aparaty kościelne — wszystko gwałtem spędzone z różnych stron, odrapane, zabrudzone, ponadłamywane i kalekie, zalega bezładną ciżbą ściany, podłogi, gablotki, szafy i ciśnie się tłumem sierocym a żalosnym do zakratowanych okien i, uwięzione na wieki w tych białych, zimnych murach, zda się trwożliwie nadśłuchiwać wichrów, niosących echa dalekich pól, wiosek i chat.

Już słońce zachodziło, gdy się znowu znalazłem na głównej ulicy Chełma.

Szedłem środkiem ulicy, gdyż trotuary były wprost zatłoczone szabasową publicznością, płynącą czarną, rozszwargotaną i nieustannie wzbierającą rzeką, która stawiała się coraz bełkotliwszą i rozlewała się coraz szerzej, że tylko niekiedy mignęła gdzieś urzędnicza czapka, zabrzączał pałasz oficerski, lub przemykał trwoźnie, nad samym rynsztokiem, jakiś zwykły, cywilny aryjczyk.

— A gdzież są Rosjanie w tem odwiecznie rosyjskiem mieście? — pytałem znajomego.

— Mamy wszystkiego coś z pięć rodzin rosyjskich, naturalnie, prócz urzędników, ale niech pan poczeka: jak Chełm zostanie awansowany na gubernjalne miasto, to przybędzie ich tutaj znacznie więcej — przecież otworzy się tyle nowych posad!

A zresztą i Żydzi się postarają, żeby się tu zmieniło nie do poznania, jestem bowiem pewien, że, jak tylko poczują w tem jaki interes, to sami się przebiorą w tułupy i czerwone rubaszki, zmieniają język, przemalują szyldy, zaprenumerują odpowiednie pisma i zaczną krzyczeć przy każdej sposobności: „mi russkije ludi“, a nas będą tropili gorliwiej i zacieklej, niżli to nawet czynią sami „istinni“. No i dadzą miastu taki charakter, jaki będzie potrzeba.

— Trudno im będzie tak napoczekaniu przerobić Chełm.

— Powierzchnownie zmienić jest bardzo łatwo, pomogą im w tej pracy, i za parę lat Chełm tak będzie wyglądał, jak wyglądać powinien. Miasto niewielkie i ludność bez głosu, to łatwo przecharakteryzować wszystko na styl „kazionny“... Dachy się pozieleni, a ściany skąpią w takiej „malinie“, że będą się czerwieniły, jakby obdarte ze skóry; dorożkarzy wypchają, żeby przypominali kopy siana, zabronią na ulicach mówić po polsku, zniszczy się, co tylko jeszcze przypomina „zgniły zachód“; resztę kościołów poprzerabia się na cerkwie, wyda się nieco broszur, dowodzących naukowo, jako w Chełmie nie powstała ni jedna polska noga, i wkońcu sami uwierzą, że to miasto było i jest czysto rosyjskie. A jak się trafi jeszcze parę żydowskich pogromów i parę grubych „niedoimek“ w kasnaczejstwie, to i czemże się będzie różniło od Homlów lub Berdyczowów? Chyba tylko stanem wzmocnionej ochrony, zaprowadzonej już na stałe.

— Ale cóż im przyjdzie z takiej maskarady?

— Państwu nic, ale tym, co to robią, wszystko, bo order, awanse i nagrody. Zdaleka bowiem będzie robiło wrażenie, że coś robią naprawdę, czegoś bronią i coś tworzą. Przecież tu tylko chodzi o jakiekolwiek pozory do odznaczenia się i zasług.

— Więc pan przypuszcza, że Chełmszczyznę odłączą?

— Jestem tego najzupełniej pewien. Za wielu ludzi ma w tem swój własny interes. Trzeba zdobyć Chełmszczyznę i rzucić ją na pastwę zawsze głodnemu tłustych posad molochowi. A że zato zapłaci chłop ruski czy polski, że zapłaci upadek kultury całego kraju, że popłyną nowe morza łez i nowe krzywdy spadną na miliony, cóżto obchodzi tych wszystkich, dla których jedynym Bogiem jest „czyn“, a istotnem, rzeczywistem świętem każdy 20-ty miesiąc!

Im zawsze będzie dobrze, ciepło i syto.

K O N I E C

W PRUSKIEJ SZKOLE

Wybiła jakaś godzina, nauczyciel skończył lekcję i, oglądając machinalnie książki, przeglądał twarze dzieci zimnem, badającym spojrzeniem.

Uczyniło się trwożne i głębokie wyczekiwanie. Dzieci wyczekiwały bez ruchu, jak zahipnotyzowane, patrząc w niego lękliwie wytrzeszczonymi oczyma.

Na dworze padał deszcz i spływał po szybach perlistemi, nieskończonymi strugami; jakieś bezlistne drzewa dygotały z zimna pod oknami, a naprzeciw szkoły, w błocie i na szarudze, stała gromadka kobiet.

— Still! — huknął naraz nauczyciel, prostując się groźnie.

Był ogromny, ruda broda niby płomieniem obrastała mu tłuste, piegowate policzki, okrągłe, jastrzębie oczy w czerwonych obwódkach zamigotały krwawo po zmartwiałych twarzach, przeżegnał się niedbale i zaczął wolno, automatycznie:

— „Vater unser, der Du bist...”

Przerwał nagle, bo ani jeden głos nie powtórzył za nim, twarze dzieci jakby pokryły się woskiem, tężały zwolna, tylko powieki załopotwały,

niby spłoszone motyle, a oczy rozbłysnęły jakąś dziwną, tajemniczą mocą i patrzyły w niego z uporem, nieulekłe... Pochylił się ku nim i rozpoczął znowu.

— „Vater unser, der Du bist...”

I znowu głucho milczenie, w którym było słychać tylko plusk deszczu i cykanie zegara. Dzieci ani się poruszyły, siedziały z zapartym tchem, patrząc w niego tak samo z niemym, upartym wyrazem protestu.

Poczerwieniał, jak burak, i skoczył między ławki, a tknąwszy białą ręką, obrosłą rudym włosem, pierwszego z brzegu chłopaka, krzyknął niecierpliwie:

— Fange doch an!

Chłopak zatrząsł się i pobladł śmiertelnie, ale wyprężając się, zabelkotał:

— Nie będę pacierza mówił po niemiecku!

— Was? was? was? — ryczał rudy, przyginając się coraz niżej, trzasnął go z całej siły w twarz, chwycił za włosy, przywłókł pod katedrę i, okładając pięściami, zawrzeszczał rozwścieklony:

— Du wirst sprechen. Du sollst sprechen! Du, polnisches Schwein!

— Nie będę! Nie będę! — powtarzał chłopak gasnącym głosem i runął omdlały na podłogę. Nauczyciel wyrzucił go do sieni.

Dzieci zamarły z przerażenia i jakby skamieniały, że tylko gdzieś niedługo zatrząsły się jakieś usta pobladłe i wionęło ciche westchnienie.

Nauczyciel położył na katedrę długą trzcinę, napił się wody, odsapnął i, nie podnosząc oczu, zaczął wywoływać pokolei:

— Marie Kluska!

Głos miał nieco schrypły i niby łagodniejszy. Chuda, wysmukła dziewczynka o przezroczystej, chorowitej twarzy podniosła się z ławki, przeżegnała się i, trzymając w rączynach medalik, zawieszony na szyi, szła chwiejnym, ciężkim krokiem, lecz, stanąwszy przed nauczycielem, zatopiła w nim jasne oczy i wyrzekła mocno i wyraźnie:

— Nie będę pacierza mówiła po niemiecku.

Uderzył ją kijem w twarz, aż zaskowyczała z bólu, chwytając się za rozcięty policzek; krew pociekła przez palce, nadludzkim wysiłkiem zdusiła płacz i, milcząca, sztywna, zalana krwią i łzami, powłokła się do ławki.

— Martin Pila! — zagrzmiął po chwili.

Gruby chłopak pobladł jak płótno, ale podszedł i odpowiedział:

— Po szwabsku gadać pacierza nie będę!

A kiedy dostał trzcina po głowie i plecach, to ani nie krzyknął, ani nawet się nie skrzywił, spojrzał tylko w niego z nienawiścią i mruknął wyzywająco:

— Psie, zapowietrzone ścierwo!

Nauczyciel snadź nie dosłyszał, bo wywoływał dalej, prawie już pokolei.

I pokolei, wolno a coraz ciężiej i spokojnie podchodziły do niego dzieci, pokolei podnosiły zsi-

niałe, męczeńskie twarze i bohaterskie jasne oczy, pełne zastygłych łez, pokolei, z tragiczną rezygnacją i w modlitewnem skupieniu szły na swoją kaźń, i pokolei padały te same słowa:

— Nie będę pacierza mówić po niemiecku!

Nauczyciel stawał się coraz czerwieńszy i coraz wolniej, systematyczniej i mściwiej pastwił się nad niemi. Pokolei również bił, targał za włosy, kopał i rzucał na ściany i ławki, aż ochrypl ze wściekłości, ale żadne się nie zachwiało, żadne nie jęknęło głośniejsz, ani nawet zapłakało.

Szły mężnie, w ekstatycznym, świętem uniesieniu, z szeptem pacierzy na roztrzęsionych wargach, szły jakby na stos ofiarny, a każde wołało, nieulękłe:

— Nie! Nie! Nie!

Aż znużony ich bohaterstwem i własną wściekłością, zachrzypiał:

— Sitzen!

Ledwie już dyszał ze zmęczenia i, wsparty o katedrę, oblatywał nienawistnemi oczyma te głowy uparte, te twarze pocięte sinemi pręgami i zalane krwią, lecz nim się zupełnie uspokoił, gdzieś z ostatniej ławki, podniosła się jakaś dziewczynka, miała osiem lat, różową buzię, niebieskie oczki, lniane warkoczyki, zaplecione nad czołem, i wielką, trwożną powagę w twarzyczce — podeszła do niego i, wyciągając strachliwie to jedną, to drugą rączkę, szepnęła płaczliwie:

— Ja jeszcze nie dostałam!

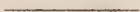
Grzmotnął ją trzcina przez rączkę, aż jej zwiśla bezwładnie, ale wyciągnęła drugą i już bezprzytomnym, pełnym łez i bólu głosem — powtarzała uparcie:

— Ja też Polka! Ja też nie będę po niemiecku!

Nauczyciel jakby oszalał, i tak ją zaczął bić, że dziewczynka zawrzeszczała przeraźliwie, a za nią wybuchnęła cała szkoła, szloch zatrząsł murami, spazmatyczne płacze i krzyki, prośby i dziecięce lamenty, sto rąk wyciągnęło się do niego błagalnie, padały mu do nóg, całowały jego buty, ale nie zważał na to i bił zapamiętale, a dziewczynka, już nieprzytomna, wciąż wyciągała rączyny i wciąż jednak, automatycznie wołała:

— Nie będę po niemiecku! Nie będę! Nie będę!

.



S E N N E D Z I E J E

Dziś, jutro wszystko się skończy, i będę musiał odejść, więc pośpiesznie notuję tę, niepojętą nawet dla mnie, historję, te nieprawdopodobne a straszliwe dzieje mojego snu...

Czy kto uwierzy, lub wzruszy ramionami a powie: „Szaleniec“, jest mi zupełnie obojętne, bo kiedy ukażą się te kartki, ja będę już śnił nieprzerwanie to inne, to utęsknione życie...

Zaczynam pisać o zmierzchu i muszę skończyć przed północą, nim się położę, nim sen mnie ogarnie i poniesie do niej po raz ostatni...

Rozkwitły migdał bucha przed oknem różanym płomieniem i dziwnie pachnie; morze bełkoce swój pacierz wieczorny — widzę je przez poszarpane skały i kępy kolczastych kaktusów, jak drga i mieni się ogromnym, nieobjętym płaszczem lazuru; białe żagle płoną na horyzoncie, lecą jak ptaki, giną w łunach zachodu — a sen słodki, brat cudów, powiewa już nad światem nadzieją urojeń i ciszą zapomnienia...

Ale wróćmy do rzeczywistości.

Znam jakiś dom, stojący wśród wiecznie kwitnących jabłoni, a w nim cudownie piękną kobietę

i jej matkę, która ciągle siedzi w ganku i robi pończochę, i zawsze niemą służbę, i jakąś zakonnicę, błądzącą po pustych pokojach, i jakichś ludzi, i jakieś sprawy, pełne grozy... Wracam do nich często, bo kocham ją niewypowiedzianie, kocham ten dom zagadkowy i to niepojęte dziwne życie, jakie z nimi wiodę. Kocham ją, ale dotychczas nie znam nawet jej imienia, nie wiem co to za ludzie, gdyż żyję z nimi tylko w snach...

Bywają długie miesiące rozłąki, straszne, nieskończone dni żrącej tęsknoty, ale przychodzi niespodzianie jakaś noc, i błogosławiony sen wiedzie mnie zawsze do niej, i przerwane życie wiąże się na nowo w niepojętą pieśń miłości, lęków i oczekiwania.

Poznałem się z nimi przed laty, w kilka tygodni po kolejowej katastrofie, w której srodze ucierpiałem.

Leżałem w szpitalu bardzo ciężko chory.

Pamiętam, byłem niby mumja, spowity w zwoje nagipsowanych bandażów, leżałem całe tygodnie bez ruchu i prawie bez pamięci, ale co noc śniłem całą katastrofę i co noc na nowo przeżywałem jej okropności.

Dobijały mnie te straszne sny, przychodziły jednak nieubłagane i, jak wampiry, wysysały ze mnie resztki sił i świadomości, że wkońcu już się nie broniłem przed nimi, a nawet z jakąś dziką, bolesną rozkoszą oczekiwałem, aby mnie powlokły na mękę...

I chociaż znałem już najdrobniejsze szczegóły wypadku, gdyż powtarzały się automatycznie, bałem się jednak coraz bardziej...

Ledwie zasypiał, często jeszcze napół przytomny, a już leciałem na stację, przeciskałem się w tłoku, szukałem w wagonach miejsca, siadałem zawsze przy oknie i zawsze ustępowałem jakimś paniom, których twarzy nie pamiętam, pociąg ruszał, stawałem w korytarzu i tak samo, zawsze, był upał i słońce świeciło mi w oczy, i tak samo, patrzyłem w okno, na uciekające wtył domy, rozkołysane zboża, wody lśniące, przydrożne drzewa, stada bydła, rzędy słupów telegraficznych — a wszystko uciekało w pośpiechu, jakby pochyłone w trwodze, od pociągu, który rwał naprzód nieustannie i całą siłą pary przelatywał z krzykiem jakieś puste stacyjki, huczał na mostach, niekiedy gwizdał przeraźliwie, niekiedy, ciężko dysząc, piał się pod górę, to znowu spadał jak burza, toczył się, wił, leciał i grzmiał, omotany w kłęby czarnych dymów, porwany dziką siłą lotu, rozprężony potęgą maszyn, żelaza i ognia, potworny i wspaniały zarazem, jak szalejący huragan...

W przedziale rozmawiano o wystawie paryskiej, przysiadłem zaraz przy drzwiach i zapaliłem papierosa, gdy naraz rozległ się straszny huk... pociąg się zatargał gwałtownie i runął w coś całą siłą... wagon podskoczył i spał się, jak koń... padłem na ziemię, a gdym się zerwał, nieszczęście już się stawało, już ściany szły na siebie... podło-

ga się zapadała... dach pękał i walił się na głowy... szkło sypało się gradem... już się wszystko łamało z dzikim krzykiem chaosu, pękało w zgrzytach, w niesłychanym tumultcie... kurz przysłaniał... zawyło w piersiach przerażenie... waliły się ściany... przelatywały walizy... ławki, podruzgotane drzwi, szmaty blach, strzępy żelaza, płaszcze rozwianych włosów... huragan nas porwał i skłębił w jakimś wirze piekielnym, szalonym, niepojętym i niepowstrzymanym, a w półmrokach, w kłębie szczątków zamajaczyły na mgnienie jakieś oczy straszne, zerwały się ryki niehumanne, wionęły jakieś głowy, prysnęły strugi krwi, błądziły jakieś ręce...

— Śmierć, zaraz umrę! — pomyślałem jasno, przytomnie i jeszcze bez trwogi, ale nagle coś mnie wyrwało z miejsca i jednocześnie pazury strachu wpiły mi się w mózg, poczułem, że spadam, że rozbijam się, że drzę jak szmata, że umieram...

Piorun wolniej spada, niżli ja leciałem w jakąś głąb straszną, ale nim zdołałem o tem wiedzieć, już padłem stratowany i podarty, niby kawał głupiego żelaza...

I tak się powtarzało wiele, wiele nocy.

Nie pomogły żadne środki, sen wciąż powracał nieubłagane jednaki, a tak podobno zawsze krzyczałem, błagając ratunku, że budziła mnie zakonnica i już do rana czuwała nade mną, szepcząc święte, miłosierne pacierze.

Aż jednej nocy, kiedym się już wydobywał z rozbitego pociągu, sam połamany, oblany krwią

i śmiertelnie zmęczony, pomyślałem zupełnie przytomnie i jasno:

— To mnie zabija, muszę uciekać!

Rozpacz mnie ogarnęła i poniosło szaleństwo, wydzieralem się z pośród złomów i trupów, deptałem rannych, łamałem przeszkody, nie zważając już na nic, bo chciałem uciekać, uciekać z tego piekła, uciekać gdzie bądź, gdzie oczy poniosą...

I wyrwałem się, ale za mną pogonił huragan jęków i płaczów, przerażający chór ofiar, krzyki konających i błagania rannych...

Leciałem jak wichur, i zdało mi się, że wraz ze mną uciekają zabici i ranni, że lecą przestraszone wagony, że pędzą drzewa i domy, że wszystko, cały świat, ucieka w śmiertelnej trwodze i przerażeniu...

Nie wiem kiedy znalazłem się w jakimś sadzie, leżałem na trawie, jabłonie kwitnęły nade mną, słońce świeciło przez kwiaty, brzęczały pszczoły, i poczułem się tak strasznie znużony, chory i smutny, że zacząłem płakać...

Jakaś siwa, wyniosła pani wyszła z domu. który stał wśród drzew, szła ku mnie długą aleją bzów kwitnących, a za nią, jak cień, sunęła moja zakonnica ze szpitala.

Patrzyłem na nią z przerażeniem, chciałem uciekać, ale siwa pani skinęła na mnie i coś mówiła, czego nie mogłem zrozumieć. Zakonnica zadrżała mi w twarz i rzekła cicho:

— Przyślę księdza... musisz się wyświadczyć... już czas...

Musiałem zasnąć na chwilę, bo kiedyś znowu otworzył oczy, siwa pani siedziała przy mnie, a obok była jakaś młoda, cudownie piękna kobieta.

— Nie umieram jeszcze i nie chcę księdza! — zawołałem do zakonniczki, która chodziła pod jabłonią, brzęcząc różańcem, ale jednocześnie zobaczyłem na trawie pokrwawione szmaty, chirurgiczne narzędzia i stosy porozwijanych bandażów.

— Nie! Nie! Zdrowy jestem! — krzychałem w trwodze i czułem, że jakieś ręce mnie opasują nieskończonymi zwojami, a cudna pani skrapia mi twarz chloroformem i nachyla się coraz bliżej...

Jeszcze dzisiaj czuję ten obmierzły zapach i jej oczy, wpatrujące się we mnie coraz bliżej, a tak dziwnie, tak słodko, tak niepojęcie...

A jakby później, znalazłem się na ganku domu, leżałem w łóżku, siwa pani robiła na drutach pończochę, i ona siedziała przy mnie i czytała szczegóły rozbicia pociągu.

— O tobie czytam, wiesz?

— Tak, to o mnie! Ale dlaczego mówi mi „ty?” — myślałem zdziwiony.

Uśmiechnęła się, jakby odgadła moją myśl.

— Znam cię dawno, dawno, nie pamiętasz?

— Nie. Mnie się tylko śni co noc rozbicie pociągu. Prosiłem już doktorów, żeby mnie wyleczyli, bo to straszne tak się męczyć!...

— Już nie będziesz śnił o tem, wyleczę cię.

Nachyliła się nade mną.

Zapamiętałem ją na wieki: oczy miało szarobłękitne, ogromne, lśniące, jak wody w słońcu; czarne, królewskie łuki brwi opinały jej białe czoło; puszyste, ciemne włosy dotykały mojej twarzy, a usta przedziwne, ruchome, kręte, jakby dwa krwawe, sprężone węże, drgały ustawicznie. Patrzyłem na nią z zachwytem, czułem się strasznie szczęśliwy.

— Wyzdrowiejesz, złe sny już nie powrócą — szepnęła i położyła mi miękką, pachnącą dłoń na czole; czułem, iż to kwitnąca gałąź jabłoni przysłoniła mi świat i tak upajała zapachem, że zapadłem się w jakąś błogosławioną, słodką niepamięć. Obudziłem się o świtaniu. Szpital był jeszcze cichy, tylko w sąsiednim pokoju jęczał niekiedy jakiś chory; znużona zakonnica drzemała pod oknem, z przechylonej głowy kornet zsunął się nieco wtył i z pod białych skrzydeł występowała wyraziście jej twarz.

— To jest tamta zakonnica ze snu — myślałem zdumiony, ale nie śmiałem jej budzić i dopiero rano opowiedziałem o śnie. Słuchała z przejęciem, poblądła nawet i, mierząc mi temperaturę drżącymi rękoma, wyrzekła cicho.

— Śnił się panu ciężki grzech... Niech pan stara się nie myśleć o tych pokusach...

Pytała potem o adresy mojej rodziny i wyszła prędzej niżli zazwyczaj, a wkrótce zjawił się nasz

kapelan i zaczął mnie zwolna, ostrożnie namawiać do spowiedzi...

— Nie umieram jeszcze, nie chcę! — powiedziałem mu twardo.

Tłumaczył, że właśnie dla prędszego wyzdrowienia powinienem pojednać się z Bogiem.

Nie dałem się, ale zatrwożyła mnie jego wizyta i zdenerwowała. Już cały ten dzień czułem się bardzo źle, byłem strasznie rozdrażniony, wszystko mnie denerwowało, płakałem bez przyczyny, kłóciłem się z doktorami, wybuchałem z łada powodu, a zakonnica doprowadziła mnie do wściekłości, bo mi powiedziała z przekąsem:

— Gorzej się pan czuje, ale kto nie wierzy w Boga, nie może już liczyć na Jego miłosierdzie...

— Wyzdrowieję i bez spowiedzi, zobaczysz siostra!

Spojrzała na mnie z politowaniem.

— Czuję się tak świetnie, że już dzisiaj nie będę miał tych snów...

— Tak... zły panu obiecał — potakiwała smutnie głową...

— Wierzę mu, gdyż on jeden nie opuszcza nieszczęśliwych.

Długo, na złość jej wysławiałem szatana i jego dobroć, aż wzburzona uciekła i powróciła z porcją bromu. Wyrzuciłem za łóżko, a kiedy noc nadeszła, zacząłem udawać sennego, aby się prędzej pozbyć ludzi; chciałem pozostać sam i w ciszy

oczekiwać snu i marzyć o niej... Próbowałem nawet wyprowadzić zakonnicę, ale się oparła.

— Pozostanę, może się panu zrobić jeszcze gorzej...

Gwałtownie chciałem ją zmusić do ucieczki.

— Niech siostra modli się za mnie, a ja będę marzył o tamtej cudnej, o jej purpurowych ustach, głodnych rozkoszy...

Milczała, odwracając głowę.

— Już śnię... idę do niej... czeka mnie z utęsknieniem... woła z miłością... jej usta pachną, jak dymy kadzielnic... ogarnę ją sobą... spalę pocałunkami, oplączę takim miłosnym uściskiem, że mi zwiśnie w ramionach i odda stokrotnie całunki, odda uściski, odda mi się cała ze straszną, świętą rozkoszą... odda mi się na szal...

Milczała wciąż, ale widziałem, że drży wzburzona.

Nagle padła na kolana i zaczęła się głośno modlić, a ciężkie, wielkie łzy posypały się z jej wyblakłych oczu.

Zrobiło mi się strasznie głupio, przepraszałem ją serdecznie, ale nic nie odpowiedziała, i wkrótce zasnąłem.

Nie śniłem już tej nocy o katastrofie, nie śniłem o niczem, spałem jak kamień i obudziłem się bardzo późno, niesłychanie rzeźwy i spokojny. Powiedziałem zaraz do niej:

— A widzi siostra, nic mi się już nie przyśniło, wyzdrowieję!

— Bo wszystkie siostry modliły się za pana całą noc w kaplicy.

Zmiażdżyła mnie swoją wiarą i dobrocią.

Przeszło kilka miesięcy, zrosłem się już zupełnie, zaczynałem chodzić o kiju, czułem się coraz lepiej, i ani razu nie przyśniła mi się katastrofa, o tamtym zaś śnie zapomniałem, jak o tylu innych.

Wyjechałem później na Południe i tam, zaraz pierwszej nocy, wróciłem do sennego kraju.

Znalazłem się znowu tam, w tym czarownym sadzie, pełnym kwitnących jabłoni, śpiewu ptaków, zieleni, słońca i upajającej wiosny. Przychodziłem z uczuciem wdzięczności za wyzdrowienie.

Siwa pani siedziała w ganku, robiła pończochę, pocałowała mnie w głowę i rzekła, wskazując gdzieś za mnie:

— Ona czuwała nad panem.

Odwróciłem się, cudna stała za mną na stopniach ganku, uśmiechnięta, cała w bieli, w zebrałej w dłonie sukni miała pełno kwiatów:

— Wróciłeś, musiałeś powrócić.

Nie pamiętam, co mówiłem, ale pamiętam, że byłem oczarowany jej pięknnością i że serce biło mi gwałtownie.

— Zostań u nas, dzisiaj mój ślub.

Patrzyłem wciąż na nią, ogarnęła mnie niewypowiedziana radość, czułem, że ją kocham.

— Dzisiaj mój ślub — powtórzyła ciszej i weszła do domu. Poszedłem za nią przez szereg pustych pokojów. Okna były otwarte, zboża kołysały

się na polach, służba wymijała nas z pośpiechem i milcząco; jacyś ludzie szeptali po kątach, a ona odwracała się niekiedy do mnie i powtarzała z naciskiem:

— Mój drogi człowieku! Mój jedyny człowieku!

Rwałem się do niej oszalały, chciałem ją ująć, już wyciągałem ramiona, już byłem przy niej, gdy zastąpiła mi drogę zakonnica, ta moja, ze szpitala, i zakrzyzczała groźnie:

— Grzech! ona ślubuje Bogu!

Odepchnęła mnie szorstko, wygrażając pięściami.

Pozostałem naraz sam, śmiertelnie smutny i zrozpaczony; gdzieś, jakby w drugim pokoju, huczały organy, i wznosiły się uroczyste śpiewy, a w okno zaglądał nasz kapelan i mówił cicho:

— Wyspowiadaj się, to może wyzdrowiejesz.

Skoczyłem do niego, ale gdzieś zniknął, i w tego miejscu stali doktorzy w białych, pokrwawionych fartuchach, spoglądali na mnie posępnie i szeptali coś tajemniczo:

Uciekłem przed nimi do ogrodu, padłem pod jabłoniami i, wzywając ją najczulszemi słowy, płakałem z tęsknoty.

Zjawiała się przy mnie, rozpuszczone włosy ciągnęły się za nią długim, czarnym płaszczem, ujęła moją głowę w dłonie i, patrząc mi w oczy, mówiła smutnie, przez łzy:

— Przyjdź później, wiesz, już potem... przyjdź...

Zakonnica okryła ją długim, białym welonem i powiodła w głąb ogrodu, a kiedy chciałem iść za nią, już jej nigdzie nie było; szukałem jej pod jabłoniami, szukałem w pustych ogrodach, szukałem długo i na próżno, i daremnie wołałem, daremnie; tylko siwa postać, siedząca w ganku, powiedziała cicho:

— Ona cię zawoła. Czekaj cierpliwie, wiesz, potem...

Obudziłem się z szaloną tęsknotą w duszy.

To był tylko sen, wiedziałem o tem, ale nigdy rzeczywistość nie pojmowała mnie w taką ciężką niewolę, jak to senne widziadło, nigdy nie tęskniłem tak strasznie za żadną żywą kobietą, nigdy...

Ale życie ujęło mnie w swoje nieubłagane pazury, i zwolna zapomniałem o niej, a reszty dokonał tak zwany, zimny rozsądek.

Przeszło coś ze dwa lata, byłem już zupełnie zdrowy, gdy pewnej nocy znowu mi się przyśniła.

Była jakaś noc ciężka i upalna, chodziłem po jakimś pokoju, błyskawice wiły się po ciemnem niebie, pioruny trzaskały w jakieś drzewa, buchające słupami ognia... Czytałem depeszę od niej: wzywała mnie, abym natychmiast przyjeżdżał. Pamiętam, jak się śpieszyłem, jak mi wszystko leciało z rąk, że opóźniałem się na pociągi, jak wtedy przed katastrofą, jak później przejeżdżałem przez miasta nieznane, jakieś obce kraje, a ciągle z dręczącym uczuciem niepokoju, że czeka na mnie, że mnie woła! Stałem w korytarzu, jak wtedy, i jak wtedy

słońce świeciło mi w twarz, a przed oczyma przelatowały pola i lasy, a ktoś za mną mówił:

— On zginął w kolejowej katastrofie!

Wszyscy patrzyli na mnie, poznałem ich, byli ci sami, co wtedy.

I te panie, które wtedy zginęły na miejscu, i ci, którzy później pomarli z ran, wszyscy...

— Jemu się śni dziwna historia. Dziwna — mówili, patrząc wciąż na mnie.

Usiadłem na dawnym miejscu, zapaliłem papierosa i powiedziałem z radością:

— Pociąg się rozbija, a wy zginiecie!

Powstał krzyk, zaczęli uciekać, tłoczyć się i przewracać, a ja wyskoczyłem z pociągu i, jak ptak, leciałem nad polami, unosiłem się lekko i radośnie, z poczuciem niezmiernej siły, aż zobaczyłem tamten dom i opadłem na ziemię. Jabłonie kwitnęły, jak zawsze, i w ganku siedziała siwa pani z pończochą w ręku.

— Czekaj na pana, tęskni... — mówiła surowo.

Trwoga mnie poniosła, i tęsknota, leciałem przez puste pokoje, szukałem jej wszędzie, jacyś ludzie stali pod ścianami — błagałem, aby mi wskazali, gdzie ona jest, nie odpowiedzieli, patrząc na mnie posępnie i groźnie, biłem się wśród tych niemych ludzi oszalały z rozpaczy, gdy naraz otworzyły się drzwi jakiegoś pokoju, i zobaczyłem ją leżącą pod przejrzystą, czarną zasłoną, jakby w łóżku, czy też na niskim ołtarzu, bo kwiaty stały dokoła i wielkie zapalone świece.

Przejęła mnie trwoźna cześć, ukląknęłam jakby przy świętej, uśmiechnęła się do mnie, uniosła głowę i chciała przemówić, już rozchyliła usta i oczy napełniły się słodyczą, ale zakonnica położyła palec na ustach, wskazując oczyma Chrystusa, wiszącego przed ołtarzem, otaczał go tłum białych mniszek, trzymających żółte, ogromne świece...

Cofnąłem się przerażony, straszny żal mną targał i łamał w bezsilnej męce, gdy ona uniosła się nieco i powiedziała:

— Czekałam na ciebie... Kocham cię...

Rzuciłem się do niej, ale wszystko przemieniło się nagle: byłem w jakiejś wysokiej, ciemnej kaplicy, mniszki wychodziły ze ściany, szły całą procesją, okrażały ołtarz, na którym leżała, szły długim nieskończonym rzędem, a każda pochylała się nad nią i mówiła twardo, jakby uderzając kamieniem:

— Grzech!

I każda zamierzała się na nią świecą i darła z niej zasłonę, że leżała naga, trupio blada, przerażona i wyciągała do mnie ręce i coś wołała... Nie mogłem jej bronić, czułem się jakby sparaliżowany i wrosły w ziemię, nie mogłem nawet głosu wydobyć, szamotałem się bezsilnie, męczyłem strasznie, umierałem prawie...

Obudziłem się, oblany zimnym potem i śmiertelnie zmęczony, ale od tej nocy wróciła znowu moja dawna, szalona miłość...

Kochałem ją, tęskniłem do niej i szukałem jej po całym świecie.

Ale nie było jej na ziemi, a w snach się nie zjawiała.

Całe miesiące, co noc kładłem się z nadzieją, zasypiałem z tęsknotą i marzeniem, a budziłem się z rozpaczą.

Pomyślcie, co musiałem wycierpieć!

Wreszcie zacząłem używać różnych sposobów: paliłem haszysz, zażywałem opjum, wstrzykiwałem sobie morfinę, a wkońcu piłem, zapijając się na śmierć w nadziei, że może w takich pijackich, ciężkich snach prędkiej mi się zjawi.

Jakoż przyszła.

Siedziałem w jakimś szynku, byłem już prawie nieprzytomny, drzemałem, gdy naraz stanęła przy mnie, szepcząc mi do ucha:

— Chodź ze mną.

Zdawało mi się, że wstałem i poszedłem.

— Wiesz, nie mogłam, ale jak on umrze...

— Kto?

— Mój mąż. Pamiętasz, byłeś przecież na ślubie.

Wydała mi się jakaś straszna, była blada i w łachmanach, krwawe usta zdały się raną niezagojoną, oczy świeciły groźnie i dziko, bałem się jej, chciałem uciekać, ale mnie wzięła mocno za rękę i szliśmy, przepychając się wśród ciżby. Gospodarz szynku wołał coś na mnie, a pijani kamraci zastępowali drogę — odtrąciła wszystkich. Prze-

szliśmy jakimiś ulicami, wśród niesłychanej wrzawy tłumów i przelatujących powozów, i naraz, jak by w kinematografie, siedzieliśmy już w gęstym mrocznym lesie; przez szare, wyniosłe pnie świerków widać było polanę, zalaną słońcem, potok szumiał gdzieś blisko, granatowe szczyty gór wynosiły się nad lasem.

— Gdzie jesteśmy? — nie mogłem sobie przypomnieć tej miejscowości.

— Nigdzie!

— Muszę już być zupełnie pijany — myślałem ociężale i sennie.

— Ta zakonnica nie pozwala, abyś przychodził, to ona.

— Siostra Joanna! Powiem doktorowi...—uniosłem się i zmilkłem, patrzyła we mnie z uporem, szarobłękitne oczy wpierały się we mnie coraz potężniej, spływając mi w serce strugą ognia i pożądań.

— Tęskniłam do ciebie... tęskniłam... tęskniłam... — powtarzała.

Drżałem w ogniu jej źrenic, szczęście ogarniało mnie w słodkie ramiona, byłem u jej stóp, z głową wspartą na jej kolanach, i patrzyłem w szare, tajemnicze przepaści jej oczu. Pograżyłem się w niej, niby w słońcu, zstępowałem w jakieś radosne, niepojęte niebo zachwyceń, a ona, niby cudpromienny, pochylała się nade mną i, ogarniając mnie blaskiem źrenic, szeptała cichutko:

— Daj mi swoją duszę...

Nie pamiętam już słów, ale wiem, że przemówiła wszystka moja miłość i wszystkie moje tęsknoty, że cały ból życia załkał u jej stóp. Dotykała palcami ust moich i szeptała wśród łez, które spadały na moją twarz ciepłymi kroplami.

— Mój drogi człowieku! Wiesz, że dusza moja się kołacze w przestrzeni, którą mogłyby zamykać twoje ramiona, że każda moja łza dla ciebie, każda myśl dla ciebie, każda tęsknota za tobą...

— Boże, co za sen czarownicy! — marzyłem, wbijając sobie te słowa upajające, chciałem je zapamiętać na zawsze, bo wiedziałem w tej chwili, że śnię i lękałem się przebudzenia.

Mówiła jeszcze i coś takiego, czego niepodobna pamiętać, a co się tylko czuje, jako czar nieuchwytny i niczem niewysłowiony.

— Czy ja cię spotkam w życiu? — pytałem, zupełnie przytomny.

— Zaprzysz się mnie, ale jeszcze powrócisz!

Chciałem ją objąć i całować, odsunęła mnie szorstko.

— Grzech. Może kiedyś, wiesz, potem...

Rwałem się do niej gwałtownie, ginęła mi nagle z oczu. Stałem zdumiony w tamtym ogrodzie, pod kwitnącymi jabłoniami; siwa pani siedziała w ganku. Wołałem za nią, błagałem, aby się ukazała, zacząłem gdzieś lecieć i przewracać się w jakieś rowy, pełne czarnej wody, męczyłem się niewypowiedzianie...

A kiedy się przebudziłem, leżałem pod jakimś parkanem, śnieg padał, było mi strasznie zimno, bolała mnie głowa i czułem się tak pijanym, że ledwie trafiłem do mieszkania. Mówili mi później, że rozebrałem się już na schodach i nagi, a zgoła nieprzytomny, ukazałem się mojej gospodyni. Zachorowałem znowu, miałem przez kilka tygodni wściekłą gorączkę, leżałem nieprzytomny, a kiedy po raz pierwszy otworzyłem na świat trzeźwe oczy, siostra Joanna siedziała przy mnie.

Byłem pewny, że jestem tam, w tym śnie...

— Dlaczego uciekła ode mnie? Dlaczego? — wołałem żałośnie.

— Wróci, zaraz wróci! — uspokajała, kładąc mi coś zimnego na głowę.

— To siostra nam wciąż przeszkadza, to siostra broni...

Długo opowiadała mi dzieje mojej choroby, nim się przekonałem, że już nie śnię, a tylko leżę chory w szpitalu, ale kiedy zobaczyłem wszystko jasno, zatargał mną straszny żal i tęsknota. Wszystka ta prawda rzeczywistości wydała mi się ohydną, głupią wizją.

— Czy dawno leżę?

— Trzy tygodnie.

Nie mogłem tego pojąć, zdawało mi się, że to przed chwilą byłem jeszcze tam, pod kwitnącymi jabłoniami, jeszcze słyszałem jej słowa, jeszcze widziałem jej oczy, wpatrzone we mnie...

Wyleczyłem się dosyć prędko z tyfusu, ale i zarazem z szaleństwa. Wróciłem do normalnego życia, chociaż jeszcze niekiedy kładłem się spać z pewną obawą przed powrotem tego snu.

Długo jednak nie powracał, i życie poniosło mnie w inną zgoła stronę, zakochałem się w żywej, bywałem u niej codziennie, roiliśmy o jasnej przyszłości, a kiedyś, w chwilach wynurzeń, powiedziałem jej te dziwne dzieje mojego snu.

Zrobiła mi scenę zazdrości o tamtą, o zjawę...

Śmiałem się rozbawiony, ale mi powiedziała przez łzy:

— A jeśli powróci i znowu cię zawoła?

— Pójdę za nią!... czyż mogę uciec przed snem? — żartowałem.

— Ty ją kochasz, czuję to, kochasz i wrócisz do niej! Oszalejesz dla niej! Wiem, wiem — szepotała strwożona.

A ja poczułem w tej chwili, że skoro się tamta zjawi, porzucę wszystko, nawet życie — i pójdę za nią.

Ale broniłem się jeszcze przed przeznaczeniem.

Jakoś wkrótce pojechałem z nią i jej rodziną nad ocean, do Hiszpanji; zaraz pierwszego wieczora siedzieliśmy oboje na wybrzeżu. Noc była jasna i cudna; Pireneje, niby chmury spiętrzone i przesiąknięte księżycowym światłem, wisiały wysoko na tle granatowego nieba; pachnęły rozkwitłe oleandry, ocean miotał się z gruchotem o skały. Ona wsparła

głowę o moje ramię i, zapatrzona w rozfalowaną topiel, szeptała jakiś pacierz, pełen zachwytu i marzenia, gdy naraz poczułem się dziwnie zaniepokojony, zdawało mi się, że ktoś na mnie czeka, że muszę się gdzieś śpieszyć, to chwilami najwyraźniej słyszałem swoje imię, jakby mnie ktoś wołał z bardzo daleka...

Rozejrzałem się uważnie: byliśmy tylko sami, ocean prężył się i wzdymał, a wygięte, spienione łuki fal waliły się na skały.

Nie mogłem się jednak opanować, rozdrażnienie wzrastało z minuty na minutę, że, znalazłszy jakiś powód, odprowadziłem ją do rodziny, dała mi różę na pożegnanie i szepnęła, jak zwykle:

— Niech kocha, niech pamięta i niech się nie spóźni na śniadanie...

Zapomniałem ją ucałować i uciekłem na wybrzeże, różę rzuciłem w morze i błąkałem się bez celu, ale nie byłem sam: jakiś człowiek chodził po plaży i, przystając niekiedy, rozglądał się dokoła; drażniła mnie jego obecność, bolała mnie wprost ta czarna sylwetka, niezmiernie wydłużona przez cień, a do płaczu doprowadzał zgrzyt żwiru pod jego nogami. Uciekłem od niego, jak mogłem najdalej, i wtulony w głęboki cień skały, skupiłem całą uwagę na głos, który się wciąż rozlegał, był już coraz bliżej i coraz błagalniej wołał. I kiedy zaczynałem go rozumieć i poznawać, zasnąłem, ale jeszcze słyszałem huk morza, widziałem ruch fal, gdy ona zjawiała się przy mnie.

— To ja cię wołam, chodź, ratuj mnie!

Stała na ganku, cała w czerni, pełna groźnego majestatu, oczy jej zapłonęły ponuro, gdy zaszeptała cicho a nakazująco:

— Broń mnie, ratuj! To on! On!

Jakiś człowiek się zbliżał, już się pochylił cały i sprężył, jakby się miał na nią rzucić, i krzyczał dziko:

— Nienawidzę cię!

Rzuciłem się na niego i chwyciłem za gardło, szczepiliśmy się jak rozwścieklone psy, taczając się i bijąc o drzewa i słupy ganku, wreszcie padliśmy na ziemię; gniołem go kolanami i dusiłem, ale bronił się zajadle, a mnie już zaczynało brakować sił, gdy wtem ona wcisnęła mi w rękę nóż i zakrzyczała:

— Zabij go! Zabij!

I zabiłem! Zabiłem na śmierć, uderzałem w niego po sto razy, pastwiłem się nad nim z rozkoszą, chociaż już leżał martwy.

— Musimy go schować — powiedziała z naciskiem.

Powlekliśmy go do jakiejś studni i wrzucili; jeszcze teraz słyszę, jak, padając w głąb, rozbijał się o cembrowiny i jak woda trzasnęła pod nim.

— On jeszcze żyje! — szepnęła, zaglądając do studni. Zajrzałem i ja: jego głowa unosiła się nad czarną, lśniąca wodą; strach nas ogarnął, zaczęliśmy gorączkowo zarzucać go kamieniami, ziemią i gałęziami.

— Nie wyjdzie! Chodźmy!

Śmiała się długo, obłamując kwitnące gałęzie jabłoni, rzucała je na mnie, a ja uciekałem również ze śmiechem.

Obudził mnie przypływ, morze huczało jak organy i biło we mnie bryzgami, byłem już cały przemoczony i księżyc świecił mi prosto w oczy, zerwałem się na nogi nieznajomego nie było nigdzie widać, poszedłem śpiesznie do hotelu i ledwie się położyłem, a dałbym głowę, że jeszcze nie zasnąłem, ktoś delikatnie zapukał. Wiem, że usiadłem na łóżku i że księżyc zalewał cały pokój.

Weszła ona, widziałem, jak przymykała drzwi, szła do mnie...

— Uciekłeś, a to nasz ślub! Nie pamiętasz?

Zarzuciła mi ręce na szyję. Przepadliśmy w strasznych, pożerających pocałunkach. Byłem przytomny i pamiętam, jak jej purpurowe, głodne usta wciąż szukały moich, jak okręcały mnie jej białe, nagie ramiona i jaki żar bił od niej! Byłem pewny, że to nie sen, lecz rzeczywistość, ale jej pocałunki wciągały mnie w jakiś nieprzytomny, oszalały z rozkoszy wir, że przepadałem co chwila w niepamięci wszystkiego, to pokój mój stawał się tamtym sadem, pełnym kwitnących jabłoni, to pociągami, łamiącym się w chwili katastrofy, to szpitalem, a ona, niby siostra Joanna, siedziała przy mnie rozmodlona. A w jakiejś chwili przypomniał mi się tamten zamordowany, i strach mną zatargał... Poczułem całą rzeczywistość zbrodni, cały ciężar winy, całą jej grozę...

— A może śni mi się tylko?... — myślałem, oblany zimnym potem męki.

— Zabiłeś go na śmierć! Nie znajdą go, leży w studni, pamiętasz! — mówiła mi cichutko.

Pamiętałem, pamiętałem tak dokładnie, że rozpacz mnie ogarniała, męczyłem się jak potępieniec, nie mogąc tylko zrozumieć: sen to wszystko, czy rzeczywistość?

— Co się ze mną dzieje? Gdzie jestem? — usiłowałem się upewnić, że nie śnię, szczypałem się po rękach, biłem pięścią w kant łóżka, nasłuchiwałem tykotania zegarka, ale ona zajrzała mi w oczy, podając znowu pożądliwe usta. Odepchnąłem ją, wylękły i wzburzony.

— Kto ty jesteś?

Pamiętam, że krzyczałem ze wszystkich sił.

— Nikt o tem nie wie, to nasza tajemnica! Muszę iść, muszę...

Z jaką radością myślałem, że sobie pójdzie, a ja zostanę sam; tylko skłopotala mnie myśl, aby jej nikt nie zobaczył wychodzącej.

— Wezmę zakrytą dorożkę.

Nasłuchiwałem pod drzwiami, czy kto nie chodzi po korytarzach.

— To nasza tajemnica... Wracaj do mnie prędko, czekam cię...

Całowała mnie, poczułem na twarzy jej łzy, twarz miała bolesną.

— Wiesz, już na zawsze... Mój drogi człowieku, na zawsze...

— Na zawsze! Na zawsze! — powtarzałem jak echo, wpatrzony naraz w ocean zielony, rozmigotany w słońcu i poradlony spienionemi falami.

Zdało mi się bowiem, że ona odeszła przed chwilą, jeszcze cały pokój był przeniknięty śladami jej obecności, jeszcze usta miałem pełne żaru, a w sobie słodką ociążałość rozkoszy omdlałej.

Ktoś zastukał do drzwi. Byłem pewny, że to ona wraca, i uniosłem się niespokojny i zdziwiony.

Wszedł garson z kawą i, przysuwając mi stolik, opowiadał, że przed chwilą znaleźli trupa jakiegoś nieznanego człowieka.

Nie zdziwiłem się, tylko dawny strach chwycił mnie za gardło, usiłowałem powstrzymać dygot i pytałem z najwyższym wysiłkiem:

— Gdzież go znaleźli?

Z bijącym sercem czekałem odpowiedzi.

— Pod skałami, wyrzuciło go morze na przypływie.

Odetchnąłem z ulgą niezmierną: pamiętałem przecież, jak wrzucaliśmy go do studni, a zarzucili gałęziami! Musiałem się uśmiechnąć z niedowierzaniem, bo zaczął mnie gorąco zapewniać, że sam go widział. Nie mogłem tego pojąć; świadomość znowu mi się zwiła w jakiś nierozplątany kołtun snów i rzeczywistości.

— Obudź mnie, tak się już męczę przez całą noc...

— Ależ pan nie śpil

— Przekonaj mnie o tem, bo nie wiem! —
błagałem go rozpaczliwie.

Musiałem wkońcu uwierzyć, ale snadź w twarzy mojej pozostały jakieś niezatarte ślady tej nocy, gdyż narzeczona powiedziała mi drwiąco:

— Wygląda pan, jakby powróciła moja rywalka!

— Tak i wkrótce złączymy się już na zawsze! — powiedziałem twardo.

Starła się ułagodzić mój gniew szczebiotem z minami kotki, podstawiając lubieżnie grzbiet do głaskania. Obmierzła mi do reszty!

Nie mogłem jej darować, że ona, głupia rzeczywiście, śmiała się uważać za coś istotniejszego od tamtej...

Musiałem jej to powiedzieć, gdyż się pogniewała na mnie; przyjałem to spokojnie, bo moje uczucia dla niej pomarły nagłą śmiercią, a trupy wyrzuciłem nawet z pamięci.

Poleciałem jednak zobaczyć utopionego.

Nie poznałem go narazie; dopiero później nieco zjawilo się jakieś niejasne wspomnienie. Musiałem go już kiedy widzieć, bo wciąż mi stawał w oczach, budząc splątane, nieuchwytne majaki czegoś, czego nie mogłem wskrzesić w całości, rwało się jak zgniła przędza...

Jeszcze dzisiaj nie jestem pewien, czy to tamten...

Nie wiem, ale chwilami zdaje mi się, że to on...

Wypytywałem się o niego, nikt go nie znał, nikt nie wiedział, skąd się wziął; tylko strażnik

portowy zeznał, że widział go wieczorem na plaży, w przeddzień....

Może to ten sam, który mnie wtedy tak rozdrażniał!

Nic już nie rozumiem i nic nie wiem.

A jeśli go nawet zabiłem — zabiłem w jej obronie.

Musiałem za często wspominać o tym nieznanym, gdyż narzeczona zwróciła na to uwagę.

— Czemu się nim tak gorliwie zajmujesz?

— Bo zdaje mi się, że to ja go zamordowałem! — odpowiedziałem szczerze.

Uciekła z krzykiem, ale później przyleciały ciotki, zaczęły się tłumaczenia, przeprosiny, płacze i zaklinania, żebym w takich rzeczach nie żartował i nie straszył biedactwa. Wszystko wróciło do dawnego stanu, chociaż ciążyło mi już niezmiernie, nie wiedziałem jednak jak zerwać.

Ale jakiejś nocy obudził mnie gorący, namiętny pocałunek. Otworzyłem oczy: stała przy mnie promienna, cudna, upajająca!

— Czekam cię, czekam!...

Zniknęła mi, gdym ją chciał przycisnąć do serca, ale już nieugaszona tęsknota za nią wypełniła mi całą duszę na wieki...

Uciekłem od świata; powiedzieli, że oszalałem, i śmieją się ze mnie.

Ale tłum zawsze szydzi z tego, czego nie pojmuje.

Kąśliwe, głupie i podłe bydło.

Wczoraj, kiedym wyglądał oknem, moja tłu-
sta sąsiadka powiedziała:

— Biedny chłopak, wypatruje oczy, a ona nie
przychodzi...

— Ale przyjdzie! Przyjdzie! — zawołałem
wściekły.

Pokiwała litośnie głową.

Wiem, że i teraz mnie śledzi, ale jeśli raz
jeszcze okaże mi współczucie, trzasnę ją doniczką.
Przebrzydłe, samcze mięso!

— A ja wam mówię, że ona przyjdzie, może
już dzisiaj, może za chwilę...

Tylko wasze obmierzłe, grzeszne oczy nie
dojrzą nawet jej cienia.

Opasłe, ślepe króle gnojowisk!

Cóż ty wiesz, podły liszaju ludzki, o gwia-
zdach? Cóż ty wiesz?

A mnie już codziennie mój słodki brat sen
przenosi tam, do niej, codziennie chodzę pod kwit-
nącemi jabłoniami raju, szukam jej po pustych po-
kojach i czekam na nią w ganku, a siwa pani mó-
wi mi codziennie:

— Ona wróci, wróci już na zawsze!

Wiem, a pożera mnie straszna, nieukojona
tęsknota!

I dni oczekiwań są takim martwym i niena-
wistnym snem!

Wczoraj, kiedym siedział w ganku, szepnęła
mi zakonnica:

— Wiesz, w studni niema nikogo!

— Nieprawda! leży pod gałęziami, zabity na śmierć, na śmierć!

— Podobno już szukają mordercy! — straszyla mnie.

Nie boję się już niczego — cóż może prze-
móc moją miłość!

Tłusta sąsiadka siedzi w oknie, w koszuli jest
tylko, śmieje się...

Zapuściłem rolety!

Tak wolno płyną godziny, tak wolno zbliża
się wyzwolenie, tak wolno zbliża się szczęście...

Sen mnie ogarnia...

...czuję już zapach jabłoni...

...Idę...

...może już na zawsze...

.

BIBLIOTEKA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
PISMA WŁADYSŁAWA ST. REYMONTA

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

P I S M A

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE
ZE WSTĘPEM ZDZISŁAWA DĘBICKIEGO

TOM 19

Z PAMIĘTNIKA

WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT

Z PAMIĘTNIKA

WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12.

Wszelkie prawa przedruku i przekładu zastrzeżone.

Druk. J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

.....
.....
strasznie lubię stawiać kropki

.....
Nareszcie jestem już narzeczoną!

.....
..... ale dosyć tej zabawy! To coś okropnego, jak ja lubię kropki. Muszę napisać list do „Kurjera“ i spytać się, co to znaczy? Oni muszą wiedzieć, bo na wszystko odpowiadają. W przeszłym roku „Ma“ się zapytywała o cudowne miejsca: wymienili wszystkie na całym świecie; a potem „Pa“ zapytywał, czy my jesteśmy szlachtą i jakiego herbu? Zaraz odpowiedzieli i wymienili z dziesięć herbów! „Pa“ chodził potem do specjalisty radzić się, jaki wybrać na bilety wizytowe!...

Naprawdę mam narzeczonego i to już najzupełniej urzędownie, bo z „Ma“ i „Pa“, z ciotkami i wujaszkami, z tortem, z piramidą i błogosławieństwem, i brylantowym pierścieniem na palcu...

A od cioci Hortensji dostałam brylantowe kolczyki, zaraz się w nie ubrałam i siadłam wprost

lustra, a trochę zboku lampy, tak się cudownie skrzyły, aż p. Henryk chciał mnie w ucho po...

To on właśnie jest moim narzeczonym.

„Pa“ nie chciał się zgodzić, bo p. Henryk jeszcze nie skończył uniwersytetu.

Także powód!

Kto może być już na piątym kursie medycyny, ten chyba i mężem być potrafi!...

Feministką nie jestem i starą panną zostać nie myślę—powiedziałam to „Pa“ wyraźnie.

A on mówi, że mam jeszcze czas... pewnie, ale także mam już dosyć tych tańczących herbatek z uczniakami z szóstej klasy!

Chciałabym już bywać na prawdziwych balach i tańczyć z prawdziwymi mężczyznami!

A nawet mi już wstyd, że rok, jak skończyłam pensję i nawet ani razu nie byłam narzeczoną, to coś okropnego!

A tyle moich koleżanek już wyszło zamaż! a jedna to nawet umarła!...

„Pa“ nie chciał się zgodzić na p. Henryka!

Dopiero, jak „Ma“ dowiedziała się, że p. Henryk ma trzy bogate ciotki, to „Pa“ trochę zmiękł i powiada:

— Zobaczymy, psiakość nóżki baranie! Hipoteka to zwierciadło! A ciotki bez hipoteki to—nie tędy droga szanowny panie Henryku!

Splakałam się strasznie i tak się modliłam, żeby te ciotki były z hipoteką!... i zaraz nazajutrz

„Pa“ sprawdził, że wszystkie trzy mają domy i prócz pana Henryka żadnych sukcesorów!...

„Ma“ dała z radości na mszę, a ja suknię i zimowy kaftanik córce stróża naszego, jeszcze zupełnie dobre.

A wieczorem przy kolacji „Pa“ powiada:

— I student kochać się może, ale tylko porządnemu człowiekowi wolno się żenić, a ten twój świszczypała jest niezłym materiałem na porządnego człowieka...

I zaraz się zgodził!

Straszni materjaliści ci mężczyźni, jak mówi „Ma“.

Ja tam o majątek nie dbam!

Nigdy mnie to nie obchodziło! Dobrze jeszcze pamiętam te mądre zdania z wzorów do kaligrafji:

„Praca uszlachetnia i z bogaca, a pieniądz gubi“, albo to: „wytrwałością i pracą dobijesz się celu“...

To bardzo mądre... tylko trochę tego nie rozumiem, że praca z bogaca... zdawało mi się, że to pieniądz z bogaca... mniejsza z tem.

Nic mnie nie obchodzi, czy p. Henryk biedny, czy bogaty, bo ja go i tak k..., a że chciałabym ładnie mieszkać, bywać i jeździć własnym powozem, to chyba zupełnie naturalne, bo mam już dosyć tramwajów i jednokonek!...

Ciocia także była przeciwną, tłumaczyła ciągle „Ma“ i „Pa“, że p. Henryk, to żadna patryja!

Doktór, mający trzy ciotki z hipotekami, jest złą partją!

Obrzydliwe są te wdowy z pretensjami!...

Oho! mnie oczów nie zamydli, dobrze widziałam, jak przewracała do niego białkami... a tak się wciąż pudrowała i perfumowała, że aż Stokrotki uciekały od niej... i... wiem na pewno, że... że staniki i suknie ma strasznie watowane...

Rano to nigdy nikogo nie wpuszcza do swego pokoju, ale raz... naprawdę nienaumyślnie... zobaczyłam ją, jak się ubierała...

X Juzus! wyglądała jak pikowany materac!... to coś okropnego!...

A mizdrzyła się do niego, że aż się słabo robiło!

Myśmy się tylko śmiali z p. Henrykiem!

Nie, ja nie obgaduję nikogo, nie lubię plotek, a przytem to siostra „Ma“... ale naprawdę, to zgroza, żeby w tym wieku... i jeszcze...

.

„Stokrotek“ porwał mi pudełko z czekoladkami i uciekł pod kanapę... zbiłam go jak psa, ale czekoladki już nanie.

.

Późno wieczorem. Aż tutaj słyszać beczenie Zdzisia... ale dobrze mu tak, żeby nie pan Henryk, to sama jeszczebym co dołożyła...

Taki niegodziwy chłopak, że to coś okropnego.

Pan Henryk wieczorem, bo to dzisiaj sobota, i po kolacji, prosił mnie, abym co zagrała; poszłam do saloniku i, jak zwykle, przymknęłam drzwi

od jadalnego, żeby muzyką nie przeszkadzać „Pa“, bo czytał „Kurjera...“ i... ledwieśmy zaczęli szukać nut... a tu z pod kanapy ktoś krzyczy:

.

— „Hala, nie całuj się z panem Henrykiem, bo zaraz powiem mamie“...

To coś okropnego, żeby nawet nut poszukać nie można bez kontroli!

Dostał porządną frycówkę od „Pa“, ale popsuł nam wieczór, bo pan Henryk był zmieszany, powiedział, że go głowa boli i poszedł z „Pa“ na piwo...

Nie, żeby się tak zdetonować zaraz... tego naprawdę nie rozumiem.

A ta słodziuchna ciotuchna powiada, jak tylko wyszli:

— „Można i tak — ale to rzadko kończy się ślubem“.

To jędza dopiero, co?

A sama to miała trzech mężów i pięciu narzeczonych, to pewnie się z nimi nie całowała nigdy? Aha, może Zdziś w to uwierzy, ale nie ja.

Ja wiem, to wszystko mówi przez zazdrość i, że nie chciałam iść za jej protegowanego pana Guzikiewicza!...

Także partja!

Podobno jeszcze młody! wolę nie sprawdzać, ale zato łysy i jak chodzi, to mu się nogi składają w jedenastkę i czasem tak zabawnie wyskakują! A do tego ma fabrykę drutów! No, żeby chociaż szyn!

Potem toby mnie nazywali druciarką!

Nie chcę, niechaj sobie uszczęśliwia inną swojemi drutami i nóżkami!

Ale co kwiatów i cukierków miałam od niego!

Naprawdę, ale róże to sprowadzał z Nizy. „Pa“ mówił, że każdy transport kosztuje kilkanaście rubli!

A na Boże Narodzenie, to mi przysłał brylanty!... jak włoskie orzechy takie ogromne, a jakie cudne! To coś okropnego — „Ma“ kazała mi je zaraz odesłać zpowrotem...

Tak mi było żal... tak żal, że okropnie się zbeczałam, no bo „Ma“ nie pozwoliła mi się w nie ubrać nawet do teatru...

Przecieżby ich nie ubył!

Przymierzyłam je tylko ukradkiem...

Szkoda, że...

Ale ja i tak, chociaż mi nie daje brylantów, kocham pana Henryka!

Coprawda, to te jego bilety do teatru, kwiatki, nuty, książki, to mi się już porządnie przykrzyły.

.

11-go marca. Oho! Zdziś znowu płacze! Co ten chłopak wyprawia, to coś okropnego!

Pan Henryk bywa u nas na obiadach, w czwartki, soboty i niedziele. „Ma“ mówi, że nie wypada zapraszać go częściej, bo i tak codziennie bywa wieczorem na herbacie.

Dzisiaj po obiedzie wlaźł panu Henrykowi na kolana i mówi:

— „Niech pan zawsze przychodzi na obiady, bo jak pan jest, to mama daje leguminę“.

Myślałam, że się spalę ze wstydu; „Ma“ też się zmieszała okropnie, tylko „Pa“ się śmiał...

Ja nie wiem, co w tem śmiesznego, nie wiem...

.

Później. Miałyśmy z „Ma“ iść do magazynów, bo chociaż ślub ma być jesienią dopiero, ale już czas szykować wyprawę, a „Ma“ mi mówi:

— Kupimy wyprawę w Wiedniu, nie mów o tem nikomu.

— Pojedziemy do Wiednia?

— Będziemy tam przejazdem.

— Przejazdem, dokąd?

— Do Włoch! Tylko ani słowa nikomu.

Ubrała się i wyszła.

Pojedziemy do Włoch! ja pojadę do Włoch, będę miała wyprawę z Wiednia!

Nie, to wprost niemożliwe, nie mogę temu uwierzyć. „Pa“ stanowczo się nie zgodzi, chociaż „Ma“ zawsze umie go przekonać...

Ale do Włoch!...

Żeby tylko „Pa“ nie chciał kosztów odbić na mojej wyprawie.

Oho, nie pozwolę się skrzywdzić!

Ktoś dzwoni i „Stokrotki“ nie czekają, to pewnie p. Henryk!

Jak to dobrze, że „Ma“ jeszcze nie przyszła...

.

W nocy. Pan Henryk poszedł trochę wcześniej, bo ma dyżur w szpitalu...

Tak mówił. Wierzę mu, ale bo to wiadomo, co ci mężczyźni robią poza domem?

Był już w tym nowym płaszczu z peleryną i z bobrowym kołnierzem.

Bardzo mu w nim ładnie, bardzo, a tak nie chciał go kupić.

Ale postawiłam na swoim. Powiedziałam mu ostro, że dopóki będzie chodził w tym studenckim szynelu, nie pójdę z nim nigdzie...

Siedzieliśmy w saloniku sami i było nam strasznie dobrze... ogromnie mocny, aż mnie boki bolały i usta tak pieką...

Grałam mu trochę i rozmawialiśmy, jak się urządzimy.

Tak mi jakoś dziwnie duszno i gorąco!...

On chce do salonu ciemne obicia i meble! Także gust! Ciekawam, gdzie to widział? bo na całym świecie, we wszystkich salonach dają się jasne meble i obicia — o i od tego nie odstępę.

Później to muszę mu powiedzieć... że ta jego broda kłuży, teraz cała twarz mnie pali.

Straszną ochotę miałam, aby mu powiedzieć, że jedziemy do Włoch.

Coś mi jest dziwnego... takbym całowała i ścisnęła, że to coś okropnego.

Nie. „Pa“ nie zgodzi się na Włochy, bo trzeba będzie dom na wiosnę odnowić, już komisarz nie daje o to spokoju.

Tak mi jest smutno, takbym czegoś płakała... a ten niegodziwy Zdziś wyjadł mi wszystkie czekoladki.

Włochy i wyprawa z Wiednia, nie, popękają z zazdrości.

Pójdę do kuchni do Rozalji, bo już nie mogę sama wysiedzieć.

.

12 marca.

Taki śnieg, że nic nie widać przez szyby.

A ja się tak nudzę strasznie, że już wytrzymać nie mogę. Pan Henryk dzisiaj nie przyjdzie, napisał, że musi siedzieć przy chorej ciotce.

Ciekawam, co ważniejsze, czy jakaś tam ciotka, czy też narzeczona?

Ale „Pa“ powiedział, że skoro ciotka chora, to on nie powinien jej zostawiać samej ani chwili.

Rozumiem, ale kiedy ja się tak sama nudzę.

.

Wieczorem. Rozalja opowiedziała mi o tych lokatorach z pierwszego piętra, Bańkowskich! że wczoraj pani odprawiła bonę Niemkę dlatego, że

nosi szlafroccki i fryzuje się tak samo, jak jej córka najstarsza.

Co? także pretensja! stolarze z bogacen! a ciągle wyprawiają awantury to o piwnicę, to o górę, to im się ciągle piece źle palą!

Jabym dwudziestu czterech godzin nie trzymała takich lokatorów.

Heblowa arystokracja, a ona to się ubiera u Hersego! Fasa obrzydliwa, a już o wiorstę czuć ich wióra! I to tak się stawia, że nam się już nie kłaniają, od czasu, jak się z „Ma“ pokłócili o „Stokrotki“.

Że ją ugryzł w nogę, czy gdzieś tam, to wielka obraza!

Naprawdę, ale nie warto zajmować się jakimś tam lokatorami.

Dostałam list od Józki, to moja koleżanka, która wyszła zamaż na prowincję, winszuje mi zaręczyn.

Tak, prawda, ja jestem narzeczoną i mam narzeczonego.

Nie mogę czasem w to uwierzyć, a czasem to mi się zdaje, że to tak już było zawsze, zawsze.

Muszę napisać, jak się to stało.

Ale ja się małżeństwa nie boję, och, przy ślubie nie będę płakała.

To było jeszcze jesienią, w listopadzie.

Siedziałam w saloniku ze „Stokrotkami“ i wyglądałam na ulicę i strasznie się nudziłam, bo to okropnie nudne być panną na wydaniu. A do „Ma“ przyszła jakaś stara pani i rozmawiały w jadalnym —

nie podsłuchiwałam, nie, zajrzałam tylko cichutko, czy „Ma“ nie przyjmuje jej czekoladą.

Bo ja okropnie lubię czekoladę i usłyszałam, że ta pani mówi o jakimś młodym mężczyźnie, i czy on może u nas bywać.

Uciekłam od drzwi, bo robiło mi się strasznie gorąco, a potem tak się zbeczałam, że aż „Stokrotki“ skomlały.

A wieczorem przyszła „Ma“ do mojego pokoju i mówi:

— Hala, jesteś dorosłą panną!

— Ja wiem, że jestem dorosłą, a długiej sukienki to mi „Ma“ jeszcze nie daje.

— Jesteś dorosłą, dostaniesz długą sukienkę, no i pewnie pójdziesz kiedyś zamaż.

Rzuciłam się „Ma“ na szyję, bo ją bardzo, bardzo kocham i nigdybym się z nią nie chciała rozstawać, ale i krótkie sukienki, to też mnie trochę wstydzą.

— A wyjście zamaż, to ważna chwila w życiu kobiety-chrześcijanki!

— Ja wiem i... strasznie jestem ciekawa tej chwili.

— Ale zgóry wiedz i pamiętaj, że nawet najlepszy mąż jest jeszcze najgorszym!

„Pa“, który przyszedł później, jak to usłyszał, trzaskał drzwiami i wyniósł się do resursy.

I długo „Ma“ mówiła o świętości małżeństwa, o cnocie, o obowiązkach i t. p. dyrdymałki, które ja już dawno umiem napamięć, bo i ciocia to samo umie mówić, przy każdej sposobności!

Już od tych mądrości uszy mnie bola!

Ale com się „Ma” naprosiła, żeby mnie powiedziała, kto to chce się starać o mnie; nie powiedziała.

— Dowiesz się w niedzielę.

Naprawdę, ale umierałam z ciekawości, nie mogłam jeść nawet czekoladek i ciągle mi się chciało płakać.

A to był pan Henryk!

Myślałam, że to będzie ktoś zupełnie obcy!

O, bo ja pana Henryka znałam dawno, jeszcze z czasów pensjonarskich.

Teraz, kiedy jest już moim narzeczonym, to przecież mogę się przyznać!

Jeszcze na wiosnę przysłał mi cały pęk róż, ale „Ma” się rozgniewała i kazała je odnieść do kościoła.

A poznałam go u Naci, bo to kolega jej brata. Prześlicznie tańczy, tylko włosy nosi za długie i tak się źle ubierał... i strasznie ciągle wymyślał na bogatą burżuazję.

Nacia powiedziała mi w tajemnicy, że on jest soc... no, nie mogę więcej napisać...

Bałam się go, bo dobrze pamiętam, co „Ma” i „Pa” mówili nieraz z księdzem Tolem o tych strasznych ludziach.

Unikałam go, chociaż naprawdę bardzo mi się podobał, a on że często bywał u brata Naci, to, to... musiałam go spotykać.

Ale od urzędowego poznania, to już u nas bywał w każdą niedzielę, a czasem, jak „Pa” nie było, „Ma” zapraszała go, aby i w tygodniu przyszedł na herbatę.

Potem, w karnawale „Ma” urządziła dwa tańczące wieczory!

Jezus, takeśmy tańczyli mazura, że to coś okropnego, aż ta Bańkowska, z pierwszego piętra, przysłała służącą, że spać nie mogą.

Powiedziałam też służącej, że jeśli pani spać nie może, to niech jedzie na spacer, to jej dobrze zrobi.

Ale „Pa” się rozgniewał na mnie i nie dał już więcej tańczyć!

Ja wiem, bał się o „najlepszego lokatora”—przecież „Pa” się pierwszy kłania nawet tym z czwartego piętra z oficyny.

To też „Ma” za ten zakaz powiedziała mi taki „pater noster”, że długo będzie pamiętał!

I „Ma” miała rację, miała sto racyj...

Bo żeby się tak nie szanować i jeszcze dla kogo? dla jakichś tam zbogaconych stolarzy, to coś okropnego...

Nawet panu Henrykowi się to nie podobało, widziałam, jaki zły wychodził...

I pewnie... nie dokończyć mazura ze mną!...

.

Chodziliśmy do teatru, na ślizgawki, na spacery do Saskiego ogrodu i tak cały karnawał przeszedł.

Aż „Ma“ pyta mi się kiedyś:

— Cóż, nie oświadczył ci się jeszcze?

Ciekawam, kiedy się miał oświadczyć? Przecież ani chwili nigdy nie byliśmy sami. Jak nie ciocia to „Ma“, jak nie „Ma“ to ciocia, a w dodatku ten Zdziś niezdolny, że dwóch słów nie można było powiedzieć swobodnie, ani nic.

— Trzeba z tem skończyć, ja to urządzę, bo szkoda czasu... powiada „Ma“.

— I pieniędzy! — odpowiedziała ciocia.

Jakby te obiady, leguminy, ciastka wieczorem tak dużo kosztowały!

— A ja przez to prawie codzienne siedzenie wasze w nocy wypaść się nie mogę.

— To niech „Ma“ nas nie pilnuje i idzie spać!

— Chciałby tego aniołek, ja wiem, nic jej nie obchodzą wydatki, bo chciałyby się tylko po kątach całować ze studentami.

Ach ta ciocia, ta ciocia!

To pudło, ten materac!

Nie, już jak ja będę miała córkę, to bez żadnej ciotki, to niema sensu!

Strasznie chciałabym mieć córeczkę... ale taką maciupcią... ot tycią... z jasnymi włoskami i niebieskimi oczkami... codziennie inaczejbym ją ubierała... bo te chłopaczyska to mi się już sprzykrzyły.

Nawet nie wiem, poco ich przynoszą... bociany!... Ha! ha! ha!

Jakże to śmieszna bajka!

No i „Ma“ urządziła wszystko.

Zaprosiła pana Henryka w moje imieniny na obiad, bo „Pa“ już przedtem upewnił się co do ciotek.

Nigdy tego dnia nie zapomnę, nigdy.

Prawie nie spałam całą noc, tylko myślałam, myślałam, jak to będzie i strasznie mi się płakać chciało.

A rano bardzo stróż froterował podłogę w saloniku i w jadalnym, a Rozalja ze stróżką i „Ma“ robiły porządki.

Nie, nie mogłam się wziąć do niczego; napisałam tylko dwa meldunki, bo rewirowy przyszedł i jeden kwit na komorne...

„Ma“ kupiła mi na imieniny śliczny fular na suknię, a „Pa“ dał mi pocichu dwadzieścia pięć rubli, żebym sobie co kupiła.

Tak czekałam tego obiadu!

Musiałam z „Ma“ iść na mszę do karmelitów.

Ale nie mogłam się modlić, bo naprawdę, co zaczęłam czytać modlitwy, to mi się ukazywała twarz pana Henryka, a przytem tak zmarzłam!

W domu już zastałam listy od koleżanek i ogromny bukiet kwiatów, ale bez biletu.

Ubrałam się zaraz w tę nową suknię, w której raz tylko byłam w teatrze; ogromnie mi w niej dobrze.

Taka byłam czerwona, że musiałam się dobrze przypudrować.

A tak mi serce biło, że to coś okropnego...

Przyszedł zaraz po dwunastej!

Jak tylko zadzwonił i „Ma“ przez dziurkę od zatrasku zobaczyła, że to on, zabrała Zdzisia i poszła do kuchni.

Zostaliśmy tylko ze „Stokrotkami“.

I zaraz zaczął mi winszować, a potem mówił tak gorąco... tak mnie po rękach całował... że strasznie się bałam, żeby kto nie wszedł, no, i nawet jeszcze nie zdążył uklęknąć, ani całować... a „Ma“ już weszła... a potem „Pa“, a potem ciocia ze Zdzisiem.

Uciekłam i tak beczałam w swoim pokoju... że aż „Ma“ przyszła po mnie.

I stało się.

Przy obiedzie piliśmy wino szampańskie, upiłam się trochę, a potem siedzieliśmy już sami w saloniku i... tak mnie cało... Dziwna, ale te dawniejsze to... nie były takie jakieś straszne.

Wieczorem były jego wszystkie trzy ciotki!

Stare, poważne, ale takie wielkie damy!... Tak mi się wciąż przyglądały, że ciągle byłam ponsowa, byłyby zostały na kolacji, ale „Stokrotki“ pogryzły się z mopsem najstarszej ciotki, że ledwie ich pan Henryk rozdzielił.

Ja wiem, to Zdziś je poszczuł na siebie.

.

W tej chwili była służąca od ciotki Ani, tej z mopsem, pytać się, czy tutaj niema pana Henryka, bo nie był już u nich od wczoraj!...

Śmieszne te ciotki. I tak od zaręczyn codziennie przychodzi służąca od którejś z ciotek z narzekaniem, że nie był już cały dzień.

Mniejsza z tem.

Otóż, jak tylko wtedy ciotki wyszły, „Pa“ zabrał pana Henryka do swojego gabinetu.

Strasznie byłam zmęczona i poszłam do swojego pokoju, położyłam się na otomance, a przez drzwi wszystko było słyszać, co „Pa“ mówił, i — słyszałam.

Długo milczeli, musiała Rozalja przynosić im wino, bo słyszałam brzęk kieliszków. Już usypiałam, kiedy „Pa“ chrząknął i powiada:

Chciałem z panem pomówić szczerze o różnych różnościach.

Pan Henryk coś mówił, ale tak cicho, że nie słyszałam ani słowa.

— Bo, psiakość, nóżki baranie, jak się jest młodym, to tam różne rzeczy świtają w głowie, różne mrzonki: swoboda... nędza... całość... jeszcze kieliszek, co? Wyborne, co? Mówię panu niema, jak litewski.

Było się młodym i rozumie się młodość, ale jak się człowiek żeni, stwarza rodzinę, zostaje obywatelem, to uważa kochany pan, psiakość, nóżki baranie, powinno być ze wszystkim basta, na czysto!

Skończy pan medycynę, weźmie się pan do praktyki, ożeni, a praca, dobrobyt, porządek, sumienność, oto są nasze ideały, co mówię, oto ideały

wszystkich porządných ludzi na świecie i lojalność... tak, lojalność, psiakość, nóżki baranie, głową muru nie przebijesz, a żyć się musi.

Uważa kochany pan, a żyć się musi — jeszcze kieliszek, co? Uważa pan, zielony tak z 70-go roku. Pyszności wino. Mam tu jeszcze niezły zapasik, to dam wam połowę na wasze gospodarstwo.

Pan Henryk dziękował, słyszałam nawet, jak się całowali.

Ja bardzo kocham „Pa“, ale nie lubię, jak mnie całuje, bo tak zawsze bucha od niego piwo.

— Więc chciałem ci tak, panie Henryku, po ojcowsku, szczerze powiedzieć. Pluń na mrzonki i głupstwa, zostaw to tym półgłówkom i oberwańcom.

Rozsądek, kochany panie, rozsądek, to fundament społeczeństwa, na tem świat stoi! i tego nam potrzeba jak najwięcej.

Żona, dzieci, praktyka, to pole do pracy, szerokie pole do zacnej, pocziwej, obywatelskiej pracy, to ci mówię ja, Jan Gwalbert.

— Rozalja! przynieś nową butelkę...

— Więc jesteś na czysto? — zapytał.

— Ależ najzupełniej, daję panu słowo honoru. Znowu się całowali.

A ja kiedyś tak się bałam o niego, i nieraz taka byłam zła, że zajmuje się jakimiś głupstwami!

Rozalja przyniosła wino, a „Pa“ zamknął drzwi na korytarz i cicho mówił:

— Jeszcze jedna butelka i jedno pytanie.

Nie dosłyszałam wszystkiego, a tylko to:

...grzeszki, no, co to pan wie, a ja rozumiem...

Nie wiem, co odpowiedział pan Henryk, śmiali się tylko bardzo głośno.

— Bo jak mnie widzisz, ja, Jan Gwalbert, ja mąż, ojciec i obywatel, mogę ci dopomóc, jeślibyś tego, psiakość, nóżki baranie... potrzebował... Młode winko, panie kochany, musi wyszumieć... no, co?

Ale pan Henryk energicznie się czegoś wypierał.

A potem „Pa“ mówił ciszej.

— Było się młodym i wcale niczego... uważasz, panie kochany... nie jedna, psiakość, nóżki baranie, nie dwie... ho, ho i ja byłem Farysem, a jakże, a jakże, a szczególnie ostatnia Frania! Bruneta, biust jak materace na sprężynach, wspaiała, frontowa dziewczyna... mówię ci, tak chudłem, że moja narzeczona bała się, czy suchot nie mam. Ha! ha! psiakość, nóżki baranie, ale trzeba było się rozstać i powiedzieć, że się żenię. Uważa pan kochany, to rzuciła na mnie stołkiem, co?

Smok nie kobieta, widuję ją czasem na ulicy... ale...

Nie słyszałam już więcej, bo zaraz wyszli...

To dopiero ten „Pa“, nigdybym nie przypuszczała... a wydaje się taki, że ja za niego robię meldunki...

Aha! teraz rozumiem dopiero, dlaczego „Ma“ odprawiała Joasię, a „Pa“ cały tydzień sypiał w swoim gabinecie.

Naprawdę, ale ci mężczyźni, to coś okropnego.

Już ja pana Henryka będę dobrze pilnowała, mnie nie oszuka, oho!

„Ma“ mnie woła.

.

15-go marca. „Ma“ i „Pa“ się gniewają o podróż naszą do Włoch.

Trzy dni nic nie pisałam, bo w domu takie kwasy, nie mówią ze sobą i Rozalja ściele „Pa“ w gabinecie.

Ale nam zato nikt nie przeszkadza; chociaż taka korzyść.

Dzisiaj przyniósł pan Henryk próbki na całe ubranie wiosenne.

Wybrałam mu sama, bo to, co miał na sobie, strasznie mi się nie podobało... Musiał się i ostrzyc, teraz wygląda bardzo ładnie, a jeszcze w tym płaszczu, ani podobny do dawnego.

Bardzo szykowny teraz!

.

Muszę skończyć! Otóż, zaraz w niedzielę po oświadczeniach były urzędowe zaręczyny!

Prawdziwy bal!

Muzyka — skrzypce i fortepian. Na fortepianie grała jakaś daleka nasza kuzynka, zjadła za to kolację i mama jej dała starą salopę. Bo to takie biedactwo!

I tyle gości, tyle gości!

Był i ksiądz Tolo i radca Malinowski z córkami! Niecierpię ich, brzydkie, napuszone, stare i tak nosy do góry zadzierają.

Ja byłam ubrana w białą suknię, ale wysoko zapięta, bo „Ma“ nie pozwoliła mi nawet małego dekolte zrobić! Pan Henryk przyszedł we fraku, ale tak mu niedobrze w tem, że musiał iść i przebrać się w mundur.

A potem ciotki, wujaszkwie, znajomi, koleżanki moje; zaprosiłam tylko Cesię i Nacię, bo te jeszcze jako tako się ubierają.

Tyle ludzi, że nie mogli się pomieścić w salonie. I aż na cztery stoliki grali w karty!

Zdziś dostał nowy garniturek; stróża „Ma“ ubrała w stary frak „Pa“, żeby drzwi otwierał, a lokaja wynajęła...

Naprawdę miał taką minę, jakby gdzie u hrabiów służył.

A jaka kolacja!

Nawet ksiądz mówił do „Ma“, że nigdy podobnej nie jadł, a on przecież znać się musi na tem...

Była sarna, bażanty, ryby, lody, cukry, owoce i tak tego wszystkiego było dużo, tak „Ma“ pocziwa nic nie żałowała, że na każdą osobę wypadło po całym ananasie—naprawdę, po całym ananasie.

A przed kolacją ksiądz Tolo nas pobłogosławił i rodzice też i ciotki i tak się spłakałam, bo... potem ciotka Hortensja dała mi te kolczyki brylantowe... pan radca Malinowski miał śliczną mowę,

nic nie słyszałam... patrzyłam w lustro, jak się skrzyły kolczyki...

Panowie tak pili!...

A potem tańce...

„Pa“ tak się u..., że tylko chodził i śpiewał i chciał wszystkie panny całować, aż go „Ma“ zabrała... Spał u lokatorów na drugim piętrze. A Zdziś jak się dorwał do tortu, to zjadł pół piramidy z naszemi cyframi i tak się rozchorował, że aż pan Henryk musiał chodzić do apteki po lekarstwo.

I bawiliśmy się do dziesiątej rano.

Strasznie byłam szczęśliwa, strasznie!

A rano pan Henryk jak już odchodził... odprowadziłam go do przedpokoju... to... już nie zważał, że „Ma“ stoi w drzwiach, tylko tak mnie ca...

Było ciemno, to może i nie widziała...

Naprawdę, ale zaręczyny, to znacznie przyjemniejsze, niż taki zwyczajny bal.

.

16-go marca. Taki mróz na dworze, ale pan Henryk mówi, że i tak ślizgawki nie będzie, że zaraz puści. Szkoda, mam taki śliczny kostjum! Umyślnie na ślizgawkę „Ma“ mi kupiła.

.

Wieczorem. Jakie śmieszne są te ciotki pana Henryka!...

Siedzimy dzisiaj z nim przy obiedzie; dzwonią. Kto taki? Służąca ciotki Sylwi... i weszła do

jadalnego z ogromnem futrem, pewnie jeszcze po dziadku i powiada, że pani przysyła i prosi, żeby się Henryczek ubrał na ulicę, bo dzisiaj mróz, a Henryczek wyszedł tylko w palcie.

Służące mówią mu Henryczek!

Muszę ja to wszystko zmienić.

.

Jutro musimy z panem Henrykiem złożyć wizyty tym ciotkom.

.

18-go marca wieczorem. Byliśmy dopiero dzisiaj, bo wczoraj padał taki deszcz, że wyjrzeć nie można było...

Ledwie żyję i tak mi jest niedobrze, tak niedobrze, że...

.

Byliśmy u tych sławnych ciotek!

Boże, znowu mi tak... chyba ja nie umrę! a mam tyle sukien nowych, narzeczonego, kolczyki brylantowe... toby było okropne...

Najpierw pojechalśmy do ciotki Ani.

Zaraz, muszę sobie przypomnieć; ciotka Ania to ta z mopsami, na Kruczej; ciotka Jania z papugą, na Hożej; i ciotka Sylwja z wychowanicą, na Nowym Świecie.

Przyjeżdżamy do ciotki Ani, dom chyba dwa razy większy od naszego, tylko na schodach czuć psami, że to coś okropnego.

Była w domu, podziękowaliśmy jej, naprawdę, nie wiem za co.

Siedziałam, jak na szpilkach. Poczęstowała nas czekoladą i biszkoptami, a ten jej okropny mops cały czas warczał na mnie i wyszczerzał zęby.

A na odchodnem ciotka powiada:

— Zażyjcie dzieci po pigułce hemeopatycznej—taki czas wilgotny! to zrobi dobrze.

Zażyliśmy, co było robić. Już wychodzimy, a służąca niesie coś dużego w papierze.

— To dla was, moje dzieci, sama haftowałam!

Podziękowaliśmy i wyszli, ja byłam rozczulona wprost, ale pan Henryk się uśmiechał.

Pojechaliśmy na Kruczą do ciotki Jani.

Dom drewniany, stary, ale ogromne place pod ogrodem.

To młodsza ciotka, ucałowała nas, ale niewiele można było mówić, bo z dziesięć papug i te tak się darły, że pan Henryk musiał się z nimi witać. Poczęstowała nas czekoladą z biszkoptami!

Ogromnie miła staruszka, tylko znowu kazała nam zjeść po kawałku cukru z jakimiś kroplami od reumatyzmu i dała jakąś dużą paczkę.

— Weźcie, dzieci, to ja, ciotka wasza, sama robiłam.

Już mi się robiło jakoś gorąco, ale pan Henryk powiada:

— Odwagi, panno Halo, jeszcze jedna, musimy odbyć tę pańszczyznę...

Ciotka Sylwja! Otworzyła nam drzwi jakaś panienka, która odrazu rzuciła się na szyję panu Henrykowi!...

Tego to nie lubię... żeby...

Siedzieliśmy, a za chwilę znowu wnoszą czekoladę z biszkoptami!...

Jezus, aż mnie zamroczyło! Bo ja bardzo lubię czekoladę... ale raz dwie filiżanki, drugi raz dwie, tego już za wiele...

Ale musiałam pić, ciotka tak prosiła.

A tak mnie oglądała, że ciągle byłam w pon-sach...

— Kto ci robi suknie!

Powiedziałam.

— Fuszerka i brak gustu, będziesz od dzisiaj ubierała się u mojej magazynierki!

Nie śmiałam się odezwać.

— Kto cię czesze?

— Ja sama, a czasem „Ma“ mi pomaga.

— Źle, zupełnie źle. Zdejmno kapelusz!

Zdjęłam i aż mi się płakać chciało...

A ona zawołała służącą, zawołała też wychowanicę i do spółki mnie przeczesały, wyglądałam, że to coś okropnego, jak czupiradło... a do tego tak mi się zrobiło niedobrze... że prawie uciekłam, ale ciotka Sylwja dała mi znowu cały pakiet czegoś...

— Weź na nowe gospodarstwo. Ubieraj się, gdzie ci mówię, czesź się inaczej i niech cię Bóg ma w swojej opiece.

A potem, to pocałowała pana Henryka, i ta wychowanica całowała pana Henryka, i już nie wiem kto...

Ledwie przyjechała do domu...

.

Trochę mi przeszło.

„Ma“ powiada, że to te lekarstwa ich.

Dostałam trzy poduszki haftowane na kanwie, trzy patarafka pod lampę, trzy czapeczki włóczkowe na szkło od lampy i trzy abażury.

Żebyś mogła, tobym w tej chwili wyrzuciła na śmietnik...

Wprost obrzydliwe!

Ale już ja nigdy do nich nie pójde.

To rodzinka, co?

Nawet w teatrze takich śmiesznych nie widziałam.

.

19-go marca. Od wczoraj piekło, „Ma“ nie daje spokoju... wciąż idzie szturm o Włochy...

Boże, na czym się to skończy! Muszę iść spać, późno.

Do widzenia kwitnące pomarańcze!

A jeśli nie pozwoli?...

Ale... dałaby mu „Ma“ nie pozwolić!...

.

Warszawa 20-go marca.

Jedziemy do Włoch!

Naprawdę, jak kocham „Pa“ i „Ma“, jedziemy do Włoch.

Tak się tem cieszę, że wprost szaleję z radości.

Muszę iść powiedzieć o tem Naci i napisać panu Henrykowi, żeby przyszedł.

Boże, jaka ja jestem szczęśliwa!

A jeszcze przed godziną myślałam, że umrę z rozpaczy... że się otruję, naprawdę, tak myślałam... Esencja octowa jest w kredensie, a w „Kurjerku“ często piszą o takich otruciach...

Ciekawam, jakbym wyglądała po śmierci w trumnie?... Ubraliby mnie w białą suknię, w welon, mnie bardzo dobrze w białym kolorze z welonem... przymierzałam suknię ślubną Józi... i w kwiatkach, całe masy kwiatów... i pan Henryk w żałobie, zapłakany... „Ma“ płacze, „Pa“ płacze — i Zdzis i ciotka Cesia i „Stokrotki“... i księża... i znajomi... i śpiewy!...

Nie chcę, bo mi się już na płacz zbiera.

A jedziemy do Włoch.

„Pa“ długo nie chciał, wykręcał się i tłumaczył, to brakiem pieniędzy, to znowu, że nie można zostawiać na Boskiej Opatrzności domu, Zdzisia, „Stokrotek“ i cioci... ale, jak się „Ma“ zamknęła z nim w sypialnym...

Co to było! Co to było! Sądnym dzień! Piekło, rozpacz... śmierć! Straszną godzinę przeżyłam! To

dziwne, że nie osiwiiałam, bo podobno w takich chwilach ludzie siwieją?

Siedziałam w jadalnym, a tak się wszystko we mnie trzęsło, jak wtedy, gdy mi się miał oświadczyć pan Henryk...

Jaki on był wtedy śliczny! jak cudownie mówił: Henio Hałę kocha, kocha na śmierć, kocha na całą wieczność!

Tak to lubię, że musi mi to powtarzać codziennie...

Z pewnością, ale żadnej pannie nikt się jeszcze tak cudownie nie oświadczał!

Siedziałam cichutko! „Stokrotki“ wlażyły mi na kolana, i tak czekaliśmy we troje w strasznej niepewności, aż tu słyszę głos „Ma“:

— Chcesz mojej śmierci tyranie, skąpcze, niegodziwcze... Morderco żony i dzieci!

Jezus! Marja! myślałam, że mi serce wyskoczy! Dobrze, że przyszła ciocia ze Zdzisiem, bo naprawdę byłabym sobie zrobiła co złego.

A potem tak płakałam! tak płakałam, że i ciocia miała łzy w oczach i Zdziś beczał, i „Stokrotki“ tak żałośnie skomlały, aż Rozalja przyszła z kuchni i zawołała do sypialnego:

— Panienka umiera!

„Ma“ przybiegła, a „Pa“ popatrzył na mnie i uciekł, trzasnąwszy drzwiami, przyszedł dopiero na kolację.

Przyszedł pan Henryk i siedzieliśmy w saloniku, było trochę ciemno, to jest niezupełnie, bo drzwi do jadalnego były uchylone...

Boże, jaki on gwałtowny!... tak się bałam, żeby „Ma“ nie weszła, tak się bałam... Jeszcze mnie usta palą... a on tak mocno... tak słodko... Ma śliczne wąsy i bardzo mu dobrze w takim płaszczu do ziemi i strasznie go ko... co miałam mówić?...

Acha, siedzimy, a „Pa“ z przedpokoju już woła:

— Psiakość, nóżki baranie! Człowiekiem jestem, obywatelem jestem, ojcem jestem, jedziemy do Włoch. Ja, Jan Gwalbert Adamski, z żoną i córką Halą, jedziemy do Włoch!

— I ze „Stokrotkami“ — prosiłam „Pa“ — bo coby one bez nas robiły.

— Dobrze, córko, i ze „Stokrotkami“, psiakość nóżki baranie.

Chłopiec od kupca przyniósł za „Pa“ wino i bakalje. Wypiliśmy na szczęśliwą podróż, zjedli kolację i „Pa“ zabrał pana Henryka i poszli na piwo.

Myśmy się z „Ma“ i z ciocią spłakały z radości, aż „Stokrotki“ czekały, bo i one jadą z nami... Prawie cały dom.

.

Poleciałam do Naci, jeszcze siedzieli przy herbacie.

Nie rozebrałam się z żakietu, tylko im wołam z progu:

— Nic nie wiecie?

— Co takiego? — Zerwali się wszyscy.

— Nic nie widzicie we mnie? Niczego się nie domyślacie?

Milczeli.

— Jadę do Włoch!

Zawołałam głośno i chciałam uciec, ale brat Naci dopędził mnie przy drzwiach i sprowadził do jadalnego.

Krótko tam siedziałam, może parę minut. Już nigdy nie pójdę do nich.

Szkaradni ludzie, wystygli, zimni. Ja im raz jeszcze mówię, że do Włoch jadę, a oni się nie dziwią!

A matka Naci powiedziała, że to nic nadzwyczajnego, że każdy może tam jechać, byle miał pieniądze.

Jaszczurka! Rozumiem, zazdrości nam! Także figura.

Urzędniczyny! Boże, zmiłuj się. Mieszkają w trzech pokojach, Bóg tam wie jak za nie płacą i mówią, że jazda do Włoch, to nic nadzwyczajnego!

Rzym, Wezuwjusz, Papież, Florencja, morze, góry, Wenecja, to nic nadzwyczajnego!

Barbarzyńcy!

•

Później w nocy.

Nie, nie mogę zasnąć... twardo... dam ja jutro Rozalji, że mi tak posłała! Tak mi czegoś smutno! tak smutno... Zjadłam resztę czekoladek, które przyniósł pan Henryk i zakręciłam papiloty, bo zapomniałam ze wzruszenia... Tak marzę o Włoszech, o tej boskiej Italji, o kwitnących pomarańczach... o... zaraz, trzeba się dobrze namyśleć, co wziąć na drogę... i jak najmniej, bo „Pa“ już zapowiadał:

— Żadnych fatalaszków, brać rzeczy najpotrzebniejsze.

„Pa“ suknie nazywa fatalaszkami! Ach ci mężczyźni, niby tacy mądrzy, a najprostszych rzeczy nie mogą zrozumieć.

Niedobrze mi jakoś... to ze wzruszenia... Na siebie wezmę ten szary angielski kostjum... trzeba zabrać: wizytową, tę jedwabną, potem trzeba wziąć strojnniejszą, fularową, może się zdarzyć jaka herbatka tańcząca... potem kostjum wiosenny... prawda, przecie tam już wiosna i kwitną pomarańcze... Podobno Włosi są bardzo przystojni i bardzo zuchwali... ciekawam! Trzeba wziąć i białą nad morze, pan Henryk mówił, że mi w niej ślicznie...

Tak mi się oczy kleją...

.

Później.

Już usypiałam, ale „Pa“ przyszedł z piwa taki wesoły, że pocałował mnie, wywrócił fotel i chciał wejść w lustrzaną bielizniarkę, a „Ma“ tak się roz-

gniewała, tak krzyczała, aż „Stokrotki“ uciekły do kuchni i zaczęły strasznie szczekać. A ta niegodziwa, bez serca Rozalja, oblała je zimną wodą! „Ma“ ją wybiła, bo pieski mogły dostać zapalenia płuc, a „Pa“ obiecał jej dodatkową frycówkę na jutro, jak się wyśpi. Za karę musiała iść aż na Nowy Świat do apteki, po wodę sodową dla „Pa“ i po lniane siemię na okłady dla „Stokrotek“! Dobrze jej tak, bardzo dobrze!

No, ja mu powiem przed ślubem, ja nie chcę, żeby pan Henryk chodził na piwo i powracał tak późno... nad ranem... ja się tak boję spać sama...

Do widzenia, boska Italjo, do widzenia!

.

Za cztery dni jedziemy!

Ach, co mamy bieganiny, co pracy z przygotowaniem!

W domu pranie jeneralne... w saloniku dwie szwaczki szyją i reperują, pomaga im ciocia, bo „Ma“ nie ma czasu, odprawia rekolekcje na intencję szczęśliwej podróży.

Zdziś wybił szybę u lokatora z pierwszego piętra i powiesił na schodach kota tych tam handlarzy z oficyny!

„Pa“ chciał go wybić, ale ciocia obroniła, i tak mu za to tyranizowanie dziecka nagadała, że zaraz wyszedł.

Ciocia ma rację, żeby bić chłopca za stłuczenie głupiej szyby i za powieszenie kota, to trzeba być tyranem.

Oho! już ja się nie dam tyranizować panu Henrykowi! Jeszcze czego!

Wczoraj kupiłam dwie bluzki i kapelusz letni... nic już więcej, bo w Wiedniu podobno wszystko tańsze i ładniejsze. O, ja jestem bardzo oszczędną.

Pan Henryk chciał, żebyśmy dzisiaj poszli na odczyt prywatny... ale to takie nudne... bo już wiem zgóry, że będą mówili o tych biedakach robotnikach...

— Trzeba coś dla nich robić — mówi zawsze pan Henryk.

A my przecież bardzo dużo robimy dla nich: „Pa“ kupił tabliczkę Towarzystwa przeciwżebraczego, jest przybita na drzwiach, a ja z „Ma“ i z ciocią kwestowałyśmy na Wielkanoc u bernardynów, to mi moją, nowiusienką, śliczną suknię tak pokapali woskiem, że już nanic.

Cały wieczór studjowałam z panem Henrykiem Włochy.

O, ja znam dobrze Italję... Czytałam kiedyś, jeszcze na pensji, powieść Ouidy, działo się we Florencji i Rzymie...

Jakiś młodszy syn lorda kochał się w nauczycielce sióstr!

Boże, jaka to bolesna historja! Ona była chora na suchoty, a jemu nie pozwalał żenić się ojciec! Okropnie się spłakałam!

Wszyscy ojcowie są tyrani. Wszyscy.

A gdyby „Pa“ nie pozwolił mi iść za pana Henryka?...

Jezus, jakabym była nieszczęśliwa... Ale nie, bo dałaby mu to niepozwolenie „Ma“! Oho, nic się nie boję.

Zaraz, Włochy to półwysep, oblewany przez dwa morza: Adrjatyckie i... i... jakieś tam — mniejsza o jakieś głupie morze. Stolica Rzym ma mieszkańców, co mnie to obchodzi, a Neapol jest położony nad zatoką tegoż nazwiska, najpiękniejszą w świecie. W Neapolu jest Wezuwjusz i śpiewają: „O mia Napoli, o santa città”.

Aha, muszę sobie kupić sznur koralu, bo to teraz modne, no i tam są bardzo tanie.

„Ma“ powiada, że musimy być dłużej w Rzymie i widzieć Papieża!... Naturalnie, jak to być w Rzymie i nie widzieć Papieża!...

Pan Henryk twierdzi, że to będzie bardzo trudno, bo on zna takich, którzy byli w Rzymie i nie widzieli Papieża, ale „Pa“ powiedział stanowczo, że to się da zrobić.

— Psiakość, baranie nóżki, łapówkę wsunie się komu należy, trach... i wszystkie drzwi otwarte, jak wrota...

Cóżto, pierwszy raz będę miał z urzędami do czynienia, czy co? Zęby się na tem zjadło i grzeczną eksperjencję się ma, a przytem, wszędzie na całym świecie szanuje się porządnych ludzi, zwłaszcza, jeśli są posiadaczami z czystą hipoteką, bez grosza długów.

„Pa“ ma rację... „Pa“ ma sto dwadzieścia razy rację wołałam, bo p. Henryk uśmiechał się tak dziwnie.

Niecierpię go za te miny i zaraz po ślubie stanowczo mu tego zabronię, stanowczo, a jeśli nie zechce posłuchać, to pójdziemy do rozwodu, będę nieszczęśliwą i umrę...

On zawsze musi się sprzeczać z „Ma“ i „Pa“.

I o co? o głupiego stróża, że mieszka w mokrej piwnicy!

Mój Boże, a iluż to biedaków byłoby szczęśliwych, żeby mogło mieć chociaż takie mieszkanie!

„Pa“ kiedyś powiedział o nim: Filantrop, altruista z cudzej kieszeni.

Ale ja jestem pewna, że jego nic nie obchodzi ci stróża, a tylko umyślnie tak mówi, żebym się pogniewała i żeby mnie mógł przeproszać... a ja strasznie lubię, jak mnie tak gorąco, tak mocno... przeprasza...

Tylko żeby już raz skończył tę medycynę i wziął się do praktyki... no i żeby się już nie kryć ze wszystkim... bo ja zaraz mam takie głupie rumieńce... że... że... „Ma“ poznaje i krzyczy:

— Hala! ja ci dam całować się ze studentami!

No to czemu u nas nie bywa jaki hrabia, albo literat, przecież jabym wołała... nie, nie, napisałam niegodziwość, ale przy przepisywaniu na czysto wykreślę z pewnością, bo ja kocham pana Henryka ogromnie, strasznie, nadzwyczajnie go kocham

Mój dzióbek słodki, mój piesek kochany, mon
petit cochoń drogi...

Ktoś dzwoni!

On ogromnie lubi, jak mu tak mówię, tylko
chce, żeby go po każdym słowie c..., ja to strasznie
lubię, ale boję się, bo „Ma“ mówi, że całowanie
przed ślubem, to miłość na kredyt i rzecz bardzo
grzeszna... „Ma“ to wie bardzo dobrze, bo, jak się
ciocia wygadała, „Ma“ miała dwóch narzeczonych...
i nie umarli, tylko, tylko się nie ożenili z „Ma“.

Obrzydliwi ci mężczyźni!

Ktoś dzwoni!

Dlaczego Rozalja nie otwiera?

Aha, musi być w bramie z tym lokajem
z pierwszego piętra...

Widziałam raz, jak się całowali na schodach.

Te służące, to istoty bez czci i bez wstydu —
żeby się całować po schodach! i do tego z lokajami!

To wprost obrzydliwe!...

.

Była u mnie Cesia, moja najserdeczniejsza
przyjaciółka i najdawniejsza, bo jeszcze na pensji
przysięgłyśmy sobie przyjaźń i podpisałyśmy to
krwią z serdecznego palca.

Naprawdę, jak kocham „Ma“ i „Pa“, prawdzi-
wą krwią.

Nagadałyśmy się, nagadały.

Ach, ona jest bardzo nieszczęśliwa w miłości,
bardzo! kocha się w Przybyszewskim! ja to rozumiem,

bo sama kochałam się bardzo nieszczęśliwie... cały miesiąc w jakimś cudnym chłopcu...; fotografia jego była wystawiona na Krakowskim Przedmieściu! To codziennie umyślnie przechodziłam, żeby się na niego popatrzeć! A tak się bałam, żeby kto nie zauważył!

Pan Henryk mówi, że Cesia jest ładna i bardzo inteligentna.

Tak, twarz ma niczego, ujdzie, ale nieprawda, że inteligentna, jeszcze na pensji, to z francuskiego miewała same dwójki, a czasem i „konia“. Co prawda, to i twarz ma za chudą, bez cery, nos za długi, a oczy, jak pudełka szuwaksu.

Tym mężczyznom, to nawet pokojówki mogą się podobać!

Gdzie jej do mnie! A przytem biedactwo już drugi rok chodzi w tym samym żakiecie!

Ogromnie mnie namawiała, żebym koniecznie, jak będę w Krakowie, poznała Przybyszewskiego... Kuzynek Jaś przywiózł mi jego książki!

Śliczne, ale takie jakieś, takie... oho, znowu te głupie rumieńce.

Skaranie boskie z temi rumieńcami, już i cytryny jem i pudruję się, nic nie pomaga, zawsze mnie zdradzają.

Dała mi paczkę do niego i przyznała się, że sama także pisuje!

Ceska pisuje do druku! Ha! ha! to paradne, miała dwójki z języków i pisuje do druku!

Przecież nawet „Pa“ jak daje ogłoszenie do „Kurjerka“ o lokalach do wynajęcia, to musi mu pomagać pan Henryk.

A ona pisuje sama i do druku!

Muszę o tem powiedzieć Naci, uśmiejemy się wybornie.

Ale Przybyszewskiego muszę poznać koniecznie, bo, bo ja strasznie lubię dekadentów.

Pan Henryk śmieje się ze mnie, ale cóż bo pan Henryk?... zaledwie student! i każe mi tylko czytywać naszych wielkich poetów—kiedy... kiedy ten Mickiewicz taki nudny, że już wolę się gonić po jadalnym ze „Stokrotkami“.

Czytałam przecież „Pana Tadeusza“, ta Zosia to głupia gęś, źle wychowana i nieprzyzwoita panna, żeby w papilotach i boso przełazić przez płoty! Może to dobre tam, gdzieś na prowincji, ale nie u nas w Warszawie. Gęsiarka!

A i wiersze Słowackiego! Czytałam kiedyś głośno po kolacji, to „Pa“ powiedział:

— Klituś, Bajduś, módl się za nami, a komorne ja już sam odbiorę.

I poszedł z panem Henrykiem na piwo.

Kuzynek Jaś przywiózł mi Altenberga, przeczytałam całego.

Boże, jakie to śliczne, a szczególnie ten ustęp, któryśmy z Nacią wyhaftowały na kanwie:

„Palila „Princessy“ i patrzyła na ratuszową wieżę, a on palił „Sułtany“ i patrzył na ratuszową wieżę, a oczy się ich spotkały na wieży ratuszowej“.

To nowy dreszcz, jak powiedział kuzynek Jaś.

Dlaczego pan Henryk nie napisze jakiej książki?... przecież skończył gimnazjum, jest na piątym kursie i taki uczony... chciałabym, żeby mój mąż był sławnym... bywalibyśmy wtedy wszędzie, a może i u arystokracji!

Powiedziałam o tem przy kolacji.

„Pa“ wyśmiał się ze mnie i powiedział, że porządny doktor zarabia więcej niż dziesięciu głupich literatów, którzy przeważnie chodzą bez butów i nie płacą komornego!

Pewnie, że „Pa“ ma rację, ale ja strasznie lubię dekadentów.

Idę już spać, bo „Ma“ się gniewa, że tak dużo nafty wypalam.

Dobranoc Włochy, do widzenia.

...a oczy się ich spotkały na wieży ratuszowej...

.

24-go marca. Sobota. Jedziemy we wtorek-Boże, czy ja się doczekam.

Tak się boję, żebym nie umarła, albo nie za chorowała przed wyjazdem! P. Henryk przysłał mi kwiaty i łożę na operę. Śpiewa Battistini! Strasznie jestem ciekawa go zobaczyć, bo wszystkie panny się w nim kochają...

.

Wieczorem, po teatrze. Jakie toalety, jakie brylanty, jakie kwiaty! Jestem jeszcze nieprzy-

tomna z wrażenia! Boże, jakżebym chciała mieć suknię balową, głęboko dekolowaną i sznury brylantów we włosach!

Przecież mam już osiemnaście lat, jestem dorosła, a „Ma“ obiecuje mi dopiero na przyszły karnawał sprawić suknię dekolte, a ja mam przecież śliczny biust. Zdjęłam szlafroczek i przejrzałam się teraz naprawdę, ale mam ładne ramiona... a jeszcze, jakbym do balowej sukni wzięła wysoki gorset, to... to... nie wyglądałabym w pierśsiach tak szczupło.

Jaki on śliczny, a jak śpiewa! aż mrówki czułam w plecach i tak mi się zrobiło gorąco i niedobrze, że myślałam, iż zemdleję... aż mi „Ma“ rozpuściła trochę gorset. Nie, on nie jest za ciasny, tylko Rozalja za mocno ściągnęła. Teatr był pełny, panowie we frakach i taki entuzjazm, że aż panie płakały, a jedna, włożyła naprzeciwnie, dostała spazmów i wszystkie tak krzyczały, tak rzucały kwiaty, tak bisowały, że... aż nie wiem, czy to wypada... tak przy wszystkich...

Pan Henryk powiedział, że to damy z finansów i arystokracji.

W wielkim świecie widać to wypada, ale ja bym się trochę wstydziła...

Wyszliśmy przed skończeniem, bo „Ma“ dostała migreny i niepokoiła się, żeby czasem Rozalja na złość nie dała „Stokrotkom“ gulaszu z obiadu, mogłoby im to zaszkodzić.

Ach te służące, nigdy nie można na nich polegać!

Zdziś już spał, i ciocia, i „Stokrotki”, ale Rozalji nie było.

Pan Henryk musiał zawołać stróżki, żeby nam zrobiła herbaty i odgrzała co z obiadu.

Wszyscy byli bez humoru, „Ma” zabrała „Stokrotki” i poszła spać, a „Pa” pił piwo z panem Henrykiem i wkońcu powiedział:

— Psiakość, nóżki baranie, to blaga ta muzyka dzisiejsza! Cóż mi to za opera, z której nic wygwizdać nie można. Moniuszko, ten ma kawałki ładne, Verdi, to jest muzyka, można ją nawet wygrać nożem na pustej butelce... Ale Wagner i jak się tam wabia... to zawracanie głowy porządny ludzom i nic więcej...

Tak, „Pa” jest muzykalny, bo ile razy ja gram nowego walca, albo na podwórzu zagra katarynka, to on wszystko zaraz wygwizdże...

.

Niedziela. „Pa” przy śniadaniu się irytował, że za wiele bierzemy walizek.

A za ledwie jest cztery, mały koszyk i kufer!

Same najniezbędniejsze rzeczy. Prócz tego „Ma” zapakowała dwa funty herbaty, szynkę i parę funtów cukru, bo tam podobno wszystko bardzo drogo.

„Pa” zabiera dwa tysiące papierosów.

Idziemy zaraz na sumę, czekamy tylko na pana Henryka.

.

Wieczorem. Już wieczór! Boże, jak ten czas prędko leci! Nie, właściwie tak wolno się wlecze, że już nie wiem, czy się doczekam tego wtorku! Żeby to prędzej, bo suchot dostanę i umrę, albo co.

Poszliśmy sami do kościoła, bo pan Henryk nie przyszedł, tłumaczył się później, że musiał za kolegę dyżurować w szpitalu, że było tylu chorych nowych... ale „Ma“ mu powiedziała:

— Obowiązki względem Boga są ważniejsze; ten jest tylko człowiekiem, kto je wypełnia sumiennie i nie zna wyższych ponad nie!

O, „Ma“ umie mówić. Mnie się żal zrobiło pana Henryka.

Coprawda, chorzy mogli poczekać, przecież i tak odrazu nie wyzdrowieją! a ja musiałam iść tylko z „Ma“ i „Pa“ do kościoła.

Nie lubię w niedzielę chodzić do kościoła, bo taki tłok, taki zaduch i tyle pospólstwa, że wytrzymać nie można. A tak się to wszystko tłoczy i rozpycha, jak u siebie w domu, całą falbanę oberwali mi dzisiaj!

Naprawdę nie powinni tak wszystkich wpuszczać do kościoła.

Dopiero po kazaniu przyniósł nam kościelny krzesła.

Takie długie to nabożeństwo. Ja się modliłam, ale cóż ja zrobię, kiedy już na ofertorium tak mi ciężły powieki, że musiałam je podnosić palcami, a i to nie pomogło.

Pan Henryk czekał już na nas przed kościołem i poszliśmy razem przejść się po Krakowskiem Przedmieściu.

Pogoda była okropna, kapalo z dachów i takie błoto!

Ale tak przyjemnie patrzeć na ludzi, na dożki, na tramwaje... szkoda tylko, że w niedzielę pozamykane są wystawy sklepowe.

Spotkaliśmy Ceśkę z matką, ukloniłam się im, ale... ale była tak ubrana, że doprawdy trochę mi było wstyd... nie miała nawet kaloszy i siedł z nimi ich lokator.

Okropny, nieuczestany i w takim oberwanem palcie! Jak ona się nie wstydzi chodzić z nim po ulicach.

A potem szły panny Malinowskie z ojcem. Wcale nieładne i tak pretensjonalnie ubrane... ale „Pa“ powiedział, że każda z nich, sztuka w sztukę, warta po sto tysięcy i jedną ciotkę bogatą.

Wcale mi to nie imponuje. Tylko to jest niesprawiedliwe, żeby takie brzydkie były tak bogate.

Jakichś dwóch panów przechodziło koło nas i jeden powiedział cicho: patrz, jaka śliczna dziewczyna! Czułam, że się rumienię. Ale naprawdę to było do mnie, bo tak mi zajrzał w oczy.

„Ma“ powiedziała, że wkrótce porządni ludzie nie będą mieli gdzie spacerować, bo już wszystkie szwaczki, wszystkie sklepiczarki spacerują po Krakowskiem. „Ma“ mówi prawdę, bo spotkaliśmy naszych lokatorów z drugiego, którzy mają sklep z papierem! Jakie kapelusze, jakie okrywki, jakie miny, naprawdę, ale lepiej się ubierają, niż my, a o komorne to „Pa“ nie może się doprosić i już im robił zajęcie.

Byliśmy także na wystawie sztuk pięknych, bo deszcz zaczął padać... i ani jednej dorożki nie było... Chodzimy tam często, bo „Pa“ jest członkiem. Ogromnie dużo ludzi było! Boże! jaki ja tam widziałam kapelusz! filcowe czarne rondo, główka ubrana czarną jedwabną krepe, otoczona ogromnymi piórami strusiem i nad czołem spięcie z brylantów! Cudny poprostu! Żebym ja to mogła mieć taki! a brylanty prawdziwe, widziałam, umyślnie zaszłam zboku pod światło, błyszcząły, jak gwiazdy!

Ale na wystawie niema nic szczególnego, same wody, lasy, zachody słońca, młyny, lepsze widziałam na letniem mieszkaniu.

„Pa“ powiedział, że na drugi rok już nie kupi biletu, bo szkoda pieniędzy i mamy już dosyć tych landszaftów, jakie Towarzystwo daje członkom, chyba, że będą dawali w porządnym ramach!

Pan Henryk zaprowadził nas do osobnej sali na „Szał“ Podkowińskiego. Ciągłe o tem piszą w „Kurjerach“ i cała Warszawa chodzi oglądać.

Tak się zmieszałam, tak mi było wstyd, że udawałam, iż patrzę na inny obraz, bo ona na tym obrazie jest zupełnie... no zupełnie bez ubrania... ale śliczna, tylko, że włosy to ma z pewnością farbowane.

Wyszliśmy zaraz, bo „Ma“ się oburzyła na pana Henryka, że na takie bezecne rzeczy nas zaprowadził.

„Pa“ się też rozgniewał i powiedział takie pater noster panu Henrykowi, że aż mi żal go było... że... Powiada „Pa“:

„Psiakość, nóżki baranie, gdzie tu jest sztuka? — Goła pannica na koniu — to ma być sztuka? — sztuka dla porządnych ludzi, dla rodzin polskich! nasza, polska sztuka? — Albo ja, Jan Gwalbert, ja mąż, ja ojciec, ja obywatel się nie rozumiem na sztuce, albo świat idzie na psy, albo na socjalisty. I ma tu być polska sztuka! malują gołe panny, jakieś nastroje, jakichś oberwańców, chłopów, żydów i inne tałająstwo i ma tu kraj się podnieść! Maj nas za to szanować! Nie, musimy zginać! I do tego każą nam płacić za oglądanie takich paskudztw, każą chodzić, każą popierać polską sztukę, bo inaczej, to gazety wymyślają nam zaraz od Bóg wie jakich. Cóżto, psiakość, nóżki baranie, to ja płacę pięć rubli rocznie gotowemi pieniędzmi i nie mogę zaprowadzić córki, ani żony na wystawę, żeby się nie zgorszyły! Pokazują nam za nasze własne, ciężko zapracowane pieniądze gołe lafiryndy, porozbieranych parobasów

i jakieś tam głupie ni w pięć ni w dziewięć figlasy! To są kpiny z porządnych ludzi! Trzebaby o tem napisać do „Kurjera“. Co oni sobie myślą... ci... ci... pacykarze... Jak sufitu, to niema kto porządnie namalować, bo wszyscy są panowie artyści-malarze! Tfu! psiakość, nóżki baranie“...

Dawno nie widziałam, żeby się „Pa“ tak mocno rozgniewał.

Poszedł do swego pokoju i mówił, że zaraz musi o tem napisać do „Kurjera“, żeby mu nie przeszkadzać...

Rozalja zaniósła mu kawę i powiedziała, że „Pa“ się położył i prosił, żeby Żdziś nie hałasował, bo odpocznie i zaraz się weźmie do pisania...

Myśmy z panem Henrykiem poszli do saloniku, żeby nie przeszkadzać i zaledwie zaczął mnie przepraszać... weszła ciocia.

Że też te ciotki to nigdy nie wiedzą, kiedy wejść... Jakby nie miały swego pokoju...

Pan Henryk tłumaczył, że „Pa“ niesprawiedliwie sądzi sztukę dzisiejszą. Może ma rację, ale „Pa“ od tylu lat jest członkiem Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, to także musi się znać na sztuce...

.

Wieczorem. Jutro poniedziałek, a we wtorek rano jedziemy!

Boże, to jeszcze całe dwie noce i jeden dzień!

Przed wieczorem przyszła Nacia i prosiła nas, abyśmy do nich poszli na herbatę, że będzie parę osób znajomych i jeden malarz i jeden młody literat!

Nie byliśmy.

„Pa“ powiedział, że ma już dosyć połędwicy z groszkiem, kiepskiego piwa i preferansa po groszu. Woli iść do resursy na winta i poszedł na cały wieczór. „Ma“ z ciocią poszły na rekolekcje do pijarów, a pan Henryk miał iść zaraz na dyżur do szpitala.

Ale czy poszedł? Czy to można wierzyć mężczyznom?

Przecież my kobiety zawsze jesteśmy ofarami i męczennicami, jak „Ma“ mówi.

„Stokrotki“ już śpią, a ja jestem taka sama, taka najsamsza...

.

Poniedziałek. To już jutro!

Nie, nie chce mi się wierzyć, że to już naprawdę jutro.

Umieram z niecierpliwości.

A „Stokrotki“ tak skomlą radośnie i tak się cisną do mnie, aż mi się chce płakać czegoś...

„Pa“ musiał znowu przyjść późno, bo „Ma“, kiedy przyszedł na śniadanie, nie dała się pocałować i wyszła z pokoju.

O, jabyłam już całe życie się gniewała. I właśnie na złość, kiedy mąż przychodzi późno, to i ja-

bym przychodziła jeszcze później, jeździłabym na bale, tańczyła, chodziła na maskarady, do teatrów. Oho! znalazłabym zawsze kogoś, ktoby mnie odprowadzał. To nie takie trudne.

Przecież tej doktorowej z pierwszego piętra to zawsze towarzyszy ten wysoki blondyn... Już się „Ma“ nawet tem gorszy.

A jakby mi mąż robił wymówki, to powiedziałabym zimno, nie patrząc na niego: „Co, mój mężu? Dobrze, mój mężu? Jak chcesz, mój mężu!“ Ciekawą miałby minę i na pewno oduczyłby się przychodzenia nad ranem.

Teraz dopiero rozumiem, co ciocia zawsze mówi „Ma“:

— Kobieta, jeśli chce być szczęśliwą, musi sobie męża wychowywać i urabiać. Od pierwszego dnia nie pozwalać na żadne wybryki i trzymać go żelazną ręką. Obietnicą pieśszoty można mężczyzn zaprowadzić chociażby do zbrodni!...

Ciocia miała trzech mężów, no i tak ich urabiała... że pomarli! Ale swoją drogą ma rację, że jak się gniewam na pana Henryka i nie dam się c..., to taki pokorny, tak mi w oczy patrzy prosząc, i zawsze później robi to wszystko, czego chciałam...

A „Ma“, jak się gniewa z „Pa“, to zawsze dysponuje Rozalji przy kolacji:

— Pościelesz panu w gabinecie!

.

Już ja nie będę nieszczęśliwą — niema głupich!

.

Później. Zrobiłyśmy z mamą kilka wizyt pożegnalnych. Wszędzie się ogromnie dziwiono, że jedziemy do Włoch, winszowano tak serdecznie, życzo no przyjemnej i wesołej podróży...

Nie mnie brać na serdeczność, wiem dobrze, jak nam zazdroszczą.

„Ma“ tłumaczyła, że jeszcze dwa lata temu, podczas choroby, złożyła ślub, że na podziękowanie za wyzdrowienie odbędzie pielgrzymkę do Rzymu i innych miejsc cudownych.

Ciekawam, poco takie tłumaczenie?...

Jedziemy do Włoch, bo nam się tak podoba, bo mamy na to i koniec. Niech nam zazdroszczą, ja to strasznie lubię.

Wstąpiłyśmy do Hersego. Nie, nic nam nie potrzeba, ale ja tak lubię oglądać materjały... Takie chłodne te jedwabie i takie miękkie, że ile razy zanurzę w nich ręce, to mnie przejmuje dziwny, rozkoszny dreszcz... A przytem, u Hersego, można zawsze zobaczyć jakiś nowy fason, który już z opowiadania robi nam nasza krawcowa; a czasem zdarzy się tanio kupić jakąś resztkę...

Jutro rano, o szóstej, odprawi u karmelitów ksiądz mszę na intencję szczęśliwej podróży!

Pójdziemy wszyscy, a „Ma“ prosiła na nie i znajomych bliższych i niektórych lokatorów.

Wątpię, czy przyjdą, chyba lokatorowie, żeby potem nie zapłacić! Gdyby to mnie tak prosili, nie poszłabym! A jakże, życzyć szczęśliwej drogi innym, a samej w domu siedzieć.

.

Ogromnie się spracowałam.

Przyszła Nacia z Ceśką, żeby się raz jeszcze ze mną pożegnać, więc nagadałyśmy się, zjadłyśmy pudełko czekoladek i... pokazałam im wszystkie, jakie zabieram, suknie.

Nie chciały oglądać, bo już były zapakowane, pokazałam umyślnie...

Ucałowałyśmy się na rozstanie serdecznie, ale czułam, że mnie nienawidzą.

— Mała strata, krótki żal.

.

Wieczorem. „Ma“ i „Pa“ dopisują się w moim dzienniku!!!

Co?...

Także awantura!

Zaraz opowiem, jak to było.

„Pa“ nie przyszedł na kolację. Siedzieliśmy sami. Pan Henryk trochę się zirytował... ale naprawdę, bo kotlety były tak odgrzane, że zimne poprostu we środku. Ciocia poszła wykrzyczeć Rozalję, a myśmy przeszli do saloniku. Ledwie Zdzisia wyprawiła spać, bo upierał się smarkacz siedzieć z nami... Nieznośny chłopak!

Przy kolacji nadeptywał mi na nogę tak mocno... że myślałam... i chociaż rumieniłam się, ale oddałam leciuchno... a ten łobuz w śmiech!

Kiedy on to mógł widzieć?... Nie wiem, czy raz tak było... a i to wypadkiem, przy gościach, bo ciasno było przy stole...

Naprawdę, ale takich dużych chłopaków nie powinno być w domach, gdzie są dorosłe panny i bywają młodzi ludzie...

Otóż siedzieliśmy przy mojem biurczku pod oknem. Przymknęłam drzwi do jadalnego, żeby „Ma“ nie przeszkadzać, bo odbierała bieliznę od praczki.

Pan Henryk mnie prosił, abym pamiętała o nim w podróży, żebym często, codziennie, pisywała do niego...

Nigdy w życiu nie pisałam jeszcze do żadnego mężczyzny! A i do pana Henryka ani razu, no, bo nie wypada, a potem, przecież widzujemy się codziennie; ciekawam, czy ja potrafię ułożyć dobrze list do niego?...

O czym się pisuje do narzeczonego?

Muszę nie zapomnieć zabrać z sobą pudełka z papierem, a mam śliczny, liljowy ze złotymi monogramami.

Pan Henryk dał mi go na imieniny, nie używałam go jeszcze, bo mi szkoda! Ciocia powiedziała, że powinien mi być dać wtedy coś z biżuterji, ale „Ma“ twierdziła, że to jeszcze nie wypadało, bo wtedy nie byłam jeszcze jego narzeczoną...

Ale ciekawam, co mi da teraz na imieniny?

Już mu nieraz napomykałam delikatnie, że ogromnie lubię brylanty i szafiry...

Bo, tak mówiąc naprawdę, to już te kwiaty, książki, nuty i cukierki sprzykrzyły mi się... mam ich dotąd, a szczególnie kwiaty i książki...

To dobre, ale dla pensjonarek i podlotków!

Chwała Bogu, że wyszłam już z krótkich sukienek i sentymentalizmów.

I dobrze wiem, co mi się teraz należy.

Otóż pan Henryk tak prosił o pamięć, tak prosił... aż się żardynierka przewróciła i wszystkie kwiaty bach na dywan!

Wpadł „Pa“ i...

Musiał widzieć, bo... bo staliśmy tak blisko przy sobie...

Wcale nie wiedziałam, że „Pa“ przyszedł.

Pan Henryk tłumaczył, że ja mu czytałam swój pamiętnik i przez to żardynierka się przewróciła.

Taki był niezręczny, taką miał zabawną minę, że nie mogłam się powstrzymać od śmiechu!

Bo żeby się tak naiwnie tłumaczyć, to trzeba być... narzeczonym!

— Aha, psiakość, nóżki baranie! Lepiej żebyście to po ślubie sobie przeczytali, byłoby zdrowiej i taniej, bo za ten wazon z palmą ja sam gotowemi pieniędzmi zapłaciłem piętnaście rubli.

Ale się nie gniewał! Chodził długo po pokoju, przystawał, patrzył, jak pan Henryk zbierał skorupy, a potem stanął przede mną i powiada:

— Pamiętnik! Ty Hala piszesz pamiętnik?

— Tak „Pa“, piszę pamiętnik! — szepnęłam, bo „Pa“ miał taką minę, że płakać mi się chciało.

— Rozumiem, takie tam ptaszki, kanarki. Mój Boże! Jestem nieszczęśliwa! Pójdę na bal, byłam na balu, krawcowa zepsuła mi suknię, bzy już kwitną w ogrodzie botanicznym, chciałabym umrzeć, pójść do klasztoru, albo iść zamaż — takie tam panięńskie faramuszki.

Zaczął się śmiać, a ja się tak rozgniewałam, że chciałam iść do „Ma“. Nie puścił mnie, posadził na krześle i powiada:

— Pokaż coś tam nabazgrała.

— O co to, to nie! Nigdy w życiu!

I nie pokazałam!

„Pa“ się gniewał, ale nie pokazałam, jeszcze czego...

— Wszystko mi jedno. Nie pokażesz, dobrze, ale i ja, i matka będziemy się dopisywali!

— Ale nie w moim kajeciku!

— Właśnie, że w twoim, bo i radca Malinowski pisze razem z córkami.

— Ale „Pa“ nie zajrzy, nie będzie czytał tego, co napisałam. Da „Pa“ na to zaraz, przy panu Henryku, obywatelskie słowo honoru.

Dał uroczyste słowo honoru,

Wierzę, ale wolę karty zapisane pozalepiać brzegami, to jeszcze pewniejsze, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże, jak mówi ciocia.

Ale „Pa“ nie chciał powiedzieć, skąd mu się wzięła taka chęć do pisania.

Wiem, że pisać nie lubi, bo przecież mel-dunki ja prowadzę za niego.

— Z czasem się dowiecie, a może dopiero dzieci wasze, albo dzieci dzieci, albo i tam da-lej... — powiedział, pocałował mnie w czoło i za-raz kazał przynieść kajecik.

Zlepiłam brzegi, zaraz odniosę.

To już jutro w południe.

Jak mi serce bije.

Cicho „Stokrotki“, nie piszczcie, jutro już jedziemy, bo już jutro o tej godzinie będziemy daleko za górami... za morzami... e, chyba tak da-leko jeszcze nie.

Ale ten „Pa“, żeby myśleć, że ja mogę pi-sać takie dzieciństwa!

Ale to tak zawsze, ojcowie i mężowie prze-siadują tylko w knajpach, zajmują się interesami i nigdy nie mają czasu poznać swoich żon i córek...

Umyślnie tej karty nie zakleję, niech „Pa“ przeczyta...

.
.

Dopisek „Pa“. Warszawa, dnia 25-go marca, 1899 roku, o godzinie 10-tej minut 21 wieczorem,

w domu przy ulicy Leszno, pod Nr. 111/2174, policyjnym, cyrkuł III, Mostowski.

— Zaczynam w Imię Boże.

Muszę się skupić, żeby nie zgubić ani jednego słowa, ani jednego szczegółu, bo, jak mówi radca Malinowski, wszystko jest ważne dla potomności.

Zaczęło się to w resursie, przy preferku, tanim, złotówka za sto, bo to psiakość, nóżki baranie, ciężkie czasy, podatki, policja, kanalizacja, wodociągi i inne głupie wymysły.

— Janie Gwalbercie — rzekł radca Malinowski, podnosząc brwi aż na łysinę i patrząc z nad okularów.

— Jestem, zaraz wychodzę.

— Janie Gwalbercie, nim wyjdiesz w ostatniego atu, powiem ci: oto świat idzie na psy, albo... pokażno, nóżki na stół.

Wyszedłem.

— Jutro może już nie nasze. Mówię ci, będziesz leżał bez dwóch. — Nie nowina. Psiakość, nóżki baranie, zawsze mam pecha.

— Janie Gwalbercie, słuchaj.

Słuchałem, ale żarło mnie, bo kartę miałem słabą i czułem już „legendę”.

— Kładę atu — oddaj swoje, jeszcze raz daję — nie masz! Dawaj skórę, a teraz w kiery — co, nie lubisz? Wiemy coś o tem. Jeszcze raz w to samo. — To ci dobrze zrobi. — A teraz dama! Tak, zapomniałem o damie i położyłem się bez

dwóch, co zsumowawszy razem, wyniosło pięć rubli z kopiejkami.

Zapłaciłem, ale z temi kierami, to tam nie było zupełnie faj!

Wziął mnie pod rękę i poszliśmy do bufetu.

— Przegryziemy co?

— I owszem.

Wódeczka, śledzik, bułeczka z kawiozem.

Drugi raz stuknęliśmy się, kawałeczek pulardy w majonezie, grzybki, żdziebko pâté de foie gras — niczegowate! Oplatek szynki, okruszynę kulebiaki, mały porter na finis i radca rzekł:

— Janie Gwalbercie, a możebyśmy co zjedli?

— I owszem, radco!

Wprawdzie tam matka będzie trochę trajkotać, ale nie mogłem odmówić koledze, radcy i wpływowemu człowiekowi. Trzeba umieć utrzymać honor domu.

Siedliśmy w kąciuku! Garson podał radcy menu.

Przeglądał długo, marszczył brwi, namyślał się. Rozumiem, przecież to chwila, w której żołądek mówi surowo: uważaj!

— Janie Gwalbercie, a gdyby tak raki?

— Dobrze, to ma kolor.

— Sos Bordeles.

— I owszem, to jakby z kawałkiem wiosny!

— A dla rozpamiętywania, tak kartofelki sauté.

— Ślicznie, ja kocham przyrodę, kocham wieś.

— A potem jaką ptaszynę...

— Żywioty wszelkie chwałą Pana!

— A na konkluzję gaiczek pomarańczowy, podlany strumykiem białego Goa!

— Wypłacalny!

Radca odetchnął i powiada:

— Janie Gwalbercie, jedziesz do Włoch?

— Tak. (Ciekawym kto mu powiedział).

— Piękny wojaż, ale co mówisz, gdybyśmy sobie teraz tak zajrzeli nad Ren?...

— Gotowy, ale Johannisberger z r. 1864, młodszy zestrasz y raki.

— A później spławili ptaszki w Burgundzkim?

— Zgoda, byle nie potonęły. Rozsądne umiarkowanie, to mój ideał!

— Kawka i maleńkie curaçao.

— Podnieca i daje wigor, całem sercem zgoda.

Kiedyśmy już zaspokoili pierwszy głód, radca powiada:

— Jedziesz kolego do Włoch. Ślicznie! Ale prócz zabawy, prócz przyjemności waszej, niechajże i to biedne, ciemne społeczeństwo nasze odnie- sie z tego jaki pożytek!

— W jaki sposób?

— Postaw radca wdówkę Cliquot, tylko ochę- dożną, bardzo sec, a ten pożytek społeczny łatwiej nam się wyklaruje.

Postawiłem.

Trąciliśmy się raz i drugi, a radca powiada:

— Pisz kolega pamiętnik z podróży, spostrze- gaj, obserwuj złe i dobre; oglądaj wszystko, i wszyst- ko, co ci się wyda pożytecznem, notuj skwapliwie.

Może się w tem mieścić głęboka nauka dla nas, albo i dla dzieci naszych.

— Psiakość, nóżki baranie, prawda, że też mnie to nie przyszło do głowy!

— Bo, powiada dalej, gdyśmy już zapalili cygara przy kawie: Nasi ludzie włóczą się po świecie, latają po Europie, jak cielęta na wiosnę, tu skubną, tam wytrzeszczą oczy, gdzie indziej wierzną, a do obory nic nie przyniosą i ogół nie ma ze swoich pieniędzy wydanych żadnego pożytku. Rozumiesz kolega?

— Święte słowa! Rozumiem, jakże?

Postawiłem wdówkę raz jeszcze, bo mnie rozczulił. To obywatel, to rozum. Ministerjalna głowa, psiakość, nóżki baranie!

— I piszcie wszyscy, bo czego ty nie spostrzeżesz, to zobaczy żona i córka.

Gorąco nam było, wzięliśmy „gumę“ i pojechali się nieco przewietrzyć. Ale szelma dryndziarz zawiózł nas prosto do Fantazji...

Nie chciałem szczerze, bo jakże, czy to wypada porządnemu człowiekowi pokazywać się tam... gdzie te...

— Nie chcieliśmy, a sam nas zawiózł, w tem palec Boży! — powiada radca — te błaznice są tak zabawne, to nam dobrze robi na trawienie...

.

Napisał mi tylko radca krótką notatkę: co i gdzie, jak mam oglądać i zaraz żeśmy wyszli.

Odwiozłem go do domu, bo zimne powietrze zmorzyło go trochę, a on jeszcze przed bramą rzucił mi się na szyję, całował i mówi:

— Janie Gwalbercie, pamiętaj, com mówił: pilnuj się notatki, bo to twoja podróżna ewangelja.

— Jakto, ja obywatel, ja mąż, ja ojciec, mógłbym zapomnieć o pożytku tego biednego, ciemnego społeczeństwa naszego? — Nigdy!

Matka się gniewała, że późno wróciłem, ale nawet najmądrzejsza kobieta nigdy tego nie zrozumie, że można być pożytecznym społeczeństwu swojemu nawet w klubie.

Radca Malinowski powtarza zawsze:

— Kobieta! Cóżto jest kobieta? Kostjum letni za pięćdziesiąt rubli na wiosnę i kaprysy, kostjum zimowy za sto rubli i przywidzenia, kostjum balowy za sto pięćdziesiąt rubli i bezmyślność — oto nasze kobiety, co mówię, oto są wszystkie kobiety!

Ma słuszość, psiakość, nóżki baranie, świętą słuszość.

Trzeba iść spać, bo rano wstać muszę. Trzeba iść jeszcze do cyrkułu, może się da co zrobić z komisarzem względem tych suteryn wilgotnych... Że tam trochę cieknie po ścianach, to cóż to może komu zaszkodzić! Przecież lokatora nie wyrzucę i nie dam lokalu tego stróżowi!

To zgroza, czego to się już nie zachciewa tym chamom!

Oto notatka, jaką mi dał radca, przepisuję dosłownie, żeby nie zaginęła:

Kraków: Stanać w Saskim. Wódka, przekąski, tylko Hawełka. Wino — Federowicz. Piwo — Wentzel. Wawel — zaprowadzi ekspres. Nic więcej godnego uwagi.

Wiedeń: Klomser Hotel. Central Café. Ronacher, jeśli z rodziną pójdziesz. Spitzer Cafe — sam. Burg — zmiana warty o 1-ej z południa. Są tam jeszcze jakieś muzea. Wszędzie w lepszych kawiarniach Pilzner z beczki! Doskonałe cygara!

Wenecja: Bauer Hotel. Kanały, Floriani — lody i inne smakołyki dla kobiet. Pilzner Halle tuż przy placu — doskonały! Calle dei Fabri 6 — zajrzeć samemu, w dzień mało ludzi! Gołębie na Placu! Wieczorem gondole — kanał, śpiewy. Teatry pod psem, niewarto, ani jednej nóżki baletowej!

.

Zaraz odnoszę matce i idę spać.

.

Dopłsek „Ma“. Przeznaczeniem kobiety jest być żoną i matką i aniołem mężczyzny! Nie znałam Żmichowskiej, ale jej przyjaciółka mnie wychowywała. To mówi dosyć!

Boże, jakież rozkoszne są te „Stokrotki“! Och, one mają dusze czułe i wierne, a czemu mężczyźni są tak brutalni i poziomi?

Czemu świat jest tak nieszczęśliwym?

Ksiądz Tolo mówi, że dlatego iż zaparł się Boga.

Och tak, bez ideału nie można być szczęśliwym.

Ale czy można mówić o ideale, jeśli mięso kosztuje czterdzieści groszy funt, kucharce trzeba płać piętnaście rubli kwartalnie, a nawet najskromniejsza suknia kosztuje pięćdziesiąt rubli?

O, świat jest zły i przewrotny!

Ale poświęcenie jest fundamentem rodzin chrześcijańskich!

Jak wzniosłą jest rola kobiety chrześcijanki!

Jest kapłanką domowych ołtarzy, jest skarbnicą cnót, jest służebnicą dobra!...

.

Nie mogę pisać, bo mąż tak chrapie!

Piwo, dobry obiad, karty, a potem chrapie — oto są mężowie.

.

Wtorek rano. Już po nabożeństwie. Dorożki czekają przed domem.

Sparzyłam sobie język herbatą. Zaraz jedziemy!

Boże! żeby czego nie zapomnieć!

Pan Henryk poleciał jeszcze do apteki, bo „Stokrotki“ jakieś smutne... jakby chore... Piszę już w kapeluszu i... ach, byłabym zapomniała pudru i ołówków do brwi... ja ich nie czernię, tylko „Ma“ kazała zabrać dla siebie...

Ciocia płacze. Zdziś płacze... Ze wszystkich okien wyglądają... Słyszę kroki pana Henryka na schodach!

Zaraz jedziemy!

Tak mi jest smutno i tak mi jest czegoś wesoło.

Byłabym zapomniała swoich oszczędności,
mam je w woreczku, na szyi... nikt o nich nie wie.

Już jedziemy!

Więc to prawda!

.
.

Później, już w wagonie. Jedziemy do Włoch!

Piszę ołówkiem i patrzę w okno!

Dostałam pięć pudełek cukierków i tyle kwiatów, że całą ławkę zajęły, a cukierków, to mi chyba wystarczy aż do Rzymu.

Spłakałam się na stacji ze złości, bo ciocia Hortensja, na pożegnanie, tak przy wszystkich, na peronie, włożyła mi na szyję szkaplerz.—Śmieszna dewotka! Ma mi zapisać dom swój, bo żeby nie to... Mnie szkaplerz! mnie, która z panem Henrykiem czytałam Spencera i jadę do Włoch.

Te stare ciotki to... jedynie tyle są warte, że... że... mają domy!... Śmieszne istoty!

Muszę obserwować i zapisywać, bo pan Henryk mnie prosił, abym mu wszystko opisywała.

No tak, to wszystko, co wypada napisać narzeczonemu.

Tyle osób nas odprowadzało!

Była i Ceśka z Nacią, zobaczyłam je przed samym odjazdem, bo pierwszej musiałam się pożegnać z Malinowskimi, rozstałam się z nimi serdecz-

nie, bo ja tam nie zważam na różnice majątkowe lub towarzyskie. Jak przyjaźń, to przyjaźń!

Będę do nich pisywała z drogi, tak mnie o to prosiły.

Swoją drogą czułam, że mi zazdroszczą i tej angielskiej sukni z pasmanterją, którą mam na sobie, i tej podróży do Włoch!

Także! — Dzisiaj to byle jakaś nauczycielka, lub córka jakiegoś urzędniczyny ma już pretensję, żeby wyjeżdżać zagranicę.

Paradne sobie! Jakby nie mogły pojechać sobie w niedzielę tramwajem do Wilanowa i zpowrotem.

Tyle ludzi i tego nie może!

W wagonie pusto.

„Pa“ trochę drzemie!

„Ma“ daje „Stokrotkom“ pigułki homeopatyczne.

Aha! trzeba obserwować!

Pola z jednej i pola z drugiej strony... same pola...

Dziwne, dlaczego tyle placów stoi pustkami?... Możliwy przecież wszędzie porobić letnie mieszkania!

Widzę sama, że to, co piszą o biedzie chłopskiej, to gruba przesada.

Mój Boże, gdybyśmy to mieli takie pola na Łesznies!

Niecierpię wszelkiej przesady i egzaltacji, nie wiem dobrze, czy egzaltacja pisze się przez „K“, czy przez „G“, ale mniejsza z tem.

Na każdej stacji stoi taki pan w czerwonej czapce... a czasem i w białych rękawiczkach i ze wszystkich okien dworców wyglądają jakieś panie...

Wsie widać z okien, to znowu jakieś domy pojedyncze, ale takie brudne, takie obdarte. Że to policja nie nakaże poodnawiać.

Śnieg jeszcze, i wody, i błoto...

Słońce nie świeci, nawet nie wiem, w której teraz może być stronie...

A tam już wiosna i kwitną pomarańcze...

Za nic w świecie nie mieszkałabym na wsi... Jezus, co za nudy, ani ulic, ani sklepów, ani bałów, nie rozumiem, dlaczego ludzie tu mieszkają?...

No, bo że chłopci, to naturalnie, któżby za nich robił...

Skiernewice. „Pa” poszedł na piwo.

Chciałam kupić miejscową ansichtskartę — nie mają.

Co za barbarzyństwo jeszcze u nas, to coś okropnego... A zagranicą to każda stacja, każda wieś ma swoją ansichtskartę!...

Jedziemy dalej... jedziemy.

Same pola... pusto... szaro... brzydko... chałupy... nagie drzewa...

Ciekawam, co tam robi pan Henryk? Mówił, że zaraz idzie do szpitala, ale na pewno poszedł

z kolegami na bibę. — Oho, kuzynek Jaś opowiadał mi, jak się to uczą i studjują...

Kontrolują bilety... wyjrzałam za nimi i zobaczyłam, że konduktorzy pili w korytarzu wódkę i tak prosto z butelki... to coś okropnego!...

Obok nas, w sąsiednim przedziale siedzi jakieś towarzystwo i mówi po francusku... Pewnie arystokracja... „Pa“ twierdzi, że to taka końska z lombardów arystokracja...

Na wyścigach byłam tylko raz jeden, ale nie wiem, dlaczego tam chodzą i tyle piszą, prawda, toalety wspaniałe, ale żeby się interesować tem, że konie lecą i panowie spadają na ziemię, tego nie rozumiem.

Jestem pewna, że to robią tylko dla mody!

Chciałam tyle notować, ale doprawdy, że zupełnie nie mam co.

Koluszki. „Pa“ poszedł na piwo. Tak mi się chce spać... Już nie mogę jeść cukierków...

Piotrków. „Pa“ poszedł na piwo. „Stokrotki“ uciekły z wagonu, ledwie je „Ma“ z pomocą targała złapała. Jakiś oficer wsiadł do naszego wagonu... śliczny, blondyn, wąsiki zakręcone, a usta... bardzo podobne do pana Henryka. Wysiadł zaraz na następnej stacji. Straszniebym chciała, żeby pan Henryk chodził w takim pięknym mundurze, bo te uniwersyteckie, nawet z płaszczami, już mi się przejadły. Ale w Wiedniu muszę kupić sobie „prin-

cessów“ i zapalę. U Altenberga, to wszystkie pannie palą princessy.

Ruszamy!

„Pa“ przez okno wymyśla garsonowi, że mają podłą lurę, nie piwo i obiecuje napisać zażalenie. Ale nie napisze, znam go dobrze, machnie ręką i powie: psiakość, nóżki baranie, bocianem nie jestem, żebym miał świat czyścić. W domu tak jest zawsze...

Ciągle te pola i pola... Zupełnie niema patrzeć na co...

Śnieg zaczyna padać... a słupy telegraficzne mają taką zabawną minę... pochylają się w jedną stronę, jakby z nami biegły... Boże, jak to już daleko od Warszawy!

Na jakiejś stacyjce wsiadła stara, gruba pani, lokaj w liberji wniósł za nią walizkę i stoi teraz w korytarzu. Boże, jaki ona ma kapelusz! Ale chciałabym, żeby zawsze lokaj nosił za mną... Oglądaliby się za mną na ulicach! Pokłóciła się z „Ma“, bo usiadła młodszemu „Stokrotkowi“ na ogonie i podobno rozerwał jej okrycie, czy tam coś podobnego!

Bardzo dobrze, niech uważa, gdzie siada; myśli że ma lokaja w liberji, to już jej wolno wszędzie siadać...

Częstochowa. „Pa“ poszedł na piwo. Znalazłam ansichtskartę. Brzydka, bo tylko z wieżą klasztorną.

Napiszę w drodze, bo jakiś brunet chodzi przed wagonami i zagląda w okno. Bezczelni ci mężczyźni.

A ten i brzydki do tego. Nie patrzyłam na niego, a gdy pociąg ruszył, uklonił mi się... zarumieniłam się... to coś okropnego...

Śnieg taki pada, że boję się, żebyśmy nie uwięźli w zaspach! To byłoby okropne, jechać do Włoch i uwięznąć w śniegach!

Tak mi jest smutno, tak się czuję osamotnioną, że chce mi się płakać... Ach ten „Pa“, żeby tak obrzydliwie chrapać!... Nigdy mężowi nie pozwolę na chrapanie, to wstrętne. Że to „Ma“ pozwala mu na to! Rozwydrzył się, bo mama za wiele pobłaża, i robi, co mu się podoba!

Mam jakieś złe przeczucia... czy aby Zdziś nie zbił mi lustra?...

No tak, ma się rozumieć, zapomniałam grzebyka, a to wszystko przez „Pa“, tak się śpieszył, tak naglił, a potem całe dziesięć minut czekaliśmy jeszcze. Napewno, skoro go Rozalja znajdzie — „zje śledzia“.

Śnieg pada coraz gęstszy. Przypudrowałam się trochę, bo mnie ogromnie twarz pali, muszą o mnie mówić w Warszawie. Na stacjach pełno żydów i brudnych, obdartych ludzi, a nikogo z towarzystwa! Mam jeszcze trzy pudełka cukierków. W Wenecji muszę koniecznie kupić sobie żabot koronkowy.

Jakaś stacja. „Pa“ się przebudził i koniecznie chciał iść na piwo, ale pociąg zaraz ruszył.. „Pa“

zwymyślał konduktora i powiedział, że zaraz w Granicy napiszę zażalenie na takie nieporządki.

Śnieg przestał padać. A nawet słońce prześwituje, ale tak nisko, jakby miało spaść...

Aha, tak: „Ostatnie promienie zachodzącego słońca padały na uśpioną czarną ziemię“ — niedobrze, bo ziemia jest biała od śniegu.

Chciałabym tę kartę do Ceśki ładnie napisać. Zaraz: „Najdroższa moja. Jedziemy szalenie. Do Włoch jeszcze daleko, ale już minęliśmy Piotrków, przejechali nawet Częstochowę. Smutno mi, tak mi żal ciebie, że nie jedziesz. Śnieg białymi puchami zasypywał ziemię, a teraz słońce zachodzi i ponury mrok przysłania słomiane strzechy wiosek, lasów, miast... Zaraz przejedziemy Granicę... a ostatnie promienie zachodzącego słońca ślą nam pożegnanie od opuszczonej, drogiej ziemi rodzinnej i od Ciebie, Najdroższa, czego ci życzy — Twoja Hala“. P. S. Ucałuj ode mnie Nacię.

P. S. Zajrzyj do nas i powiedz cioci, że zapomniałam grzebyka, leży na stole, w stołowym, żeby go Rozalja nie ściągnęła...

P. S. Jeśli ci łyżwy nie będą potrzebne, to odeślij.

Wsiadł jakiś gruby pan z dwiema walizami i wyżłem. Jezus, „Stokrotki“ się rzuciły na wyżła! Myślałam, że umrę ze strachu...

Ten straszny człowiek złapał „Stokrotki“ za grzbiety i wyrzucił je na korytarz! „Ma“ zemdląła. „Pa“ przyniósł „Stokrotki“. A ten straszny czło-

wiek kłóci się z „Pa“, że nie ma gdzie swoich waliz postawić i powiada, że kto wiezie tyle łachów, to powinien je oddać do wagonu bagażowego!... „Pa“ się strasznie rozgniewał i krzyczy:

— Pan wyrzucasz moje „Stokrotki“! to ja kopię w brzuch pańskiego wyźła i wyrzucam pańskie walizy, psiakość, nóżki baranie! — I tak kopnął psa, że ten zaczął wyć...

Dobrze, że zaraz była jakaś stacja, bo byłoby się stało coś okropnego!

A jednak nigdy mnie przeczucia nie zawodzą... Przyszedł zawiadowca. „Pa“ chciał, żeby pisali protokół na służbę, że puszczają do wagonów takich ludzi i psy, podobne do wilków. Straszny człowiek wysiadł i tak wymyślał, że „Pa“ wołał żandarma, żeby go pociągnąć do sądu za obelgi.

Pociąg ruszył, a rzeczy nasze mają wziąć na Granicy do opłaty! „Ma“ nawymyślała „Pa“, że jest safandula i zły ojciec rodziny, że pozwala robić krzywdę „Stokrotkom“.

Biedne pieski jeszcze drżą z przerażenia i tak piszczą żałośnie! Niegodziwi są ludzie, żeby krzywdzić takie biedactwa... Ledwie się uspokoiłam. Biłabym takich ludzi!

Przed Granicą. Lasy... ogromne lasy... Prawie tak wielkie, jak w Otwocku...

„Pa“ chce, abym część papierosów schowała przy sobie... na p..., bo jestem tutaj dosyć szczupła, to nie poznają... Wstydzę się trochę, bo jak ja będę

wyglądała? Schowałam i poszłam się przejrzeć... nie, niemożliwe... Poznają, bo jestem taka... wypukła... jak ta, co Zdzisia karmiła... Ciekawam, czyby się to podobało panu Henrykowi?

Granica!

Przesiedliśmy się do wagonów austriackich!

„Ma“ wzięła „Stokrotki“ pod suknię, bo konduktor nie chciał ich puścić.

Wyrzesałam oknem, ale nie wiem, w której stronie ta Austria. Jacyś robotnicy wsiadają do wagonów! Więc i robotnicy jeżdżą zagranicę?... Ale chyba nie do Włoch?

.

Szyldwachy... most... woda... woda... piasek... przejechaliśmy Granicę!

.

To już tutaj „zagranicą“?! Dziwne, ale tego nie widać! Nie rozumiem, takie same lasy, taki sam wieczór i to jest zagranicą?! A ja myślałam!...

Trzebinia, w nocy. Awantura! Sądny dzień. Boże, jak się to skończy! „Pa“ skonfiskowali w Szczakowej papierosy, „Ma“ herbatę, a mnie cukierki! Potem „Stokrotki“ zginęły, że ledwieśmy je znaleźli... Nie daruję sobie nigdy, że ich nie zjadłam przed granicą... Całe trzy pudełka zabrali!

„Pa“ tak krzyczał, tak wymyślał im za to, że chcieli go zatrzymać!

„Ma“ płacze i modli się, „Stokrotki“ się gryzą, a mnie tak smutno, tak strasznie smutno, żebym chociaż miała cukierki!... Musimy czekać do rana w Trzebini, bo pociągu niema do Krakowa! Co za nieszczęście! Musimy spać na krzesłach! A może „Pa“ jeszcze wezmą do więzienia?... Nie, takiej hańbybym nie przeżyła.

.

Dopisek „Pa“. Ulżyło mi trochę, myślałem, że mnie już szlag trafi!... A szelmy, żeby mnie tak zirytować! Mnie, Jana Gwalberta, mnie obywatela, mnie, porządnego ojca i obywatela ciągać do protokółów, jak jakiegoś zbrodniarza!...

I te gałgany mają takie piwo!

Boże, Boże, Ty widzisz wszystko, co się dzieje. Jadę wesoły, szczęśliwy i tu zaraz, w Szczakowej pytają mnie, czy czego nie deklaruje?... czy czego nie wiozę?... A zjadłeś sto par djabłów, psiakość, nóżki baranie! Cóżto, będę im głupie papierosy, cukierki, albo herbatę deklarował, czy ja to tem handluję, obywatel jestem!... A ci robią rewizję i mnie z żoną biorą na osobność!!! Świat się kończy, czy co?... Rewizja, konfiskują — kara, protokół! Do samego cesarza pójde, świat cały poruszę, a swojej krzywdy nie daruję! To ja mam nie palić, moje dziewczątko ma cukierków nie jeść, matka i „Stokrotki“ i my wszyscy mamy herbaty nie pić...

Zrozum, kto w Boga wierzy, bo ja, Jan Gwalbert, nie potrafię.

Przyjeżdżamy tutaj, niema połączenia z Krakowem, niema hotelu, niema gdzie spać!...

I pytam się raz jeszcze, gdzie ta konstytucja?... gdzie ta wolność?

Nie, spać na krzesłach w zimie, nawet bez szlafroka!

Zgroza! Zgroza!

Gdzież jest ta wolność? Proszę mi ją pokazać! Psiakość, nóżki baranie! Ja, Jan Gwalbert, chcę widzieć tę wolność!...

Pójdę się chyba napić czegoś, bo czuję, że mnie znówu złość chwyta, a doktor zabrania mi wzruszeń wszelkich...

.

28 marca rano. Zagranicą... No, nareszcie jesteśmy w Krakowie. Staął mi zegarek, że nie wiem, o której godzinie przyjechaliśmy do hotelu...

Umyślnie napisałam tytuł u góry, bo to bardzo ładnie brzmi: Zagranicą! Nie wiem tylko, czy to właściwie, bo tutaj tak wszystko po polsku, jakby to nie było jeszcze „zagranicą”, a w pociągu to tylko z jednym konduktorem mogłam się rozmówić po niemiecku, a i on wkońcu powiedział, że będzie mi wygodniej mówić po polsku... Także się wybrał. Nie poto się chyba jeździ „zagranicę”, żeby rozmawiać po polsku... Ale kiedy w tym Krakowie to prawie inaczej nie rozumieją.

Zażądałam od pokojówki wody cieplej, ma się rozumieć, mówiłam po francusku — nie rozumiała! Dopiero, jak jej po polsku nawymyślałam, to zrozumiała.

„Pa“ i „Ma“ już śpią, a i „Stokrotki“ także, biedactwa, takie były zmęczone drogą, że je „Pa“ z wagonu musiał wynosić.

Deszcz pada i takie błoto, takie zimno! Z okna nic nie widać, tylko takie same domy, jak u nas, ale tak odrapane... że też na to pozwala policja.

Pierwszy raz w życiu mieszkam w hotelu...

Trzeba iść spać, bo kuzynek Jaś ma przyjść o drugiej...

Byłam na korytarzu; długi i ciemny, drzwi koło drzwi, a prawie przed każdymi stoją buty... Jak to zabawnie wygląda! A przed sąsiednimi drzwiami stoją długie buty z ostrogami i damskie buciki, ogromne, powykrzywiane i takie niezgrabne, to pewnie jaki oficer z żoną! Ale żeby szanująca się kobieta miała takie pokrzywione buciki?...

Służba tu ogromnie grzeczna w tym hotelu, wszyscy mówią: „Całuję rączki“ i „Jaśnie panienka“. Tutaj umieją cenić ludzi. A u nas, to nawet nasz stróż tak nie mówi. Ale, bo też u nas... Boże się zmiłuj — chamstwo.

Ach, żeby to już prędzej być w tym Neapolu, Rzymie, Florencji, tam to dopiero śliczne mieć muszą ansichtskarty!

U nas tam już wstają, Rozalja pewnie nastawia samowar, albo poszła po bułki, a ciocia zaczyna się wypychać... tapicerka!

Także pomyśl... jadę do Włoch, jestem już „zagranicą“ i będę sobie jakąś tam głupią Rozalję przypominała...

Ciekawam, co pan Henryk robił wieczorem?...

Dziwne, ale jeszcze jakoś za nim nie tęsknię. Chociaż kto mi teraz będzie przynosił cukierki?...

Wieczorem. Ale ten kuzyn Jaś, od czasu jak został dekadentem i mówi samemu Przybyszewskiemu „Stachu“, to ogromnie wyprzystojniał. A taki dowcipny i tak dziwnie patrzy, że...-coś okropnego. Ubrany tylko tak jakoś, że w Warszawie tobym się wstydziła z nim iść na ulicę, boby wszyscy zwracali uwagę... Ale tutaj to mi wszystko jedno, nikt mnie nie zna! I ogromnie dobrze wychowany, przyniósł mi pudełko cukierków... gorsze, co prawda, niż u nas w Warszawie, ale już tak byłam stęskniona!

„Ma“ już śpi, zmęczona pewnie, bo tyleśmy dzisiaj się nachodziły i po sklepach, po kościołach i muzeach, że już nóg nie czuję. „Pa“ z kuzynkiem Jasiem wyprowadzili „Stokrotki“ na spacer, bo biedne pieski prawie cały dzień przesiedziały w hotelu...

Jutro mamy iść do teatru, bo dzisiaj nie grają. To dopiero prowincja! Ale ansichtskarty mają śliczne! Napisałam z piętnaście i szkoda, że już

nie mam więcej do kogo pisać!... Aha, mam, tak, napiszę nawet do Rozalji, to może grzebyk się znajdzie i zaraz cały dom będzie wiedział, że jesteśmy już zagranicą — i, jak ja pamiętam o naszej służbie.

Wstaliśmy już po drugiej, kuzynek Jaś zaraz przyszedł, i z zaproszeniem od swojej matki, która jest cioteczno-stryjeczną siostrą „Pa“, na obiad na jutro. Kuzynek Jaś przyjeżdża do nas często. Obiecał, że jutro w teatrze pokaże mi Przybyszewskiego. Już o tej znajomości napisałam Ceśce.

Byliśmy na obiedzie u tego sławnego Hawelki. Boże! Jakaż to obrzydliwa nora! U nas, w Warszawie, toby policja zaraz zamknęła taki brudny zakład, a tutaj to wszyscy chodzą i jest sławny! A jak obrzydliwie jeść dają... bez serwet, na bibułkach, jak dla dorożkarzy. A takie podawali potrawy, że majonezu nie można było odróżnić w smaku od kurcząt! Wstrętne garkuchnia! A „Pa“ tak był zachwycony, że temu, co odbierał pieniądze, podał rękę... jak ci mężczyźni na niczem się nie znają i nie umieją się szanować, to coś okropnego! Aż „Ma“ musiała mu powiedzieć: „Janie“!

Muszę notować pokolei, żebym miała o czem pisać panu Henrykowi.

Wyszliśmy od Hawelki i chciałam, abyśmy pojechali w tutejsze Aleje Ujazdowskie, ale „Pa“ twierdził, że mu radca tego nie zanotował. A kuzynek Jaś powiada, że niema.

— A gdzież jeżdżą i chodzą na spacer?

Spaceruje się po plantach i po linii Analfabetów.

Także miasto i wartoż było wstępować?

O, mnie nigdy przeczucia nie zawodzą: najpierw grzebień, potem ta historia na granicy, a teraz, że niema gdzie zobaczyć tutejszego towarzystwa! Naprawdę, ale żeby nie Przybyszewski, toby tutaj zupełnie nie było co oglądać!

I zaprowadził nas na planty! Błoto chyba po kolana, jak u nas na Pradze, jakieś podejrzone osoby i trochę księży, to całe towarzystwo!

Kuzynek pokazał nam „Rondel“, śmieszna nazwa, i tę bramę Florjańską, ale to nic szczególnego, brudne, odrapane i wcale nieładne. „Pa“ powiedział, że to tylko szkoda tak porządnego placu, bo w tem miejscu mogłyby stać porządne domy o czterech frontach, ze sklepami na dole, toby się lepiej opłacało miastu, niż te rumowiska!... No i z pewnością byłoby ładniej.

Florjańską poszliśmy na A-B, którą kuzynek Jaś nazywa linią Analfabetów, ale nie wiem, dlaczego, bo mnie się podoba ta nazwa A-B — to jaś coś tajemniczo brzmi... jak z romansu.

Obejrzeliśmy wystawy! Boże, zmiłuj się, ja nie wiem, ale naprawdę, to tutaj kupują chyba same pokojówki i kucharki! takie wszystko ordynarne, bez gustu, taka tandeta... u nas na Nalewkach, to sto razy lepsze rzeczy sprzedają!... tylko, że ogromnie tanio. Weszliśmy do paru sklepów... ogromnie tanio i wszędzie można mówić po niemiecku. „Ma“

kupiła mi śliczną matinkę i tylko za 25 guldenów, u nas toby kosztowało ze 20 rubli.

Rynek taki sobie, u nas plac Teatralny znacznie ładniejszy, tylko Sukiennice ładne, ale na ulicach prawie nikogo, ani jednej sukni, ani jednego możliwego kapelusza i nigdzie nie widać studentów, u nas to przecież zawsze można ich spotkać na ulicy.

A kuzynek Jaś powiada, że i tutaj nie robią nic innego, tylko się włóczą po mieście, ale że nie noszą mundurów, to się nie odznaczają.

Jakto? Studenci nie noszą mundurów!!

To nie do uwierzenia, to coś okropnego!

Ależ to barbarzyńskie, obrzydliwe, to nie do uwierzenia, żeby studenci chodzili bez mundurów i wyglądali na pierwszych lepszych!... Żeby nikt tego nie widział, że są studentami! Nie, nigdybym tutaj nie chciała być studentem...

Jestem przekonana, że i pan Henrykby nie chciał, bo jemu jest bardzo dobrze w mundurze.

Wstąpiliśmy potem do kościoła Marjackiego! „Ma“ i „Pa“ zostali modlić się w ławkach, a myśmy z kuzynkiem oglądali...

Istotnie duży kościół, ale ciemny i brudny...

Kuzynek pokazywał mi te ściany, malowane przez Matejkę i powiada, że to arcydzieła... Nie znajduję... mnie się wydają bez gustu, jak w jakim chłopskim kościele... mogliby odnowić szykowniej! Trochę się znam przecież, bo mamy duży dom i wiem, jak się odnawiać powinno, żeby wyglądało

elegancko! A już te kolorowe okna, to dobre na schody, do przedpokojów, ale żeby w kościele...

Chociaż na taką dziurę, jak Kraków, to dobry i taki kościół... Ale u nas w Warszawie, toby go nikomu nie pokazywali, mamy tyle piękniejszych, czystych, porządnie wymalowanych.

Pan Henryk mówił, że koniecznie trzeba zwiedzić Wawel i groby królewskie, więc pojechaliśmy. Ale nie widziałam jeszcze ani jednej dorożki na gumach, pewnie i tego niema w tym Krakowie.

Groby były już zamknięte, to i lepiej, bo ja się strasznie boję umarłych, no i przecież jeszcze kiedyś będę w Krakowie... Chociaż, co może być interesującego nawet w grobach królewskich! Nie leżą przecież na wierzchu, w płaszczach i koronach, z berłami...

Katedry małośmy widzieli, bo się już szaro robiło i taka była zastawiona rusztowaniami... a przytem „Ma” to zamiast oglądać, przed każdym prawie ołtarzem klęka i modli się... a naprawdę, mnie tak kolana bolą od klęczenia, że to coś okropnego...

Naprawdę, ale widzieliśmy prawdziwego i żywego kardynała!

Wychodzimy z katedry, mija nas jakiś wysoki ksiądz! A nasz przewodnik powiada: „to kardynał”.

Wróciliśmy za nim, ale już się gdzieś podział. „Ma” koniecznie chciała go widzieć... ledwie jej „Pa” wytłumaczył, że przecież jedziemy do Rzymu, to ich tam zobaczymy.

Byliśmy i na zamku. Ogromny, ale też odra-
pany i taki smutny, i tak tam czuć żołnierzami...
że to coś okropnego...

Mają z niego robić mieszkanie dla cesarza,
chciałabym go wtedy zobaczyć! Dopiero to muszą
być wspaniałości!

„Pa“ miał łzy w oczach i tak kłął, tak wy-
myślał, że bałam się, aby kto nie usłyszał, a „Ma“
ciągle nos wycierała!

Tylko nie rozumiem dlaczego? — No, bo że to
dawny zamek, i że teraz mieszkają żołnierze — to
cóż nadzwyczajnego?...

A u nas też całe dwa lata mieszkał jeden je-
nerał...

Byłabym zapomniała. Prawie razem z nami
chodzili jacyś państwo.

Naprawdę, ale od wyjazdu z Warszawy, to
dopiero pierwszy kostjum wart oglądania! Ona ślicz-
na, a jak ubrana! Jezus, aż mnie oczy rozboleły od
patrzenia na nią. Cała na popielato: futro, kostjum,
buciki, kapelusz, a jaki szyk, jakby prosto od Wortha!

Chciałabym się kiedy tak ubrać, mnie dosko-
nale w popielatym...

.

Później. „Pa“ dopiero wrócił ze „Stokrotka-
mi“. Tłumaczył się przed „Ma“, że „Stokrotki“
uciekły mu na planty i długo musiał ich szukać.

Już było ciemno, jak wróciliśmy z Wawelu,
na linji Analfabetów było pełno ludzi... Dobrze się

przyglądałam i naprawdę nic, ani jednego kostjumu, ani jednego kapelusza, ani jednej twarzy... A u nas, jak się idzie Krakowskiem, to niewiadomo wprost, gdzie pierwaj patrzeć!

A na rogach i przed Hawełką stało pełno oficerów... Myślałam z początku, że to posłańcy, albo inni jacyś ludzie, no bo tak wystają przed domem! Ale kuzynek mówi: oficerowie! bo posłańcy noszą czerwone czapki i nazywają się ekspresami!

Ale ci oficerowie są bardzo szykowni, tylko tak śmiesznie ubrani! Mundury mają takie jakieś jakby spódniczki baletowe, no i z pewnością chodzą w gorsetach!...

.

29 marca, rano. Boże, taka jestem wzruszona, iż poparzyłam się herbatą! Nadzwyczajna wiadomość! Nie, nigdybym się tego po „Pa“ nie spodziewała.

Idźcie sobie „Stokrotki“, nie przeszkadzajcie! W nocy przyszła depesza z Warszawy, że „Pa“ został wybrany prezesem nowego towarzystwa asekuracyjno-pożyczkowo-lombardowego. „Pa“ prezes! Mój „Pa“ jest prezesem!!

.

Wieczorem. Ach, co wrażeń, co wrażeń... jestem wprost upojona i nie chce mi się wierzyć, że to naprawdę, ale ja tego nie czytałam... Ale jutro wieczorem jedziemy dalej.

Dostałam list od pana Henryka! Tak ślicznie napisany, że ogromnie żałuję, iż nie mogę go przeczytać chociaż Naci... a taki dobry, że aż mi się płakać chciało... chociaż szkoda, że on nie pisze tak, jak dekadenci, ci przyjaciele kuzynka, co to Przybyszewskiemu mówią: „Stachu“.

A propos Przybyszewskiego! Poznałam go, to jest pokazał mi go w teatrze, w łoży, kuzynek. Nie, nie jest taki śliczny, jak mówiła Ceśka, ale taki dziwny, że aż mnie dreszcz przeszedł. Pierwszy raz widziałam sławnego człowieka tak zbliska, no bo niegdyś w Nałęczowie pokazywali nam Prusa, ale nie zrobił na mnie wrażenia: stary, w okularach i jak pierwszy lepszy. Naprawdę, ale ja myślałam, że wielcy ludzie to powinni inaczej wyglądać, niż wszyscy!...

Pan Henryk tak mnie prosi, abym wciąż myślała i pamiętała o nim, ale to trudno, bo wprost nie mam na to czasu... tyle nowych wrażeń!...

Co się mogło stać „Stokrotkom“?... takie niepokojne, piszczą...

„Pa“ „prezes“ nie chciał iść z nimi na spacer i poszedł sam na piwo...

„Pa“ przez to prezesostwo zaczyna się coś za bardzo stawiać... ale to się skończy, jak tylko przyjedziemy do Warszawy.

O! ktoś w sąsiednim numerze jakby płakał!

.

Wypuściłam „Stokrotki“ na korytarz, niech sobie pobiegają!

Te damskie buciki ogromne i pokrzywione, już stoją pod drzwiami, ale takie zabłocone i takie jakieś nieszczęśliwe... ale buty z ostrogami jeszcze widocznie nie przyszły!

Byliśmy na Kopcu, ale tylko na dole, bo deszcz padał i takie błoto...

Ostatecznie, to wkońcu nudne to oglądanie, i naprawdę, ale w Krakowie niema co oglądać...

Byliśmy na wystawie sztuk pięknych; jakieś tam krówki na łączkach, łączki bez krówek, jakieś tam wiatraczki, jakieś zachodziki i wschodziki słońca; jakieś chłopcy w białych kapotach i chłopcy bez kapot, a razem właściwe „mydlarstwo“, jak powiedział kuzynek Jaś,

Mnie i „Ma“ bardzo się podobały obrazki Stachewicza, takie śliczne...

— „Mydlarz glicerynowy“—powiada kuzynek.

A „Pa“ bardzo się zachwycił jakimś polowaniem Fałata.

— „Mydlarz cesarski“.

Zobaczyłam obraz Gersona, bo on i u nas w Warszawie wystawia...

— „Mydlarz warszawski, najgorszy gatunek“—powiada kuzynek... ale ja się na to zgodzić nie mogę, bo chociaż kuzynek Jaś mówi także Przybyszewskiemu „Stachu“ i zna się... ale i Gersona tak u nas w „Kurjerach“ ciągle chwala... że także się znać muszą...

Potem poszliśmy na ten proszony obiad do matki kuzynka. Zupełnie myślałam inaczej o niej.

A ona stołuje, wydaje prywatne obiady!

„Ma“ się chciała cofnąć, ale było już za późno. Widziałam, że „Pa“ nie zrobiło to najmniejszej różnicy.

Przy stole było kilkanaście osób... a obiad! lepiej nie wspominać.

A towarzystwo! same studentki i studenci, a na szczęście, dwóch przyjaciół kuzynka, dekadentów! Tak się zachowywali przy stole, jakby nas tam nie było, palili, kłócili się, czytali gazety podczas jedzenia — co? to dobrze wychowani!

A jak poubierane, to coś okropnego, u nas w Warszawie, to pokojówki na wychodne ubierają się lepiej.

Biedny ten kuzynek Jaś!

Jaka to szkoda, że nie można sobie wybierać rodziców!

A ci studenci, to podobno sami tacy wypędzeni u nas ze wszystkich szkół... wypędki!

Czarujące towarzystwo, co?... A ta ciocia żyje z nimi... winszuję, ale naprawdę nie zazdroszczę, nie...

Ci dekadenci siedzieli przy mnie. Bardzo przystojni i podobno ogromnie genjalni... a jeden z nich jasny blondyn z czarnymi prawie oczami.

Nic nie drukowali, mówili, że nie warto dawać „mydlarzom“ arcydzieł, że lepiej kilku wybranym przeczytać w rękopisie.

Kuzynek opowiadał, że oni mają plany na nadzwyczajne rzeczy, na arcydzieła, jakich jeszcze nie było.

Wyglądają na to, ale mnie się więcej podoba ten jasny... a głos ma taki słodki, taki... przenikający, jak muzyka.

„Ma“, z powodu prezesostwa „Pa“, urządziła u nas w hotelu herbatę; zaprosiła tę ciotkę, a ja tak zrobiłam, że z kuzynkiem przyszli i ci dwaj, pan Hiacynt i pan Adalbert.

Ale tej ciotki, to już mam dosyć i jej towarzystwa.

No, bo można być bez środków, to się czasem zdarza, podobne nawet najporządniejszym ludziom, ale żeby żyć ze stołowania... to coś okropnego.

Ci biedni kuzyni, to naprawdę egipska plaga. Niestety, ale mamy ich paru czy nawet więcej.

Nigdy nie można było ustrzec się od ich natręctwa w najbardziej niewłaściwej porze...

Aż dopiero „Ma“ zapowiedziała Rozalji, że kto tylko przychodzi głównymi schodami, powinien dawać bilet wizytowy.

Teraz, zgóry się przynajmniej wie, czy się jest w domu, lub czy się wyszło. No... bo nieraz przychodzili, kiedy był ktoś ze znajomych... a tak się źle ubierają!... Naprawdę, ale ubierać to już się powinni porządnie, niktby wtedy przynajmniej nie poznał, że...

Ale cały czas na tym obiedzie czekałam, rychło ciotka weźmie „Pa“ do osobnego pokoju i poprosi o pożyczkę.

Oni tak robią zwykle.

Nie poprosiła... a może później to zrobi...
przed wyjazdem naszym...

.

Ale herbata udała się nadwyczajnie!

„Pa“ jakoś długo nie powraca... znowu będzie awantura!...

Żeby lubić przesiadywać w takich dusznych, zadymionych knajpach! Ci mężczyźni to nie mają ani odrobiny smaku.

Byliśmy i w teatrze.

Ale muszę wpierw napisać o tym podwieczorku.

Pan Hiacynt wpisał mi do mojego kajeciku cudny poemat. Już widzę, jak mi go Ceśka będzie zazdrościła.

Ale naprawdę ten poemat jest cudowny... ja się jeszcze dekadentyzmu nie uczyłam, ale czuję go...

Madame wykladała nam tylko historję literatury... doszliśmy do... naprawdę nie pamiętam, do Mickiewicza, czy też do Kochanowskiego?

Ale pan Henryk nie umiałby napisać takiego poematu, ja go bardzo k... ale cóż, jest załedwie studentem piątego kursu medycyny, no i nigdy, ani razu, nie powiedział mi, że jestem śliczna! — ani razu, i to mój narzeczony, to coś okropnego!

A pan Hiacynt to mi ciągle mówił o tem, a przecież pierwszy raz mnie widział!

Strasznie przyjemnie było mi tego słuchać — strasznie.

Jak wrócę do kraju, to i pan Henryk musi mi to powiedzieć...

Przejrzałam się teraz... naprawdę, ale ja jestem ładna, chociaż to lustro hotelowe jest okropne, trochę jestem za szczupłą...

Ale pan Hiacynt powiedział, że jestem jak lilja górską w noc marcową!

To symboliczne, rozumiem.

Mój Boże, żebym ja tak umiała mówić ślicznie!...

Otóż byłabym zapomniała, przyszli wszyscy razem z ciocią.

Po herbacie „Pa” i „Ma” z ciocią poszli do drugiego pokoju. A ja, pan Hiacynt, pan Adalbert i kuzynek Jaś zostaliśmy sami.

Taka jestem wzruszona, że jeszcze uspokoić się nie mogę... bo cały czas pan Hiacynt rozmawiał ze mną... a tak patrzył... tak cudnie mówił i tak mnie całował po rękach... nie śmiałam mu zabronić... bo tak mówił wtedy o nieśmiertelności... o sztuce... o nagim wszechbycie... o czuciach zielonych kamieni... o białym koniu i o słońcu zgniłem. Aż mi się w głowie mąciło.

Nie, chyba o tem nie napiszę panu Henrykowi, nie zrozumiałby i jeszczeby się śmiał ze mnie.

I mówił jeszcze, że już od dzieciństwa szuka absolutu. — Doprawdy, ale nie śmiałam się pytać, co to takiego?

Ale... pan Hiacynt i pan Adalbert nie są z tych, co to Przybyszewskiemu mówią „Stachu”. Oni są jego przeciwnikami!

Pan Hiacynt powiada, że Przybyszewski, to nie dekadent, a tylko „filister”, a załedwie Jan Chrzyciel jego i Adalberta!...

Mają założyć pismo, które drukować się będzie na czarnym papierze zielonemi literami, i tam dopiero mają wypowiedzieć wojnę całemu światu— i Przybyszewskiemu, a nawet i Miriam jest „fili-strem”.

Miriam! nie, nie słyszałam nigdy o takiej literatce! — I potem napisał mi ten poemat:

.

„Na ulicach miasta leży śnieg, a deszcz tak pada, pada, pada...

A ja leżę na smutnej, jak moja dusza, kanapie, leżę.

Na fioletowej kanapie marzenia leżę, a deszcz tak pada, pada, pada...

.

„Na śnieżnych absolutu polach kwitną orchidee!...

„A ona przysłała mi tuzin skarpetek i srebrną łyżeczkę do kawy...

„A potem umarła!!!

„Na śniegach leżą orchidee... a ona umarła.

„Buty policjanta skrzypią pod oknami szpitala warjatów.

„Butelka przepotężnej gliceryny stoi pod fuks-jamil...,

„I tylko tuzin skarpetek mi przysłała i srebrną łyżeczkę do kawy.

„A potem umarła“!

.

„Ona tak lubiła kawę, czytała Altenberga, używała tylko goldcreamu.

„Ubierała się w fioletowe suknie, lubiła zapach przypalonych kaloszy!

„I zimne mięso z sosem tatarskim.

„A potem umarła“.

.

„O! O! O!

„Dusza moja zmałona, jak biała bita śmietana istnienia.

„Serce moje przegryzły obłędne grynszpany rozpaczy.

„Jakże sierocą i smutną jest ta łyżeczka do kawy?

„Tak smutną, jak książęce buty na śmietniku, jak to okno, ślepe na nieśmiertelność.

„I jak ta pusta butelka, i jak ta umarła...

„I jak ten policjant, którego buty skrzypią pod oknami szpitala warjatów“.

.

„Na ulicach śnieg leży, deszcz pada, słowiki śpiewają.

„Miedziane trąby huczą w mniszek klasztorze...
a zdaleka... zdaleka...

„Zgrzyt ostry kos na łąkach... tam — na łą-
kach prabytu...

„Tam, gdzie chodzą nagie wszechbyty i płyną
strugi przepotężnej gliceryny pod fuksjami abso-
lutu“.

.

Naprawdę, ale nawet w „Kurjerze“ nigdy tak
ślicznego kawałka nie czytałam.

Kuzynek Jaś pododawał tylko znaki pisarskie,
bo pan Hiacynt musiał w natchnieniu zapomnieć.

Poszliśmy razem do teatru.

Teatr śliczny, zapomniałam tylko, co grali, bo
było tyle ludzi...

Wszystkie łóżę zajęte. Ale naprawdę u nas
w Warszawie panie szykowniej się ubierają, no
i są znacznie piękniejsze... tylko, że u nas niema
tylu hrabiów!

Kuzynek i pan Hiacynt pokazywali mi ich.
Z pół teatru było samych hrabiów, hrabin i hrabia-
nek! A brzydkie, jakby naumyślnie!

Przecież hrabianki to już powinny być przy-
stojne...

A potem pokazali mi łóżę, gdzie siedział Przy-
byszewski i ci, co mu mówią „Stachu“.

Nie myślałam, aby tutaj, w takiej dziurze, jak
Kraków, aż tylu było hrabiów!

„Pa“ powiedział, że to garsoni po knajpach i hotelach tylu fabrykują hrabiów, że Galicja ma ich nawet na eksport!

— Nie, nie mogę tego zrozumieć...

Taka już jestem senna...

Ale dlaczego mu dała tuzin tych sk... i potem umarła?... To musi być głęboki symbol...

.

„Pa“ powrócił ogromnie wesoły... i mówi, że był z kuzynkiem i z tymi panami, że to chociaż dekadenci, ale porządne chłopaki i z przyszłością!...

Lubię to „chociaż“!... „Pa“ będzie oceniał dekadentów!...

.

30 marca, rano. Już wieczorem jedziemy do Wiednia.

Jestem tylko ze „Stokrotkami“, bo „Pa“ studjuje tutejsze urządzenia, a „Ma“ poszła do kapucynów kupić kropli, bo ta homeopatja to „Stokrotkom“ jakoś nie pomaga...

Muszę pisać do pana Henryka, ale tak mi się nie chce i... zresztą to nie tak łatwo... na brudno, to jeszcze jako tako... ale przepisywanie na czysto to taka męka, aż mnie głowa boli...

Naprawdę, że nie rozumiem, poco wynaleźli te całe głupie ortografje i znaki przestankowe.

Żeby się tylko ludzie męczyli. Dobrze pan Hiacynt mówił, że to jeden z najstarszych przesądów.

Chciałabym bardzo wiedzieć go jeszcze i słuchać...

.
O zmroku. Byłam w ujeżdżalni na zgromadzeniu soc... „Pa“ przyszedł z kuzynkami i musieliśmy iść, chociaż „Ma“ się uparła i została, bo powiada, że jeśli was kto zobaczy... i potem stanie się jakieś nieszczęście, to niechże ma was kto bronić!... Zimno mi się zrobiło!...

Bo jabym w więzieniu nie wytrzymała ani godziny i zarazbym umarła... z samego wstydu!...

Ale „Pa“ z kuzynkiem śmiali się, a ja byłam taka ciekawa zobaczyć tych soc..., bom jeszcze ani jednego w życiu nie widziała.

Już było pełno w tej ujeżdżalni. Jakiś pan z dużemi wąsami mówił na estradzie, ale nie można się było tam docisnąć, ani nic wyraźnie usłyszeć, bo tak wrzeszczeli, co powiedział: Bóg—Hańba!—krzyczeli, Praca — Hańba! Stańczycy! Hańba!...

Tak się bałam, myślałam, że w tej chwili wszystkich nas wyprowadzą... ale wyszliśmy zaraz, bo ci soc... tak jakoś końmi pachną, że okropnie mnie głowa rozboleła! Muszę się zaraz pakować.

Żeby to jak najprędzej zobaczyć te Włochy, tak mnie już nudzi Kraków!

Zalepię kartki i zaraz oddam „Pa“, bo chce pisać, a taki jakiś zły, że się boję mówić do niego.

.

Ale musiałam dać panu Hiacyntowi chusteczkę na pamiątkę, zabrał i nie chciał oddać... i tak prosił... tak...

Zaraz, przed odjazdem jeszcze muszę napisać do pana Henryka, bo on tam biedactwo musi dopiero tęsknić!

.

Dopisek „Pa“. Wybrali mnie na prezesa! Skromne są moje zasługi, ale nie chwałąc się, ja, Jan Gwalbert, służę, jak mogę, temu biednemu, ciemnemu społeczeństwu i bez nagrody, bo prezesostwo jest honorowe. Prawda, mam w tym interesie jakiś kapitalik, ale te 15%, jakie daje, czemże jest wobec korzyści, jakie przynosi ogółowi?...

Tani lombard dla ubogich, to instytucja użyteczności społecznej.

A ja tej instytucji byłem inicjatorem, ja, Jan Gwalbert.

Ale dość, nie wypada pisać o skromnych swoich zasługach!...

.

Całe trzy dni byłem w Krakowie, oglądałem pilnie, przypatrywałem się sumiennie, badałem wszystko gorliwie i sędzę szczerze, że dobrze poznałem, że mam już prawo wygłosić swoje zdanie, i czynię to z czystym sumieniem dla pożytku społecznego.

Trzymałem się ściśle notatki radcy Malinowskiego.

Hawełka, no wprost nadzwyczajny, czułem się tam, jak u siebie w domu, i chłopcy nie biorą napiwków!

To jest bardzo moralne, to trzeba wprowadzić u nas w Warszawie, to jest europejskie! A pilzner wszędzie prosto z beczki, no wprost doskonały!

Próbowałem i krajowych piw, bardzo, bardzo możliwe.

Poznałem się z jednym bardzo porządnym demokratą. Wypiliśmy po dziesięć większych pilznera, ale nagadałem się, wyżałilem i teraz wiem, co to znaczy ta tutejsza konstytucja!

A i te chłopaki, chociaż dekadenty, bardzo porządni, z przyszłością. Zakładają pismo dla prawdziwej oświaty inteligencji!

Oświata! tak, to fundament, to opoka, tak. — Wprawdzie oni mi wymyślali od filistrów, od mydlarzów, ale psiakość, nóżki baranie, mydlarzem nie jestem; ja, Jan Gwalbert, pokazałem smykom, że jestem czujący obywatel i kocham społeczeństwo, zapłaciłem za nich kolację, zapłaciłem prenumeratę za dziesięć lat zgóry! Strasznieśmy się potem pokochali, psiakość, nóżki baranie.

Muszę się streszczać, bo chciałbym przed wyjazdem uciąć małe śpi.

Otóż: niema kanalizacji i wodociągów.

Bruki, oświetlenia, porządki, pod ostatnim starym djabełem.

Domy brudne, odrapane, zanieczyszczone, że aż strach.

Żeby to tak u nas, dałaby im policja takie nieporządki.

Podatki straszne, przerażające, nie do uwierzenia.

Ja, Jan Gwalbert, ja, obywatel, to mówię, że stanowczo za dużo hrabiów, za dużo ekscelencyj, za dużo posłów, za dużo stronnictw. Skończyłem.

P. S. Socjalistów stanowczo skasować powinni...

A co marnotrawstwa, to zgroza! Miasto obdłużone, że ledwie procenta płaci, więc ciągle właścicielom podnosi podatki... Za dużo stanowczo tych podatków od dodatkowych dodatków.

A mają planty i grubo płacą na ich utrzymanie! Gdzieby to u nas pozwoliło miasto, żeby tyle placów stało bezużytecznie pod ogrodami. Rozparcelować, wytknąć ulice, sprzedąć, zabudować porządnymi kamienicami i pieniądze są, ruch jest, przemysł się podnosi, handel ma parę tysięcy nowych sklepów.

To jest porządna gospodarka miejska, tak się u nas w Warszawie robi, a tutaj miliony się marnują i naco?

Ja, Jan Gwalbert, pytam się naco?

Żeby na tych trawnikach psy się ganiały, a po alejach żeby sztubaki urządzały sobie schadzki z pensjonarkami?

Tak, planty są niepożyteczne i niemoralne, bardzo niemoralne!

Skończyłem.

Jeszcze słówko.

Raz jeszcze powiem, że za dużo hrabiów i Żydów z pejsami!

Psiakość, nóżki baranie, co za wiele, to niezdrowo. Pytam się w teatrze o tego i owego, co mi wpadł w oczy: Hrabia, powiadają. Potrafiłem kogoś na ulicy. Bój się Boga, krzyczą mi w ucho — to ekscelencja! U Hawelki zmierzam do stołu, gdzie siedział jakiś jegomość; nie można, widzisz, to generał!... Idę do pustego stołu, nie można, zarezerwowany dla nadradcy.

Pasja mnie ogarnęła, psiakość, nóżki baranie, wściekła pasja, poszedłem do bufetu, żeby się ochłodzić... Czekałem pół godziny na piwo, dlaczego? Bo panowie posłowie musieli wpierw wypić!... a potem kandydaci na posłów, a potem hrabiowie, znowu ekscelencje.

Jezus, Marja, myślałem, żem się urznął, ale nie, „Stokrotki” siedziały przy mnie, no i wypilem może zaledwie z pięć większych... więc się pytam tego znajomego demokraty, serdeczny człowiek — gdzie, psiakość, nóżki baranie, są u was zwyczajni, porządni, nieutytułowani ludzie?...

— Przeważnie w Wiśniczu i „pod Telegrafem” — odpowiada, (to niby jakby u nas na Pawiaku).

— Ale i tam ekscelencji nie brakuje — dodał.

Konstytucja, wolność, doskonała rzecz, ale tyle hrabiów i trzy procent od kapitałów! — Bóg zapłać, wolę wrócić do Warszawy!

Skończyłem, idę się przespać.

.

Dopisek „Ma”.

Kobieta chrześcijanka, która często rozmawia z Nim, nie ma tak wiele do powiedzenia o świecie.

Tak, Kraków jest piękny! Piękny przez swoje świątynie, przez pobożność, jaka tutaj panuje, przez cnoty, przez zadziwiającą ilość różnego duchowieństwa!

Ale Kraków jest bardzo drogi! Byłam na targu, pytałam się o ceny, włosy mi powstały na głowie, taka drożyzna! Całe szczęście, że ci biedacy mają tutaj tyle pociech religijnych, całe szczęście. Opatrzność zawsze czuwa nad maluczkimi.

A ludzie nie chcą widzieć tego, ślepi i nie-szczęśli!

Sklepy nieszczęśliwe, ale niektóre materiały zadziwiająco tanie. Niewiele kupowałam, bo w Wiedniu podobno jeszcze taniej.

Nie, ja nie jestem obskurantką, ale ta siostra męża bardzo mi się nie podobała, wygłasza zasady, że... stara warjotka! Chłodziła się tyle lat i nic nie pomogło. Dałabym głowę, że nie chodzi do spowiedzi! Tak też jej Pan Bóg daje, że żyje prawie w nędzy! Nie mam litości dla bezbożnych! Radziłam mi, abym dla dokończenia edukacji Hali zostawiła ją w Krakowie!

Naiwna z tą swoją krakowską edukacją! Moja Hala jest skończoną panną, przecież w Warszawie

skończyła pierwszorzędną pensję, doskonale gra na fortepianie, umie po francusku i po niemiecku i robi doskonałą partję!

Boże! muszę jeszcze przed wyjazdem dać „Stokrotkom“ tych kropli...

.

Włodeń 2-go kwietnia.

W Wiedniu to już jest naprawdę zagranicą.

Takie wszystko inne, takie cudowne i takie rzeczywiście zagraniczne!

Miałam straszny katar, bo jechaliśmy nocą, zimno było, a ja tak chciałam widzieć tę zagranicę, że wciąż wyglądałam oknem.

Ale nic nie było widać i pociąg tak prędko leciał, że nie mogłam nigdzie kupić kart. Tylko na jakiejś stacji garsoni latali przed pociągiem i wołali: „szwarc kafe“. U nas to nigdy tak nie wołają.

Tyle żydów jechało w tym pociągu, że już myślałam, że my nie do Wiednia jedziemy!

Ma się rozumieć, „Pa“ zaraz musiał zrobić z nimi awanturę...

No, bo jakiś, taki gruby, zdjął buty i siedział tylko w sk..., a potem zdjął palto... a potem kołnierzyk... naprawdę, ja myślałam, że on się zupełnie rozbierze.

„Pa“ go wyrzucił na korytarz i zrobił taki hałas, aż przyleciał konduktor, a „Stokrotki“ pocziwie chciały go gryźć, ledwie je „Ma“ wstrzymała...

Konduktor kazał mu się ubrać, siedział potem, ale tak gadał, że tutaj jest Austria, a nie Warszawa, że tutaj jest wolność, jest konstytucja, jest równość, a takich polskich szlachciców, jak „Pa“, to uczą rozumu...

Dopiero jak mu „Pa“ powiedział bardzo brzydko o konstytucji, i że da mu w m..., to się zabrał i wyniósł do innego przedziału.

Ja myślałam, że zagranicą to i Żydzi są grzeczniejsi i cywilizowani!... no bo, żeby zdejmować buty i ubranie przy damach!... naprawdę, ale u nas i chłopby tego nie zrobił!...

Kuzynek Jaś nas odwoził, ale już powrócił.

Nie, nigdybym nie przypuszczała, żeby on był taki bezwstydnym, nigdy; pożyczył od „Pa“ sto rubli... To coś okropnego!

„Pa“ się zirytował, bo podobno i tamtym musiał pożyczyć!!!

To wprost nie do uwierzenia! tacy przyzwoici, tacy dekadenci i pożyczają pieniądze! Nie mam słów, jakie to obrzydliwe!

A jeszcze „Pa“ powiedział, że pan Hiacynt, to nie tyle dekadent, ile zwyczajny szajgec! Nie, nigdy w to nie uwierzę — nie...

Jezus, umarłabym z obrzydzenia... z pewnością „Pa“ to mówił przez złość!

Bo, że kuzynek pożyczył, to nic dziwnego wyręczył tylko swoją matkę.

Mój Boże, jak to nikomu ufać nie można, nawet prawdziwym dekadentom!

Ale pan Henryk, toby od nikogo nie pożyczył z pewnością!... Zarazbym z nim zerwała. Napisałam do niego, wyjeżdżając z Krakowa.

Ach, jak to się dobrze stało, żem mu nic nie wspominała o panu Hiacyncie!

.

„Pa“ się znowu zirytował, bo dla oszczędności, że tutaj fiakry są bardzo drogie, wziął przewodnika i musiał mu za cały dzień zapłacić piętnaście guldenów!

Ale miasto cudowne! Jakie wystawy, to naprawdę, ale nawet nie marzyłam, żeby mogły być takie śliczne.

A co za przepych! jakie stroje, jakie kapelusze, to zupełnie jakby żurnale mód chodziły po ulicy... a jacy szykowni są tutaj panowie! Naprawdę, ale nawet ci, co powożą fiakrami, to tak zupełnie wyglądają, jak nasi hrabiowie... Dobrze im się przyjrzałam w przeszłym roku na corso w Alejach Ujazdowskich!

I fiakry takie szykowne i zupełnie jak prywatne powozy wyglądają. Bo u nas, naszymi drożkami, to już zupełnie jeździć nie można.

„Ma“ mówi, że uczciwe kobiety nie jeżdżą na gumach, no, a temi strasznymi jednokonkami, to znowu nikt szanujący się nie pojedzie.

Byliśmy w Burgu, w muzeum cesarskiem. Obrazów małośmy oglądali, bo przecież we Włoszech zobaczymy piękniejsze... ale... naprawdę, to

zupełnie nie rozumiem, dlaczego ludzie tak się zachwycają temi obrazami?...

Prawda, że to teraz bardzo modne, ale...

A jaki tam kapelusz widziałam! z samych czarnych, ogromnych piór strusich, poprzepinanych bukiecikami fiołków, no cud prawdziwy!...

I w tem muzeum są śliczne rzeczy, a szczególnie te złote, naprawdę szczerozłote serwisy cesarskie i tyle kosztowności!

„Pa“ powiada, że to złoto, to blaga! Ale jakżeby, żeby cesarz nie mógł mieć szczerozłotych serwisów!

.

Całe popołudnie oglądaliśmy wystawy!

Cudy, same cudy, ale już mnie tak nogi bolą!...

Pan Henryk pisał dzisiaj, ale on już nudny z temi radami i czułościami... to dobre w Warszawie, ale nie tutaj zagranicą.

Idziemy wieczorem do Ronachera, do opery nie, bo za drogo i „Pa“ mówi, że w każdym mieście włoskiem są lepsze i tańsze...

Strasznie się cieszę, bo nigdy jeszcze w takim teatrze nie byłam... a tyle mi o tem kuzynek naopowiadał!...

Kupiłam sobie „princessów“, zapalę po teatrze, jak „Ma“ i „Pa“ pójdą spać! Przecież u Altenberga, to wszystkie panie palą „princessy“.

A „Ma“ kupiła mi białą flanelową suknię, ogromnie to wszystko tanie i szykowne! że to coś okropnego!...

.

Wieczorem, po Ronacherze.

„Pa“ poszedł do kawiarni na gazety, mówił, że musi sprawdzić notatkę radcy.

Ach, ten Ronacher, to wprost cudowny! Ale nic nie podobny do teatru Rozmaitości, ani do krakowskiego, ani się umywają do niego!

Już dla tego samego warto było przyjechać do Wiednia! Nigdy w życiu, nawet na swoich zaręczynach, nie bawiłam się tak doskonale!

A „Ma“ powiada, że to jeden skandal i obraza boska!

Co tam mogło być nieprzyzwoitego?... no, ten zapach piwa, sosów, schabu z kapustą, przyjemny nie jest, to prawda, ale, żeby aż obraza boska!... to już dziwacznie i...

Najpierw śpiewała jakaś Niemka i tak wygorsowana, że aż całe łopatki było widać, a na przodzie to...

A potem tańczyli, grali, śpiewali; były i psy tresowane, i niedźwiedzie, i akrobaci, i żongler, jak u nas w cyrku, i balet, i clowni bili się po twarzach ogromnie zabawnie... a potem tańczyli jacyś Francuzi!...

Juzus! trochę się wstydziłam patrzeć... bo tak fajtały nogami, że... że myślałam, że im wszystko pospada! Aha! to taki kankan!

Tylko tyle!

Nieraz czytałam o nim w romansach, ale myślałam, że to coś naprawdę nieprzyzwoitego...

El... tak fajtać nogami, to i jabym potrafiła...

Spróbowałam nogami troszeczkę... tylko, że się krzesło przewróciło i „Ma“ się przebudziła zaraz...

.....

Pałam te „princessy“, ale tak mi jest strasznie nied...

.....

Myślałam, że już umrę... nie, nigdy już, nigdy nie będę paliła nawet „princessów“, to obrzydliwość!.. Czy mężczyznom zawsze się tak robi po paleniu?...

.....

„Pa“ powrócił, ale jakiś zły!

Aha, mówi do „Ma“, że jedziemy już jutro rano, że niema czasu na siedzenie w Wiedniu, zobaczymy go zpowrotem lepiej.

A myśmy jeszcze nie były na Mariahilfstrassel... ani w żadnem Panopticum!

Przynajmniej nie będę potrzebowała pisać długiego listu do pana Henryka, powiem w karcie: „Pa“ tak śpieszył, że czasu nie było...

Jeszcze mi jakoś niewyraźnie...

.....

Dopisek „Pa”.

Zły jestem, wściekły jestem, psiakość, nóżki baranie!

Ten radca mnie urządził, no!

Byłem tu i owdzie, aby to, co mi napisał — sprawdzić, no nieźle, nie. Piwo i owszem, dobre. A po teatrze, walę do tej „Spitzer-Café”!

Myślałem, że istotnie zobaczę coś ciekawego, bo radca tak mrugał... a może nawet tak troszeczkę... no uczciwie pikantnego...

A tam brudno, piwo pod psem i ostatnie wybiorki... wywłoki...

Wściekły byłem, zwymyślałem przewodnika, co wlażło...

Poszliśmy na lepsze piwo... a tam tylko wino sprzedawali...

Poznałem się z rodakami, bycze facety; postawili szampańskie, postawiłem i ja raz i drugi!... Koniec końcem pękło sto guldenów, psiakość, nóżki baranie...

Podła dziura ten Wiedeń!

Pieniądzy wydałem masę, a nic pożytecznego nie widziałem.

Blagierskie miasto, jutro jadę dalej.

Deszcz, błoto, żdzierstwo i blaga na każdym kroku.

Wchodzę do muzeum... marmury, marmury!

Myślę sobie, tutaj nie blagują, cesarskie.

Ale, że to człowiek bywał nieraz taksatorem przy wystawianiu domów na licytacji... więc się przyglądam uważnie — stiuki nie marmury, blaga!

Kogo? mnie, Jana Gwalberta, chcą oszukiwać? Oho! jeszcze się taki nie urodził. Oto i wszystko!

I tylko trzy rzeczy godne zanotowania widziałem:

Ronacher!

Miotły na kołach do zamiatania ulic!

Automat Bar!

Wchodzę tam; nikogo; wtykam dziesiątkę, zakręcam kuraskiem, leje się śliwowica; wtykam drugą — wysuwa się bułka z szynką; wtykam trzecią — jest piwo!

Psiakość, nóżki baranie, te szwaby, to mają kiepele.

A Ronacher, to jest instytucja! Takie powinno się wszędzie urządzać, bo to i moralne i człowiek się rzetelnie zabawi — i spokojnie zje kolację! Nie tak, jak w tych teatrach; płąć, duś się, wytrzeszczaj oczy, a tam pokazują zdrady, miłości, okropności, że w antrakcie piwa nie można nawet przełknąć... i takie zgorszenie pokazują, że dziewczyny nie można brać na to!

3-go kwietnia. W drodze do Włoch, na jakiejś stacji.

Tak mi jest smutno, takbym czegoś płakała, że to coś okropnego...

Same nieszczęścia nas dzisiaj prześladują.

Najpierw zaspaliśmy trochę.

Potem zapomniałam pudełka z kapeluszem, „Pa“ musiał już z dworca wracać do hotelu, le-

dwie zdążył, że już nie mieliśmy czasu zjeść śniadania...

Ja to wszystko przeczuwałam, bo śniły mi się ryby ze śliwkami, a to znaczy zawsze jakieś przykrości, nieraz to już sprawdzałam!...

Mówiłam zaraz o tem „Ma“, ale powiedziała, „że czasem, to nic nie szkodzą ryby ze śliwkami“, a tylko jak się śnią ryby na amarantowo, to może być źle!

Być może, ale i moje ze śliwkami sprawdziły się!...

Boże! to już tak daleko od Warszawy, a ja jestem taka nieszczęśliwa...

Mam czerwone oczy i taka jestem mizerna! Muszę się trochę przypudrować! Ach, żeby to pan Henryk widział, jak ja jestem nieszczęśliwa! O, jemu tam dobrze, chodzi z kolegami na biby, albo i umizga się i... wcale nie jest nieszczęśliwy!...

Ach, jacy egoiści są ci mężczyźni, to coś okropnego!...

.

Tak było pełno, że ledwieśmy miejsce znaleźli.

Także spotkanie! W tym samym przedziale jechał ten Żyd, którego „Pa“ przed Wiedniem wyrzucił, bo buty zdjął..

Niegodziwiec! Tych wszystkich Żydów, tobym kazała wsadzić już nie wiem gdzie!... Bo to wszystko przez niego!

Jechaliśmy, ale nie można było nic widzieć przez okno, deszcz padał, i mnie się spać chciało, i „Pa“ kłął, że mu się jeść chce, a i „Stokrotki“ tak piszczały!

Naturalnie, bo i one nie jadły śniadania!... Ale tak pociąg leciał, że nigdzie nie można było wysiąść!...

Dopiero tutaj, na tej wstrętnej stacji miał się zatrzymać dłużej... a „Pa“ mówi: wysiadę, przetrączę co i wam przyniosę.

I wyszedł, no i może po minucie pociąg rusza a „Pa“ niema!...

Jezus! myślałam, że oszaleję... „Ma“ zaczęła krzyczeć, żeby przystanęli!...

Ale gdzie tam co zrobiją te szwaby!... „Pa“ chciał jeszcze w biegu wsiąść — złapali go!...

A ten Żyd powiada, żeby pociągnąć za rączkę u sufitu, to pociąg stanie. Pociągnęłam z „Ma“, aż się coś oberwało i pociąg strasznie zagwizdał, ale zaraz stanął...

Co to była za awantura, to coś okropnego...

Zleciała się służba, i pasażerowie, i wszyscy!...

„Pa“ nie puścili do pociągu, a myśmy też wysiadły, a połowa rzeczy poszła prosto do Budapesztu!... ale rzeczy, to pewnie nie zginą, ale moje czekoladki, to pewno śledzia zjedzą, umyślnie mi je „Ma“ na drogę kupiła.

Sodoma i Gomora! Naprawdę, ale jużbym drugiej takiej chwili nie przeżyła...

A ten niegodziwy Żyd śmiał się z nas, bo to on powiedział, że na tej stacji pociąg zatrzymuje się na śniadanie!... „Pa“ aż go bić chciał i szkoda, że pociąg ruszył, ale tak mu jeszcze z peronu nawymyślał, że to coś okropnego!...

A ten podły wyglądał oknem i krzyczał:

— Wimiśłaj pan sobie zdrów, a ja po polsku nie rozumiem!

Okropni są ci Żydzi, ja, żebym była „Pa“, tobym tym wszystkim, którzy mieszkają u nas, zaraz podniosła komorne. Ale „Pa“ tego nie zrobi, wiem, taki miękki...

Już ja panu Henrykowi nie pozwolę być sa-fandulą...

No i musimy na tej stacji czekać do południowego pociągu i „Pa“ zapłacił już karę za zatrzymanie.

„Stokrotki“ widocznie się przestraszyły, bo tak się biedaki trzęsą, a może nawet są chore...

Sama „Ma“ poszła prosić naczelnika stacji, żeby im co poradził, to ten gbur, Szwab jakiś, powiedział, że nie jest weterynarzem...

Chociaż u nas nie jest zagranicą, ale naprawdę ludzie są grzeczniejsi!...

.....

Zjedliśmy porządne śniadanie, ale mamy jeszcze trzy godziny czekania... i z tego wszystkiego zupełnie mi się rozfryzowały włosy.

Jakiś śliczny huzar chodzi po peronie, pewnie Węgier!

Zafryzuję sobie włosy i pójde przejść się trochę po peronie.

Budapeszt 4-go kwietnia. Dopisek „Pa“.

Przespąłem się, wypocząłem po tych strasznych przejściach i zaraz ruszamy dalej, a i kobiety ze „Stokrotkami” czują się niezgorzej.

Ten Peszt, to Europa, psiakość, nóżki baranie! a te Węgry, to naród, ho! ho!...

Ogromnie tylko podobni do Żydów!... Wola boska, sam znam w Warszawie czystego jak złoto katolika, a taką ma jucha twarz, że na pierwszy rzut oka przysiągłbyś, że gudłaj!

Przeszedłem się trochę po mieście! Wspólnie, nadzwyczajnie!...

Elektryka, asfalty, drzewo, porządek pierwszej klasy!

Tylko wina węgierskiego nie mają! Wszedłem do Grand Café i zażądałem, podali mi jakąś lurę... a myślałem, że się tam za tanie pieniądze uraczę, co się zowie... Ale zato gulasz — piekło, dziesięć większych pilznerów wypilem i jeszcze mnie pali.

A kobiety! — smoki! Żebym tak nie był z gruntu moralnym człowiekiem i czującym obywatelom i gdybym był sam! — No nie ręczę...

Chodzą jak łanie, aż do głowy uderza!

A domy — pałace, prawdziwe pałace, jak pod sznur wyciągnięte i wszystkie w jednym stylu, w takim porządnym dochodowym stylu!

To, to lubię, a nie te różne fidrygalki i pomysły głupie, które dużo kosztują, a ani grosza więcej nie przynoszą, jak te przechwalone domy Talowskiego w Krakowie.

A hotele! Winda wszędzie, elektryczność, woda, czystość, komfort, że człowiek i w domu nie mieszka porządniej. A pokojówki! no wprost damy! Nie śmiałem jej mówić o ciepłą wodę do ogolenia!

A przystojne!... pi, pi, pi! — te z Fantazji, to nawet się nie umywały!

Muszę ja tutaj kiedy sam przyjechać.... bo Peszt wart porządnego obejrzenia... a z kobietami, to człowiek przeważnie skrępowany...

.

Ale zdierusy, niech ręka boska broni, gorzej, niż Żydy!

.

5-go kwietnia już w drodze do Wenecji.

Jedziemy już prosto do Włoch.

Mamy przejeżdżać przez morze, co?... Tak się tem cieszę, bo żadna z moich koleżanek nie jechała morzem... mogą sobie zato jeździć przez Wisłę na Saską Kępę — nie bronię. Pesztu prawie nie widziałam, bo tak mnie bolała głowa!...

Ale zato na stacji widziałam prawdziwego Anglika, mówił wprawdzie po niemiecku, ale był taki w kratki, miał pled i Baedekera w rękę, że to z pewnością Anglik. O, w Wenecji, to „Pa“ musi kupić mi Baedekera, przecież to wprost nie wypada jeździć bez niego.

Ale tutaj, chociaż tak blisko Włoch, wcale nie jest jeszcze ciepło...

Pola wszędzie, jak u nas; jedziemy do jakichś gór, widać je z okna, jakby je kto farbką namalował, takie niebieskie...

Jedziemy z ogromnym szykiem, bo jest i wagon restauracyjny! Byliśmy już w nim na kawie! To takie dziwne!...

Tu się je, a tu się jedzie, a tak się wszystko chwieje, jak pijane.

Mało takich zwyczajnych ludzi, sami prawie podróżni, to zaraz poznać...

O, my też wyglądamy dystygowanie, ale do Anglików to nie jesteśmy podobni, szkoda...

Nie rozumiem, dlaczego „Pa“ nie chce robić znajomości w wagonie, przecież to mogą być jakieś wysokie figury...

Muszę obserwować...

Te pola, to widać już są na całym świecie.

Przy drzwiach siedzi jakiś brunet bardzo szykowny.

Wsiadł w Peszcie, i w takim ogromnem palcie, jakby w niem mieszkał. Nie mogłam wstrzy-

mać się od śmiechu, a on, jak siadał, uklonił się nam... Dobrze widać wychowany!...

Wyszedł na korytarz palić papierosa...

Na pewno Węgier... taki czarny... tylko nos ma niewyraźny, jakby...

Aha, rozmawia z „Pa“... ciekawam? muszę iść poprawić sobie włosy...

.

Jedliśmy obiad przy jednym stole, rozmawialiśmy... a jaki miły!

„Stokrotki“ nie miały miejsca, to je trzymał na kolanach... tego toby nawet pan Henryk nie zrobił... a tak na mnie spogląda...

.

Już dawno, dawno po południu, a my wciąż jedziemy... „Pa“ drzemie.

Jedziemy przez straszne góry, no nigdy takich nie widziałam, a wysokie, że to coś okropnego, aż się patrzeć boję...

On umie trochę po polsku!... zaczął z „Ma“ rozmawiać, tylko ma taki dziwny akcent... pewnie węgierski!

Muszę być strasznie czerwona, bo tak się zawstydziałam... mówiłam z „Ma“ o różnych rzeczach... a on mógł rozumieć...

Chociaż, wołałabym Węgra, który nie rozumie po polsku, to byłoby szykowniej... Bardzo

dystyngowany człowiek... opowiada o swoich dobrach na Węgrzech, ma i domy w Peszcie!... Przedstawia się nam!...

.

Nazywa się baron Pfaffy-Terek!...

To wspaniale brzmi! Prawda, przecież i arcyksiężna Stefanja wyszła za Węgra!... teraz, to temu się nie dziwię!

Ach, cudowna ta droga przez góry, ze dwie godziny stałam z nim w korytarzu i patrzyliśmy, bo księżyc świeci... a tak mówi ognieście... pocałował mnie w rękę... aż mi się strasznie zrobiło, ale się obraziłam, bo to nie wypada tak zaraz... Choć podobno ci Węgrzy zawsze są tak gwałtowni...

Tak mnie przepraszał... powiedziałam, że później to mu może daruję... ale przecież ja się nie gniewam, tylko tak wypadało...

.

Słyszałam, jak mu „Ma“ powiedziała, że jestem już narzeczoną, ale narzeczeństwo, to jeszcze nie ślub... Pocziwa ta „Ma“, a jaka mądra!...

.

Napisałam na szybie tym zaręczynowym brylantem: Baronowa Pfaffy-Terek — to wspaniale wygląda!...

.

We wszystkich francuskich romansach każdy baron albo wicehrabia mają najmniej po pięćdziesiąt tysięcy franków rocznego dochodu!...

.

Szkoda! Pan Henryk jest bardzo dobry i ja go ogromnie k..., ale on nigdy nie będzie baronem, ani nie będzie miał 50.000 franków dochodu!

.

Ale Nacia i Ceśka i wszystkie znajome umarłyby z zazdrości...

Już zjeżdżamy z gór do Fiume!...

Tam, gdzieś wdole pobłyskuje morze, bo księżyc tak świeci... Tak jest cudnie, tak cudnie, że wolę patrzeć, niż pisać...

Nie, to zupełnie, jak w jakiej operze, tak jest pięknie, a może nawet i ładniej.

.

Fiume.

Nie zdążyliśmy na okręt, pociąg się spóźnił, musimy czekać do jutra wieczorem.

On mieszka w tym samym hotelu i zajmuje się ciągle nami!...

Boże, czyby to być mogło?...

A przed oknami huczy morze!.. to tylko tak pisza, że huczy, ale to morze, to nie huczy wcale!

Więc to jest prawdziwe morze!... Zupełnie nie wygląda na to, bo wcale go prawie z okien nie widać!...

Deszcz znowu pada. I nie widziałam jeszcze ani jednego z tych „wilków morskich“ marynarzy!...

.....

Żeby chociaż te ciotki naprawdę zapisały panu Henrykowi swoje domy, bo to o dobrą praktykę teraz trudno!...—powiada „M“.

.....

Już na morzu, ołówkiem.

Tak się strasznie boję. Całe szczęście, że on jest z nami!... Tak się wszystko kołysze!... Morze takie ciemne, tak grzmi. Pewnie będzie burza!... Jezus, za nic w świecie nie chcę utonąć, ani żeby się statek rozbił. Czytałam o takich rozbitkach i o ludożercach!... To straszne! Aż się myśleć o tem boję.

Tak ciemno, że nawet tego okrętu nie można zobaczyć... i nie można chodzić, trzeba się trzymać poręczy.

.....

Już ruszyliśmy! Boże mój, czy aby dojedziemy do tej Wenecji, czy ja jeszcze zobaczę Warszawę!

Baron powiedział, że jedziemy spokojnie, że nic się nie stanie... Chciałam z nim pomówić, ale „Ma“ ciągle była przy nas.

.....

Byliśmy na kolacji! Ach, jakie to dziwne! to wprost nie do uwierzenia! solniczki, oliwiarki wiszą u sufitu... tylko trochę się kołysze... i tak się kiwali wszyscy zabawnie!... jakiś pan, który siedział naprzeciw, wyciągnął rękę po sól, ale się kiwnęło, złapał „Ma“ za nos!...

Jakie to było śmieszne!... a „Ma“ nawymyślała mu, jakby był co winien.

Sam okręt, to nic nadzwyczajnego, taki dom, co pływa...

.

Siedzieliśmy wszyscy na pokładzie, on siedział trochę niżej i że było dosyć ciemno, pocałował mnie w rękę... no, nie mogłam mu zabronić, boby „Ma“ spostrzegła... Potem chodziliśmy po pokładzie i tyle mi powiedział! Jezus! że nawet pan Henryk tego nie mówił, jak mi się oświadczał...

Boże, jakie to wszystko cudowne!

Tak niedawno była Warszawa, a teraz morze... straszne morze, przyglądałam się, ale nie widać rekinów, ani wieloryba... okręt... Baron... tu maszyny huczą, tu się kołysze... tu noc... a tu ci Anglicy, którzy śpią na tych porozkładanych fotelach...

Naprawdę, to wszystko, jak w bajce, nie wiem, czy te wszystkie cuda będę umiała opowiedzieć...

„Ma“ chce już spać, a jabym tak ciągle, ciągle płynęła do Wenecji!

Dobranoc morze, dobranoc baronie Pfaffy-Terek... dobranoc wszystko, bo taka jestem szczęśliwa,

że to coś okropnego... Tak wyraźnie, to mi się nie oświadczył... jeszcze, przecież znamy się dopiero dwa dni... Mamy razem pojechać aż do Neapolu...

.

Później, już w kajucie.

Wcale spać nie mogę... coś się strasznego dzieje naokoło...

„Stokrotki“ tak piszczą żałośnie...

Okręt tak się kołysze strasznie, a tak wszystko drży — Jezus, a tak się błyska, tak woda bije w ściany!... Jezus! Marja! Burza, na pewno burza!... tak mi się w głowie kręci... „Ma“ płacze...

Ubrałyśmy się na nowo... trzeszczy wszystko!...

Tak duszno... Okręt skacze, jak po zagonach!...

Nie, już nie chcę... dosyć!...

Tak się trzęsę cała, że ołówka utrzymać nie mogę...

Zmówiłyśmy z „Ma“ nowennę... Chciałam iść po barona, żeby nas uspokoił... ale zaraz za progiem okręt się rzucił i strasznie się przewróciłam, aż mnie boli wszystko...

„Pa“ robi awanturę... chce, żeby nas wysadzili na pierwszej stacji.

Tak mi się robi dziwnie... przecież nie paliłam „princessów“, tak mi jest... smutno... czy ja umieram?... czy też jedziemy... do Wenecji!...

.

Wenecja, 10 kwietnia.

Boże, jakież cudowne mają ansichtskarty! Już mi „Pa“ kupił Baedekera w czerwonej okładce, bo zapowiedziałam, żeby innego nie brał!...

Wysłałam ze dwadzieścia kart, nawet i do ciotek pana Henryka!

Ale morzem już nigdy nie pojedę, tysiąc razy wolę Wisłą...

A cała ta kolej, aż do Fiume, nawet ze wszystkimi baronami i gulaszami węgierskimi, jest wstręt-na! tak, obrzydliwa! sto razy tak!...

Całe prawie dwa dni nie pisałam, bo trochę czekałam... i po tem morzu byłam bez życia! Że nie umarłam, to pewnie tylko dlatego, że jedziemy do Rzymu!

I taka byłam chora, że to coś okropnego! już mnie nic nie obchodziło, nawet pan Henryk, a nawet i Włochy.

Pierwszego dnia nie mógł przyjść, był tak samo zmęczony...

Ale dzisiaj także nie był, nie wychodziłam, ubrałam się w czerwoną fularową, bo mi w niej bardzo dobrze, i nie przyszedł...

Ach, tej nocy nigdy nie zapomnę, nigdy!

Już tylko leżałyśmy z „Ma“ i płakałyśmy i czekałyśmy śmierci! a „Stokrotki“ tak piszczały! a morze tak huczało! a okręt tak się strasznie kołysał, że „Ma“ zleciała z łóżka, i ja zleciałam, i „Stokrotki“ zleciały!... i już nie wiem, ile razy, jeszcze do dzisiaj mam sińce.

„Pa“ także całą noc przeleżał w korytarzu i chorował.

Naprawdę, ale to już jest oburzające, tyle mi mówił w pociągu, tak mnie całował po rękach... i więcej się nie pokazał...

Jeżeli myśli, że on mnie co obchodzi, to jest zarozumiały głupiec, jakbym nie była narzeczoną i nie miała pana Henryka, któremu on nie jest wart nawet... palta podać! A może to nawet i nie baron? baron toby przecież dotrzymał słowa.

.

Cały dzień dzisiaj oglądaliśmy miasto i wystawy!

Mury, woda, niebo i same pałace!

A te koronki... a te szkła u Testoliniego, to można zwarjować!

Cuda same... a jedwabie tańsze, niż u nas ma-dapolany... a ten pałac dożów... a kościół św. Marka?... no, to wszystko... sto tysięcy cudów! Aż się zbęczałam i sama nie wiem czego! Wychodzimy rano — słońce świeci i tak ciepło, jak u nas w czerwcu, jeszcze nie widziałam kwitnących pomarańczy; a tu przy placu, zaraz... że można ręką dotknąć... morze! takie turkusowe, takie śliczne, jak na tych „landszaftach“, co wiszą u nas w stołowym...

Ludzie siedzą na placu... nad morzem... wszędzie... pełno statków, gondoli... a tu i ten most westchnień... kanały... świeże kwiaty sprzedają...

gołębie latają... Anglicy chodzą... wiatr taki ciepły... jacyś fotografują, że tak mi się jakoś zrobiło tkliwo... nie wiedziałam nawet, że płaczę, aż mi „Ma“ obtarła oczy!...

Mój Boże, czemu takiej Wenecji niema w Warszawie? możnaby sobie codziennie chodzić na ten plac cudowny!

To niby miasto a morze... morze a ulice, ulice a kanały!

Tak wszystko wygląda, jakby jaki poeta wymyślił...

A „Pa“ się Wenecja nie podoba!

Widział kto coś podobnego? to coś strasznego!

.

Byliśmy u św. Marka! Prześliczny! Same marmury i to prawdziwe, jak mówi „Pa“, tylko posadzka taka zepsuta, pełno dołów, jak u nas na trotuarach; mogliby dać nową i porządną!

Nie braliśmy przewodnika, tylko podług Baedekiera, pokolei oglądaliśmy wszystko, aż nóg nie czuję i tak mnie kark boli od patrzenia w górę!...

Wszystko prześliczne, tylko te mozaiki, chociaż je tak bardzo chwali Baedeker, mnie się nie podobają... takie jakieś niezgrabne i dziwaczne.

Byliśmy w pałacu Dożów.

Nadzwyczajny! a w tej wielkiej sali, to mogłoby śmiało tańczyć mazura ze trzysta par.

Obrazów jest pełno na ścianach i na sufitach, ale szkoda, że nie zostawili mebli, dopiero to musiał być komfort i szykl...

.

Niedziela.

Widziałam go dzisiaj u św. Marka, byliśmy z „Ma” na sumie, stał z jakiemiś żydówkami, uklonił mi się... chciałam mu się nie odklonić...

A potem spotkaliśmy państwo Matacz z Warszawy! „Pa” się ogromnie ucieszył, bo to jego adwokat!

Za całe dwa liry kupiłam gołębiom grochu; tak fruwały nade mną, siadały mi na ramionach, na głowie, na rękach — szkoda, że pan Henryk tak mnie nie widział.

Byliśmy razem z państwem Matacz w Akademji... Obrazy mi się nie bardzo podobały, takie wszystkie poczerniałe, stare i religijne, jakby w kościele, ale tam, w pierwszej sali jest cudowny sufit. Oglądałam dłużej, a tu jakichś dwóch panów mówi za mną po polsku:

— Patrz, jaka śliczna Wenecjanka.

— Nie, to prędkiej Angielka.

— Ale mówię ci Wenecjanka, czysty typ, doskonała w kolorze...

Rozczzerwieniłam się, ale mi się ogromnie śmiać chciało...

Wychodzimy potem, a ci panowie witają się z panem Matacz i ten ich nam przedstawia...

Jakie mieli miny!... Obaj malarze, ale nie z Warszawy... jeden mocny brunet, a ten drugi, to jego przyjaciel!

Wieczorem.

Jutro po południu jedziemy już prosto do Rzymu!

Cały wieczór siedzieliśmy na placu, potem jeździliśmy gondolą, słuchali muzyki i znowu siedzieliśmy.

Tyle ludzi, jak u nas w niedzielę na Nowym Świecie. Ale tutaj wszystko zupełnie inaczej...

Muzyka grała na placu i wszyscy spacerowali, pełno było marynarzy z białymi kołnierzami i Weneccjanek, ale chodzą bez kapeluszy, z szalami na ramionach, no tak zupełnie wyglądało, jak w operze.

A co cudzoziemców, chyba wszystkimi językami świata mówili...

Takich lodów, jakie dają u Florianiego, tom jeszcze nie jadła, nieopowiedziane! tylko ciastka mają stanowczo za małe.

Poszliśmy potem do sali, bo tak się zrobiło zimno i deszcz pada.

Ten brunet, malarz, mieszka stale we Włoszech, co on nam naopowiadał, toby można z tego całą książkę napisać i bardzo zajmującą; dwadzieścia razy się pojedynekował i był piętnaście razy ciężko ranny, a dziesięć razy już umierający!... Dawał na to słowo honoru!

A tak głośno opowiada, tak krzyczy i klnie wszystkimi językami, że z początku to cała sala na nas patrzyła.

Polował na lwy w Abisynji, ale nieszczęśliwie, bo go lew pokaleczył, aż żałował, że nie może w towarzystwie pokazać śladów kłów i pazurów na sobie...

To coś okropnego, że on się nie bał!

Założył się z jakimś lordem o sto tysięcy funtów i przeszedł pieszo przez Saharę... sam jeden... zasypywały go piaski... tydzień cały nie jadł... nie pił wody... ale zakład wygrał!... Dawał na to słowo honoru...

Napisał operę p. t. „Symfonia oślicy“!...

Także tytuł...

Wynalazł ster do kierowania balonów, ale musi się z nim kryć jeszcze... zna się doskonale z królem angielskim, Vanderbiltowi mówi: ty, razem polowali na żyrafy, a papierośnicę, taką do cygar, to ma z samych złotych medalów, które podostawał za swoje obrazy na wystawach. Pokazywał wszystkim... i „Pa“ mówił, że medale są naprawdę złote...

Potem rozbił się z okrętem na oceanie, żył pięć lat na odludnej wyspie i... zjadł swego towarzysza!... Dawał słowo honoru i aż płakał, jak to opowiadał, z żalu pewnie!...

To dopiero jeść mu się chciało! Jezu, umarłabym prędejl!...

Pierwszy raz widzę takiego, co jadł człowieka...

„Pa“ w domu powiedział, że to wesoły chłop, ale blagier na gruby kamień!...

Nie, pocóżby miał blagować?...

Ale pan Henryk, to pewnie się jeszcze ani razu nie pojedynekował, o, on tak wszystkim ustępuje z drogi, taki grzeczny dla wszystkich...

A pan Matacz też opowiadał później że go napadło dwóch drabów, ale uciekł szczęśliwie; a potem jakiś klient chciał go obić, ale on mu kij odebrał, kazał aresztować, sprawę podał do sądu, a że byli świadkowie, wsadził go na miesiąc do kozy!...

Także bohater, co?... A chwali się, jakby dwóch drabów i ten klient, to były co najmniej lwy, rozbicie okrętu, albo zjedzenie człowieka... a ta jego żona to ciągle wykrzykiwała:

— Mężyku, więc to jest ta bella Wenecja? to kamienne marzenie rzeczywistości, ta bajka Szeherazady?...

— Mężyku, patrz na te gondole, na te kanały, na te pałace! Boże, co tu koloryzmu, co tu koloryzmu!!

I tak ciągle się zachwycała, i tak głośno, i ciągle przystawała i na wszystko patrzyła przez lornetkę i zaraz notowała, widziałam dobrze, ale mąż często szczypał ją w rękę.. wtedy trochę przestawała. Śmieszna taka egzaltacja!

Więc to już jutro do Romy!... Do Romy!...

.

Uwagi „Pa“. Gdyby nawet ktoś takie miasto wymyślił, tobym mu szczerze powiedział: głupstwo acan wymyślił...

Stawiać miasto na wodzie!... nie, to warjactwo czyste. Jakież u djabła muszą być fundamenta pod domami? i poco takie koszta? Psiakość, nóżki baranie, i tu woda i tam woda, wszędzie woda; człowiek boi się rozpędzić, żeby nie wpaść do wody!...

Domy jak kaczkki siedzą na wodzie i basta!

Zachwycają się Wenecją... hm, ludzie dużo mają czasu! Piszą o pałacach tych, kanałach, placach... ale żeby ja u nas, w Warszawie, miał taki pałac brudny, odrapany, z wodą naokoło, toby mi na pe dom zapieczętowali i poszedłbym z torbami. A śmierdzi wszędzie, że niech ręka Boska broni!...

Zasypać kanały, odnowić domy, zrobić skwer na placu św. Marka, toby jeszcze to miasteczko było możliwe. Ale wino tanie i dobre. Tylko te Włochy mają miny, że zawsze zapinam się na wszystkie guziki, jak wychodzę z hotelu.

Ten malarz łże, to łże, ale porządny chłop... żeby tylko wkońcu nie chciał mi sprzedać jakiego obrazu?...

Trzeba iść spać, jutro jeszcze obejrzę Wenecję, to może co pożytecznego znajdę i zapiszę. Ale pieniądze w tym wojażu, to płyną jak woda, psiakość, nóżki baranie.

12-go kwietnia. Młodszy „Stokrotek“ nie żyje!

.

„Pa“ też o mało się nie utopił.

.

Pewnie zaraz wrócimy do Warszawy!

.

Boże, mój Boże, przecież to całe życie ludzkie, to coś okropnego!!

Że ludzie umierają z chorób, są nieszczęśliwi, no, to są zwyczajne rzeczy, ale, że „Stokrotek“ mógł się utopić, a my do Rzymu nie pojedziemy! to naprawdę, ale już nic nie rozumiem.

Och „Ma“ zawsze ma rację, jak mówi, że świat jest podły i bez ideałów.

A samo życie? to tylko świństwo i spółka, jak powiedział jakiś mędrzec... może tego nie wypadało napisać? może to nieprzyzwoite? Ale cóż mnie to wszystko obchodzi?... kiedy mi się już płakać chce i jestem taka smutna!

I w tej Wenecji... żeby się to stało chociaż w Rzymie, to jużby mi nie było tak żal wracać... I już jechaliśmy... ogłosiło się wszędzie... pożegnaliśmy się ze wszystkimi... pisywałam z drogi... a teraz wracać? Obiecałam poprzywozić suweniry... Nie widzieć Rzymu, Wezuwjusza, kwitnących pomarańcz, i wracać?... Co za wstyd co za upokorzenie!...

Boże! jak mi smutno! nawet mi już czekoladki nie smakują!... co?...

Co za nieszczęście.

Czemu tu niema pana Henryka?... On taki dobry, taki kochany, taki pocziwy, zarazby „Pa“ wytłumaczył, że my powinniśmy jechać do Rzymu, że właśnie teraz, po takich nieszczęściach, to tylko do Rzymu!...

.

Krótki dopisek „Ma“.

Ach, leją się łzy gorzkie.

Krzycz serce głosem żalości!

„Stokrotek“ młodszy nie żyje.

A imię jego było lubość!

Och ten pies, nie psia miał duszę, zaiste nie psia...

Boże mój i za co mnie spotyka cios taki?!

Jeszcze w dłoniach czuję gładkość jego, jeszcze na twarzy czuję jego delikatne, słodkie lizania — jeszcze ten harmonijny głosik słyszę!

A jego już niema i nigdy nie będzie... nigdy nie będzie...

I to wszystko przez tego obrzydliwca, opoja, niedołęgę — przez tego męża mojego!

Zaprawdę, kobieta-chrześcijanka dużo prze-cierpieć musi...

Męczeństwo jest najkosztowniejszym klejnotem żywota żony!

Ach „Stokrotku“ mój, „Stokrotku“ niezapomniani!

Ale właśnie nie powrócę do Warszawy, za nic w świecie.

.

I to całe dwa tysiące ukradli „Pa“!

„Ma“ w tej chwili tak gada „Pa“, tak gada, że Jezus!

Bo „Ma“ wiedziała tylko, że „Pa“ ma tysiąc rubli ze sobą...

Rzeczywiście, dlaczego nie powiedział, naco mu było tyle pieniędzy?

A teraz nas wszystkich zato Pan Bóg skarał...

Bo pewno chciał sobie urządzać hulanki... i to na pewno w Rzymie... tam gdzie papież... gdzie tyle świętości... to coś okropnego!...

Kasę to już ja będę miała przy sobie, a panu Henrykowi będę codziennie dawała na papierosy i na tramwaje.

Nie chcę, żeby mnie przez niego spotkały nie-szczęścia...

.

To wszystko tak było:

„Pa“ wyszedł ze „Stokrotkami“, żeby się trochę przeszedł przed jazdą... łązy zalewają mi oczy, jak sobie przypominę.

Mój Boże, tak aportował, tak chodził na dwóch łapkach, tak umiał za mną nosić parasolkę i... nie żyje.

Och, „Ma“ rację ma, że niewiadomo dnia ani godziny!

„Pa“ poprowadził je nad morze... stały przy nim i patrzyli wszyscy na wodę... a na gondoli przy brzegu stał pies jakiś i czekał, „Stokrotki“ też

szczeakały i zaczęły się rzucać... aż „Pa“ odszedł dalej, żeby się nie rozdrażniały, bo później zawsze chorują... Szedł jakiś Włoch, no taki oberwus, jak oni wszyscy!

Gwizdał na „Stokrotki“ i z pewnością je podrażnił, bo one zawsze takie łagodne... i ten młodszy rzucił się i ugryzł go podobno... przecież taki mały piesek nie mógł mu krzywdy zrobić, najwyżej może rozerwał mu te jego... łachmany! a ten złapał go za skórę i rzucił do morza!!!

Czemu tam mnie nie było! Zabiłabym go parasolką!

I rzucił tak prosto... na śmierć... do morza!

„Pa“ krzyczał, żeby ratowali, a ci gondoljerzy jeszcze przeszkadzali...

Już dopływał do brzegu... ale brzeg wysoki, gładki, równy... aż się „Pa“ położył na kamieniach, żeby go złapać... no za bardzo się przechylił... wpadł... strasznie się rozbił i zabłocił...

„Pa“ wyciągnęli, ale „Stokrotek“ utonął.

Utonął i nie żyje!...

.

Przyprowadzili „Pa“ do hotelu, tak wyglądał strasznie, że „Ma“ zaraz zemdlała!

Był potem doktor... „Pa“ chciał mu płacić, nie ma pugilaresu! surdut i kamizelka na piersiach były rozcięte — i pugilares ze wszystkimi pieniędzmi ukradli!

„Stokrotek“ młodszy i pugilares!
Czy może być straszniejsze nieszczęście?!

.

„Pa“ już telegrafował do Warszawy po pieniądze i stanowczo mówi, że ma już dosyć wojażu i dosyć Włoch.

.

Ja chyba umrę, albo bardzo ciężko się rozchoruję, jeśli zaraz wrócimy do Warszawy.

Przecież moglibyśmy posiedzieć choćby w Zakopanem parę tygodni... niktby nie wiedział skąd wracamy!

Nawet już nie wiem, co robię?

To coś okropnego... nie będę śmiała wyjść na ulicę w Warszawie...

.

Boże, coś nowego, jakaś nadzieja... Boże...

„Ma“ woła „Pa“, że nie powróci, że mnie zabierze, „Stokrotka“ zabierze i sami pojedziemy do Rzymu, choćby tylko w troje, a „Pa“ niech sobie powraca na złamanie karku, kiedy taki niedołęga, taki tyran, taki kat „Stokrotka“!...

„Ma“ płacze, „Pa“ płacze, i ten biedny sierota też skomli, to pewnie z żalości po tamtym...

Mój Boże, żebyśmy pojechali do Rzymu — to już pierwszemu, jakiego spotkam dziadowi dam rubla, a jak wrócę do Warszawy — to zaraz dam

tę jesienną suknię córce stróża, chociaż naprawdę
ona jeszcze zupełnie dobra i trochę mi jej szkoda.

.
Cicho „Stokrotku“... cicho sieroto... cicho mój
zakrecony ogonku... niech tylko pojedziemy do
Rzymu, to już ja ci będę towarzyszką, i matką,
i siostrą, i wszystkim... cicho moja sieroto... cicho...

A „Ma“ wciąż kłóci się z „Pa“.

.
Boże, takam zmęczona i nieszczęśliwa!
Ach, żeby to odpocząć!
Pan Hiacynt mówi, że szczęście jest tam —
„na łąkach prabytu, gdzie chodzą nagie wszechbyty
i płyną strugi przepotężnej gliceryny pod fuksjami
absolutu“...

Ale pocóż mi gliceryna?

Głupi żydziak ten pan Hiacynt, że to ja się
odrazu nie poznałam na tych głupstwach fałszy-
wych dekadentów — bo przecież on nie mówi
Przybyszewskiemu „Stachu“.

Boże, żebym teraz chociaż miała pudełko
czekoladek!...

Zakopane-Wiśła. 1901 r.



